

Danielle Steel

Toksyczni panowie

(Toxic bachelors)

Przekład Danuta Górski

*Dla moich absolutnie cudownych dzieci:
Beatrix, Trevora, Nicka, Todda, Samantha,
Victorii, Vanessy, Maxxa i Zary,
których śmiech, miłość, radość i dobroć rozświełają moje życie.*

Dla Sebastiana, najlepszego podarku pod choinkę.

I dla Philippe'a, cudu w moim życiu.

*Wszyscy jesteście dla mnie darami Boga,
któremu codziennie dziękuję na kolanach
za cud Waszej miłości.
Z wyrazami najgłębszej miłości*

d. s.

Powiedział/powiedziała

Powiedział, że zawsze będzie mnie cenil.

Powiedziała, że wiecznie będzie mnie kochać.

Powiedział, że będzie moim towarzyszem.

Powiedziała, że będzie moją najlepszą przyjaciółką.

Powiedział, że zawsze mnie wysłucha.

Powiedziała, że zawsze ze mną porozmawia.

Powiedział, że zawsze mnie przytuli.

Powiedziała, że zawsze poda mi rękę.

Powiedział, że zawsze będzie ze mną spał.

Powiedziała, że zawsze pocałuje mnie na dobranoc.

Powiedział, że zawsze będzie mnie kochał.

Powiedziała, że nigdy mnie nie opuści.

Donna Rosenthal

Rozdział 1

Gorące, jaskrawe słońce oświetlało pokład motorowego jachtu „Blue Moon”. Smukła, wytworna łódź, wspaniale zaprojektowana, długa na osiemdziesiąt metrów, miała basen, lądowisko dla helikopterów, sześć eleganckich kabin dla gości, luksusowy apartament dla właściciela i znakomicie wyszkoloną szesnastoosobową załogę. „Blue Moon” i jego właściciel pojawiali się na łamach wszystkich czasopism jachtingowych świata. Charles Sumner Harrington kupił łódź przed sześciu laty od saudyjskiego księcia. Swój pierwszy jacht, dwudziestopięciometrową żaglówkę, kupił, mając dwadzieścia dwa lata. Nazwał ją „Dream”. Dwadzieścia cztery lata później cieszył się nową łodzią tak samo jak wtedy.

Czterdziestosześcioletni Charles Harrington wiedział, że jest szczęściarzem. Pod wieloma względami życie traktowało go łaskawie. Po dojściu do pełnoletności odziedziczył ogromną fortunę i zajmował się nią w sposób odpowiedzialny przez następnych dwadzieścia pięć lat. Zrobił karierę, kierując własnymi inwestycjami i zarządzając rodzinną fundacją. Charlie doskonale zdawał sobie sprawę, że niewielu ludziom na świecie powodzi się równie dobrze jak jemu, i dużo zrobił, by poprawić los tych biedniejszych, osobiście i poprzez fundację. Dobrze wiedział, że ciąży na nim wielka odpowiedzialność, i nawet jako młody człowiek myślał najpierw o innych. Szczególnie troszczył się o niepełnosprawne dzieci i młodzież. Fundacja miała imponujące osiągnięcia w dziedzinie edukacji, zapewniała opiekę medyczną ubogim, zwłaszcza w krajach rozwijających się, i przeciwdziałała maltretowaniu dzieci w środowiskach miejskiej biedoty. Charles Harrington starał się w miarę możliwości unikać rozgłosu, prowadził działalność filantropijną anonimowo. Był człowiekiem prawnym, współczującym i życzliwym. Ale z łobuzerskim śmiechem przyznawał, że jest też skrajnie wygodny i nie miał zamiaru przeproszać za swój styl życia. Mógł sobie na to pozwolić, co roku wydając miliony na innych. Nigdy się nie ożenił, nie miał dzieci, lubił luksusowe życie i chętnie dzielił swoje przyjemności z przyjaciółmi.

Co roku Charlie i jego dwaj najbliżsi przyjaciele, Adam Weiss i Gray Hawk, spędzali sierpień na jachcie Charliego. Pływali po Morzu Śródziemnym i zatrzymywali się tam, gdzie mieli ochotę. Odbywali tę wspólną podróż regularnie od dziesięciu lat. Wszyscy trzej czekali na to z utęsknieniem i za nic na świecie nie przepuściliby okazji. Co roku, choćby nie wiem co się działo, pierwszego sierpnia Adam i Gray lecieli do Nicei i okrętowali się na miesiąc na „Blue Moon” – a przedtem na innych łodziach. Charlie zwykle spędzał również lipiec na pokładzie i czasami wracał do Nowego Jorku dopiero pod koniec września. Wszystkimi sprawami finansowymi i fundacji kierował z jachtu. Sierpień jednak poświęcał wyłącznie na zabawę.

W tym roku miało być tak samo. Charlie jadł więc spokojnie śniadanie na pokładzie, a jacht kołysał się łagodnie na kotwicy w porcie St. Tropez. Poprzedniej nocy zabawili do późna i Charlie wrócił dopiero o czwartej nad ranem.

Mimo zarwanej nocy wstał wcześnie. Dość mętnie przypominał sobie wczorajszy wieczór. Zwykle tak bywało w towarzystwie Graya i Adama. Stanowili niespożyte trio, ale

nikomu nie robili krzywdy. Nie musieli się nikomu opowiadać, żaden nie był żonaty i obecnie żaden nie miał przyjaciółki. Już dawno uzgodnili, że bez względu na okoliczności wchodzą na pokład sami i spędzają ten miesiąc jak kawalerowie, na męskich przyjemnościach. Przed nikim nie musieli się tłumaczyć i każdy z nich na swój sposób pracował ciężko przez resztę roku; Charlie zarządzał fundacją, Adam był adwokatem, a Gray artystą. Charlie mawiał, że zasługują na miesiąc urlopu i coroczny rejs.

Dwaj z nich byli kawalerami z wyboru. Charlie upierał się, że on nie. Twierdził, że jego stan kawalerski to przypadek, zwykły pech. Chciał się ożenić, ale dotąd nie znalazł odpowiedniej kobiety, chociaż szukał przez całe życie. Wciąż prowadził poszukiwania, skrupulatnie i z determinacją. W młodości był czterokrotnie zaręczony, ale za każdym razem coś stawało na przeszkodzie małżeństwu, ku jego wielkiemu żalowi i rozczarowaniu.

Pierwsza narzeczona przespała się z jego najlepszym przyjacielem trzy tygodnie przed ślubem. Wybuchł skandal. Charlie nie miał wyboru, musiał odwołać ślub. Miał wtedy trzydzieści lat. Druga niedoszła oblubienica podjęła pracę w Londynie, jak tylko się zaręczyli. Charlie sumiennie do niej dojeżdżał – pracowała dla brytyjskiego „Vogue’a” – ale właściwie prawie nie miała dla niego czasu. Wyczekiwał na nią cierpliwie w mieszkaniu, które wynajął tylko na spotkania z ukochaną. Dwa miesiące przed ślubem wyznała, że pragnie zrobić karierę i że nie mogłaby rzucić pracy po ślubie, na czym mu zależało. Uważał, że powinna zostać w domu i zajmować się dziećmi. Nie chciał się żenić z pracowoliczką, postanowili więc się rozstać – oczywiście jak przyjaciele, ale dla niego było to wielkim rozczarowaniem. Miał wtedy trzydzieści dwa lata i jeszcze rozpaczliwiej chciał znaleźć kobietę swoich marzeń. Rok później był pewien, że ją znalazł – fantastyczną dziewczynę, która zgodziła się rzucić dla niego studia medyczne. Razem jako przedstawiciele fundacji jeździli do południowej Afryki, żeby odwiedzać dzieci w krajach rozwijających się. Mieli wspólne zainteresowania i po sześciu miesiącach się zaręczyli. Wszystko szło dobrze, dopóki Charlie nie zauważył, że narzeczona nie rozstaje się ze swoją siostrą bliźniaczką i oczekuje, że wszędzie ją będzie zabierał. A tymczasem on i bliźniaczka poczuli do siebie niechęć od pierwszego wejrzenia, która przerodziła się w dyskusje i kłótnie przy każdym spotkaniu. Charlie wiedział, że z czasem animozja może się tylko pogłębić. I tym razem się wycofał, za zgodą niedoszłej żony. Za bardzo zależało jej na siostrze, żeby poślubić człowieka, który wyraźnie jej nie cierpiał. Po roku wyszła za kogoś innego, a siostra zamieszkała z nimi, co przekonało Charliego, że postąpił słusznie.

Ostatnie narzeczeństwo Charliego zakończyło się katastrofą pięć lat temu. Kochała go, ale nawet po sesjach z psychoterapeutą twierdziła, że nie chce mieć dzieci. Bez względu na swoją miłość nie ustąpiła ani na włos. Charlie z początku myślał, że jakoś ją przekona, ale nie udało mu się, rozstali się więc po przyjacielsku. Jak zawsze. Bez wyjątku. Charlie pozostał w przyjaźni z każdą kobietą, z którą się spotykał. W czasie świąt zalewały go pocztówki z życzeniami od kobiet, które kiedyś kochał, z którymi nie zdecydował się ożenić i które wyszły za innych. Na pierwszy rzut oka, gdyby spojrzeć na ich fotografie, wszystkie wyglądały tak samo. Piękne, arystokratyczne blondynki, dobrze urodzone, które chodziły do odpowiednich szkół i poślubiły odpowiednich ludzi. Uśmiechały się do niego ze

świętecznych kartek, u boku świetnie prosperujących mężów, otoczone jasnowłosymi dziećmi.

Nadal utrzymywał znajomość z wieloma z nich, one wszystkie kochały Charliego i wspominały go czule.

Jego przyjaciele Adam i Gray ciągle powtarzali, żeby zrezygnował z debiutantek i lwic salonowych i poszukał „prawdziwej” kobiety, której definicja zmieniała się w zależności od ich opisów. Charlie jednak sam wiedział, czego chce. Pragnął ożenić się z pochodzącą z dobrego domu, zamożną, wykształconą, inteligentną kobietą, ceniącą te same wartości, te same ideały co on, o pochodzeniu równie arystokratycznym jak jego. To miało dla niego znaczenie. Jego rodowód sięgał XV wieku, rodzina wywodziła się z Anglii, fortuna liczyła sobie wiele pokoleń, on sam zaś, podobnie jak ojciec i dziadek, ukończył Princeton. Matka chodziła do szkoły panny Porter i ukończyła edukację w Europie, podobnie jak siostra, a on chciał poślubić kobietę taką jak one. Wyznawał dość snobistyczne i zachowawcze poglądy, ale wiedział, czego chce i czego potrzebuje. Sam był staroświecki pod wieloma względami i cenił tradycyjne wartości. Miał też konserwatywne poglądy polityczne i w ogóle był nader szanowanym człowiekiem. Nawet jeśli zdarzały mu się jakieś wyskoki, zawsze odbywały się z zachowaniem całkowitej dyskrecji. Charlie był dżentelmenem, człowiekiem wytwornym i dystygowanym do szpiku kości. Był uprzejmy, życzliwy, hojny i czarujący. Miał nieskazitelne maniery i kobiety go uwielbiały. Od dawna stał się upragnioną partią dla panien w Nowym Jorku i w wielu innych miejscach, gdzie miał przyjaciół. Wszyscy kochali Charliego, bo nie mogli go nie kochać.

Poślubienie Charlesa Harringtona stanowiłoby nie lada wyczyn dla każdej dziewczyny. Niczym księżę z bajki, szukał po całym świecie odpowiedniej żony, idealnej partnerki dla siebie. Zamiast niej spotykał wszędzie urocze damy, które początkowo wydawały się atrakcyjne i interesujące, zawsze jednak miały jakąś skazę, w ostatniej chwili powstrzymującą go na drodze do ołtarza. Dla niego stanowiło to takie samo rozczarowanie jak dla nich. Za każdym razem doznawał okropnego zawodu. W wieku czterdziestu sześciu lat nadal był kawalerem, chociaż twierdził, że nie z własnej winy. Nie przestawał więc szukać tej idealnej kobiety i nie wątpił, że pewnego dnia ją znajdzie, gdziekolwiek się ukrywa. Nie wiedział tylko, kiedy to nastąpi. Co do oszustek udających idealne kobiety, nieomylnie potrafił wykryć ich fatalne wady. Pocieszał się tylko, że nie poślubił niewłaściwej osoby. Nie zamierzał do tego dopuścić i był zadowolony, że jak dotąd zdołał tego uniknąć. Zawsze zachowywał czujność. Wiedział, że odpowiednia kobieta gdzieś tam na niego czeka, po prostu jeszcze jej nie znalazł, ale któregoś dnia na pewno to nastąpi.

Siedział z zamkniętymi oczami i twarzą wystawioną do słońca. Dwie stewardesy podawały mu śniadanie i nalewały kolejną filiżankę kawy. Poprzedniej nocy wypił sporo martini, a przedtem szampana, ale po porannym pływaniu poczuł się znacznie lepiej. Świetnie pływał i doskonale surfował. W Princeton był kapitanem drużyny pływackiej i teraz mimo wieku intensywnie uprawiał sport. Był zapalonym narciarzem, w zimie przy każdej sposobności grał w squasha, w lecie w tenisa. Dzięki temu nie tylko cieszył się doskonałym zdrowiem, ale także zachował sylwetkę człowieka dwa razy młodszego. Był uderzająco

przystojnym mężczyzną – wysoki, smukły, o jasnych włosach w piaskowym odcieniu, który ukrywał wszelkie ślady siwizny. Błękitne oczy pięknie kontrastowały – po miesiącu na jachcie – z głęboką opalenizną. Wyglądał wspaniale. Jemu z kolei podobały się wysokie, bardzo szczupłe, arystokratyczne blondynki. Nigdy się nad tym nie zastanawiał, ale jego matka i siostra były takimi wysokimi blondynkami.

Matka była wielką piękną. Siostra zabłysnęła na studiach grą w tenisa, ale przerwała naukę, żeby się nim opiekować. Oboje rodzice zginęli w wypadku samochodowym podczas wakacji we Włoszech. Miał wtedy szesnaście lat, siostra dwadzieścia jeden lat i opuściła Vassar na pierwszym roku, żeby wrócić do domu i wypełniać rodzinne obowiązki w zastępstwie rodziców. Charliemu wciąż napływały łzy do oczu, kiedy o niej myślał. Ellen zapowiedziała, że dokończy przerwana edukację dwa lata później, kiedy Charlie pójdzie na studia. Poświęciła się dla niego całym sercem. Była wyjątkową dziewczyną i brat ją uwielbiał. Kiedy jednak wreszcie poszedł na studia, Ellen zachorowała, chociaż nic mu o tym nie mówiła. Zdołała utrzymać w tajemnicy chorobę przez prawie trzy lata. Twierdziła, że jest zbyt zajęta fundacją, żeby studiować, a on jej wierzył. W rzeczywistości miała guza mózgu i toczyła bohaterską walkę. Lekarze od początku ustalili, że guz jest nieoperacyjny ze względu na umiejscowienie. Ellen zmarła w wieku dwudziestu sześciu lat, parę miesięcy wcześniej, zanim Charlie ukończył Princeton. Nie miał komu pokazać dyplomu. Po śmierci siostry i rodziców został sam na świecie, odziedziczył ogromną fortunę oraz głębokie poczucie odpowiedzialności. Wkrótce po uzyskaniu dyplomu kupił pierwszą żaglówkę i przez dwa lata opłynął świat dookoła. Niemal codziennie myślał o siostrze i wszystkim, co dla niego zrobiła. Rzuciła dla niego studia i pomagała mu na wszelkie sposoby aż do śmierci, jak przedtem rodzice. Jego rodzina zawsze żyła w zgodzie i miłości. Jedyne zło, które go spotkało w młodości, to śmierć wszystkich, których kochał i którzy go kochali, a potem zostawili go samego. Najbardziej się bał, że kogoś pokocha i że ten ktoś też umrze.

Kiedy wrócił z morskiej podróży, miał dwadzieścia cztery lata. Poszedł do Szkoły Biznesu na uniwersytecie Columbia, zdobył tytuł magistra zarządzania, uczył się kierować swoimi inwestycjami i fundacją. Z dnia na dzień dorósł i przyjął na siebie odpowiedzialność za swój świat. Charlie nigdy nikomu nie sprawił zawodu. Rozumiał, że rodzice i Ellen nie opuścili go z własnej woli, ale w rezultacie został sam na świecie, bez rodziny, w bardzo młodym wieku. Miał znaczny majątek oraz kilku starannie dobranych przyjaciół, ale wiedział, że póki nie spotka odpowiedniej kobiety, pozostanie samotny w najistotniejszym tego słowa znaczeniu. Nie zamierzał zadowolić się kimś gorszym niż kobieta, na jaką zasługiwał, podobna do jego matki i Ellen, kobieta, która będzie stała przy nim do końca. Nawet przed samym sobą nie chciał przyznać, choćby niechętnie, że przecież one zostawiły go w końcu samego i przerażonego. To nie była ich wina. To podły los. I tym bardziej zależało mu, żeby znaleźć odpowiednią żonę, na której mógłby polegać, która byłaby dobrą matką dla jego dzieci, istotą niemal doskonałą pod każdym względem. To się dla niego liczyło. Na taką miłość warto było czekać.

– O Boże – usłyszał za sobą jęk.

Roześmiał się, rozpoznając głos. Otworzył oczy i zobaczył, jak Adam w białych szortach i jasnoniebieskiej podkoszulce siada ostrożnie naprzeciwko niego za stołem. Stewardesa nalala mu mocnej kawy. Adam upił kilka łyków, zanim znowu się odezwał.

– Co ja wczoraj piłem, do cholery? Chyba ktoś mnie otruł.

Adam miał ciemne włosy i prawie czarne oczy, a dziś nie zadał sobie trudu, żeby się ogolić. Średniej budowy ciała, z potężnymi ramionami, wyglądał na twardziela. Nie był tak przystojny jak Charlie, ale inteligentny, dowcipny, atrakcyjny, miał ogromny wdzięk i kobiety za nim przepadały. To, czego mu brakowało do wyglądu filmowego gwiazdora, nadrabiał rozumem, siłą i pieniędzmi. W ostatnich latach zarobił ich mnóstwo.

– Piłeś głównie rum i tequilę, ale już po butelce wina do obiadu. Wypili na jachcie butelkę Chateau HautBrion, zanim wybrali się do St.

Tropez na obchód barów i dyskotek. Charlie raczej nie mógł tam znaleźć swojego ideału, ale mniej idealne dziewczyny mogły im dostarczyć sporo zajęcia.

– Kiedy ostatnio cię widziałem w dyskotecce, chyba piłeś brandy.

– Tak podejrzewałem. To rum mnie załatwił. Co roku na tej łodzi zmieniam się w alkoholika. Gdybym tyle pił w domu, wyleciałbym z interesu. – Adam Weiss zamrugał w słońcu, nałożył ciemne okulary i się roześmiał. – Masz na mnie paskudny wpływ, Charlie, ale świetny z ciebie gospodarz. O której wróciłem?

– Chyba koło piątej.

Charlie nie powiedział tego ani z podziwem, ani z wyrzutem. Nie oceniał swoich przyjaciół. Chciał po prostu, żeby się dobrze bawili, i zawsze się świetnie bawili, wszyscy trzej. Adam i Gray byli jego najlepszymi przyjaciółmi, łączyła ich więź wykraczająca poza zwykłą przyjaźń. Trzej mężczyźni byli jak bracia i często się widywali przez ostatnich dziesięć lat.

Adam poznał Charliego wkrótce po rozwodzie z Rachel. On i Rachel spotkali się na drugim roku studiów na uniwersytecie Harvarda i razem poszli do harvardzkiej Szkoły Prawa. Ona uzyskała dyplom *summa cum laude* i zaliczyła aplikację za pierwszym podejściem, chociaż nigdy nie praktykowała. Adam musiał zdawać drugi raz, był jednak doskonałym prawnikiem i dobrze sobie radził. Wstąpił do firmy, która specjalizowała się w reprezentowaniu gwiazd rocka i słynnych sportowców – uwielbiał tę pracę. Pobrali się z Rachel w dzień po ukończeniu studiów. Małżeństwo zostało przyjęte z radością przez obie rodziny, które znały się z Long Island. Jakoś tak się złożyło, że młodzi poznali się dopiero na studiach, chociaż ich rodzice się przyjaźnili. Adam nigdy nie chciał, żeby rodzice przedstawiali mu córki swoich przyjaciół, sam więc znalazł sobie dziewczynę, chociaż od początku wiedział, kim jest. Wydawała się stworzona dla niego.

Kiedy się pobrali, mieli wiele wspólnego i czekało ich szczęśliwe życie. Rachel zaszła w ciążę podczas miodowego miesiąca i w ciągu dwóch lat urodziła dwójkę dzieci, Amandę i Jacoba, którzy mieli teraz czternaście i trzynaście lat. Małżeństwo przetrwało pięć lat. Adam ciężko pracował, budując swoją karierę, i wracał do domu o trzeciej nad ranem, po koncertach albo zawodach, gdzie bywał z klientami i ich przyjaciółmi. Mimo licznych pokus pozostał wierny żonie, Rachel jednak znudziła się samotnością i zakochała w pediatrze ich dzieci,

którego znała jeszcze ze szkoły średniej. Romansowała z nim, podczas gdy Adam w pocie czoła zarabiał dla niej pieniądze. Trzy miesiące po tym, jak został partnerem w swojej firmie, Rachel opuściła go. Powiedziała, że doskonale sobie bez niej poradzi. Zabrała dzieci, meble, połowę oszczędności i poślubiła pediatrę, gdy tylko wysechł atrament na orzeczeniu ich rozvodu. Dziesięć lat później Adam nadal jej nienawidził i z trudem zdobywał się na uprzejmość wobec niej. Nie miał zamiaru znowu się ożenić, żeby powtórzyło się to samo. Kiedy Rachel odeszła z dziećmi, przeżył załamanie.

Przez następnych dziesięć lat po rozwodzie unikał wszelkich związków i umawiał się z kobietami o połowę młodszymi i dziesięć razy głupszymi od siebie. W środowisku, gdzie pracował, łatwo mógł je znaleźć. W wieku czterdziestu jeden lat spotykał się z kobietami dwudziesto, dwudziestopięcioletnimi, modelkami, gwiazdkami filmowymi i dziewczętami, które zawsze kręcały się koło znanych sportowców i gwiazd rocka. Czasami nie pamiętał ich imion. Ze wszystkimi był szczery i dla wszystkich hojny. Ostrzegał je na samym początku, że nie ożeni się po raz drugi i że spotykają się tylko dla przyjemności. Nigdy nie zostawały z nim dłużej niż miesiąc – jeśli w ogóle tyle wytrzymał. Chciał tylko kilka razy pójść na kolację, do łóżka i ruszać dalej. Rachel zabrała mu serce i wyrzuciła gdzieś na śmietnik. Teraz rozmawiał z nią tylko wtedy, kiedy musiał, czyli coraz rzadziej, w miarę jak dzieci dorastały. Najczęściej wysyłał jej zwięzłe emaile albo kazał swojej sekretarce do niej dzwonić. Nie chciał mieć z nią do czynienia i nie chciał się poważnie związać z nikim innym. Kochał swoją wolność i za nic na świecie nie chciał jej znowu komuś oddać.

Matka Adama w końcu przestała narzekać, że jest samotny albo prawie samotny, i już nie próbowała mu przedstawiać „miłych dziewcząt”. Adam miał to, czego chciał: szwedzki stół z dziewczynami do wyboru. Jeśli chciał porozmawiać, dzwonił do przyjaciół. W jego opinii kobiety nadawały się do seksu, zabawy i trzymania na dystans. Nie zamierzał zbliżyć się do żadnej tak, żeby znowu go zraniła. W przeciwieństwie do Charliego nie szukał ideału. Chciał tylko partnerki do łóżka na jakiś czas, nie dłużej niż dwa tygodnie, i to mu wystarczało. Nie pragnął poważnych związków. Poważnie traktował tylko dzieci, pracę i przyjaciół. Kobiety w jego życiu nie były przyjaciółkami. Rachel była wrogiem, matka – krzyżem do dźwigania, siostra – utrapieniem, a dziewczyny, z którymi się umawiał, właściwie nieznajomymi. Na ogół czuł się lepiej, bezpieczniej i wygodniej w towarzystwie mężczyzn. Zwłaszcza Charliego i Graya.

– Wczoraj chyba nieźle rozrabiałem – powiedział z uśmiechem zażenowania. – Pamiętam tylko, że tańczyłem z całą bandą Brazylijek, które nie mówiły po angielsku, ale człowieku, jak one się ruszały. Sambowałem do upadłego i wypilem chyba sześćset drinków. Były niesamowite.

– Ty też. – Charlie się roześmiał.

Wystawili twarze do słońca. Dobrze się czuli, chociaż Adama bolała głowa. Adam bawił się równie ostro, jak pracował. Ostatnio stał się wybitnym specjalistą w swojej dziedzinie, wiecznie zestresowanym i zatroskanym, nosił trzy telefony komórkowe i pager, a życie spędzał albo na zebraniach, albo latając własnym samolotem na spotkania z klientami. Reprezentował grono znanych osobistości, z których wszystkie pakowały się w kłopoty z

przerazającą regularnością. Adamowi to nie przeszkadzało. Uwielbiał swoją pracę i miał więcej cierpliwości do klientów niż do kogokolwiek innego, z wyjątkiem dzieci, które znaczyły dla niego wszystko. Jacob i Amanda stanowili osłodę jego życia.

– Chyba umówiłem się z dwiema na dziś wieczór – powiedział Adam, uśmiechając się na wspomnienie brazylijskich piękności. – Nie rozumiały ani słowa z tego, co mówiłem. Musimy tam wrócić wieczorem i zobaczymy, czy przyjdą.

Adam zaczynał już odżywać po drugiej filiżance kawy, kiedy pojawił się Gray w ciemnych okularach, z grzywą nieuczesanych białych włosów, sterczących jak druty. Często nosił taką fryzurę, teraz jednak wydawała się szczególnie stosowna. Jęknął i usiadł przy stole. Miał na sobie kąpielówki i koszulkę, czystą, ale zachlapaną farbą.

– Jestem na to za stary – westchnął.

Z wdzięcznością przyjął filiżankę kawy i otworzył butelkę nalewki ziołowej. Gorzki smak uspokoił mu żołądek po ekscesach poprzedniej nocy. W przeciwieństwie do Charliego i Adama Gray nie mógł się pochwalić dobrą kondycją sportową. Był długi, chudy i jakby niedożywiony. Jako chłopiec wyglądał jak dziecko z plakatu o głodujących krajach, teraz też pozostał bardzo chudy. Był artystą i mieszkał w West Village, gdzie pracował miesiącami nad misternymi, starannie dopracowanymi obrazami. Z trudem wystarczało mu na życie, jeśli sprzedawał dwa rocznie. Podobnie jak Charlie, nigdy się nie ożenił ani nie miał dzieci. Cieszył się szacunkiem w artystycznym świecie, ale nigdy nie odniósł sukcesu komercyjnego. Nie zależało mu na tym. Pieniądze nic dla niego nie znaczyły. Jak często powtarzał przyjaciółom, zależało mu tylko na niezależności. Poczęstował nalewką Adama i Charliego, ale obaj z grymasem niesmaku pokręcili głowami.

– Nie wiem, jak możesz to pić – burknął Adam, marszcząc nos od ziołowego zapachu. – Działa, ale chyba wolę mieć kaca.

– To doskonały środek. Naprawdę. Powinniście mi to podłączyć do kroplówki, jeśli dalej mamy tak chlać. Czy już kwalifikujemy się na odwyk?

Dopił nalewką, potem kawę, a następnie rzucił się na półmisek ze smażonymi jajkami.

– Jeszcze nie, zwykle następuje to w drugim tygodniu, nie w pierwszym – odparł pogodnie Charlie.

Lubił spędzać czas z przyjaciółmi. Zazwyczaj uspokajali się po pierwszych kilku dniach wybryków. Nie było tak źle, jak mówili, chociaż wszyscy sporo wypili poprzedniej nocy, tańczyli z nieznajomymi, obserwowali ludzi i ogólnie świetnie się bawili w swoim towarzystwie. Charlie nie mógł się doczekać tego miesiąca z Grayem i Adamem. Zarówno dla niego, jak i dla nich było to ukoronowanie całorocznych dokonań. Co roku przez wiele tygodni wyczekiwali niecierpliwie na ten miesiąc, a potem równie długo żyli wspomnieniami. Mieli je już od dziesięciu lat i przy każdym spotkaniu śmiali się z historyjek swojego szaleństwa.

– W tym roku chyba wcześniej zacniemy. Moja wątroba już wysiada. Czuję to – oświadczył Gray ze zmartwioną miną.

Dokończył jajka i zjadł grzanekę, żeby uspokoić żołądek. W głowie ciągle go łupało, ale nalewka spełniła swoje zadanie. Adam nie mógłby przełknąć takiego śniadania, jakie właśnie

pochłonał Gray. Gorzka angostura, którą zażywał skrupulatnie każdego dnia na pokładzie, widocznie pomagała i na szczęście żaden z nich nie cierpiał na chorobę morską.

– Jestem od was starszy. Takie tempo mnie zabije. Albo może wystarczy sam taniec. Cholera, brakuje mi kondycji.

Gray właśnie skończył pięćdziesiąt lat, ale wyglądał znacznie starszej od obu przyjaciół. Charlie nawet po czterdziestce zachował młodzieńczy, chłopięcy wygląd, który odejmował mu ładnych parę lat, Adam skończył dopiero czterdzieści jeden lat i był w znakomitej formie. Bez względu na nawal zajęć codziennie chodził do siłowni i mawiał, że tylko to pomaga mu pokonać stres. Gray nigdy nie dbał o siebie, mało spał, jeszcze mniej jadł i żył tylko pracą, podobnie jak Adam. Przez długie godziny wystawał przed sztalugami i myślał, marzył i oddychał sztuką. Był niewiele starszy od pozostałych dwóch, ale wyglądał na swój wiek, głównie z powodu niesfornej szopy siwych włosów. Kobiety, które spotykał, uważały go za wcielenie piękna i łagodności, przynajmniej przez chwilę, zanim go porzuciły.

W przeciwieństwie do Charliego i Adama Gray nigdy nie uganiał się za kobietami i nie czynił niemal żadnych wysiłków w tym kierunku. Żył sztuką, niepomny na cały świat, ale kobiety odnajdowały go nieomylnie niczym gołębie pocztowe. Działał jak magnes na osoby, które Adam określał jako „psychiczne”, z czym zresztą Gray nigdy się nie zgadzał. Dziewczyny, z którymi się spotykał, zawsze albo właśnie przestały przyjmować leki, albo przestawały wkrótce po zawarciu tej znajomości. Z reguły były to nieszczęśnice maltretowane przez poprzedniego przyjaciela lub męża, którzy wciąż wydzwaniali do nich po wyrzuceniu ich na ulicę. Gray nie odmawiał im pomocy i nawet gdy nie były atrakcyjne albo w sposób oczywisty przysparzały mu kłopotów, zanim się z nimi przespał, oferował im mieszkanie u siebie, „tylko na parę tygodni, zanim staną na nogi”. W końcu sam musiał je stawiać na nogi. Gotował dla nich, sprzątał, opiekował się nimi, znajdował dla nich lekarzy i terapeutów, wysyłał na odwyk albo sam przeprowadzał detoksykację. Dawał im też pieniądze, przez co sam cierpiał jeszcze większą biedę. Zapewniał im bezpieczne schronienie, ciepło i pociechę. Robił dla nich niemal wszystko, pod warunkiem że nie miały dzieci. Z dziećmi Gray zupełnie sobie nie radził. Przerazały go. Przypominały mu jego własne dzieciństwo, którego nigdy nie wspominał z przyjemnością. Bliskość dzieci i rodzin podsyciała w nim bolesną świadomość, jak bardzo szkodliwa była jego własna rodzina.

Kobiety, z którymi się wiązał, początkowo nie wydawały się złe i twierdziły, że nie chcą go skrzywdzić. Były niezorganizowane, najczęściej histeryczne, robiły z własnego życia całkowity bałagan. Związki takie trwały od miesiąca do roku. Gray znajdował dla nich pracę, doprowadzał je do porządku, przedstawiał ludziom, którzy mogli im pomóc, i niezmiennie, jeśli nie trafiały do szpitala lub innej instytucji tego typu, rzucały go dla kogoś innego. Nigdy nie chciał poślubić żadnej z nich, ale przyzwyczajał się do nich i kiedy odchodziły, przez jakiś czas było mu źle, chociaż spodziewał się tego. Był opiekunem doskonałym i jak wszyscy kochający rodzice wiedział, że jego pisklęta kiedyś wyfruną z gniazdka. Ku jego niezmiennemu zdziwieniu za każdym razem rozstanie okazywało się trudne i bolesne. Rzadko odchodziły z klasą. Okradały go, urządzały głośne awantury, tak że sąsiedzi wzywali policję, dziurawiły opony jego wozu, jeśli akurat miał samochód, wyrzucały przez okno rzeczy albo

wywoływały przykre i żenujące sceny. Nigdy nie dziękowały mu za czas, wysiłek, pieniądze i uczucie, które im poświęcił. W rezultacie ostateczne zerwanie Gray przyjmował z ogromną ulgą. W przeciwieństwie do Adama i Charliego nigdy nie pociągały go młode dziewczyny. Miał skłonności do kobiet koło czterdziestki, z poważnymi zaburzeniami osobowości. Mówił, że budzą w nim litość, bo są bezbronne. Adam w żartach proponował mu, żeby zatrudnił się w Czerwonym Krzyżu albo ośrodku pomocy społecznej, gdzie mógłby opiekować się nimi do woli, zamiast zamieniać swoje życie miłosne w telefon zaufania dla zwariowanych samobójczyń w średnim wieku.

– Nic na to nie poradzę – mawiał Gray z zażenowaniem. – Zawsze myślę, że jeśli im nie pomogę, nikt inny tego nie zrobi.

– Jasne. I tak masz szczęście, że jakaś wariatka nie próbowała zabić cię we śnie.

Raz czy dwa rzeczywiście tak się zdarzyło, na szczęście żadnej się nie udało. Gray odczuwał przemożną, nieodpartą potrzebę naprawiania świata i ratowania kobiet znajdujących się w tragicznym położeniu. A one w końcu potrzebowały kogoś innego. Prawie każda, z którą się spotykał, rzucała go dla innego mężczyzny. A po jej odejściu zjawiała się następna w stanie krańcowej rozpaczki i znowu przewracała mu życie do góry nogami. Przez lata przywykł do tej huśtawki, po prostu zawsze żył w ten sposób.

W przeciwieństwie do Adama i Charliego, którzy mieli tradycyjne, szanowane i konserwatywne rodziny – Adam na Long Island, Charlie na Piątej Alei w Nowym Jorku – Gray dorastał wszędzie. Rodzice, którzy adoptowali go po urodzeniu, byli członkami jednej z najpopularniejszych grup rockowych. Wychował się, jeśli można tak powiedzieć, wśród najbardziej popularnych rockmanów tamtych czasów. Dostawał dzointy i piwo, odkąd skończył osiem lat. Rodzice adoptowali również małą dziewczynkę. Nazwali chłopca imieniem Gray (Szary), a dziewczynkę Sparrow (Wróbel). Kiedy skończył dziesięć lat, przeżyli „powtórne narodziny” i wycofali się z zawodu. Pojechali najpierw do Indii, potem do Nepalu, mieszkali na Karaibach i spędzili cztery lata w Amazonii, na łodzi. Gray zapamiętał tylko nędzę tubylców, chociaż przypominał też sobie wczesne narkotykowe lata. Jego siostra została buddyjską mniszką i wróciła do Indii, żeby pomagać głodującym w Kalkucie. Gray w wieku osiemnastu lat opuścił rodzinną łódź, dosłownie i w przenośni, i pojechał do Nowego Jorku, żeby malować. Rodzina wciąż jeszcze miała pieniądze, on jednak wybrał samodzielność. Spędził młodość na studiach w Paryżu, w końcu na dobre wrócił do Nowego Jorku.

Rodzice przeprowadzili się już wtedy do Santa Fe i kiedy Gray miał dwadzieścia pięć lat, adoptowali małego Indianina Navajo i nazwali go Boy (Chłopiec). Był to dość skomplikowany proces adopcyjny, ale szczerp zgodził się oddać malca. Dzieciak wydawał się Grayowi miły, dzieliła ich jednak taka różnica wieku, że prawie nie widywał Boya w okresie jego dorastania. Adoptowani rodzice zmarli, kiedy Boy miał osiemnaście lat, wrócił więc do swojego szczerpu. Od tamtego czasu upłynęło siedem lat i chociaż Gray wiedział, gdzie jest Boy, nigdy się nie kontaktowali. Co kilka lat dostawał list od Sparrow z Indii. Nigdy specjalnie się nie lubili, chociaż przez całe dzieciństwo wspólnie musieli znosić kaprysy i dziwactwa swoich przybranych rodziców. Gray wiedział, że Sparrow przez kilka lat szukała

naturalnych rodziców, pewnie chciała dodać trochę normalności swojemu życiu. Znalazła ich gdzieś w Kentucky, ale okazało się, że nie ma z nimi nic wspólnego, i więcej ich nie zobaczyła. Gray nigdy nie pragnął spotkać własnych, co najwyżej odczuwał pewną ciekawość. Miał dosyć kłopotów z przybranymi rodzicami i nie potrzebował więcej zwariowanych osób w swoim życiu. Wystarczyło mu, że wychował się wśród świrów. Kobiety, z którymi się wiązał, należały do podobnego gatunku. Wprowadzały w jego życie taki sam zamęt, jaki go otaczał w dzieciństwie, znajome problemy, na które pomagały sprawdzone rozwiązania. Jedno wiedział na pewno: nigdy nie chciał mieć dzieci i narażać ich na podobne przeżycia. Posiadanie dzieci zostawiał innym, takim jak Adam, który potrafił wychować swoje jak należy. Gray wiedział, że on tego nie zdoła zrobić. Nie miał żadnych rodzicielskich wzorów do naśladowania, żadnego prawdziwego domu do odtworzenia, nie mógł ofiarować niczego, przynajmniej tak uważał. Chciał tylko malować i to robił dobrze.

Jego naturalni rodzice, kimkolwiek byli, wyposażyli go w niezwykle geny, Gray miał ogromny talent i jako malarz zawsze cieszył się szacunkiem, chociaż nie przekładało się to na sukcesy finansowe. Nawet krytycy przyznawali, że jest bardzo, bardzo dobry, choć nie potrafił wziąć się w karby tak, żeby zarobić na swoich obrazach. Wszystko, co przybrani rodzice zarobili w młodości, wydali na narkotyki i podróże dookoła świata. Gray przywykł do biedy i wcale mu nie przeszkadzała. To, co miał, rozdawał innym, bardziej potrzebującym. Czy opływał w luksusy na jachcie Charliego, czy też marzył w swojej pracowni w nowojorskich slumsach, nie miało dla niego znaczenia. Nie zależało mu na kobietach. Liczyła się tylko praca i przyjaciele.

Już dawno przekonał się, że chociaż kobiety bywają pociągające i przyjemnie mieć obok siebie kogoś ciepłego na chłodne noce, wszystkie są szalone – przynajmniej te, które miewał w swoim łóżku. Nikt nie wątpił, że jeśli któraś zadaje się z Grayem, na pewno jest stuknięta. Pogodził się z tym przekleństwem, swoim nieodpartym przyciąganiem osób szalonych, skutkiem zwariowanego dzieciństwa. Jeśli chciał to przełamać, zdjąć klątwę odziedziczoną po źle funkcjonującej przybranej rodzinie, nie mógł przekazać swojego obłąkanego stylu życia dziecku. Jak często mawiał, jego darem dla świata jest obietnica, że nigdy nie będzie miał dzieci. Nie złamał tej obietnicy i wiedział, że jej dotrzyma. Twierdził, że ma alergię na dzieci, a one reagowały na niego tak samo. W przeciwieństwie do Charliego Gray nie szukał kobiety doskonałej, chciał tylko znaleźć zdrową na umyśle. Tymczasem jednak jego partnerki dostarczały podniecających wrażeń jemu i jego przyjaciołom.

– Co dzisiaj robimy? – zagadnął Charlie, kiedy po śniadaniu wyciągnęli się na pokładzie.

Słońce stało wysoko, zbliżało się południe, pogoda była wspaniała. Zapowiadał się absolutnie bajeczny dzień. Adam powiedział, że chce kupić coś dla swoich dzieci w St. Tropez. Amanda uwielbiała jego prezenty, a Jacoba łatwo było zadowolić. Oboje przepadali za ojcem, chociaż kochali też matkę i ojczyma. Rachel miała z pediatrą jeszcze dwójkę dzieci, których istnienia Adam nie przyjmował do wiadomości, choć wiedział, że Amanda i Jacob kochają swoje przyrodnie rodzeństwo. Adam nie chciał ich znać. Nigdy nie wybaczył Rachel zdrady. Już przed laty doszedł do wniosku, że jeśli tylko da się im sposobność, wszystkie kobiety zachowują się jak dziwki. Jego matka nieustannie zadręczała ojca i nie miała dla

niego szacunku. Ojciec odpowiadał milczeniem na ciągły potok wyzwisk. Siostra wykazywała większą subtelność od matki i wszystko, czego chciała, zdobywała jękami. Przy tych nielicznych okazjach, kiedy nie zdołała postawić na swoim, umiała pokazać pazurki i robiła się brutalna. Jedyne sposoby postępowania z kobietami, zdaniem Adama, polegały na znalezieniu nierozgarniętej dziewczyny, trzymaniu jej na dystans i szybkim porzuceniu. Wszystko było w porządku, dopóki miał się na baczności. Tylko na łodzi z Charliem i Grayem albo przy dzieciach zdejmował swój ochronny pancerz.

– O pierwszej sklepy zamyka się na przerwę obiadową – przypomniał mu Charlie. – Możemy pójść po południu, kiedy znów je otworzą.

Adam pamiętał, że nie otwierają ich przed wpół do czwartej czy nawet czwartą. Dla nich też było jeszcze za wcześnie na lunch, dopiero co zjedli śniadanie, chociaż Adam zadowolony był tylko bułką i kawą. Miał nerwicę żołądka, przed laty dostał wrzodów i zwykle jadł niewiele. Chętnie płacił taką ceną za stresującą pracę. Po latach negocjowania kontraktów dla sportowców i gwiazd ubóstwiał ten rodzaj emocji i uwielbiał swój zawód. Wyciągał klientów za kaucją z więzienia, umieszczał ich w wymarzonych drużynach, organizował im trasy koncertowe, negocjował ich rozwody, płacił odszkodowania ich kochankom i sporządzał umowy alimentacyjne dla ich nieślubnych dzieci. Dzięki temu był ciągle zajęty, zestresowany i szczęśliwy. A teraz wreszcie miał wakacje. Robił sobie urlop dwa razy do roku, raz w sierpniu na łodzi Charliego, co traktował jako uświęcone zobowiązanie, i ponownie w zimie spędzał z Charliem tydzień na Karaibach. Gray nigdy się do nich nie przyłączał, miał złe wspomnienia z Karaibów, gdzie kiedyś mieszkał z rodzicami, i nic nie mogło go zmusić do powrotu. Co roku w końcu sierpnia Adam przez tydzień podróżował po Europie z dziećmi. Jak zawsze spotykał się z nimi po zakończeniu rejsu z Charliem. Jego samolot zabierał je z Nowego Jorku, zatrzymywał się po niego w Nicei i wszyscy troje lecieli na tydzień do Londynu.

– Co powiecie na to, żebyśmy odpłynęli i stanęli gdzieś dalej na kotwicy? Możemy zakotwiczyć przy plaży i popłynąć szalupą na lunch do Klubu 55 – zaproponował Charlie.

Obaj przyjaciele jednocześnie kiwnęli głowami. Zwykle tak robili w St. Tropez.

Charlie miał na pokładzie sprzęt dla gości – narty wodne, narty odrzutowe, małą żaglówkę, deski surfingowe i wyposażenie do nurkowania. Ale najczęściej spędzali dni na błogim nieróbstwie. Czas wypełniały im lunche, obiady, kobiety, picie, trochę pływania. I dużo snu. Zwłaszcza Adam przyjeżdżał wyczerpany i twierdził, że może się porządnie wyspać tylko u Charliego w sierpniu. Przez jeden miesiąc w roku nie miał żadnych zmartwień. Nadal dostawał codziennie faksy z biura i emaile, które regularnie sprawdzał. Ale jego sekretarki, asystenci i partnerzy wiedzieli, że w sierpniu wolno mu zawracać głowę tylko tym, co absolutnie konieczne. I biada im, jeśli wykroczyli poza tę konieczność. Tylko przez ten jeden miesiąc Adam wypuszczał ster z rąk i próbował naprawdę nie myśleć o swoich klientach. Każdy, kto go znał, wiedział, że potrzebuje wypoczynku po ciężkiej harówce. Dzięki temu we wrześniu znacznie lepiej się z nim pracowało. Po wakacjach z Charliem i Grayem nabierał rozpędu na wiele tygodni, a nawet miesięcy.

Spotkali się po raz pierwszy z powodu swoich filantropijnych skłonności. Fundacja

Charliego organizowała koncert dobroczynny na rzecz schroniska dla maltretowanych kobiet i dzieci na Upper West Side. Główny organizator próbował nakłonić słynnego gwiazdora rocka, żeby wystąpił za darmo, i zwrócił się do Adama, reprezentującego interesy muzyka. Adam i Charlie spotkali się na lunchu, żeby omówić tę kwestię, i odkryli, że szczerze się nawzajem podziwiają. Zanim koncert doszedł do skutku, zostali serdecznymi przyjaciółmi.

Adam rzeczywiście namówił gwiazdora do darmowego występu, wartego milion dolarów – rzecz niesłychana, on jednak dokonał tego. Na tej samej imprezie wystawiono na aukcję jeden z obrazów Graya, który malarz osobiście ofiarował, chociaż cena, jaką mógłby uzyskać, stanowiła jego sześciomiesięczne dochody. Po koncercie Gray zgłosił się na ochotnika, żeby namalować fresk w schronisku ufundowanym przez fundację Charliego. Charlie zaprosił go wraz z Adamem do swojego apartamentu na obiad, żeby im podziękować. Wszyscy trzej bardzo się różnili, a jednak znaleźli wspólny język. Połączyły ich działalność dobroczynna i fakt, że żaden nie był wówczas żonaty ani z nikim związany poważnie. Adam właśnie przebrnął przez rozwód. Charlie chwilowo nie był zaręczony i zaprosił obu nowych znajomych na jacht, który wtedy miał, żeby dotrzymali mu towarzystwa w sierpniu, na kiedy zaplanował swój niedoszły miesiąc miodowy. Pomyślał, że wyprawa z dwoma mężczyznami będzie przyjemnym urozmaiceniem. Okazała się lepsza od oczekiwań. Bawili się fantastycznie. Dziewczyna, z którą spotykał się Gray, próbowała w czerwcu popełnić samobójstwo, a w lipcu odeszła z jednym z jego uczniów. Na początku sierpnia wyjechał z miasta z wielką ulgą, wdzięczny Charliemu za zaproszenie. Po tym rozstaniu był jeszcze bardziej rozbity niż zwykle. Adam miał za sobą trudną wiosnę: dwóch znanych sportowców odniosło kontuzje, światowej sławy zespół odwołał trasę koncertową, co zaowocowało tuzinem pozwów. Podróż do Europy na jachcie Charliego przebiegała idealnie i od tej pory stała się coroczną imprezą. Ten rok nie zapowiadał się gorzej. St. Tropez, Monte Carlo, żeby trochę pograć, Portofino, Sardinia, Capri i każde miejsce, gdzie zechcą się zatrzymać po drodze. Przebywali na łodzi dopiero od dwóch dni, ale już czuli się doskonale. Charlie przepadał za ich towarzystwem, oni też lubili z nim być. A „Blue Moon” stanowił idealne miejsce do wspólnej zabawy.

– No to co, chłopaki? Lunch w Klubie 55, a przedtem trochę pływania? – Charlie chciał zawiadomić kapitana o ich planach.

– Dobra, niech będzie – mruknął Adam i wznosił oczy do góry na dzwonek swojego francuskiego telefonu komórkowego. Nie odebrał, później odsłucha wiadomości. W Europie nosił tylko jedną komórkę, co stanowiło ogromną zmianę na lepsze w porównaniu z baterią telefonów i tonami papierów, które dźwigał w Nowym Jorku. – Trzeba wypełniać swoje ciężkie obowiązki – roześmiał się.

– Ktoś ma ochotę na krwawą mary? – zapytał niewinnie Charlie.

Dał sygnał stewardowi, że odpływają. Główny steward, przystojny młody Nowozelandczyk, kiwnął głową i zniknął, żeby przekazać wiadomość kapitanowi i zrobić rezerwację na lunch. Nie musiał o nic pytać. Wiedział, że Charlie zejdzie na brzeg o wpół do trzeciej. Zazwyczaj wołał jeść na pokładzie, ale sceneria St. Tropez była zbyt kusząca. A każdy, kto był kimś, w St. Tropez jadł lunch w Klubie 55.

– Dla mnie czysta krwawa mary – zwrócił się Gray z uśmiechem do stewarda. – Chyba odłożę odwyk na parę dni.

– Dla mnie ostra i pieprzna, i zaraz... niech będzie z tequilą – zdecydował Adam.

Charlie parsknął śmiechem.

– Wezmę bellini – zamówił.

Koktajl bellini – sok brzoskwiniowy z szampanem – doskonale nadawał się na początek dekadencejnego dnia. Charlie miał słabość do dobrego szampana i kubańskich cygar, toteż jednego i drugiego miał na jachcie mnóstwo.

Siedzieli odprężeni i popijali, a jacht ostrożnie wypływał z portu na silniku, wymijając mniejsze łodzie i stateczki wycieczkowe wypełnione gapiami, którzy robili im zdjęcia. Jak zwykle gromadka paparazzich skupiła się na końcu *quai*, wypatrując wielkich jachtów wchodzących do portu, żeby zobaczyć, kto jest na pokładzie. Ścigali na motocyklach gwiazdy i nękali je na każdym kroku. Zrobili ostatnie zdjęcia wypływającego „Blue Moon”, zakładając słusznie, że superjacht wróci wieczorem. Najczęściej fotografowali Charliego, jak spaceruje po mieście, on jednak prawie nigdy nie dawał pożywki brukowcom. Mimo ogromnego majątku i wielkiego jachtu Charlie prowadził stosunkowo spokojne życie i za wszelką cenę unikał skandali. Był po prostu bardzo bogatym człowiekiem podróżującym w towarzystwie dwóch przyjaciół, o których żaden czytelnik brukowców nigdy nie słyszał. Nawet Adam, który znał i reprezentował największe gwiazdy, starał się trzymać w cieniu. Gray Hawk był po prostu niezamownym malarzem. Trzej samotni panowie spędzający razem wesołe sierpniowe wakacje.

Przed lunchem pływali przez pół godziny. Potem Adam wziął parę nart odrzutowych, żeby odbyć turę wokół innych łodzi i wyładować trochę energii, Gray zdrzemnął się na pokładzie, a Charlie wypalił jedno z kubańskich cygar. To było wprost idealne życie. O wpół do trzeciej wzięli szalupę i popłynęli do Klubu 55. Spotkali Alaina Delona, który często tam bywał, Gerarda Depardieu i Catherine Deneuve, o której trzej przyjaciele rozmawiali przez dłuższy czas. Zgodzili się, że wciąż jest piękna. Była bardzo w typie Charliego, chociaż znacznie starsza niż dziewczyny, z którymi się spotykał – zazwyczaj koło trzydziestki albo młodsze. Nie lubił kobiet w swoim wieku, zostawiał je mężczyznom po sześćdziesiątce albo starszym. Adam zaś lubił dużo, dużo młodsze.

Gray oświadczył, że byłby szczęśliwy z Catherine Deneuve w każdym wieku. Miał słabość do swoich rówieśniczek albo nawet trochę starszych, ale panna Deneuve w jego przypadku w ogóle nie wchodziła w rachubę, ponieważ wyglądała normalnie, była spokojna i odprężona, kiedy śmiała się i rozmawiała z przyjaciółmi. Ta, której szukał Gray i na którą zwróciłby uwagę, albo płakałaby cicho w kącie, albo krzyczała coś wśród szlochów przez komórkę, z nieobecny wyrazem twarzy. Dziewczyna, o jakiej marzył Adam, miałaby najwyżej dziesięć lat więcej od jego nastoletniej córki. Musiałby jej zafundować implanty piersi i operację nosa. Dziewczyna z marzeń Charliego miałaby aureolę i szklane pantofelki. W jego bajce nie uciekłyby o północy, tylko została na balu, tańczyła do upadłego w jego ramionach i obiecała, że nigdy go nie opuści. Miał tylko nadzieję, że pewnego dnia ją odnajdzie.

Rozdział 2

Po południu kapitan zacumował „Blue Moon” na końcu *quai* w St. Tropez – spory wyczyn, ponieważ w szczycie sezonu niełatwo znaleźć tu miejsce na dokowanie. Ze względu na rozmiar jachtu musieli stanąć w pierwszym szeregu, tak że gdy tylko zacumowali, Charlie zaczął żałować, że nie przy płynęli do portu jak zwykle szalupą. Paparazzi zjawili się w pełnym składzie i natychmiast przyciągnął ich sam rozmiar jachtu. Trzaskali mnóstwo zdjęć, kiedy trzech mężczyzn wsiadali do czekającego samochodu. Charlie zignorował ich, podobnie jak Adam. Gray pomachał do nich.

– Biedaczyska, co za parszywy sposób zarabiania na życie – powiedział współczująco.

– Pasożyty – warknął Adam. – Żywią się brudami.

Nienawidził prasy. Prasa wiecznie stwarzała problemy jego klientom. Nie dalej jak dziś po południu miał telefon z biura. Jednego z żonatych klientów przyłapano, jak wychodził z hotelu z kobietą. Wybuchł skandal. Wściekła żona dzwoniła do kancelarii z dziesięć razy i groziła rozwodem. Zrobił to nie pierwszy raz, żądała więc albo ogromnej odprawy przy rozwodzie, albo pięciu milionów dolarów, jeśli ma z nim zostać. Pięknie. Adama nic już nie dziwiło. Teraz chciał tylko znaleźć jeszcze raz te Brazylijki i tańczyć sambę aż do świtu. Resztę tego gówna załatwi po powrocie do Nowego Jorku. Teraz nie zamierzał się zajmować skandalami ani niewiernością swoich klientów. Robili to samo w przeszłości i będą robić w przyszłości. Ten czas należał do niego, nie do nich. Czas wolny. Adam wyłączył taksometr.

Po południu poszli na zakupy, potem zdrzemnęli się i w końcu ruszyli na obiad do Spoona w hotelu Byblos. Pojawiła się tam ekstrawagancka rosyjska supermodelka w białych jedwabnych spodniach i małym białym skórzanym bolerku, szeroko rozchylonym. Nie nosiła nic pod spodem. Wszyscy goście mieli pełny widok na jej piersi i chyba im się podobało. Charlie wydawał się ubawiony, Adam parsknął śmiechem.

– Ma niesamowite piersi – zauważył Gray, kiedy zamawiali obiad i butelkę doskonałego wina.

– Nie są prawdziwe – odparł rzeczowo Adam, na którym modelka nie zrobiła wrażenia.

To wymagało sporo tupetu, usiąść do obiadu w eleganckiej restauracji z cyckami na wierzchu, ale widywali już takie sceny. W zeszłym roku pewna Niemka weszła na salę w przezroczystej siatkowej bluzce, prawie niewidocznej, ale nikt nawet nie mrugnął. Dziewczyna siedziała przy obiedzie cały wieczór, naga od pasa w górę, rozmawiała, śmiała się, paliła i wyraźnie cieszyła się z sensacji, jaką wywołała.

– Skąd wiesz, że nie są prawdziwe? – zapytał Gray z zainteresowaniem.

Piersi były duże i twarde, ze sterczącymi sutkami. Marzył, żeby je narysować, był już trochę pijany, bo przed wyjściem popijali margaritę na jachcie. Zaczynał się kolejny wieczór rozpusty.

– Uwierz mi – powiedział Adam z przekonaniem. – Zapłaciłem już chyba za sto par. Właściwie sto i pół, bo kilka lat temu dziewczyna, z którą się spotykałem, chciała sobie poprawić tylko jedną. Mówiła, że druga jest w porządku, trzeba tylko dopasować tę mniejszą.

– Interesujące – stwierdził ubawiony Charlie. Skosztował wina i kiwnął głową do sommeliera. Wino było dobre, więcej niż dobre. Wspaniałe, bardzo stary rocznik Lynch-Bages. – Zamiast zabierać je na kolację i do kina, wysyłasz je najpierw po nowe piersi?

– Nie, za każdym razem, kiedy spotykam się z jakąś początkującą aktorką, przed rozstaniem naciąga mnie na nową parę. Łatwiej mi ustąpić, niż się wyklócać. Potem odchodzą cichutko, kiedy już dostaną, czego chciały.

– Dawniej mężczyźni kupowali kobietom perły albo diamentowe bransoletki jako nagrody pocieszenia. Rozumiem, że teraz fundują im implanty – zauważył sucho Charlie.

Kobiety, z którymi on się spotykał, nigdy nie poprosiłyby go o nowe piersi czy o cokolwiek, za co płacił Adam. Jeśli nawet ukochane Charliego poddawały się jakimś zabiegom kosmetycznym, opłacały je ze swoich funduszków powierniczych i nigdy o tym nie wspominały. Nie przypominał sobie, żeby któraś z jego przyjaciółek przeszła operację plastyczną, w każdym razie on o tym nie wiedział. Dziewczyny Adama, jak nazywali je z Grayem, najczęściej przechodziły całkowitą przeróbkę. Dziewczyny Graya potrzebowały raczej lobotomii albo silnych środków uspokajających. Gray opłacał terapeutów, programy rehabilitacyjne, psychiatrów i adwokatów, uzyskujących sądowe zakazy zbliżania się dla byłych mężów i kochanków, którzy albo je prześladowali, albo grozili, że zabijają lub jego. To ich nieco uspokajało. Może płacenie za implanty w sumie było prostsze. Po operacji przyjaciółki Adama dziękowały mu i znikwały. Nieszczęsnice Graya zwlekały jakiś czas albo dzwoniły do niego, kiedy nowi mężczyźni zaczynali je maltretować. Rzadko zostawały z Grayem dłużej niż na rok. Zbyt dobrze je traktował. Narzeczone Charliego pozostawały z nim w przyjaźni i zapraszały go na swoje śluby, kiedy już rozstał się z nimi, odkrywszy ich fatalne wady.

– Może też powinienem spróbować. – Charlie zachichotał nad kieliszkiem wina.

– Czego spróbować? – zapytał Gray trochę nieprzytomnie, oszołomiony Rosjanką i jej piersiami.

– Opłacić implanty. To taki miły upominek pod choinkę albo prezent ślubny.

– Opanuj się. – Adam pokręcił głową. – Wystarczy, że ja to robię. Damy, z którymi ty się spotykasz, mają za dużo klasy, żeby cię prosić o nowe cycki.

Kobiety Adama potrzebowały ich, żeby zrobić karierę jako aktorki czy modelki. Adama nie interesowała klasa. Dla niego stanowiłaby przeszkodę. Dziewczyny w guście Charliego przyprawiłyby Adama o ból głowy, nie chciał się wiązać. Charlie twierdził, że chce. Gray po prostu dawał się ponieść prądowi. Nie miał żadnych ustalonych planów, przyjmował życie takie, jakim jest. Adam miał wszystko zaplanowane w najdrobniejszych szczegółach.

– W każdym razie niebanalny. Znudziło mi się kupować im porcelanę. – Charlie uśmiechnął się przez dym cygara.

– Ciesz się, że nie płacisz im ani dzieciom alimentów. Porcelana wychodzi taniej – rzucił zgryźliwie Adam.

Przestał płacić Rachel alimenty, kiedy ponownie wyszła za mąż, ale zabrała połowę jego majątku i nadal łożył ciężkie pieniądze na dzieci, czego zresztą nie żałował. Wściekał się tylko, że dostała za dużo przy rozwodzie. Cofnęła go o dziesięć lat, a był już współnikiem w

swojej firmie. Uważał, że otrzymała znacznie więcej, niż na to zasługiwała. Rodzice wynajęli jej świetnego prawnika. Dziesięć lat później Adam wciąż żywił do niej zapiekłą urazę. Nigdy nie przebolewał krzywdy, jaką mu wyrządziła. Według niego kupowanie implantów było w porządku, alimenty nie. I nie zdarzy mu się to nigdy więcej.

– Moim zdaniem to niedobrze, że w ogóle musisz im coś kupować, skoro już o tym mowa – wtrącił Gray. – Wolałbym kupić coś dziewczynie z własnej woli, nie musieć płacić za jej prawnika, terapeutę czy operację nosa – dokończył niewinnie.

Zważywszy na jego ubóstwo, za każdym razem, kiedy się z kimś wiązał, tracił fortunę w stosunku do swoich zarobków. Ale zawsze chciał pomagać kobietom. Gray przypominał instytucję charytatywną dla samotnych. Adam był zręcznym handlowcem, wyznaczał wyraźne granice i zawierał transakcje. Charlie postępował jak szarmancki i romantyczny książę z bajki. Chociaż Gray twierdził, że on również jest romantyczny, to tylko kobiety, z którymi przestawał, były zbyt zdesperowane, żeby przejmować się romantyzmem. On sam pragnął odrobiny romantyzmu, gdyby na przykład kiedyś związał się z kimś normalnym, co wydawało się jednak mało prawdopodobne. Adam chełpił się, że już dawno stracił wszelkie romantyczne ciągoty. Mówił, że woli dobry seks niż kiepski romans.

– A dlaczego niejedno i drugie? – zapytał Gray, napoczynając trzeci kieliszek wspaniałego wina. – Dlaczego nie seks i romans, i może nawet ktoś, kto cię kocha? I kogo ty też kochasz.

– Nie odpowiada mi to – powiedział Charlie.

W jego wypadku ta kombinacja wymagała jeszcze dodatku błękitnej krwi. Charlie chętnie przyznawał, że w kwestii kobiet jest snobem. Adam przekomarzał się z nim i mówił, że Charlie nie chce skalać swojego rodowodu związkiem z jakąś wieśniaczką. Charlie protestował przeciwko takiej formie krytyki, obaj jednak wiedzieli, że to prawda.

– Myślę, że obaj żyjecie w świecie marzeń – powiedział cynicznie Adam. – Romanse wszystko psują, ludzie są rozczarowani i wkurzeni. Jeśli z góry wiadomo, że chodzi tylko o seks i zabawę, nikomu nie dzieje się krzywda.

– No to dlaczego twoje przyjaciółki są takie wkurzone przy rozstaniu? – zapytał Gray i trafił w sedno.

– Bo kobiety nigdy nie wierzą w to, co się im mówi. Jeśli im powiesz, że nigdy się nie ożenisz, traktują to jak wyzwanie i biegną do sklepu po suknię ślubną. Ale przynajmniej jestem uczciwy. Jeśli mi nie wierzą, to ich sprawa. Ja mówię prawdę. Skoro nie chcą mnie słuchać, tym gorzej dla nich. Ale Bóg mi świadkiem, że uprzedzam je od razu.

To była kolejna zaleta związków z bardzo młodymi kobietami. Dwudziestolatkom zazwyczaj nie zależy na małżeństwie, tylko na dobrej zabawie. Dopiero kiedy dziewczyny zbliżają się do trzydziestki, zaczynają się rozglądać za mężem i wpadają w panikę. Te młodsze chcą bywać w klubach i barach, kupować sukienki na jego rachunek, chodzić na koncerty i do drogich restauracji. Kiedy zabierał je na weekend do Las Vegas, bo musiał tam odwiedzić jakiegoś klienta, sądziły, że umarły i są w niebie.

Jego rodzina miała jednak inne zdanie. Matka zarzucała mu kontakty z prostytutkami, zwłaszcza kiedy zobaczyła jego nazwisko w brukowcach. Wyjaśniał, że to aktorki i modelki,

ale ona uważała, że to wszystko jedno. Siostra robiła zakłopotaną minę, kiedy poruszano ten temat przy rodzinnym stole. Brat śmiał się, ale od kilku lat powtarzał Adamowi, że czas się ustatkować. Adam miał w nosie ich opinie, uważał, że prowadzą rozpaczliwie nudne życie. On się nie nudził. I wciąż przekonywał sam siebie, że krewni po prostu mu zazdroszczą, bo on się dobrze bawi, a oni nie. Rodzice oczywiście nie zazdrościli Adamowi, tylko potępiali go z zasady. Jak można się było spodziewać, matka – żeby okazać mu swoją dezaprobatę, a może zrobić na złość, jak czasem podejrzewał – utrzymywała bliskie stosunki z Rachel. Lubiła synową i jej nowego męża, choć Adamowi mówiła, że spotyka się z nią jako z matką swoich wnuków. W każdej kwestii, w każdej sprzeczce matka zawsze występowała przeciwko Adamowi. Nie mogła się powstrzymać, miała okropnie przekorną i kłótniową naturę. Adam przypuszczał, że w głębi duszy kocha go, ale czuje się w obowiązku krytykować go i utrudniać mu życie. Wszystko miała mu za złe.

Matka obwiniła Adama o rozwód i twierdziła, że musiał zrobić żonie coś okropnego, skoro odeszła z innym. Ani przez chwilę nie współczuła synowi, że żona zdradziła go i porzuciła. Nie, to na pewno jego wina. Podejrzewał, że pod nadmiernym krytycyzmem kryje się duma z jego osiągnięć, a jednak matka nigdy tego nie przyznała.

Niedługo po jedenastej wstali od kolacji i poszli się przejść po St. Tropez. Na ulicach kłębiły się tłumy. Ludzie siedzieli w kawiarnianych ogródkach, w barach i restauracjach na świeżym powietrzu. Z kilku nocnych klubów buchała hałaśliwa muzyka. Wpadli na drinka do Chez Nano i o pierwszej nad ranem dotarli do Les Caves du Roy, które budziły się do życia. Wszędzie kręciły się kobiety w skąpych topach, obcisłych džinsach, prostych, kusych, prześwitujących sukienkach i spódniczkach, z kunsztownie rozburzonymi włosami, w seksownych sandałkach na wysokich obcasach. Adam czuł się jak dziecko w sklepie ze słodyczami. Nawet Charlie i Gray dobrze się bawili. Gray był zbyt nieśmiały, żeby podrywać kobiety, zwykle to one go wybierały, a Charlie zbyt wybredny, obaj jednak uwielbiali oglądać ten spektakl.

O wpół do drugiej wszyscy trzej tańczyli, wciąż stosunkowo trzeźwi. Brazylijki nie pojawiły się, ale Adam wcale się tym nie przejął. Tańczył już z tuzinem innych dziewcząt, zanim pojawiła się młodzieńka Niemka. Mówiła, że jej rodzice mają dom w Ramatuelle, miasteczku sąsiadującym z St. Tropez. Wyglądała na jakieś czternaście lat, dopóki nie zaczęła tańczyć z Adamem, bo wtedy szybko się okazało, że wie, co robi i czego chce, i że jest znacznie starsza. A chciała Adama. Praktycznie uprawiała z nim miłość na parkiecie. Około trzeciej Charlie zaczął ziewać i po paru minutach wrócił z Grayem na jacht. Adam powiedział, że przyjdzie później, skoro tej nocy cumują przy nabrzeżu. Charlie dał mu radio na wypadek, gdyby potrzebował pomocy. Adam kiwnął głową i dalej tańczył z rudowłosą Niemką imieniem Ushi. Mrugnął do Charliego, kiedy wychodzili, a Charlie odpowiedział mu uśmiechem. Adam świetnie się bawił. Na całego.

– Co robimy jutro? – zapytał Gray, kiedy wracali na przystań.

Muzyka ścigała ich przez długi czas, ale na jachcie, kiedy już weszli do kabiny i zamknęli za sobą drzwi, było spokojnie. Charlie zaproponował przyjacielowi brandy na dobranoc, ale Gray miał już dosyć. Stali na pokładzie, paląc cygara, i patrzyli, jak ludzie spacerują po

nabrzeżu albo siedzą i rozmawiają na jachtach zacumowanych w pobliżu. St. Tropez było miastem wiecznej zabawy, gdzie ludzie chyba nigdy nie kładli się spać.

– Myślałem o tym, żeby popłynąć do Portofino albo wpaść do Monte Carlo – powiedział Charlie.

Po kilku dniach hulanka w St. Tropez przejadała się każdemu, chyba że miał tu znajomych, a oni nie mieli. Przyjemnie było chodzić do restauracji i nocnych klubów, ale w ciągu miesiąca chcieli odwiedzić wiele innych miejsc, równie rozrywkowych jak St. Tropez albo trochę spokojniejszych. Monte Carlo było bardziej eleganckie i stateczne, poza tym wszyscy trzej lubili kasyno.

– Adam pewnie będzie chciał zostać na dzień czy dwa, żeby spotykać się z tą Niemką – zauważył Gray.

Nie chciał mu psuć zabawy ani przerywać romansu. Charlie znał go lepiej i był bardziej cyniczny. Doświadczenia z poprzednich podróży mówiły, że jedna noc z dziewczyną całkowicie Adamowi wystarczy.

Dochodziła czwarta nad ranem, kiedy rozeszli się do kabin. To była długa, wesola noc. Charlie zasnął natychmiast i żaden z nich nie słyszał, jak Adam wrócił około piątej.

Charlie i Gray jedli właśnie śniadanie na rufie, kiedy pojawił się Adam z uśmiechniętą Ushi. Wydawała się tylko lekko speszona, kiedy zobaczyła, że nie jest z nim sama.

– Dzień topry – powiedziała uprzejmie.

Charlie pomyślał, że w jasnym świetle dnia wygląda na jakieś szesnaście lat. Nie miała makijażu, ale prezentowała się wspaniale w dżinsach i obcisłym podkoszulku, które nosiła poprzedniej nocy. W ręku trzymała złote sandały na wysokich obcasach. Gęste rude włosy spływały na plecy. Adam obejmował dziewczynę ramieniem.

Czujna stewardesa stojąca w pogotowiu odebrała od nich zamówienia na śniadanie. Ushi upierała się, że chce tylko trochę muesli i kawę. Adam zamówił jajka na boczku i naleśniki. Tryskał dobrym humorem, a jego towarzysze starali się powstrzymać uśmiech.

Cała czwórka gawędziła przyjaźnie przy stole. Gdy Ushi skończyła jeść, steward zamówił dla niej taksówkę. Przed odjazdem Adam oprowadził dziewczynę po jachcie. Miała zachwyt w oczach, kiedy sprowadzał ją na brzeg do czekającej taksówki.

– Zadzwoń do ciebie – obiecał zdawkowo i pocałował Ushi na pożegnanie.

Przeżył niezapomnianą noc, chociaż jego dwaj przyjaciele wiedzieli, że wkrótce o tym zapomni i za rok będą musieli mu przypominać o rudej Niemce.

– Kiedy? Będziesz dzisiaj na dyskotecę? – zapytała Ushi.

– Chyba dzisiaj odpływamy – odpowiedział na drugie pytanie, celowo pomijając pierwsze.

Podala mu numer telefonu w Ramatuelle i zapewniła, że będzie tam przez cały sierpień. Potem wraca z rodzicami do Monachium. Zapisala mu też swój adres w Niemczech, ponieważ powiedział jej, że czasami jeździ tam w interesach. Opowiedziała, że ma dwadzieścia dwa lata i studiuje medycynę we Frankfurcie.

– Jeśli zostaniemy, przyjdę na dyskotekę – obiecał. – Ale raczej nie.

Staral się zachować minimum uczciwości wobec kobiet, z którymi sypial, i nie rozbudzać

niepotrzebnie ich nadziei, ale zdawał sobie sprawę, że dziewczyna raczej nie ma złudzeń. Poderwała obcego mężczyznę na dyskotecę i spędziła z nim noc, wiedząc doskonale, że najprawdopodobniej więcej go nie zobaczy. Szukała tego samego co on i tej nocy dostała to, czego chciała. Podobnie jak Adam. Było im dobrze ze sobą, ale w świetle dnia nie dało się ukryć, że są sobie całkiem obcy i że pewnie już nigdy się nie spotkają. Oboje znali zasady gry.

Adam pocałował ją i wsadził do taksówki. Przywarła do niego na chwilę.

– Żegnaj... dziękuję – szepnęła, a on pocałował ją jeszcze raz.

– To ja dziękuję, Ushi – odparł i poklepał ją po pupie.

Dziewczyna wsiadła do taksówki, pomachała i odjechała. Kolejna nocna rozrywka, dobry sposób na spędzenie czasu, zdecydowanie uprzyjemniający wakacje. Jej ciało wyglądało jeszcze lepiej bez ubrania, tak jak podejrzewał Adam.

– No, no, co za przyjemna mała niespodzianka – powiedział Charlie z kpiącym uśmiechem, kiedy Adam wrócił do stołu. – Lubię zabawiać gości przy śniadaniu, zwłaszcza tak ładnych. Myślisz, że powinniśmy opuścić miasto, zanim jej rodzice zaczną cię ścigać z dubeltówką?

– Mam nadzieję, że nie – odparł uśmiechnięty i zadowolony z siebie Adam. Lubił od czasu do czasu zamieniać jacht Charliego w statek miłości. – Ona ma dwadzieścia dwa lata i studiuje medycynę. I nie była dziewicą. – Chociaż nawet on musiał przyznać, że wyglądała znacznie młodziej.

– Cóż za rozczarowanie – zażartował Charlie, zapalając cygaro.

W lecie, na łodzi, czasami palił cygara nawet po śniadaniu. W tym kawalerskim życiu najbardziej podobało im się to, że chociaż czasami czuli się samotni, mogli robić wszystko, co chcieli. Wolny stan miał swoje zalety. Jedli o dowolnej porze, ubierali się według własnego gustu, pili tyle, ile chcieli, mogli się upijać, zadawać, z kim chcieli. Nikt nie robił im wymówek, nie gderał, nie narzekał, nie stawiał wymagań, nie ciosał kołków na głowie. Przed nikim nie musieli się tłumaczyć, nikogo przeproszać, do nikogo się dostosowywać. Mieli tylko siebie i na razie niczego więcej nie potrzebowali. Dla wszystkich trzech był to ideał życia.

– Może na następnym postoju znajdziemy dla ciebie dziewicę. Chociaż tutaj chyba rzadko się trafiają.

– Bardzo śmieszne. – Adam wciąż się uśmiechał, zadowolony z wczorajszego podboju. – Po prostu jesteś zazdrosny. A nawiasem mówiąc, gdzie robimy następny postój?

Adam uwielbiał, kiedy zmieniając miejsce pobytu, jakby zabierali ze sobą dom czy hotel. Mieszkali w luksusowych warunkach, sami wyznaczali plan podróży i mogli go zmienić w każdej chwili, obsługiwani na każdym kroku przez profesjonalną załogę. Czuli się jak w raj. Właśnie dlatego Charlie kochał swój jacht i spędzał na nim całe lato oraz kilka tygodni w zimie.

– Dokąd chcecie popłynąć? – zapytał Charlie. – Myślałem o Monako albo Portofino.

Po dłuższej dyskusji zgodzili się na Monako i odłożyli Portofino do następnego dnia. Monte Carlo znajdowało się dwie godziny od St. Tropez, podróż do Portofino trwała osiem.

Tak jak przypuszczał Charlie, Gray powiedział, że mu wszystko jedno, a Adam chciał pójść do kasyna.

Wyłynęli zaraz po lunchu, doskonałym bufecie z owoców morza. Dochodziła trzecia, kiedy wyruszyli. Po drodze zatrzymali się jeszcze, żeby popływać. Potem usnęli na pokładzie, a jacht płynął do Monte Carlo. Spali głęboko na leżakach, gdy „Blue Moon” dotarł na miejsce. Kapitan i załoga wprawnie przybili do nabrzeża, używając odbijaczy, żeby nie ocierać się o inne łodzie. Jak zwykle marinę w Monte Carlo wypełniały jachty równie duże jak „Blue Moon” albo nawet większe.

Charlie obudził się o szóstej, zobaczył, że są w porcie i że przyjaciele jeszcze śpią. Poszedł do swojej kabiny, żeby wziąć prysznic i się przebrać. Gray i Adam obudzili się o siódmej. Adam czuł się wyczerpany po wyczynach poprzedniej nocy, Gray też nie był przyzwyczajony do zarywania snu. Przystawienie się na nocny tryb życia podczas wspólnych podróży zawsze zabierało mu kilka dni. Ale czuli się już wypoczęci, idąc na obiad.

Steward zamówił dla nich samochód i zarezerwował stolik w Louis XV, gdzie zjedli wystawny obiad w scenerii znacznie bardziej poprawnej niż poprzedniego wieczoru w St. Tropez. Tym razem ubrali się w marynarki i krawaty. Charlie włożył kremowy lniany garnitur z odpowiednią koszulą, Adam – białe dżinsy, blezer i mokasyny z aligatora na boso stopy. Gray miał niebieską koszulę, sportowe spodnie khaki i wiekowy blezer. Ze swoimi siwymi włosami wyglądał na najstarszego, ale miał w sobie coś dzikiego i zuchwałego. Nosił wprawdzie czerwony krawat, ale i tak w każdym ubraniu wyglądał jak artysta. Gestykulował z ożywieniem, opowiadając przy obiedzie historyjki ze swojej młodości. Opisywał tubylcze plemiona, wśród których mieszkał w Amazonii. Teraz był to ciekawy temat do rozmowy, ale dzieciństwo jawiło mu się nadal jak koszmar. Inne dzieci w jego wieku chodziły do szkoły, jeździły na rowerach, roznosiły gazety i bawiły się na szkolnych potańcówkach. Gray wędrował wśród ubogich w Indiach, mieszkał w buddyjskim klasztorze w Nepalu, obozował z tubylcami w Brazylii i czytał nauki Dalajlamy. Nigdy nie miał okazji do tego, by cieszyć się dzieciństwem.

– Cóż mogę wam powiedzieć? Moi rodzice byli stuknięci. Ale przynajmniej nie nudni.

Adam pomyślał, że jego młodość była rozpaczliwie zwyczajna i nic, czego doświadczył na Long Island, nie mogło się równać z opowieściami Graya. Charlie rzadko wspominał o swoim dzieciństwie. Upływało zwyczajnie, szacownie i tradycyjnie aż do śmierci rodziców, a wtedy przyszedł czas cierpienia, jeszcze większego, kiedy pięć lat później zmarła jego siostra. Chętnie rozmawiał o tym ze swoim terapeutą, ale rzadko w towarzystwie. Wiedział, że zanim doszło do tragedii, na pewno przeżył wiele wesołych chwil, ale nie pamiętał ich, tylko te smutne. Łatwiej było mu myśleć o teraźniejszości, chyba że terapeuta kazał mu pamiętać. Ale nawet wtedy musiał ze sobą walczyć, żeby nie powaliła go ta pamięć. Całe bogactwo, które odziedziczył, nie wynagrodziło mu straty najbliższych i rodzinnego życia. I chociaż bardzo się starał, nie potrafił go odbudować. Rodzinna stałość i bezpieczeństwo, trwała więc z drugą osobą jakoś wciąż mu umykały. Teraz podobnie jak w ciągu dwudziestu pięciu lat po śmierci siostry nie miał nikogo bliższego niż dwaj mężczyźni, z którymi podróżował. Nigdy nie był bardziej samotny niż wtedy, kiedy żył z bolesną świadomością, że nie ma nikogo i że nikt go

nie kocha. Teraz przynajmniej byli Adam i Gray. Wiedział, że cokolwiek się stanie, jeden z nich lub obaj przyjdą mu z pomocą, 3 – Toksyczni panowie tak jak on pomogłby im. Ta świadomość dodawała otuchy wszystkim trzem. Łączyły ich bezcenne więzi przyjaźni, miłości i niepodważalnego zaufania.

Długo siedzieli przy kawie, paląc cygara i rozmawiając o swoim życiu, Adam i Gray mówili też o dzieciństwie. Charlie z zainteresowaniem spostrzegł, jak odmiennie pojmowali rzeczywistość. Gray dawno pogodził się z faktem, że przybrani rodzice byli ekscentryczni i samolubni, dlatego nie nadawali się na rodziców. W młodości nigdy nie miał poczucia bezpieczeństwa ani prawdziwego domu. Rodzice wędrowali z jednego kontynentu na drugi, wiecznie szukając i nigdy niczego nie znajdując. Przyrównywał ich do Izraelitów błędzących po pustyni przez czterdzieści lat, ale takich, których nie prowadził żaden ognisty krzak. Kiedy osiedli w Nowym Jorku i adoptowali Boya, Gray dawno już odszedł. Widywał brata podczas rzadkich wizyt w domu, ale nie próbował się do niego zbliżyć. Nie chciał, żeby cokolwiek wiązało go z rodzicami. Po raz ostatni widział Boya na pogrzebie rodziców, a potem całkowicie świadomie stracił go z oczu. Czasami z tego powodu gryzło go sumienie, ale nie chciał tego rozpamiętywać. Uwolnił się wreszcie od rodziny, która przysporzyła mu tyle cierpień. Samo słowo „rodzina” wywoływało w nim ból. Czasami zastanawiał się, co się stało z Boyem po śmierci rodziców. Cokolwiek jednak go spotkało, na pewno było lepsze od życia z nimi. Jak dotąd Gray skutecznie tłumił w sobie wszelkie przywiązanie czy poczucie odpowiedzialności za Boya. Myślał, że może pewnego dnia go odnajdzie, ale ten dzień jeszcze nie nadszedł. I chyba nigdy nie nadejdzie. Boy powinien pozostać wspomnieniem z odległej przeszłości, częścią życia, do którego Gray nie pragnął więcej wracać, chociaż zapamiętał brata jako słodkie dziecko.

Z kolei Adam myślał o rodzicach z gniewem i rozgoryczeniem. Zasadniczo uważał matkę za wredną sukę, a ojca za palanta. Złościł się na ich udział w jego życiu, czy raczej brak udziału, i na przygnębiającą domową atmosferę. Mówił, że z dzieciństwa pamięta tylko, jak matka narzekała na wszystkich i zawsze się go czepiała, bo był najmłodszy, traktowany jak intruz, który za późno pojawił się w ich życiu. Pamiętał, że ojciec nigdy nie wracał z pracy prosto do domu. Czy można się mu dziwić? Adam zaczął studia na uniwersytecie Harvarda w wieku osiemnastu lat i już nigdy nie zamieszkał w domu. Wystarczyło mu aż nadto spędzanie wakacji z rodzicami. Nieprzyjemna atmosfera w domu stworzyła nieodwracalny rozłam między trojgiem dzieci. Od rodziców nauczyły się tylko krytykanctwa, patrzenia na innych z góry, czepiania się drobiazgów i wtrącania się w cudze sprawy.

– W mojej rodzinie nie było szacunku – stwierdził z goryczą. – Matka nie szanowała ojca. Ojciec pewnie jej nienawidził, chociaż nigdy się do tego nie przyznał, my też nie szanowaliśmy się nawzajem. Uważam, że moja siostra jest nudna i żalсна, brat to nadęty dupek z żoną całkiem podobną do naszej matki, a oni myślą, że zadają się z bandziorami i dziwkami. Nie cenią tego, co robię, i nawet nie chcą wiedzieć, na czym polega moja praca. Widzą tylko moje kobiety, nie mnie. Teraz spotykam ich na weselach, pogrzebach i od wielkiego święta, chociaż gdybym znalazł jakąś wymówkę, wołałbym się od tego wykręcić. Rachel odwiedza ich z dziećmi, ja już nie muszę. Lubią ją bardziej ode mnie, zawsze tak było.

Nawet nie przeszkadza im to, że wyszła za chrześcijanina, dopóki wychowuje moje dzieci jako żydów. W ich oczach ona nie może zrobić nic złego, a ja nic dobrego. W końcu pomyślałem: do cholery z nimi, komu na tym zależy?

– Ale wciąż ich widzisz – zauważył Gray. – Może jednak ci zależy. Może nadal czekasz na ich aprobatę. Jeśli tak, to w porządku. Po prostu czasami musimy przyznać sami przed sobą, że mieliśmy złych rodziców, którzy nie dali nam miłości, jakiej tak rozpaczliwie pragnie się w dzieciństwie. Moi rodzice byli zbyt zajęci prochami, a potem poszukiwaniem Świętego Graala. To absolutne świry. Chyba lubili na swój sposób moją siostrę i mnie, ale nie mieli pojęcia, co to jest rodzina. Żał mi było mojego Boya, kiedy go adoptowali. Powinni kupić sobie psa, ale pewnie czuli się samotni po naszym odejściu i wzięli jego. Moja biedna siostra wylądowała gdzieś w Indiach, mieszka na ulicy z nędzarzami. Przez całe życie chciała udawać Azjatkę, teraz pewnie się za taką uważa. Sama nie wie, kim jest, ale oni też nie wiedzieli. I ja też nie wiedziałem, kim jestem, dopóki od nich nie odszedłem. Do dziś czasami się zastanawiam, kim do cholery jestem. Myślę, że to jest najważniejsze: kim jesteśmy, w co wierzymy, jak żyjemy i czy takie życie chcemy prowadzić? Codziennie zadaję sobie te pytania i nie zawsze znajduję odpowiedź. Ale przynajmniej próbuję i przy tym nikomu nie robię krzywdy... Myślę, że to prawdziwa ironia losu, że ludzie tacy jak moi rodzice mają dzieci albo je adoptują, chociaż nie powinni ich mieć. Znam siebie i dlatego nie chcę dzieci, nigdy nie chciałem. Próbuję sobie tłumaczyć, że rodzice robili, co mogli, chociaż marnie im to wychodziło. Ja nie chcę nikogo skazywać na takie cierpienia, nie chcę nikogo skrzywdzić egoistyczną potrzebą reprodukcji. Będzie lepiej, jeśli moje szaleństwo zakończy się na mnie.

Gray czuł się odpowiedzialny za swoje życie i nie żałował decyzji, żeby nie mieć dzieci. Uważał, że absolutnie nie potrafi się nimi opiekować i dać im to, czego potrzebują. Drżał na samą myśl, że przywiążą się do niego i będą od niego zależne. Nie chciał im sprawić zawodu. Nie powinny oczekiwać od niego więcej, niż mógł im ofiarować. Nie chciał też nikogo zranić ani rozczarować, bo sam przeżył to w młodości. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że kobiety, którymi nieustannie się opiekował, w rzeczywistości traktował jak własne dzieci, ptaki z połamanymi skrzydłami. Odczuwał nieprzepartą potrzebę troszczenia się o kogoś, a one zaspokajały tę potrzebę. Adam sądził, że Gray byłby dobrym ojcem, porządnym i inteligentnym, ale Gray się z nim nie zgadzał.

– A ty, Charlie? – zapytał Adam. W przeciwieństwie do Graya śmiało przekraczał uświęcone granice i wchodził tam, gdzie nawet aniołowie lękali się stąpać. Potrafił zadawać drażliwe pytania i zmuszał ludzi do myślenia. – Miałeś normalną rodzinę? Gray i ja kłócimy się o to, kto miał gorszych rodziców, i nie wiem, komu przypadnie nagroda, jemu czy mnie. Moi byli może bardziej tradycyjni, ale to wszystko.

Sporo już wypili i Adam natarczywie wypytywał Charliego o młodość. Nie mieli przed sobą tajemnic. Adam zawsze opowiadał przyjaciółom o wszystkim, podobnie jak Gray. Charlie z natury był bardziej skryty i niezbyt chętnie mówił o przeszłości.

– Właściwie byli idealni – wyznał z westchnieniem. – Kochający, hojni, wyrozumiali, nigdy nie stosowali przemocy. Matka była najbardziej wrażliwą kobietą pod słońcem. Piękną, uroczą, pełną ciepła. Ojciec był naprawdę dobrym człowiekiem. Stanowił wzór do

naśladowania pod każdym względem. Oboje byli cudowni, podobnie jak moje dzieciństwo, a potem zginęli. Koniec. Szesnaście szczęśliwych lat i zostaliśmy z siostrą sami w wielkim domu, z mnóstwem pieniędzy i służbą, która o nas dbała, i fundacją, którą siostra musiała się nauczyć kierować. Rzuciła Vassar, żeby się mną opiekować, i przez dwa lata robiła to doskonale, dopóki nie poszedłem na studia. Miała tylko mnie. Wątpię, czy przez ten czas choć raz poszła na randkę. Potem wstąpiłem do Princeton, a ona była już wtedy chora, chociaż nic o tym nie wiedziałem, i wkrótce umarła. Troje najlepszych ludzi na ziemi odeszło. Kiedy was słucham, rozumiem, jakie miałem szczęście, nie z powodu pieniędzy, ale dzięki moim najbliższym. Byli cudownymi rodzicami, a Ellen wspierała siostrę. Ale ludzie umierają, odchodzą. Coś się wydarza i nagle cały świat się wali, całe twoje życie się zmienia. Wolałbym stracić pieniądze niż kogoś z nich, tyle że nikt ci nie daje takiego wyboru. Musisz grać kartami, które dostajesz do ręki. A skoro już o tym mowa, kto chce zagrać w ruletkę? – zapytał wesoło, zmieniając temat.

W milczeniu kiwnęli głowami.

Wysłuchali tragicznej historii i rozumieli, że prawdopodobnie dlatego Charlie nie związał się z nikim na stałe. Za bardzo się bał, że ukochana odejdzie, porzuci go albo umrze. Charlie sam zdawał sobie z tego sprawę. Tysiące razy rozmawiał o tym z terapeutą. Nic nie pomagało. Choćby nie wiem ile czasu poświęcał na terapię, jego rodzice nadal zginęli, kiedy miał szesnaście lat, a siostra zmarła okropną śmiercią, kiedy skończył dwadzieścia jeden. Od tamtej pory nie potrafił zaufać nikomu ani nikomu. Gdyby pokochał dziewczynę i ona umarła albo go opuściła? Łatwiej wyszukiwać ich wady i porzucać je, zanim same odejdą. Mimo szczęśliwego dzieciństwa śmierć rodziców i siostry skazała go na życie w wiecznym strachu. Nawet gdyby polegać na najbliższej osobie, zawsze istniało ryzyko i to go przerażało. Nie zamierzał ponownie narażać swojego serca, dopóki nie będzie miał pewności na tysiąc procent. Żądał wszelkich możliwych gwarancji. Na razie jednak żadna z kobiet nie nosiła stempla gwarancji, raczej czerwoną flagę, sygnalizującą niebezpieczeństwo, którego śmiertelnie się lękał. Porzucał je więc, chociaż bardzo uprzejmie. Nie znalazł jeszcze takiej, dla której mógłby zaryzykować wszystko, wierzył jednak, że kiedyś ją spotka. Adam i Gray już nie bardzo w to wierzyli. Mieli wrażenie, że Charlie na dobre został kawalerem. Wszyscy trzej pasowali do siebie idealnie, ponieważ każdy uważał się za samotnika. Żaden z nich nie chciał ryzykować dłuższych związków. Żaden nie mógł zdjąć z siebie klątwy, którą rzuciła na niego rodzina. Strach i nieufność pozostały ich dziedzictwem na całe życie.

Charlie grał w bakarata, a Gray się przyglądał. Adam wolał *vingtetun*, a potem razem zagrali w ruletkę. Charlie postawił trochę pieniędzy za Graya, który wygrał trzysta dolarów po postawieniu na czarne. Oddał pożyczoną setkę Charliemu, który nalegał, żeby zatrzymał wszystko.

Wrócili na jacht o drugiej nad ranem, właściwie jak na nich całkiem wcześnie. Od razu rozeszli się do swoich kabin. Mieli za sobą udany dzień, spędzony w przyjacielskiej atmosferze, nazajutrz odpływali do Portofino. Charlie wydał kapitanowi instrukcje, żeby odbił przed ich przebudzeniem, około siódmej rano. W ten sposób dopłyną do Portofino późnym popołudniem i zostanie im jeszcze sporo czasu na spacer. Portofino należało do ich

ulubionych postojów podczas letniej wyprawy. Gray zachwycił się sztuką i architekturą miasta, szczególnie podobał mu się kościół na wzgórzu. Charlie uwielbiał swobodną włoską atmosferę, restauracje i tłumy ludzi. Adam lubił sklepy i hotel Splendido wysoko na wzgórzu, z widokiem na zatokę. Podobały mu się port i śliczne włoskie dziewczyny, które poznawał co roku, a także cudzoziemskie turystki. Dla każdego z nich to miejsce miało w sobie jakąś magię. Tej nocy wszyscy zasypiali z uśmiechem, myśląc o dniu w Portofino. Jak co roku, miesiąc na pokładzie „Blue Moon” wydawał im się rajem.

Rozdział 3

Przyłąnęli do Portofino o czwartej po południu, akurat kiedy otwierano sklepy po sjeście. Musieli stanąć na kotwicy tuż za redą, ponieważ kil „Blue Moon” miał zbyt duże zanurzenie jak na płytki basen portowy. Wokół innych łodzi w morzu pływali ludzie. Adam, Gray i Charlie też wskoczyli do wody po popołudniowej drzemce. Do szóstej nadpłynęło kilka innych dużych jachtów i zapanował nastrój ogólnej zabawy. To było cudowne złote popołudnie. Nadszedł czas na obiad i choć żaden z trójki nie chciał opuszczać łodzi, doszli do wniosku, że powinni się ruszyć. Czuli się szczęśliwi i odprężeni, otaczała ich przepiękna przyroda, a jedzenie na jachcie zawsze wybornie smakowało, ale w mieście również były dobre restauracje, kilka wręcz znakomych, szczególnie te w samym porcie, wciśnięte pomiędzy sklepy. Sklepy w Portofino były lepsze niż w St. Tropez: Cartier, Hermes, Vuitton, Dolce & Gabbana, Celine, kilku włoskich jubilerów. Miasteczko, chociaż maleńkie, stanowiło prawdziwą oazę luksusu. Cały ruch skupiał się wokół portu, a krajobraz i klify górujące nad mariną wyglądały absolutnie bajecznie. Kościół San Giorgio i hotel Splendido wznosiły się na dwóch wzgórzach po obu stronach przystani.

– Boże, kocham to miejsce – powiedział Adam z uśmiechem, rozglądając się dookoła.

Kilka kobiet w samych bikini skoczyło do wody z sąsiedniej łodzi. Gray wyciągnął szkicownik i rysował, Charlie siedział na pokładzie z błogą miną i palił cygaro. To był jego ulubiony włoski port i chętnie zostałby tutaj jak najdłużej. Nigdzie mu się nie spieszyło. Właściwie wolał Portofino od francuskich portów. Tutaj nie musiał wymykać się paparazzim jak w St. Tropez ani przepychać przez tłumy na ulicach, wylewające się z dyskotek i barów. Portofino miało bardziej wiejską atmosferę. Cechował je osobliwy urok i piękno typowe dla Włoch. Charlie uwielbiał je, podobnie jak jego przyjaciele.

Włożyli dżinsy i podkoszulki i poszli na obiad do miasteczka. Zarezerwowali miejsca w uroczej restauracji niedaleko *piazza*, gdzie bywali już w zeszłym roku. Kelnerzy rozpoznali ich i przypomnieli sobie „Blue Moon”. Dali im doskonały stół na zewnątrz, tam skąd można było obserwować przechodniów. Zamówili pastę, owoce morza i zwyczajne, ale dobre włoskie wino. Gray mówił właśnie o miejscowej architekturze, kiedy przerwał mu cichy kobiecy głos od sąsiedniego stolika.

– W XII wieku – poprawiła Graya.

Przed chwilą powiedział, że Castello di San Giorgio został zbudowany w XIV wieku. Odwrócił głowę, żeby zobaczyć, kto się odezwał. Przy sąsiednim stoliku siedziała wysoka dziewczyna o egzotycznym wyglądzie, ubrana w czerwony podkoszulek, sandały i długą białą bawełnianą spódnicę. Ciemne włosy splecione w długi warkocz spływały jej na plecy. Miała zielone oczy i jasną skórę. Śmiała się, kiedy Gray obejrzał się na nią.

– Przepraszam – powiedziała – to niegrzecznie z mojej strony. Po prostu przypadkiem wiem, że to XII, a nie XIV wiek. Myślałam, że powinnam to wyjaśnić. Ale zgadzam się z panem, to jedna z moich ulubionych budowli we Włoszech, choćby dla samego widoku, który uważam za najlepszy w Europie. Właściwie *castello* został przebudowany w XVI wieku, a

zbudowany w XII, nie XIV – powtórzyła i uśmiechnęła się łobuzersko. – Kościół San Giorgio też powstał w XII wieku.

Zerknęła na plamy farby na koszulce Graya i natychmiast rozpoznała w nim artystę. Zdołała sprostać informację o *castello* bez ostentacji, swobodnie i ze znajomością rzeczy, i przeprosiła za wtrącanie się do rozmowy sąsiadów.

– Czy jest pani historykiem sztuki? – zapytał Gray z zainteresowaniem. Była bardzo atrakcyjną kobietą, choć niezbyt młodą i nie odpowiadała standardom Charliego czy Graya. Wyglądała na czterdzieści pięć lat, może trochę mniej. Siedziała przy dużym stole z Europejczykami, którzy rozmawiali po włosku i francusku. Posługiwała się biegle obu językami.

– Nie – odpowiedziała. – Jestem tylko wścibską paniusią, która przyjeżdża tu co roku. Mam galerię w Nowym Jorku.

Gray przyjrzał jej się zmrużonymi oczami i rozpoznał ją. Nazywała się Sylvia Reynolds i była dobrze znana w nowojorskim świecie sztuki. Wypromowała wielu współczesnych artystów, obecnie cieszących się renomą. Sprzedawała głównie awangardę, bardzo różną od prac Graya. Nigdy przedtem jej nie spotkał, ale dużo o niej czytał. Spojrzała na niego i na jego towarzyszy z zaciekawieniem i obdarzyła go ciepłym uśmiechem. Wydawała się pełna życia, energii i podniecających możliwości. Na przedramieniu nosiła kilka srebrnych bransoletek z turkusami. Wszystko w niej świadczyło o stylu.

– Czy pan jest artystą? Czy może pobrudził pan koszulkę farbami przy malowaniu domu? Na pewno nie była nieśmiała.

– Może jedno i drugie. – Gray odwzajemnił uśmiech i wyciągnął rękę. – Gray Hawk.

Przedstawił jej towarzyszy, a ona uśmiechnęła się do nich przelotnie i znów odwróciła się do Graya. Znała jego nazwisko.

– Podobają mi się pańskie prace – powiedziała ciepło. – Przepraszam, że panu przerwałam. Zatrzymał się pan w Splendido?

Na chwilę przestała się interesować europejskimi przyjaciółmi. Wśród nich było kilka atrakcyjnych kobiet i paru bardzo przystojnych mężczyzn. Bardzo ładna młoda dziewczyna rozmawiała po francusku z mężczyzną siedzącym obok niej. Adam zauważył ją od razu, ale nie mógł dociec, czy mężczyzna jest jej mężem, czy ojcem. Wyraźnie jednak łączyła ich wielka zażyłość. Ten sektor stołu był zdecydowanie francuski. Sylvia wydawała się jedyną Amerykanką w tym gronie, co wcale jej nie peszyło. Z równą swobodą wypowiadała się po angielsku, włosku i francusku.

– Nie, mieszkamy na jachcie – wyjaśnił Gray.

– Szczęściarze. I pewnie na którymś z tych ogromnych – zakpiła.

Nie miała na myśli nic złego i początkowo Gray tylko kiwnął głową. Wiedział, że żartowała, i nie chciał się popisywać. Wyglądała na miłą osobę i taką miała reputację mimo odniesionego sukcesu.

– Skądże, przyplłynęliśmy tu łódką wiosłową z Francji i w nocy rozbijemy namiot na plaży – rzucił żartem Charlie, a ona się roześmiała. – Mój przyjaciel wstydził się do tego przyznać. Wskrobaliśmy trochę grosza na obiad, ale nie stać nas na hotel. Gray wymyślił

bajeczkę o jachcie, żeby pani zaimponować. Zawsze kłamie, kiedy ktoś mu się podoba.

– W takim razie to mi pochlebia – roześmiała się znowu. – Znam gorsze miejsca na rozbicie namiotu niż plaża w Portofino. Podróżujecie we trzech? – zapytała, najwyraźniej zaintrygowana trzema przystojniakami.

Prezentowali się całkiem interesująco. Pomyślała, że Gray wygląda dokładnie tak, jak powinien wyglądać artysta. Adama uznała za aktora, a Charliego za właściciela albo dyrektora banku. Sylvia uwielbiała zgadywać, czym ludzie się zajmują. Właściwie niewiele się pomyliła. Adam miał w sobie jakąś teatralną przesadę i bez trudu mogła go sobie wyobrazić na scenie.

Charlie wyglądał na bogacza nawet w dżinsach, podkoszulku i mokasynach od Hermesa na bosych stopach. Nie sprawiali wrażenia playboyów, coś w ich zachowaniu sugerowało, że to ludzie poważni i zamożni. Najłatwiej rozmawiało jej się z Grayem. Słuchała rozmowy trzech nieznajomych i podobało jej się to, co Gray mówił o miejscowej sztuce i architekturze. Poza tym jednym błędem co do wieku *castello* wypowiadał się w sposób inteligentny i precyzyjny. Wyraźnie znał się na sztuce.

Jej towarzysze zapłacili rachunek i zamierzali odejść. Cała grupa wstała. Sylvia również się podniosła, a kiedy wyszła zza stołu, trzej nowi amerykańscy znajomi zauważyli, że ma świetne nogi. Europejscy przyjaciele obejrzel się na trójkę przy sąsiednim stoliku, a Sylvia dokonała uprzejmej prezentacji, tak jakby dobrze znała Graya i jego towarzyszy.

– Wracacie do hotelu? – zapytał Adam.

Młoda Francuzka zerkała na niego, doszedł więc do wniosku, że jej towarzysz to ojciec, ponieważ robiła to dość otwarcie i nie zwracała uwagi na nikogo innego.

– Chcemy się jeszcze trochę przejść. Niestety, tutejsze sklepy są otwarte do późnego wieczoru. Co roku za dużo wydaję, nie potrafię się oprzeć pokusom – wyznała Sylvia.

– Czy można panią później zaprosić na drinka? – zapytał Gray, zbierając się na odwagę.

Nie podrywał jej, ale polubił nową znajomą. Była sympatyczna, pogodna i otwarta. Chciał z nią jeszcze porozmawiać o włoskiej sztuce.

– Może wszyscy wpadniecie do Splendido? – zaproponowała. – Zawsze spędzamy pół nocy w barze. Na pewno nas tam zastaniecie o każdej porze.

– Przyjdziemy – zapewnił Charlie, a ona pobiegła za przyjaciółmi.

– Trafiona i zatopiona! – oznajmił Adam, gdy tylko oddaliła się poza zasięg słuchu.

Gray pokręcił głową.

– Wątpię. Ona chciała tylko pogadać o sztuce.

– Nie chodzi o ciebie, tępaku, tylko o mnie. Widziałeś tę Francuzeczkę na drugim końcu stołu? Siedziała z jakimś starym przykiem, najpierw myślałem, że to jej mąż, ale chyba nie. Robiła do mnie słodkie oczy.

– Na litość boską – burknął Gray. – Jeszcze ci mało po wczorajszej nocy? Masz jakąś obsesję!

– Owszem. Ona jest bardzo ładna.

– Sylvia Reynolds? – zdziwił się Gray.

Nie przypominała kobiet w typie Adama. Była ze dwa razy starsza. Ciekawiła raczej

Graya, chociaż nie w sensie romantycznym, tylko artystycznym. Poza tym stanowiła cenną znajomość, bardzo się liczyła w nowojorskim świecie sztuki. Charlie przyznał, że początkowo jej nie poznał, ale teraz wiedział, kim jest.

– Nie, ta młoda – ponownie sprostował Adam. – Śliczna mała. Wygląda jak baletnica, chociaż w Europie nigdy nic nie wiadomo. Za każdym razem, kiedy poznaję jakąś ślicznotkę, okazuje się, że studiuje medycynę albo prawo, albo jest na inżynierii czy budowie raket.

– No, lepiej uważaj. Może to córka Sylvii.

Chociaż to nie powstrzymałoby Adama. Wobec kobiet nie miał skrupułów oczywiście w granicach przyzwoitości. Traktował wszystkie jak zwierzynę łowną, chyba że były zamężne. W tym miejscu też przeprowadzał granicę, ale nigdzie indziej.

Jak wszyscy bawiący w maleńkim porcie, po obiedzie przespacerowali się wokół placu, obeszlą sklepy i około północy wspięli się do hotelu. Zgodnie z tym, co powiedziała Sylvia, cała jej grupa siedziała w barze. Rozmawiali, śmiali się i palili. Na widok trzech Amerykanów Sylvia zamachała z szerokim uśmiechem. Znów przedstawiła ich swoim przyjaciołom. Szczęśliwym przypadkiem krzesło obok młodej kobiety, którą Adam uznał za ładną, było puste, zapytał ją więc, czy może się przysiąść. Z uśmiechem wskazała miejsce obok siebie. Rozmawiała z nim doskonałą angielszczyzną, choć akcent miała francuski. Sylvia powiedziała Grayowi, że dziewczyna rozmawiająca z Adamem jest jej siostrzenicą. Charlie siedział między dwoma mężczyznami, Włochem i Francuzem, i po paru minutach pograżyli się w ożywionej dyskusji na temat polityki amerykańskiej i sytuacji na Bliskim Wschodzie. Jak zwykle w typowo europejskiej rozmowie, przeszli od razu do rzeczy, bez owijania w bawełnę, i każdy wyrażał zdecydowane opinie. Charlie uwielbiał takie dyskusje. Sylvia i Gray rozmawiali o sztuce. Okazało się, że Sylvia studiowała architekturę i mieszkała w Paryżu przez dwadzieścia lat. Wyszła za Francuza, ale rozwiedli się przed dziesięcioma laty.

– Po rozwodzie nie miałam pojęcia, co robić i dokąd pójść. On był artystą. Zupełnie się załamalam. Chciałam wrócić do domu, ale zrozumiałam, że nie mam domu. Dorastałam w Cleveland, ale moi rodzice już nie żyli i nie mieszkałam tam od czasu szkoły średniej. Zabrałam dzieci i przeniosłam się do Nowego Jorku. Dostałam pracę w galerii w SoHo i jak tylko uciułam trochę grosza, sama otworzyłam galerię. Ku mojemu zdumieniu udało się. Teraz, dziesięć lat po powrocie, nadal ją prowadzę. Moja córka studiuje we Florencji, syn robi magisterium w Oksfordzie. A ja zaczynam się zastanawiać, co właściwie robię w Nowym Jorku. – Westchnęła i uśmiechnęła się do niego. – Opowiedz mi o swojej pracy.

Wyjaśnił, w jakim kierunku zmierza od dziesięciu lat i co go do tego popchnęło. Doskonale go rozumiała, kiedy opowiadał, co wywarło wpływ na jego malarstwo. To miało dla niej sens. Chociaż sama w galerii wystawiała zupełnie inną sztukę, żywiła wielki szacunek dla jego poglądów i prac, które widziała kilka lat wcześniej. Mówił, że jego styl znacznie się już zmienił, ale wcześniejsze obrazy wywarły na niej wielkie wrażenie. Odkryli, że mieszkali w Paryżu w odległości kilku przecznic mniej więcej w tym samym czasie. Powiedziała mu bez zakłopotania, że ma czterdzieści dziewięć lat, chociaż wyglądała na czterdzieści dwa. Promieniowało z niej jakieś zmysłowe ciepło. Nie wyglądała ani na Amerykankę, ani na Francuzkę, z włosami zaczesanymi do tyłu i wielkimi zielonymi oczami wydawała się

egzotycznym przybyszem, może z Ameryki Południowej. Zachowywała się z całkowitą swobodą, tak jakby dobrze się czuła we własnej skórze. Była tylko o rok młodsza od Graya i często ich drogi życiowe biegły równolegle. Ona też uwielbiała malować, ale wyznała, że nie ma wielkiego talentu. Robiła to raczej dla przyjemności. Malarstwo darzyła głęboką miłością i podziwem.

Siedzieli razem prawie do trzeciej, w końcu przyjaciele z „Blue Moon” wstali.

– Powinniśmy wracać – powiedział Charlie.

Wieczór upłynął im bardzo przyjemnie. Charlie rozmawiał z innymi mężczyznami. Gray i Sylvia gadali bez przerwy i chociaż siostrzenica Sylvii była niewątpliwie atrakcyjna, Adam wdał się w rozmowę z prawnikiem z Rzymu i płomienna dyskusja sprawiła mu nawet więcej satysfakcji niż flirtowanie z dziewczyną. Wszyscy świetnie się bawili i gospodarze z żalem żegnali gości.

– Macie ochotę spędzić jutro dzień na łodzi? – zapytał Charlie.

– Wszyscy będziemy na łodzi wiosłowej? – zapytała Sylvia. – Chyba się nie zmieścimy.

– Spróbuję do jutra załatwić coś lepszego – obiecał Charlie. – Zabierzemy was z portu o jedenastej.

Zapisał Sylvii numer telefonu na jacht, na wypadek gdyby coś się zmieniło, a potem pożegnali się z nowymi przyjaciółmi. Zeszli zadowolony ze wzgórza do szalupy, czekającej w porcie. Właśnie dlatego uwielbiali te wspólne podróże. Odwiedzali piękne miejsca i poznawali interesujących ludzi. Zgodzili się, że wieczór spędzony z tą grupą należał do najlepszych.

– Sylvia to niezwykła kobieta – zauważył Gray z podziwem.

– No, przynajmniej wiem, że na nianie lecisz – parsknął śmiechem Adam. Dotarli do portu, gdzie czekała na nich szalupa z dwoma marynarzami.

Kiedy Charlie spędzał na jachcie wakacje z przyjaciółmi, załoga dyżurowała przez okrągłą dobę.

– Skąd wiesz, że na nią nie lecę? – zapytał ubawiony Gray. – Właściwie masz rację, ale podoba mi się jej umysł. Przyjemnie się z nią rozmawia. Wyjątkowo szczerze i przenikliwie mówiła o scenie artystycznej Nowego Jorku. To bardzo rozsądna osoba.

– Wiem. Słuchałem, kiedyście ze sobą rozmawiali. A wiem, że na nianie lecisz, bo nie jest stuknięta. Wydaje się całkiem normalna. Nikt jej nie grozi, zresztą ona nie wygląda na kobietę, która pozwala się maltretować, ani na taką, której właśnie skończyły się recepty na leki. Moim zdaniem nie ma szans, żebyś się w niej zakochał, Gray – droczył się Adam.

Pod żadnym względem nie przypominała kobiet, którymi zwykle zajmował się Gray. Wydawała się całkowicie pozbierana, kompetentna i zdrowa na umyśle. Nawet bardziej niż większość ludzi.

– Nigdy nic nie wiadomo – stwierdził filozoficznie Charlie. – W Portofino zdarzają się cuda, to bardzo romantyczne miejsce.

– Nie aż tak romantyczne – zaproponował Adam – chyba że ona dozna załamania nerwowego do jutra do jedenastej.

– On chyba ma rację – przyznał szczerze Gray. – Mam nieprzepartą słabość do kobiet,

które potrzebują pomocy. Kiedy mąż rzucił ją dla innej, zabrała dzieci i przeniosła się do Nowego Jorku. Dwa lata później prowadziła już galerię, która teraz należy do najlepiej prosperujących w tym mieście. Takich kobiet nie trzeba ratować.

Znał siebie, podobnie jak jego przyjaciele, chociaż Charlie wciąż nie tracił nadziei. Nigdy nie tracił nadziei, nawet we własnym przypadku.

– Taka zmiana może ci dobrze zrobić – podsunął z uśmiechem.

– Wolałbym zostać jej przyjacielem – odparł rozsądnie Gray. – Przyjaźń trwa dłużej.

Charlie i Adam jednogłośnie przyznali mu rację. Wrócili na łódź powiedzieli sobie „dobranoc” i rozeszli się do swoich kabin. Spędzili wyjątkowo udany wieczór.

Nazajutrz rano cała grupa weszła na pokład, kiedy przyjaciele właśnie kończyli śniadanie. Charlie oprowadził gości po jachcie, a potem wypłynęli na silniku w morze. Jacht zrobił na wszystkich ogromne wrażenie.

– Charlie mówi, że co roku pływacie razem przez miesiąc. To wspaniale – powiedziała Sylvia, uśmiechając się do Graya.

Oboje popijali czystą krwawą mary. Gray doszedł do wniosku, że znacznie przyjemniej będzie rozmawiać z Sylvią na trzeźwo. Żaden z przyjaciół nie miał problemu alkoholowego, ale przyznali zgodnie, że na jachcie piją za dużo, niczym rozbrykane nastolatki, które wyrwały się spod kontroli rodziców. W towarzystwie Sylvii wolał zachowywać się jak dorosły. Była taka bystra i tyle wiedziała, że nie chciał się otępieć. Pograżyli się w rozmowie o włoskich freskach renesansowych, kiedy jacht się zatrzymał i rzucono kotwicę.

Po kilku minutach wszyscy już skakali z pokładu do wody, przebrani w kostiumy kąpielowe. Dokazywali jak dzieci. Dwaj znajomi Sylvii jeździli na nartach wodnych, a Adam na odrzutowych nartach, z siostrzenicą przylepioną do jego pleców.

Pływali i bawili się prawie do drugiej, kiedy załoga przygotowała lunch złożony z pasty i owoców morza. Zasiadli do obfitego posiłku, który popijali włoskim winem. O czwartej wciąż jeszcze siedzieli przy stole, pograżeni w ożywionej rozmowie. Nawet Adam został zmuszony przez siostrzenicę Sylvii do prowadzenia inteligentnej rozmowy – jak się okazało, studiowała nauki polityczne w Paryżu i zamierzała otworzyć przewód doktorski. Podobnie jak jej ciotka, nie pozwalała się lekko traktować. Jej ojciec był ministrem kultury, matka kardiochirurgiem. Obaj bracia byli lekarzami, ona sama mówiła pięcioma językami i po uzyskaniu doktoratu z nauk politycznych miała zamiar skończyć prawo. Przymierzała się do politycznej kariery. Taka dziewczyna nie prosiłaby go o implanty. Oczekiwała inteligentnej rozmowy, co początkowo zaszokowało Adama. Nie przywykł do kobiet w jej wieku równie otwartych i tak poważnie traktujących studia. Charlie śmiał się z niego, kiedy przechodził obok – ona dawała mu wykład o zagranicznych rynkach monetarnych, a Adam wiercił się nerwowo. Ustawiła go sobie na baczność i trzymała na dystans, co później przyznał z żalem. Górowała nad nim mimo młodego wieku.

Sylvia i Gray przez całe popołudnie bez końca rozmawiali o sztuce, ku obopólnemu zadowoleniu. Przechodzili od jednego okresu historycznego do następnego, porównywali politykę ze sztuką. Charlie patrzył na wszystkich z ojcowską satysfakcją i pilnował, żeby goście czuli się jak w domu, a załoga spełniała wszystkie ich życzenia.

Dzień był tak piękny, że towarzystwo postanowiło skorzystać z zaproszenia Charliego i zjeść obiad na jachcie. Zbliżała się północ, zanim powoli podpłynęli na silniku do portu, po postoju na pływanie przy blasku księżyca. Tym razem Gray i Sylvia przestali rozmawiać o sztuce i rozkoszowali się wodą. Sylvia pływała znakomicie. Wydawało się, że doskonale sobie radziła w każdej dziedzinie, w sztuce i w sporcie. Gray nigdy jeszcze nie spotkał takiej kobiety. Kiedy płynęli z powrotem do łodzi, żałował, że sam nie jest w lepszej formie. Rzadko o tym myślał, Sylvia jednak była niezwykle wysportowana i prawie się nie zadyszała, kiedy wchodzili na pokład. Jak na kobietę w jej wieku czy nawet młodszą, wyglądała wspaniale w bikini, ale jakby o tym nie myślała, w przeciwieństwie do swojej siostrzenicy, która nieustępliwie flirtowała z Adamem. Ciotka nie komentowała jej zachowania, wiedziała, że siostrzenica jest dorosłą kobietą i może robić, co jej się podoba. Nie miała zwyczaju wtrącać się do cudzego życia. Siostrzenica ma prawo żyć po swojemu.

Przed pożegnaniem zapytała Graya, czy miałby ochotę pójść z nią do San Giorgio następnego ranka. Często tam bywała, ale uwielbiała wracać do tego miejsca. Mówiła, że za każdym razem odkrywa coś nowego. Gray zgodził się chętnie i umówili się w porcie o dziesiątej. Zaproszenie Sylvii nie miało żadnych podtekstów, po prostu wyrażało więź między dwojgiem miłośników sztuki. Powiedziała, że wyjeżdżają pojutrze, a Gray ucieszył się, że jeszcze raz będzie mógł ją zobaczyć.

– Jacy sympatyczni ludzie – powiedział Charlie po odejściu gości.

Adam i Gray zgodzili się z nim. Spędzili wspaniały dzień i wieczór. Rozmowy były fascynujące, pływanie przyjemne, jedzenie pyszne, a nowi znajomi okazali się wyjątkowo inteligentną, atrakcyjną paczką.

– Zauważyłem, że siostrzenica Sylvii nie została na noc. Nie uderzyłeś do niej? – zakpił Charlie.

Adam miał skwaszoną minę.

– Chyba nie jestem dostatecznie bystry, żeby ją zdobyć. Przy tej dziewczynie moje harwardzkie wykształcenie wydaje się szkołą podstawową. Kiedy zeszliśmy na tematy prawne, deliktów w amerykańskim systemie sądowniczym i prawa konstytucyjnego w przeciwieństwie do francuskiego systemu prawnego, czułem się jak skończony głupek. Cholera, prawie zapomniałem o podrywaniu, a jak o tym pomyślałem, byłem już zbyt wyczerpany. Może zapędzić w kozi róg każdego faceta. Powinna się umawiać z którymś z moich harwardzkich profesorów prawa, nie ze mną.

W dziwny sposób przypominała mu Rachel z czasów młodości, taką cholernie bystrą absolwentkę *summa cum laude* harwardzkiej Szkoły Prawa, i to podobieństwo go odstręczało. Postanowił nawet jej nie zaczepiać, za dużo zachodu, zresztą już dawno zapomniał połowę rzeczy, o które go pytała. Fichtowała się z nim na intelekty przez cały dzień i pół nocy i chociaż to go pobudzało i sprawiało mu przyjemność, w końcu poczuł się stary i zmęczony. Jego umysł nie działał już w ten sposób. Łatwiej było kupować dziewczynom implanty i nowe nosy, zamiast walczyć z ich rozumem. Wywołała w nim poczucie niższości, co trochę nadwątlilo jego *ego* i bynajmniej nie działało jak afrodyzjak. Za to Grayowi podobała się rozmowa z jej ciotką i cieszyło wszystko, czego się od niej nauczył. Sylvia miała ogromną

wiedzę w wielu dziedzinach, głównie sztuki, którą się pasjonowała, podobnie jak on. Ale nie pragnął uprawiać z nią seksu, chociaż uważał ją za piękną i pociągającą. Chciał tylko poznać ją lepiej i rozmawiać z nią jak najdłużej. Szalał z radości, że ją spotkał.

Trzej mężczyźni wypili ostatni kieliszek wina na pokładzie, wypalili cygara i rozeszli się do swoich kabin, zadowoleni i odprężeni po pięknym dniu na łodzi. Nie mieli żadnych planów na następny dzień. Adam i Charlie zapowiedzieli, że zamierzają spać do późna. Gray już nie mógł się doczekać wycieczki z Sylvią do kościoła. Wspomnił o tym Charliemu, kiedy schodzili na dół. Gospodarz przyjął to z zadowoleniem. Wiedział, że Gray prowadzi samotne życie i potrzebuje przyjaciółki. Zresztą ta znajomość mogła się okazać pożyteczna. Gray tak długo walczył o swoją sztukę i był tak utalentowany, że zasługiwał na uznanie. Charlie wciąż spodziewał się przełomu. Miał nadzieję, że Sylvia przedstawi go odpowiednim ludziom z artystycznego świata Nowego Jorku. Nie pociągała go jako kobieta, ale mogła być wspaniałą przyjaciółką. Charlie sam lubił z nią rozmawiać. Mimo całej swojej wiedzy i kultury nie była nadęta ani pretensjonalna. Bardzo ją polubił i dziwił się, że żaden z mężczyzn z jej kręgu nie jest z nią związany. Taka kobieta mogła pociągać wielu mężczyzn, zwłaszcza Europejczyków, chociaż była o dobre piętnaście lat starsza od kobiet, z jakimi zwykle się spotykał, a od niego samego o trzy lata. Życie było niesprawiedliwe pod tym względem, jak wiedział, zwłaszcza w Stanach. Najwyżej ceniono kobiety dwudziesto – i trzydziestoletnie, liczyła się przede wszystkim młodość. Kobieta w wieku Sylvii stanowiła wyjątek, atrakcyjny dla niewielu mężczyzn, i to takich, których nie przerażały jej wiedza i inteligencja. Dziewczyny, z którymi umawiał się Adam, uważano ogólnie za znacznie bardziej godne pożądania niż poważne intelektualistki w rodzaju Sylvii. Charlie wiedział, że w Nowym Jorku mieszka mnóstwo podobnych do niej kobiet, zbyt bystrych i zaradnych jak na gust mężczyzn i w rezultacie samotnych. Może gdzieś w Nowym Jorku czy Paryżu czekał na nią jej mężczyzna, ale Charlie raczej w to wątpił. Sylvia wysyłała sygnały mówiące, że jest wolna i niezależna, co jej najbardziej odpowiada. Nie przejmowała się swoją samotnością i nawet nie próbowała poderwać kogoś z nich. Podzielił się tą opinią z Grayem przy cygarach.

Następnego ranka podczas wspinaczki na wzgórze San Giorgio Gray odkrył, że Charlie trafnie ocenił Sylvię.

– Nie jesteś mężatką? – zapytał nieśmiało, zaintrygowany również nią, nie tylko jej wiedzą na temat zwiedzanego kościoła. Uważał, że jest interesująca, i chciał się z nią zaprzyjaźnić.

– Nie, wyszłam za mąż tylko raz – odpowiedziała ostrożnie. – Byłam szczęśliwa w małżeństwie, ale chyba nigdy więcej nie mogłabym tego zrobić. Czasami myślę, że kocham sam związek i styl życia bardziej niż mężczyznę. Mój mąż był artystą, absolutnie narcystycznym. Wszystko kręciło się wokół niego. Uwielbiałam go prawie tak samo, jak on uwielbiał siebie. Nic innego dla niego nie istniało – mówiła rzeczowo, bez śladu gorczy, jakby już dawno z tym skończyła, Gray słyszał to w jej głosie. – Ani ja, ani dzieci, ani nikt. Zawsze liczył się tylko on. Po pewnym czasie to się robi męczące. Ale pewnie zostałabym z nim, gdyby mnie nie rzucił dla innej. Miał pięćdziesiąt pięć lat, kiedy mnie zostawił. Ja miałam wtedy trzydzieści dziewięć lat, jego zdaniem byłam już stara. Ona miała dziewiętnaście. Dla mnie był to grom z jasnego nieba. Pobrali się i mieli jeszcze trójkę dzieci

w ciągu trzech lat, zanim ją też zostawił. Ja przynajmniej dłużej się utrzymałam. Miałam go przez dwadzieścia lat. Ona przez cztery.

– Czy tym razem wybrał dwunastolatkę? – warknął Gray, wściekły ze względu na nią. To skandal, że musiała wyjechać do Nowego Jorku bez grosza przy duszy, z dwójką dzieci, bez żadnej pomocy ze strony męża.

– Nie, ta ostatnia miała dwadzieścia dwa lata. Za stara dla niego. Ja też miałam dziewiętnaście lat, kiedy się pobraliśmy, studiowałam historię sztuki w Paryżu. Dwie ostatnie to modelki.

– Widuje twoje dzieci?

Zawahała się, a potem pokręciła głową. Odpowiedź widocznie sprawiła jej ból.

– Nie, widział je dwa razy w ciągu dziewięciu lat, co bardzo źle zniosły. W zeszłym roku umarł. Zostawił moim dzieciom wiele nierozwiązanych spraw, choćby to, ile dla niego znaczyły. Mnie też zasmuciła jego śmierć. Kochałam go, ale z Narcyzami tak już jest, że oni kochają tylko siebie. Po prostu nie potrafią kochać innych.

Stwierdziła po prostu fakt, mówiła z żalem, ale bez goryczy.

– Ja chyba znałem takie kobiety.

Nawet nie próbował jej wyjaśniać, jaki poziom szaleństwa tolerował w swoim życiu miłosnym. Pewnie śmiałyby się z niego, jak wszyscy. Szaleństwo w domu rodzinnym poznał aż za dobrze.

– I nigdy nie chciałaś spróbować jeszcze raz, z kimś innym? Wiedział, że to nietaktowne pytanie, ale wydawało się mu, że jej to nie przeszkadza. Mówiła o sobie zadziwiająco uczciwie i otwarcie, co podziwiał. Sprawiała wrażenie, że nie ukrywa żadnych mrocznych sekretów, żadnych tajnych zamiarów, wstydliwych pragnień czy poglądów, chociaż na pewno przeżyła wiele ciężkich chwil. W jej wieku wszyscy mieli blizny, nie dało się tego uniknąć.

– Nie. Nigdy nie chciałam powtórnie wyjść za mąż. W moim wieku nie widzę sensu. Nie chcę więcej dzieci, przynajmniej własnych. Nie mam nic przeciwko cudzym dzieciom. Małżeństwo to szacowna instytucja i wierzę w nie, przynajmniej dla tych celów, nie wiem tylko, czy wierzę w nie dla siebie. Chyba już nie. Nie mam odwagi spróbować jeszcze raz. Po rozwodzie przez sześć lat żyłam z pewnym mężczyzną. Był wyjątkowym człowiekiem, niezwykłym artystą, rzeźbiarzem. Cierpiał na ostre depresje i nie chciał przyjmować leków. Przede wszystkim był alkoholikiem i sam sobie niszczył życie. Kochałam go, ale takie życie było nie do wytrzymania. Nie potrafię ci tego opisać.

Zamilkła, a on patrzył na nią. W jej twarzy kryło się jakieś cierpienie, które chciał zrozumieć. Wyczuł, że jeśli chce naprawdę ją poznać, powinien wiedzieć resztę.

– Zostawiłaś go? – Starannie dobierał słowa.

– Nie, a pewnie powinnam. Może wtedy przestałby pić albo zaczął brać lekarstwa, a może nie. Trudno powiedzieć.

Mówiła ze spokojnym smutkiem, jakby pogodziła się z jakąś straszną tragedią i nieuniknioną stratą.

– To on cię zostawił?

Gray w ogóle nie wyobrażał sobie, żeby mogło ją spotkać coś takiego, a co dopiero dwa

razy. Ale na świecie żyli dziwni ludzie, którzy marnowali okazje, sabotowali własne szczęście i niszczyli sobie życie. Nic nie można na to poradzić. Nauczył się tego przez lata.

– Nie, popełnił samobójstwo – odparła cicho Sylvia. – Trzy lata temu. Dużo czasu mi zabrało, zanim doszłam do siebie i pogodziłam się ze stratą, a potem w zeszłym roku zmarł Jean-Marie, ojciec moich dzieci. I wtedy żal i poczucie straty wróciły. Ale co się stało, to się nie odstanie, nie mogłam tego zmienić pomimo całej mojej miłości. On po prostu już nie mógł dłużej żyć, a ja nie mogłam mu pomóc. Trudno się pogodzić z czymś takim.

Ale jej głos mówił mu, że się pogodziła. Wiele przeszła w życiu, a jednak się nie załamała. Patrząc na nią, zrozumiał, że ta kobieta się nie poddaje. Chciał ją objąć i uścisnąć, ale było na to za wcześnie. I nie chciał zakłócać jej żałoby. Nie miał do tego prawa.

– Przykro mi – powiedział cicho, z uczuciem.

Po wszystkich szalonych kobietach, które zmieniały każdą chwilę w dramat, wreszcie spotkał normalną osobę, która przeżyła prawdziwą tragedię i nie pozwoliła się zniszczyć. Najwyżej zdobyła nową wiedzę i dojrzałość.

– Dziękuję.

Uśmiechnęła się do niego, kiedy weszli do kościoła. Przez długi czas siedzieli obok siebie w milczeniu. Potem obeszli kościół z zewnątrz i od środka. Była to piękna budowla z XII wieku. Sylvia pokazywała Grayowi szczegóły, których nigdy dotąd nie zauważył, chociaż był tu już wielokrotnie. Upłynęły następne dwie godziny, zanim wrócili spacerem do portu.

– Jakie są twoje dzieci? – zapytał Gray.

Interesujące było wyobrazić ją sobie jako matkę, wydawała się taka niezależna i uporządkowana. Miał wrażenie, że jest dobrą matką, chociaż niechętnie myślał o niej w ten sposób. Wolał widzieć w niej tylko swoją przyjaciółkę.

– Interesujące. Bystre – odpowiedziała szczerze i z dumą, która wywołała uśmiech na jego twarzy. – Moja córka jest malarką, studiuje we Florencji. Mój syn jest historykiem, specjalistą od starożytnej Grecji. Pod pewnymi względami przypomina ojca, ale na szczęście ma lepsze serce. Córka odziedziczyła po ojcu talent, ale szczęśliwie nic więcej z tego zestawu genetycznego. Jest bardzo podobna do mnie. Chce podbić świat i pewnie jej się uda. Mam nadzieję, że kiedyś przejmie po mnie galerię, ale nie wiem, czy zechce. Ma własne życie. Ale genetyka to zdumiewająca rzecz. Widzę w dzieciach nas oboje, połączonych z ich własnymi osobowościami. Historia i dziedzictwo zawsze dochodzą do głosu, choćby w ulubionym smaku lodów czy ulubionych kolorach. Żywię wielki szacunek dla genetyki, odkąd wychowałam dwójkę dzieci. Czasami myślę, że cokolwiek robią rodzice, nie ma to żadnego wpływu na dzieci.

Zatrzymali się obok niewielkiej kawiarenki i Gray zaprosił Sylię na kawę. Usiedli i teraz ona odbiła piłkę na jego stronę boiska.

– A ty? Czemu nie masz żony i dzieci?

– Sama to powiedziałaś. Genetyka. Jestem adoptowanym dzieckiem, nie wiem, kim byli moi rodzice i jakie geny ja sam mógłbym przekazać. I to mnie przeraża. A jeśli wśród przodków był jakiś morderca z siekierą? Czy naprawdę chcę kogoś tym obciążać? Poza tym w dzieciństwie prowadziłem zwariowane życie. Dorastałem w przeświadczeniu, że

dzieciństwo to wyjątkowy koszmar. Nie chciałem tego dla innych.

Opowiedział jej trochę o swoim dzieciństwie. Indie, Nepal, Karaiby, Brazylia, Amazonia. Zupełnie jakby studiował atlas świata pod opieką dwojga ludzi wypalonych przez narkotyki, którzy sami nie wiedzieli, co robią, a na koniec odnaleźli Boga. Sporo musiał wyjaśniać nad dwiema filiżankami espresso, ale robił, co mógł, a ona słuchała zaciekawiona.

– No cóż, gdzieś wśród twoich przodków trafił się na pewno utalentowany artysta. To nie taka zła rzecz do przekazania.

– Ale Bóg jeden wie, co jest jeszcze. Znałem w życiu zbyt wielu szaleńców, moich rodziców i kobiety, z którymi się wiązałem. Z żadną nie chciałbym mieć dziecka.

Rozmawiał z nią całkowicie szczerze, tak jak ona z nim.

– Było tak źle? – uśmiechnęła się do niego.

Nie przestraszyła się jego historii, czuła tylko głębokie współczucie. Gray miał trudne dzieciństwo i od tamtej pory sam sobie komplikował życie. Ale na początku nie miał wyboru, zdecydował za niego ślepy los.

– Gorzej – roześmiał się. – Przez całe życie zajmowałem się ciężką pracą ratownika i Bóg jeden wie dlaczego. Pewnie traktowałem to jak życiową misję, pokutę za moje grzechy.

– Ja dawniej też tak myślałam, trochę przez tego rzeźbiarza. Chciałam mu wszystko załatwić, wszystko naprawić i w końcu nie dałam rady. Nigdy nie zdoła się naprawić cudzego życia. – Podobnie jak on, nauczyła się tego nie bez bólu. – Ciekawe, że kiedy ktoś nas źle traktuje, czujemy się odpowiedzialni i bierzemy na siebie jego winę. Nigdy tego do końca nie zrozumiałam, ale tak to jest – pokiwała głową. Widocznie sporo myślała na ten temat.

– Sam zacząłem tak to odczuwać – przyznał ze smutkiem Gray.

Ze wstydem wspominał dysfunkcyjne kobiety w swoim życiu. Po wszystkim, co dla nich zrobił, niemal bez wyjątku rzucały go dla kogoś innego. W pewnym sensie przeżycia Sylvii nie różniły się od jego własnych, ale ona miała do nich zdrowsze podejście.

– Jesteś na terapii? – zapytała bez ogródek, jakby pytała, czy był już przedtem we Włoszech.

Pokręcił głową.

– Nie. Czytam dużo książek o pomaganiu sobie i jestem bardzo uduchowiony. Zapłaciłem chyba za milion godzin terapii dla kobiet, z którymi się wiązałem. Nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby samemu z tego skorzystać. Myślałem, że ja jestem zdrowy, tylko one są wariatkami. A może było na odwrót. W którymś momencie trzeba zadać sobie pytanie, dlaczego wiążę się z takimi osobami. Nic dobrego z tego nie wynika. Są za bardzo pokręcone.

Uśmiechnął się, a Sylvia parsknęła śmiechem. Doszła do tego samego wniosku i dlatego nie związała się z nikim poważnie od śmierci rzeźbiarza. Przez dwa lata próbowała sobie wszystko uporządkować, intensywnie przeprowadzając terapię. W ciągu ostatnich sześciu miesięcy kilka razy poszła na randkę, raz z młodym artystą, który okazał się wielkim rozpieszczonym bachorem, i dwukrotnie z mężczyznami starszymi od niej o dwadzieścia lat. Ale po tych randkach rozumiała, że ma to już za sobą i że dwadzieścia lat to za duża różnica. Mężczyźni w jej wieku pożąдали niestety kobiet młodszych od niej. Potem odbyła kilka niefortunnych randek w ciemno. Na razie zdecydowała, że woli zostać sama. Nie lubiła

samotności, brakowało jej spania z mężczyzną, przytulania się do niego w nocy. Odkąd dzieci odeszły, weekendy ciągnęły się bez końca. Czuła się za młoda, żeby po prostu zrezygnować. Razem ze swoim terapeutą rozważali możliwość, że nikt inny już się nie pojawi, i postanowiła to przyjąć jak najlepiej. Nie chciała, żeby ktoś znowu przewrócił jej życie do góry nogami. Związki wydawały się za trudne, a samotność zbyt przykra. Sylvia znalazła się na rozstaju dróg, ani młoda, ani stara, za stara, żeby zadowolić się byle kim, i za młoda, żeby pogodzić się z samotnością przez resztę życia, chociaż dopuszczała taką ewentualność. Trochę się tego bała, podobnie jak następnej tragedii czy katastrofy. Próbowwała żyć z dnia na dzień, dlatego w jej życiu nie było mężczyzny i podróżowała z przyjaciółmi. Przekazała to wszystko Grayowi w możliwie prostych słowach i nie wydawała się ani zdesperowana, ani rozżalona, ani sfrustrowana, ani zażenowana. Po prostu próbowała zaplanować swoje życie, przy czym doskonale potrafiła o siebie zadbać. Gray słuchał przez długi czas, patrzył na nią i kręcił głową.

– Czy to wszystko brzmi okropnie albo jakoś po wariacku? – zapytała. – Czasami sama się nad tym zastanawiam.

Była z nim boleśnie szczerą, jednocześnie silną i bezbronną, a to dosłownie zważyło go z nóg. Nigdy nie znał nikogo takiego jak ona, ani mężczyzny, ani kobiety, i chciał poznać ją lepiej.

– Nie, nic nie brzmi okropnie. Smutno, ale prawdziwie. Życie jest smutne i prawdziwe. Wydajesz mi się niezwykle normalna, na pewno bardziej normalna ode mnie. Nawet nie pytaj o kobiety, z którymi byłem, wszystkie wylądowały w jakichś szpitalach psychiatrycznych, tam jest ich miejsce. Nie wiem, dlaczego myślałem, że mogę się bawić w Boga i naprawić wszystkie krzywdy, które je spotkały, chociaż większość z nich same sobie wyrządziły. Nie wiem, dlaczego uważałem, że zasłużyłem na te tortury, już dawno przestało mnie to bawić. Nie mogę tak dłużej, wolę być sam.

Mówił poważnie, zwłaszcza po wysłuchaniu Sylvii. Samotność była znacznie lepsza niż użeranie się z wariatkami, oznaczała spokój. Gray podziwiał Sylwię i pragnął ją naśladować. Stanowiła dla niego wzór normalności i psychicznego zdrowia. Słuchając jej, nie wiedział, czy pragnął jej jako kobiety, czy tylko jako przyjaciółki. Obie możliwości go pociągały. Sylvia była piękna, kiedy na nią patrzył, ale nade wszystko cenił jej przyjaźń.

– Może czasami wybierzemy się do kina, kiedy już wrócimy do Nowego Jorku – zaproponował ostrożnie.

– Z przyjemnością – powiedziała swobodnie. – Chociaż ostrzegam cię, że mam fatalny gust, jeśli chodzi o filmy. Moje dzieci nie chcą nawet ze mną chodzić do kina. Nie cierpię filmów europejskich i ambitnych, seksu, przemocy, smutnych zakończeń ani nadętych bzdur. Lubię filmy, które rozumiem, ze szczęśliwymi zakończeniami, takie, na których śmieję się i płaczę, a nie zasypiam. Jeśli po wyjściu z kina będziesz chciał zapytać, o czym właściwie to było, idź z kimś innym, nie ze mną.

– Doskonale. Obejrzymy stare odcinki *Kocham Lucy* i wypożyczymy sobie filmy Disneya. Ty przynosisz popcorn, ja wypożyczam film.

– Umowa stoi – roześmiała się.

Potem odprowadził ją do hotelu, objął na pożegnanie i podziękował za wspaniały poranek w jej towarzystwie.

– Naprawdę jutro wyjeżdżacie? – zapytał ze zmartwioną miną.

Chciał ją jeszcze zobaczyć, zanim oboje opuszczą Portofino. Jeśli nie, to w Nowym Jorku. Nie mógł się doczekać, żeby do niej zadzwonić po powrocie. Nigdy dotąd nie spotkał kobiety, z którą lubiłby rozmawiać. Za bardzo był zajęty ratowaniem desperatek, żeby szukać przyjaciółki. I nagle spotkał Sylwię Reynolds. Miał pięćdziesiąt lat, był w Portofino, nawet on uważał to za szaleństwo, ale czuł się tak, jakby odnalazł kobietę swoich marzeń. Nie miał pojęcia, co by zrobiła, gdyby jej o tym powiedział. Pewnie uciekłyby co sił w nogach i wezwała policję. Zastanawiał się, czy zaraził się szaleństwem od swoich stukniętych podopiecznych, czy zawsze był równie szalony jak one. Sylvia nie była szalona, tylko piękna, mądra, uczciwa, otwarta, bezbronna i rzeczywista. Wyjeżdżamy jutro – powiedziała cicho.

Też nie chciała się z nim rozstawać, co trochę ją zaniepokoiło. Chociaż powiedziała swojemu terapeutce, że jest gotowa kogoś spotkać, teraz, kiedy tego kogoś naprawdę spotkała, chciała tylko uciekać jak najszybciej, zanim znowu zostanie skrzywdzona. Ale równocześnie chciała go zobaczyć przed wyjazdem. Uśmiechnęła się, czując dziwny zamęt w głowie.

– W sobotę i niedzielę wyjeżdżamy na Sycylię, potem muszę jechać do Paryża, żeby się spotkać z kilkoma artystami. Później spędzę tydzień na Sycylii z dziećmi. Wracam do Nowego Jorku za dwa tygodnie.

– Ja za trzy – oznajmił radośnie. – Ten weekend też chyba spędzimy na Sardynii. Wybieraliśmy się tam.

Skoro wyjeżdżała z Portofino, on też chciał odpłynąć, jeśli Charlie i Adam się zgodzą.

– Co za szczęśliwy przypadek – uśmiechnęła się i znowu poczuła się młoda. – Może zjecie dzisiaj z nami obiad w porcie? Dobra pasta i złe wino, nie takie, do jakiego jesteście przyzwyczajeni.

– Nie oceniaj mnie zbyt wysoko. Jeśli przyjdiesz do mnie na obiad, podam ci sikacza, którego zwykle piję.

– Ja przyniosę wino – zaproponowała. – A ty przyrządzisz obiad. Fatalnie gotuję.

– Zgoda. Miło wiedzieć, że czegoś nie potrafisz. Podobno jestem dość przyzwoitym kucharzem. Pasta, tacos, burritos, gulasz, pieczeń, sałatki, kanapki z galaretką i masłem fistaszkowym, naleśniki, jajecznica, makaron z serem. To tyle.

– Naleśniki. Uwielbiam naleśniki. Zawsze je przypalam. Nikt nie chce ich jeść.

Roześmiała się, a on uśmiechnął się na myśl, że będzie dla niej gotował.

– Doskonale. *Kocham Lucy* i naleśniki. Jakie lody na deser? Czekoladowe czy waniliowe?

– Miętowe z czekoladowymi wiórkami, z czarnych jagód albo bananowo-orzechowe – wyznała poufnie.

Zaczynało jej się podobać to, co przy nim czuła. Było to jednocześnie straszne i przyjemne. Jak na karuzeli życia. Od dawna nie jeździła na takiej karuzeli i dopiero teraz zrozumiała, jak jej tego brakowało. Od lat nie spotkała mężczyzny, który by ją pociągał. Tak

jak ten.

– O Boże. Markowe lody. Co jest złego w kubelkach ze sklepu?

– Przyniosę lody i wino, skoro tak.

– I nie zapomnij o popcornie! – przypomniał.

Obiad nie będzie wykwinny, ale na pewno dobry. Wszystko, cokolwiek robił z Sylvią, będzie dobre, jak dzisiejsza wycieczka do San Giorgio. Bardzo dobra.

– O której wieczorem jecie obiad? – zapytał, kiedy znów ją uściskał. Tylko po przyjacielsku, żeby jej nie przestraszyć ani nie zobowiązać do czegoś więcej niż prosty obiad u niego w domu. Resztę odkryją później, jeśli oboje tak zdecydują. Miał nadzieję, że tak.

– Wpół do dziesiątej w Da Puny. Do zobaczenia.

Uśmiechnęła się swobodnie, pomachała i zniknęła za drzwiami hotelu. Gray sprężystym krokiem zszedł do portu, gdzie czekała na niego szalupa z marynarzem. Uśmiechał się przez całą drogę powrotną na jacht i nadal uśmiechnięty wszedł na pokład. Dochodziła już pierwsza i przyjaciele czekali na niego z lunchem.

– Dużo czasu spędziłeś w kościele z kobietą, której prawie nie znasz – zauważył złośliwie Charlie, patrząc na przyjaciela. – Oświadczyłeś się?

– Pewnie powinienem, ale zmarnowałem okazję. Poza tym ona ma dwójkę dzieci, a wiesz, jak nie znoszę dzieci.

Charlie roześmiał się i nie wziął tej odpowiedzi na serio. Te dzieci są dorosłe. Ona mieszka w Nowym Jorku, a one w Anglii i we Włoszech. Jesteś bezpieczny.

– No, może. Ale dzieci to dzieci, w każdym wieku.

Charlie wiedział doskonale, że Gray nie przepada za rodzinną atmosferą. Przekazał zaproszenie na wieczór, które dwaj pozostali chętnie przyjęli. Adam przyglądał się Grayowi uważniej niż Charlie.

– Coś się dzieje między wami? – zapytał podejrzliwie.

Gray udał, że to pytanie go rozbawiło. Nie chciał się im zwierzać. Na razie nic się nie stało. Po prostu lubił ją i miał nadzieję, że ona też go lubi. Nie miał nic do powiedzenia.

– Chciałbym. Ona ma świetne nogi, ale jedną okropną wadę, jak zauważyłem.

– Jaka? – zainteresował się Charlie.

Wady kobiet zawsze go fascynowały. Miał na tym punkcie obsesję.

– Jest zdrowa psychicznie. Nie mój typ, niestety.

– No tak, od razu wiedziałem – zgodził się Adam.

Gray poinformował ich, że całe towarzystwo Sylvii następnego dnia wyjeżdża na Sycylię. Plan popłynięcia na wyspę spodobał się przyjaciołom. Portofino było urocze, ale wszyscy przyznali, że bez nowych znajomych będzie mniej zabawne. Charlie zaproponował, żeby wypłynęli wieczorem po obiedzie i podróżowali nocą. Gdyby wyruszyli o północy, mogli dotrzeć na Sycylię następnego dnia wieczorem, akurat w porze obiadu. Z przyjemnością spotkają znowu znajomych w Porto Cervo i spędzą razem wspaniały weekend. A gdyby Adam zmienił jednak zdanie, mógłby jeszcze raz spróbować poderwać siostrzenicę Sylvii. Ale nawet bez tego dobrze będą się bawić.

Charlie przekazał plan kapitanowi, który miał poinstruować załogę. Nocne rejsy były

łatwiejsze dla pasażerów, ale trudniejsze dla marynarzy. Często jednak tak podróżowali. Powiedział, że prześpi się, kiedy Charlie z gośćmi pójdą na obiad, i wypłynie zaraz po ich powrocie. Bez trudu zdążą na obiad następnego dnia.

Gray powiedział o tym Sylvii wieczorem. Odpowiedziała mu uśmiechem. Ciekawiło ją, co powiedział o niej swoim towarzyszom. Trochę się wstydziła swojej słabości do niego. Nie czuła czegoś takiego od lat i nie chciała jeszcze odkrywać się przed Grayem, widziała jednak, że on odwzajemnia jej uczucia i również ją lubi. Przypomniła się jej młodość.

Przy obiedzie Sylvia siedziała naprzeciwko Graya, lecz ani słowem, ani gestem nie zdradziła, co do niego czuje. Żegnając się, ucałowała jego, Adama i Charliego w oba policzki i obiecała, że spotkają się w jachtklubie w Porto Cervo następnego dnia. Kiedy odchodzili, Gray odwrócił się, żeby na nią spojrzeć jeszcze raz, ale ona się nie obejrzała. Rozmawiała z ożywieniem ze swoją siostrzenicą. Zatrzymały się, żeby kupić lody na *piazza*, i Gray ponownie spostrzegł, że Sylvia ma świetną figurę. I wybitny umysł. Sam nie wiedział, co mu się bardziej podobało.

– Ona cię lubi – stwierdził Adam, kiedy wsiedli do szalupy. Przypomniła mu się szkoła średnia. Charlie śmiał się z nich obu.

– Ja też ją lubię – odparł niedbale Gray, spoglądając na czekającą „Blue Moon”.

– Naprawdę cię lubi. Myślę, że chce pójść z tobą do łóżka.

– To nie jest kobieta tego rodzaju – oświadczył Gray z kamienną twarzą. Pragnął chronić ją przed tego typu komentarzami, które nagle wydały mu się bardzo lekceważące.

– Nie wciskaj mi kitu. To piękna kobieta, musi pójść z kimś do łóżka. Dlaczego nie z tobą? Chyba że uważasz, że jest dla ciebie za stara – zastanawiał się głośno Adam.

Gray pokręcił głową.

– Nie jest za stara. Mówiłem ci, jest za normalna.

– Tak, chyba tak. Ale nawet normalne kobiety lubią się bzykać.

– Zapamiętam to sobie na wypadek, gdybym na taką trafił – uśmiechnął się Gray.

Charlie przyglądał się mu z zainteresowaniem. On też się zastanawiał, co łączy Graya z Sylvią.

– Nie martw się, nie trafisz – zaśmiał się Adam.

Trzej mężczyźni weszli na pokład „Blue Moon” i Charlie nalał każdemu po kieliszku brandy, zanim poszli spać. Siedzieli na pokładzie rufowym w blasku księżyca, załoga podniosła kotwicę i jacht wypłynął z portu. Gray obserwował taniec księżyca na wodzie, myślał o Sylvii w pokoju hotelowym i żałował, że go tam nie ma. Nie wyobrażał sobie, żeby miało go spotkać takie szczęście. Ale może pewnego dnia... Przecież umówili się na naleśniki i lody w Nowym Jorku. A potem kto wie? Przedtem jeszcze czekał ich weekend na Sardynii. Po raz pierwszy od dawna Gray znowu czuł się jak chłopiec. Pięćdziesięcioletni chłopiec, który spotkał absolutnie wspaniałą czterdziestodwuletnią dziewczynę.

Rozdział 4

Weekend na Sardynii z Sylwią i jej przyjaciółmi spełnił ich nadzieje na dobrą zabawę. W Porto Cervo przyłączyły się do nich jeszcze dwie włoskie pary. Charlie zabierał wszystkich na jacht na lunche i obiady, pływanie i narty wodne. Gray i Sylvia mieli okazję poznać się lepiej, nawet otoczeni przez innych ludzi. Adam obserwował ich przez cały weekend i doszedł do wniosku, że są tylko przyjaciółmi. Charlie nie był o tym przekonany, ale zachował swoje spostrzeżenia dla siebie. Wiedział, że jeśli Gray zechce mu coś powiedzieć, to powie. Charlie sam sporo rozmawiał z Sylwią. Rozmawiali o jego fundacji i działalności, którą prowadziła ona, o jej galerii i artystach, których reprezentowała. Nie ulegało wątpliwości, że Sylvia kocha swoją pracę, a także że polubiła jego przyjaciela. Gray też ją lubił. Kilkakrotnie gawędzili cicho ze sobą, pływali razem, tańczyli w nocnych klubach i często się śmiali. Pod koniec weekendu wszyscy uważali się już za serdecznych przyjaciół.

Po odjeździe Sylwii i jej towarzystwa Charlie, Adam i Gray popłynęli na dwa dni na Korsykę. Mieli już dość Sardynii, zresztą bez tamtych nie mogliby się tak dobrze bawić. Gray rozmawiał cicho z Sylwią, zanim ostatecznie nie zeszła z pokładu. Obiecał, że zadzwoni do niej w Nowym Jorku, jak tylko wróci. Sylvia uściskała go i życzyła wszystkim wspianalego rejsu.

Z Korsyki popłynęli na Ischię, a stamtąd na Capri. Potem ruszyli wzdłuż zachodniego wybrzeża Włoch, wrócili na Riwierę Francuską na ostatni tydzień wakacji i rzucili kotwicę w Antibes. Chodzili do restauracji i nocnych klubów, spacerowali, pływali, robili zakupy, poznawali ludzi, tańczyli z kobietami i zmieniali obcych w przyjaciół.

Któregoś z ostatnich wieczorów jedli obiad w Eden Roc. Wszyscy przyznali, że wyprawa udała się doskonale.

– Powinieneś przyjechać do St. Bart's tej zimy – namawiał Graya Adam. Zawsze tam leciał po Nowym Roku, żeby spędzić tydzień czy dwa na jachcie z Charliem. Gray twierdził, że miesiąc pływania w lecie mu wystarczy. Tamci wiedzieli, dlaczego nie znosił Karaibów. Budziły w nim zbyt wiele złych wspomnień.

– Może kiedyś przyjadę – obiecał niejasno Gray. Charlie powiedział, że ma taką nadzieję.

Ostatniego wieczoru zawsze ogarniała ich nostalgia. Żaden nie chciał opuszczać przyjaciół i wracać do prawdziwego życia. Adam spędzał tydzień w Londynie z Amandą i Jacobem, zabierał ich na weekend do Paryża i zatrzymywał się w Ritzu. Łagodnie przechodził na niższy poziom po luksusach na „Blue Moon”. Gray leciał prosto z Nicei do Nowego Jorku, więc jak zwykle czekał go szok. Wracał do pracowni bez windy w dzielnicy Meatpacking, która wprawdzie zrobiła się modna, ale studio pozostało równie niewygodne jak dawniej. Przynajmniej było tanie. Nie mógł się doczekać, żeby zadzwonić do Sylwii, kiedy tylko wróci do domu. Miał ochotę zadzwonić do niej z jachtu, ale nie chciał prowadzić kosztownych rozmów na koszt Charliego; uważał, że to nie wypada. Wiedział, że wróciła tydzień wcześniej, po wycieczce na Sycylię z dziećmi. Charlie zostawał na jachcie we Francji przez następne trzy tygodnie. Zawsze czuł się samotny, kiedy przyjaciele wyjeżdżali. Nie znosił

tych rozstań.

Rankiem w dzień wyjazdu Adam i Gray wspólnie pojechali na lotnisko limuzyną, którą wynajął dla nich steward. Charlie stał na pokładzie rufowym i machał do nich. Żałował, że odjeżdżają. Byli jego najlepszymi przyjaciółmi i porządnyimi ludźmi. Mimo wszelkich ich dziwactw i kompleksów, mimo komentarzy Adama na temat kobiet i jego słabości do młodych dziewczyn Charlie wiedział, że to przyzwoici faceci i bardzo troszczą się o jego dobro, podobnie jak on troszczy się o nich. Zrobiłby dla nich wszystko i wiedział, że oni dla niego też. Byli trzema muszkietierami, na dobre i na złe.

Adam zadzwonił do Charliego z Londynu, żeby mu podziękować za fantastyczną wyprawę. Następnego dnia Gray przysłał mu email z takim samym podziękowaniem. Najlepsze wakacje ze wszystkich, przyznawali. Trudno to sobie wyobrazić, ale z roku na rok ich wspólne wyprawy stawały się coraz lepsze. Odwiedzali cudowne miejsca, poznawali wspaniałych ludzi i coraz lepiej się razem bawili. Czasami Charlie myślał, że życie nie jest takie złe, nawet jeśli nigdy nie uda mu się spotkać odpowiedniej kobiety. Przynajmniej miał dwóch wyjątkowych przyjaciół, a mogło być gorzej.

Przez ostatnie dwa tygodnie na jachcie kierował interesami przez komputer, umawiał się na spotkania po powrocie i robił listę napraw, których kapitan miał dopilnować. W listopadzie płynęli na Karaiby i Charlie bardzo chciał odbyć ten rejs bez przeszkód. Na jachcie zawsze najlepiej wypoczywał, ale w tym roku miał zbyt wiele obowiązków. Fundacja przekazała prawie milion dolarów na nowe schronisko dla dzieci i Charlie chciał sprawdzić, jak są wydawane te pieniądze. W trzecim tygodniu września zszedł 7. pokładu, gotów wrócić do biura i spotkać się z przyjaciółmi. Nie było go prawie trzy miesiące. Czas wracać do domu, cokolwiek to znaczy, w jego przypadku pusty apartament, biuro, gdzie podtrzymywał rodzinne tradycje, zasiadając w komitetach i radach nadzorczych, czas spędzany ze znajomymi, proszone obiady i wydarzenia kulturalne. Nigdy słowo „dom” nie oznaczało osoby, do której mógł wracać, która na niego czekała i z którą dzielił życie. Wydawało się coraz mniej prawdopodobne, że znajdzie kiedyś taką osobę, lecz nawet gdyby nie znalazł, musiał wrócić do domu. Nie miał dokąd pójść. Nie mógł przez całe życie chować się przed rzeczywistością na jachcie. Zresztą w Nowym Jorku miał Graya i Adama. Zamierzał do nich zadzwonić zaraz po powrocie i spytać, czy nie mają ochoty zjeść z nim obiadu. Właściwie miał do kogo wracać, to byli jego przybrani bracia i był za nich wdzięczny losowi.

Lot do Nowego Jorku upłynął spokojnie. Charlie, w przeciwieństwie do Adama, latał liniami lotniczymi. Uważał, że nie warto kupować samolotu. Adam jednak częściej podróżował i jemu to się opłacało. Charlie wiedział z rozkładu zajęć, który przysłała mu sekretarka Adama, że tego wieczoru Adam też wraca do Nowego Jorku. Po podróży do Europy z dziećmi, spędził cały tydzień w Las Vegas. Charlie dostał też email od samego Adama z zaproszeniem na koncert w następnym tygodniu. Uwielbiał takie megaimprezy, chociaż Gray twierdził, że ich nienawidzi. Zapowiadała się niezła zabawa, więc odmailował Adamowi, że chętnie pójdzie. Adam odpisał, że się cieszy.

Przez ostatnie tygodnie od Graya nie dochodziły prawie żadne wiadomości. Charlie zakładał, że Gray pracuje, zamknięty we własnym świecie, po miesiącu przerwy w

malowaniu. Gray znikał czasami na całe tygodnie i powracał zwycięski, kiedy udało mu się pokonać szczególnie oporne malarskie wyzwanie. Charlie podejrzewał właśnie coś takiego. Zamierzał zadzwonić do Graya w najbliższym tygodniu. Gray jak zwykle zdziwił się, kiedy go usłyszy. Przy pracy całkiem tracił poczucie czasu. Czasami nie miał pojęcia, jaka jest pora roku, ponieważ tygodniami nie wychodził ze studia. Zawsze w ten sposób pracował.

W Nowym Jorku było parno i duszno. Charlie przyleciał późnym popołudniem. Szybko przeszedł przez cło, nie miał nic do zadeklarowania. Z biura wysłano po niego samochód. Przy wjeździe do miasta ponury widok Queens podziałał na niego przygnębiająco. Wszędzie było brudno, ludzie wyglądali na zgrzanych i zmęczonych, a kiedy otworzył okno w samochodzie, gorące powietrze buchnęło mu w twarz niczym nieświeży oddech zmieszany ze spalinami. Witamy w domu.

W apartamencie poczuł się jeszcze gorzej. Sprzątaczkę wywietrzyły mieszkanie, ale nadal pachniało stęchlizną i smutkiem. Żadnych kwiatów, nigdzie ani śladu życia. Trzy miesiące to długi czas. Poczta, której nie przesłano do Francji, czekała na niego w gabinecie. W lodówce było jedzenie, ale nie miał kto go przygotować. Zresztą nie czuł głodu. Na automatycznej sekretarce nie było żadnych wiadomości. Nikt nie wiedział, że Charlie wraca, a co gorsza nikogo to nie obchodziło. Po raz pierwszy stanął w pustym mieszkaniu i zadał sobie pytanie, co jest nie w porządku z nim i z jego przyjaciółmi. Czy tego właśnie chcieli? Czy do tego dążył Adam, kiedy starał się unikać związków i umawiał ze studentkami albo głupiutkimi panienkami? Co oni sobie myślą, do diabła? Trudno powiedzieć. Jeszcze nigdy w życiu Charlie nie czuł się równie samotny jak tego wieczoru.

Od dwudziestu pięciu lat przesiewał kobiety przez sito swoich wymagań, wyszukując mikroskopijne niedoskonałości, niczym małpia matka iskająca małe z pcheł. I nieuchronnie znajdował wady, miał więc pretekst, żeby odtrącić swoją wybrankę. Dlatego stał tutaj w poniedziałkowy wieczór w pustym mieszkaniu z widokiem na Central Park, gdzie pary spacerowały, trzymając się za ręce, albo leżały na trawie, spoglądając wspólnie na zieleń drzew. Żadna z dziewczyn nie była doskonała. Dlaczego im to wystarczało, a jemu nie? Dlaczego w jego życiu wszystko musiało być doskonałe i dlaczego żadna kobieta nie spełniała jego wymagań? Od śmierci siostry minęło dwadzieścia pięć lat. Trzydzieści, odkąd rodzice zginęli we Włoszech. Przez te wszystkie lata Charlie wytrwale stał na straży swojego pustego życia, z niesłabnącą czujnością wypatrując barbarzyńców u bram. Wbrew sobie zaczynał się zastanawiać, czy nie nadszedł czas, żeby wpuścić jednego barbarzyńcę do środka. Zawsze się tego bał, może jednak w końcu to właśnie przyniesie mu ulgę.

Rozdział 5

Chociaż Gray bardzo chciał udawać obojętność, nie mógł się powstrzymać, żeby nie zadzwonić do Sylvii tego samego wieczoru, kiedy wrócił do Nowego Jorku, pierwszego września. Zaczął się weekend przed Świętem Pracy, mogła więc wyjechać z miasta. Ku jego wielkiej uldze okazało się, że nie wyjechała. Zdziwiła się, słysząc jego głos, i przez chwilę bał się, że wcześniej źle ją zrozumiał albo się przesłyszał i że zadzwonił niepotrzebnie.

– Jesteś zajęta? – zapytał nerwowo, bo wydawała się roztargniona i niezbyt ucieszona.

– Nie, przepraszam. Mam przeciek w kuchni i nie wiem, co zrobić z tym draństwem.

Wszyscy w jej kamienicy wyjechali na długi weekend.

– Dzwoniłaś do dozorca?

– Tak, jego żona właśnie rodzi. A hydraulik powiedział, że może przyjść dopiero jutro po południu, za podwójną opłatą z powodu święta. Sąsiad do mnie dzwonił, że kapie mu z sufitu – powiedziała z rozpaczą.

Przynajmniej ten ton brzmiał znajomo. Damy w opałach to była jego specjalność.

– Co się stało? Czy samo zaczęło cieknąć, czy coś zrobiłaś?

Nie znał się na instalacjach wodnokanalizacyjnych, ale miał smykałkę do mechanicznych urządzeń, czego jej brakowało. Hydraulika należała do niewielu rzeczy, o których Sylvia nie miała pojęcia.

– Właściwie – zaśmiała się z zakłopotaniem – pierścionek wpadł mi do zlewu i próbowałam rozebrać to cholerne urządzenie, zanim popłynie do ścieków Manhattanu. Wyciągnęłam pierścionek, ale coś się zepsuło i nie zdążyłam dostatecznie szybko złożyć wszystkiego z powrotem. Chyba zrobiłam jakąś dziurę. I nie wiem, co robić.

– Zostaw to mieszkanie. Natychmiast znajdź sobie inne – poradził Gray. Sylvia wybuchnęła śmiechem.

– Bardzo mi pomogłeś. Myślałam, że jesteś specjalistą od ratownictwa. Też mi pomoc.

– Specjalizuję się w neurotyczkach, nie w hydraulice. Jesteś zbyt zdrowa. Zadzwoni do innego hydraulika. – Potem wpadł na lepszy pomysł. – Chcesz, żebym przyjechał?

Przed dziesięcioma minutami przyjechał z lotniska. Nawet jeszcze nie sprawdził poczty. Podeszedł prosto do telefonu i zadzwonił do Sylvii.

– Coś mi mówi, że tego nie naprawisz. Poza tym wyglądam odrażająco. Nawet się dzisiaj nie cesałam.

Spędziła cały dzień w domu, przy papierkowej robocie i krzyżówkach z niedzielnego „Timesa”. Lubiała te leniwe dni, kiedy nie miała nic ważnego do roboty. Czasami przyjemnie jest zostać w mieście, kiedy wszyscy z niego wyjadą. Pod koniec samotność dnia zwykle zaczynała jej doskwierać, dlatego właściwie ucieszył ją telefon Graya.

– Ja też jestem odrażający. Dopiero co wysiadłem z samolotu. Poza tym pewnie wyglądasz lepiej, niż myślisz. – Jak mogła wyglądać odrażająco? Potrafił ją sobie wyobrazić tylko piękną, nawet z rozczochranymi włosami.

– Coś ci powiem, uczesz się, a ja naprawię zlew. Albo ja cię uczeszę, a ty naprawisz zlew.

Możemy się zmieniać.

– Zwariowałaś – powiedziała dobrodusznie, z humorem. Miała za sobą nudną, samotną niedzielę świątecznego weekendu i chętnie z kimś porozmawia. – Coś ci powiem. Jeśli naprawisz zlew, postawię ci pizzę. Albo chińszczyznę na wynos, wybieraj.

– Co wolisz. Jadłem w samolocie. Przebiorę się w strój hydraulika i przyjadę za dziesięć minut. Do tej pory nie zdejmuję kapelusza.

– Na pewno? – spytała zakłopotana, ale wdzięczna.

– Na pewno.

I znowu się mieli spotkać. Bez oczekiwania, bez wymyślnych strojów, bez niezręcznej pierwszej randki. Będzie po prostu przeciekający zlew w kuchni i nieuczesane włosy. Gray umył twarz, wyszorował zęby, ogolił się, włożył czystą koszulę i po dziesięciu minutach wyszedł. Po następnych dziesięciu minutach stanął pod drzwiami Sylvii. Mieszkała na strychu na południe od jego domu, w SoHo. Budynek przeszedł renowację i wyglądał bardzo elegancko. Sylvia zajmowała całe ostatnie piętro. Obrazy, które zobaczył wszędzie, gdy tylko wysiadł z windy, wyglądały poważnie i robiły duże wrażenie. Nie należały do tego samego gatunku co jego malarstwo, ale wiedział, że to właśnie sprzedawała. Miała w swojej kolekcji kilku znanych artystów, którzy natychmiast przyciągnęli jego oko. Wygląd mieszkania świadczył wyraźnie o tym, że Sylvia ma znakomity gust.

Zrobiła to samo co on, uczesała się, umyła zęby i włożyła czysty podkoszulek. Poza nim miała na sobie dzinsy, była boso i wyglądała na uszczęśliwioną, że go widzi. Uściskała go szybko i obejrzała z góry na dół.

– Nie wyglądasz na hydraulika.

– Przepraszam, nie mogłem znaleźć kombinezonu. To musi wystarczyć.

– Nosił czyste dzinsy i porządne buty. – Zakręciłaś wodę? Zaprowadziła go do kuchni, pięknie urządzonej w chromie i czarnym granicie. Powiedziała mu, że sama wykonała prawie cały projekt.

– Nie – odparła z konsternacją na jego pytanie. – Nie wiem, jak to zrobić.

– No dobra – mruknął do siebie i wśliznął się pod zlew.

Nieustanna kaskada wody spływała ze zlewu do szafki. Ręczniki zaścielały całą podłogę. Gray na kolanach szukał zaworu. Poprosił Sylvię o klucz francuski. Podała mu go i chwilę później woda przestała płynąć. Problem został rozwiązany, przynajmniej doraźnie. Gray wyszedł spod zlewu zadowolony, w dzinsach przemoczonych do kolan.

– Jesteś geniuszem. Dziękuję uśmiechnęła się, a potem zerknęła na jego mokre dzinsy. – Przepraszam, wysuszyłabym ci spodnie, ale to trochę przedwczesne żądać, żebyś je zdjął na pierwszej randce. Dawno nie praktykowałam, ale myślę, że tak nie wypada.

Zdawała sobie sprawę, że Gray źle się będzie czuł, siedząc przy obiedzie w mokrych dzinsach, słusznie też się domyślała, że jest zmęczony po podróży i nie potrzebuje dodatkowej niewygody.

– Może tym razem pominiemy randkową etykietę. Ściągaj spodnie. Włożę je do suszarki. Dam ci ręcznik. Możemy zamówić pizzę z dostawą.

Pięć minut później wróciła z białym ręcznikiem, wielkim, puszystym i luksusowym.

Pokazała Grayowi łazienkę dla gości, gdzie mógł się przebrać. Po chwili wyszedł, owinięty w talii ręcznikiem. Wyglądał śmiesznie w koszuli, butach i skarpetkach.

– Trochę mi głupio – wyznał z zażenowanym uśmiechem – ale pewnie czułbym się jeszcze głupiej, jedząc obiad w bokserkach.

Roześmiała się i zaprowadziła go do salonu. Ogromny pokój wypełniały rzeźby i obrazy. Wspaniale się tutaj prezentowały. Gray zauważył kilka dzieł słynnych artystów.

– O! Masz parę świetnych rzeczy.

– Gromadzę kolekcję od lat. Kiedyś przekażę ją dzieciom.

Te słowa przypomniały mu, że wszystko to nie jest takie proste, przynajmniej dla niego. Wzmianka o dzieciach zabrzmiała jak stłumiony pomruk gromu gdzieś w tle. Nigdy nie chciał się spotykać z kobietami, które miały dzieci. Ale Sylvia była inna. Pod każdym względem różniła się od dziewczyn, które znał. Może jej dzieci też są inne. W każdym razie nie były jego dziećmi. Cierpiał na jakiś psychotyczny lęk przed małymi dziećmi albo miał fobię. Nie bardzo wiedział, co to znaczy, ale wiedział, że to nic niedobrego.

– Gdzie są? – zapytał, rozglądając się nerwowo, jakby się spodziewał, że wyskoczą z szafy i rzucą się na niego niczym węże albo pitbulle. Sylvia zobaczyła jego minę i znowu się roześmiała.

– W Europie. Pamiętasz? Tam mieszkają. W Oksfordzie i we Florencji. Przyjadą do domu dopiero na święta. Jesteś bezpieczny. Chociaż żałuję, że ich tu nie ma.

– Miałaś przyjemną wycieczkę? – zapytał uprzejmie.

Sylvia wyszła do kuchni nastawić suszarkę i po chwili wróciła do salonu.

– Bardzo przyjemną. A ty? Jak minęła reszta rejsu?

Usiadła na kanapie, a on naprzeciwko niej w ogromnym czarnym skórzanym fotelu. Wyglądała pięknie boso i w dżinsach. Czuł się szczęśliwy, kiedy na nią patrzył, tak szczęśliwy, jaki nie był od lat. Tęsknił za nią, co uważał za wariactwo. Prawie jej nie znał, ale myślał o niej bez przerwy przez ostatnie tygodnie rejsu.

– Wspaniale – odpowiedział.

Sylvia powstrzymywała uśmiech, patrząc na niego, kiedy tak siedział owinięty w ręcznik. Wyglądał zabawnie, uroczo i rozbrajająco.

– Właściwie nie – poprawił się. – Było dobrze. Ale nie tak dobrze, jak w Portofino i na Sardynii z tobą. Dużo o tobie myślałem, kiedy wyjechałaś.

– Ja też o tobie myślałam wyznała z uśmiechem. – Cieszę się, że wróciłaś. Nie spodziewałam się, że tak szybko zadzwonisz.

– Ani ja. Chociaż właściwie tak. Chciałem do ciebie zadzwonić zaraz po powrocie.

– Dobrze, że zadzwoniłeś. Jaką chcesz pizzę?

– A jaką ty lubisz?

– Wszystko jedno. Pepperoni, pesto, z klopsikami, zwykłą.

– Każdą – powiedział, patrząc na nią. Zachowywała się całkiem swobodnie w swoim królestwie.

– Zamówię z różnymi dodatkami, tylko bez anchois. Nie znoszę anchois.

– Ani ja.

Poszła zajrzeć do suszarki, wróciła z džinsami i podała mu spodnie.

– Ubierz się, a ja zamówię pizzę. Dziękuję za naprawienie zlewu.

– Niczego nie naprawiłem – przypomniał. – Zakręciłem wodę, żeby nie ciekło. We wtorek musisz wezwać hydraulika.

– Wiem.

Gray znowu zniknął w łazience z džinsami. Wrócił ubrany i podał Sylvii złożony ręcznik. Wzięła go ze zdziwioną miną.

– Że też nie rzuciłeś go byle jak na podłogę! Myślałam, że wszyscy mężczyźni tak robią.

Wystraszyła go na chwilę. Wydawała się taka zaskoczona, kiedy podawał jej ręcznik. W jej mieszkaniu panował tak nieskazitelny porządek, że Gray nie wyobrażał sobie, co innego mógł zrobić z ręcznikiem.

– Mam wrócić i cisnąć go na podłogę? – zaproponował.

Pokręciła głową. Zadzwoiła po pizzę i poczęstowała go kieliszkiem wina. Trzymała w lodówce kilka butelek doskonałego kalifornijskiego chardonnay i otworzyła jedną dla niego. Okazało się przepyszne.

Wrócili do salonu. Tym razem Sylvia usiadła obok Graya na kanapie, zamiast po drugiej stronie stolika do kawy. Miał ogromną ochotę przyciągnąć ją bliżej, ale jeszcze nie był gotowy podobnie jak ona. Wyczuwał między nimi wyraźne skrępowanie. Prawie się nie znali, w dodatku nie widzieli się przez parę tygodni.

– Ty też nie wydajesz mi się typowa – oświadczył, nawiązując do jej zdziwienia, że nie rzucił czystego białego ręcznika na podłogę. – Powinnaś dostać ataku hysterii z powodu tego przecieku w kuchni albo nawet wmawiać mi, że to moja wina, ewentualnie sprawka twojego ostatniego faceta albo byłego męża, który cię terroryzuje i chce zamordować nas oboje. I lada chwila wdrze się tu po schodkach pożarowych ze spluwą w garści.

– Tu nie ma schodków pożarowych – odparła przepraszającym tonem, śmiejąc się z jego opisu. Nie potrafiła sobie wyobrazić, że takie kobiety znał wcześniej. On już też nie potrafił.

– To upraszcza sprawę – powiedział cicho, patrząc na nią z podziwem. – Ogromnie mi się podoba twoje mieszkanie, Sylvio. Jest piękne, proste i eleganckie, całkiem jak ty.

Nic tu nie było pretensjonalne ani na pokaz, przeciwnie, wszystko miało styl i wysoką klasę.

– Mnie też się podoba. Mam tutaj wiele skarbów, bardzo dla mnie cennych.

– Widzę – przyznał.

Pomyślał, że ona sama staje się dla niego cennym skarbem. Teraz, kiedy znów ją zobaczył, podobała mu się jeszcze bardziej niż przedtem. We własnym mieszkaniu wydawała się jakby prawdziwsza, ważniejsza. Zupełnie inaczej postrzegał ją w restauracji czy na jachcie Charliego. Wtedy wyglądała pięknie i ponętnie, teraz jednak nabrała rzeczywistego wymiaru.

Czekając na pizzę, rozmawiali o jej galerii i artystach, których reprezentowała.

– Strasznie chciałabym obejrzeć twoje prace – powiedziała w zamyśleniu. Gray pokiwał głową.

– Ja też chciałbym, żebyś je zobaczyła. Nie wystawiasz tego rodzaju sztuki.

– W czyjej jesteś galerii? – zapytała.

Nigdy o tym nie wspominał. W odpowiedzi tylko wzruszył ramionami.

– W tej chwili nie mam galerii. Mój ostatni marszand dał mi się we znaki. Powinienem znaleźć kogoś innego. Na razie i tak nie wystarczy mi prac na wystawę, nie ma więc pośpiechu.

Przyniesiono pizzę. Sylvia zapłaciła za nią, chociaż Gray też chciał płacić. Powiedziała, że to jego honorarium za powstrzymanie przecieku. Usiedli przy kuchennym stole i zjedli pizzę, gawędząc swobodniej. Sylvia nalała wina, zgasiła światło, zapaliła świece i rozstawiła ładne włoskie talerze. Wszystko, co zrobiła, czego dotknęła, co miała, nosiło znamiona elegancji i stylu. Tak jak ona sama, z włosami zebranymi w prosty koński ogon, boso i w dżinsach. Nosiła ten sam komplet bransoletek z turkusami, który zauważył u niej we Włoszech.

Przez długi czas rozmawiali o mało ważnych sprawach. Po prostu cieszyli się swoim towarzystwem. Minęła dziesiąta, zanim wreszcie przyznał, że odczuwa skutki zmiany stref czasowych. W połączeniu z winem sprawiły, że poczuł się senny. Z żalem wstał od stołu i pomógł Sylvii wstawić naczynia do zmywarki, chociaż twierdziła, że sama to zrobi po jego wyjściu. Lubił jej pomagać, widział jednak, że do tego nie przywykła, zazwyczaj sama sobie radziła. Ale przyjemniej było robić coś razem i Gray niechętnie wychodził. Dobrze się czuł z Sivią.

– Dziękuję, że mi pomogłeś, Gray. Doceniam twoją pomoc. Pływałabym teraz w kuchni, gdybyś nie zakręcił wody.

– Sama byś się domyśliła. Miałem wspaniały pretekst, żeby cię zobaczyć – powiedział szczerze. – Dziękuję za pizzę i miłe towarzystwo.

Objął ją i ucałował w oba policzki, a potem wyprostował się i popatrzył na nią, nie wypuszczając jej z objęć, niepewny, czy to nie za szybko. W oczach miał pytanie, na które odpowiedziała bez słów. Przyciągnęła go bliżej do siebie, ich wargi się spotkały. Nie wiadomo, czy to on ją pocałował, czy to ona pocałowała jego. To już nie miało znaczenia. Obejmowali się mocno, wyrażając tym uściskiem całą tęsknotę przeżywaną od tygodni, całą pustkę odczuwaną przez miesiące i lata. Pocałunek trwał bez końca, bez tchu, życiodajny i słodki. A potem, kiedy Gray trzymał ją w ramionach, przytuliła twarz do jego twarzy.

– Nie spodziewałam się tego... – szepnęła. – Myślałam, że przyszedłeś naprawić zlew.

– A ja się spodziewałem – odszepnął. – Chciałem to zrobić we Włoszech, ale sądziłem, że to za szybko.

Pewnie miał rację. Ona też chciała pójść z nim do łóżka, ale zdawała sobie sprawę, że to zbyt wcześnie według wszelkich zasad. Znali się zaledwie od miesiąca i nie widzieli przez całe tygodnie. Wciąż jeszcze przeżywała ten pierwszy pocałunek i właśnie kiedy o tym myślała, on nachylił się i pocałował ją znowu, tym razem bardziej namiętnie. Wbrew sobie zaczęła się zastanawiać, ile razy to robił z innymi kobietami, ile miał przygód, ile wariatek przeszło przez jego życie, ile razy próbował je ratować i poniósł porażkę, ile razy zaczynał od nowa. On był przyzwyczajony do związków bez znaczenia z kobietami, które zmieniały się jak na karuzeli, ona przez całe życie kochała tylko dwóch mężczyzn. A teraz jego. Właściwie jeszcze go nie kochała, ale mogła pokochać. Miał w sobie coś takiego, że chciała, żeby z nią

został, żeby nigdy nie odchodził. Jak ten mężczyzna, który przyszedł na obiad i już nie wyszedł, tylko po prostu się wprowadził.

– Lepiej już pójde – powiedział łagodnym głosem, którego sam dźwięk działał na nią podniecająco.

Kiwnęła głową, myśląc, że powinna się zgodzić, chociaż wcale nie chciała. Otworzyła drzwi, on jednak się zawahał.

– Jeśli jutro z powrotem odkręcę wodę – szepnęła – przyjdiesz ją zakręcić? Spojrzała na niego niewinnie, z włosami lekko rozburzonymi, z rozmarzonym wyrazem twarzy. Roześmiał się.

– Mogę ją zaraz odkręcić, jeśli potrzebujemy pretekstu, żebym został – odszepnął z nadzieją.

– Nie potrzebuję pretekstu, ale chyba nie powinniśmy – odparła skromnie.

– Dlaczego? – Głaskał ją po szyi i prowokująco przesuwiał ustami po twarzy. Przegarnęła mu palcami włosy i przyciągnęła go do siebie.

– Chyba jakiś kodeks określa zasady obowiązujące w takich sytuacjach. Nie wolno przespać się z kimś na pierwszej randce, po zjedzeniu pizzy i naprawieniu zlewu.

– Gdybym o tym wiedział, nie jadłbym tej pizzy ani nie naprawiał zlewu. Uśmiechnął się i dalej ją całował. Nie pamiętał, żeby kiedyś tak bardzo pragnął jakiejś kobiety. Widział, że ona pragnie go równie mocno, ale wciąż ma opory. Przedłużała tę chwilę i rozkoszowała się jego bliskością.

– Zobaczymy się jutro? – zapytała miękko.

Trochę się z nim drażniła, ale ze zdumieniem odkrył, że to mu się podoba, że chciał zaczekać na nią i na właściwą chwilę. Dla niego właściwa chwila była teraz albo wtedy, kiedy ona to powie. Chętnie zaczeka, skoro Sylvia tak woli. Warto na nią zaczekać, przecież czekał już pięćdziesiąt lat.

– U ciebie czy u mnie? – szepnął. – Chciałbym cię zaprosić do siebie, ale mam straszny bałagan. Nie było mnie przez miesiąc i nikt tam nie sprzątał. Może w sobotę. A może wpadnę jutro sprawdzić, jak tam twój zlew?

Galeria była zamknięta i Sylvia miała zamiar pracować w domu. Nie planowała niczego na następny dzień.

– Będę w domu. Wpadnij, kiedy zechcesz, ugotuję ci obiad.

– Ja ugotuję. Zadzwoń rano.

Pocałował ją jeszcze raz i wyszedł. Stała w milczeniu, patrząc na zamknięte drzwi. Gray był niezwykłym mężczyzną i przeżyła z nim magiczne chwile. Weszła do sypialni i patrzyła na pokój, jakby po raz pierwszy się tu znalazła. Ciekawe, jak tu będzie pasował Gray?

A on wyszedł na ulicę i zatrzymał taksówkę, czując, że całe jego życie zmieniło się w ciągu jednego wieczoru.

Rozdział 6

Nazajutrz zadzwonił do Sylvii o dziesiątej rano. W mieszkaniu miał bałagan i nawet nie rozpakował walizki. Poprzedniego wieczoru padł na łóżko, myśląc o niej, i zadzwonił, gdy tylko się obudził. Zajmowała się właśnie papierkową robotą. Uśmiechnęła się, kiedy usłyszała jego głos. Ona nie spała pół nocy, myśląc o nim, a on zasnął jak dziecko.

– Jak się trzyma twój zlew?

– Doskonale.

– Może lepiej wpadnę i sprawdzę.

Roześmiała się i gawędzili przez kilka minut. Powiedział, że musi zrobić parę rzeczy w domu, ale zaproponował, że przyniesie jej lunch o wpół do pierwszej.

– Myślałam, że zjemy razem obiad – zdziwiła się, chociaż przedtem zapowiedziała, że będzie w domu przez cały dzień, co stanowiło milczące zaproszenie.

– Chyba nie mogę tak długo czekać – wyznał szczerze. – Czekałem na ciebie pięćdziesiąt lat. Nie wytrzymam dziewięciu godzin. Masz czas w porze lunchu? – zapytał nerwowo.

Uśmiechnęła się. Zawsze miała dla niego czas. Poprzedniego wieczoru, kiedy ją pocałował, postanowiła wpuścić go do swojego świata i dzielić z nim życie. Nie wiedziała, skąd się wzięło to postanowienie, ale wydawało się słuszne. Chciała z nim być.

– Mam czas, kiedy tylko zechcesz.

– Mogę coś przynieść? Zapiekankę? Ser? Wino?

– Mam w domu to i owo. Nie musisz nic przynosić.

Tyle rzeczy chciała z nim robić: spacerować po Central Parku, wędrować po Village, pójść do kina, leżeć w łóżku i oglądać telewizję, wyjść na obiad, zostać w domu i gotować dla niego, oglądać jego pracę, pokazać mu swoją galerię albo po prostu trzymać go w ramionach. Prawie go nie знаła, a jednak miała wrażenie, że znała go od zawsze.

W pracowni Gray otworzył pocztę, sprawdził rachunki i wyrzucił ubrania z walizki. Zostawił je na podłodze, wybrał tylko to, czego potrzebował. Wziął prysznic, ogolił się, ubrał, szybko wypisał kilka czeków, wybiegł z mieszkania, wrzucił чеки do skrzynki i znalazł jedyną otwartą kwaciarnię w okolicy. Kupił dwa tuziny róż, zatrzymał taksówkę i podał kierowcy adres Sylvii w SoHo. W południe zadzwonił do jej drzwi. Hydraulik właśnie wyszedł. Sylvia szeroko otworzyła oczy na widok róż.

– O mój Boże, jakie piękne... Gray, nie powinieneś.

Naprawdę tak uważała. Wiedziała, że był ubogim artystą, i ten czuły i szczodry gest wywarł na niej duże wrażenie. Gray był prawdziwym romantykiem. Po tylu latach przeżytych z narcystycznymi egoistami trafiła wreszcie na mężczyznę, który nie tylko ją pociągał, ale któremu na niej zależało.

– Gdyby mnie było stać, codziennie wysyłałbym ci róże. Ale to chyba ostatnie na jakiś czas – powiedział z żalem.

Musiał jeszcze opłacić czynsz i rachunek za telefon, a bilet lotniczy okazał się straszliwie drogi. Nie pozwolił, żeby Charlie pokrył koszty jego podróży. Uważał, że może przynajmniej

zapłacić za przelot. Miał nadzieję, że zabierze się samolotem Adama, ale Adam przyleciał do Europy prosto z Las Vegas, a z powrotem poleciał do Londynu z dziećmi.

– Chciałem ci dzisiaj dać róże, bo dzisiaj jest wyjątkowy dzień.

– Dlaczego? – zapytała, nadal trzymając bukiet i patrząc na niego ogromnymi oczami, podekscytowana i jednocześnie lekko przestraszona.

– Bo dzisiaj jest początek... teraz zaczynamy... od tego wszystko się zaczyna. Po dzisiejszym dniu żadne z nas już nigdy nie będzie takie samo.

Odebrał jej róże i położył olbrzymi bukiet na stoliku. A potem wziął ją w ramiona, pocałował i przytulił. Poczował, że zadrżała, spojrzał na nią.

– Chcę, żebyś była szczęśliwa – powiedział miękko. – Chcę, żeby to było dobre dla nas obojga.

Z czasem chciał jej wynagrodzić cierpienia i rozczarowania, które ją spotkały w życiu. Chciał nadrobić własne idiotyczne zaniedbania i porażki. Teraz oboje mieli szansę coś naprawić.

Poszła wstawić kwiaty do wazonu, który postawiła na stole w salonie.

– Jesteś głodny? – zawołała, wchodząc do kuchni.

Poszedł za nią i stanął w drzwiach, patrząc na nią z uśmiechem. Była piękna. Miała na sobie białą koszulę i dżinsy. Bez słowa podszedł bliżej i zaczął rozpinąć jej koszulę. Stała bez ruchu, patrząc mu prosto w oczy. Łagodnie zsunął koszulę z ramion i rzucił na krzesło, a potem podziwiał ją jak dzieło sztuki, jak obraz, który sam namalował. Była doskonała. Skórę miała gładką, nie zdradzającą wieku, ciało młodzieńcze, jędrne i wysportowane. Od dawna nikt go nie oglądał. Żaden mężczyzna nie wiedział, kim była i co czuła, nie troszczył się o to, czego chciała czy potrzebowała. Wydawało jej się, że spędziła tysiąc lat w samotności, a teraz wreszcie zjawił się on. Zupełnie jakby razem wyruszyli w podróż. Nie wiedzieli, dokąd zmierzają, ale połączył ich nieznany wspólny cel.

Gray wziął ją za rękę i w milczeniu zaprowadził do sypialni. Położyli się razem na łóżku i delikatnie rozebrali nawzajem. Leżała obok niego naga. Całował ją, a jej ręce, a potem wargi zaczęły go odkrywać. On stopniowo bez pośpiechu poznawał jej ciało i te długie, niespieszne, drażniące pieszczoty, którymi wyrażał narastające pragnienie, doprowadziłyby ją do szału, gdyby właśnie tego nie chciała. Zachowywał się tak, jakby znał ją od zawsze. Wiedział dokładnie, dokąd się kierować, co robić i jak tam dotrzeć, a ona robiła to samo dla niego. Jakby tańczyli razem taniec, którego kroki doskonale znali, dwa ciała dopasowane niczym dwie połówki całości, tańczące idealnie w tym samym rytmie. Czas jakby się zatrzymał, a potem wszystko przyspieszyło i wreszcie oboje eksplodowali w stratosferze. Leżała w jego ramionach uśmiechnięta i całowała go w milczeniu.

– Dziękuję – szepnęła.

Przytulił ją mocniej. Wciąż leżeli spleceni.

– Zawsze na ciebie czekałem – odszepnął. – Nie wiedziałem, gdzie jesteś... ale zawsze wiedziałem, że gdzieś jesteś.

Nie była równie mądra jak on, już dawno straciła nadzieję, że kiedyś go znajdzie. Wierzyła, że przez resztę życia została skazana na samotność. On był darem, na który dawno

przestała czekać, i już nawet nie wiedziała, że do niego tęskni. A teraz wszedł w jej życie, w jej głowę, w jej serce, w każdy zakątek jej ciała. Na zawsze stał się jej częścią.

Leżeli tak, aż oboje zasnęli. Obudzili się po kilku godzinach, nasytzeni, spokojni, szczęśliwi. Poszli do kuchni i razem przygotowali lunch, nago. Nie wstydziła się go ani on się nie wstydził, chociaż ich ciała nie były już tak idealne jak za młodu. Czuli się całkowicie swobodnie ze sobą. Wzięli jedzenie do łóżka i zjedli je, rozmawiając i żartując. Wszystko między nimi wydawało się łatwe, przyjemne i naturalne.

Potem razem wzięli prysznic, ubrali się i poszli na długi spacer po SoHo. Zatrzymywali się w sklepach, zaglądali do galerii sztuki, kupili lody na ulicy i zjedli je wspólnie. O szóstej wrócili do niej, wypożyczwszy dwa stare filmy. Obejrzelili je razem, leżąc w łóżku, znowu się kochali, a o dziesiątej wieczorem Sylvia wstała i przygotowała obiad.

– Chcę, żebyś jutro przysłała do mnie – powiedział, kiedy przyniosła talerze do łóżka i podała mu jego porcję. Zrobiła jajecznicę z serem i racuchy, idealne zakończenie wyjątkowego dnia, którego oboje nigdy nie zapomną. A tyle jeszcze mieli przed sobą.

– Chciałabym obejrzeć twoje ostatnie prace – powiedziała, jedząc jajecznicę.

– Dlatego musisz przyjść.

– Mogę pójść z tobą rano. Powinam być w galerii w południe, ale przedtem damy radę wpaść do ciebie.

Zgodził się z uśmiechem. Skończyli jajecznicę, wyłączyli telewizor i ułożyli się w swoich objęciach.

– Dziękuję, Gray – szepnęła znowu Sylvia.

Już zasypiał i tylko się uśmiechnął, kiwając głową. Pocałowała go lekko w policzek, przysunęła się jeszcze bliżej i po chwili oboje zasnęli głęboko niczym dwójka szczęśliwych dzieci.

Rozdział 7

Sylvia wstała wcześniej następnego ranka. Zbudziła się, zobaczyła obok siebie śpiącego Graya i przez ułamek chwili czuła zaskoczenie. Potem uśmiechnęła się do siebie i przytuliła do niego. Jeśli połączyło ich coś poważnego, będzie to dla niej wielka zmiana. A jeszcze większa dla niego. Nigdy w życiu nie miał normalnej partnerki, a ona od lat nie miała mężczyzny i towarzysza życia.

Cichutko wysłiznęła się z łóżka i poszła wziąć prysznic. Pozwoliła Grayowi spać jak najdłużej i przygotowała śniadanie dla dwojga. Obudziła go, podając mu tacę do łóżka. Zupełnie inaczej niż tamte kobiety, które karmił, obsługiwał, pielęgnował, pilnował ich i wydzieliał im lekarstwa, bo same były zbyt nieodpowiedzialne i postrzelone. Spojrzał na Sylwię ze zdumieniem, kiedy postawiła tacę na łóżku i pocałowała go w ramię. Wyglądał przystojnie i seksownie w jej łóżku, nawet z rozczochranymi włosami. Strasznie się jej podobał: silny, interesujący i bardzo męski.

– Czy umarłem i poszedłem do nieba, czy to tylko sen? – Założył ręce za głowę i uśmiechnął się do niej. – Chyba nigdy nie dostałem śniadania do łóżka, jeśli nie liczyć zimnej dwudniowej pizzy na papierowym ręczniku.

Postawiła nawet na tacy wazonik z różą. Przyjemnie było go rozpieszczać. Brakowało jej kogoś, na kogo mogłaby chuchać i dmuchać. Prawie przez całe dorosłe życie opiekowała się mężem i dziećmi, a teraz wszyscy odeszli. Cieszyła się więc, że może dogadzać Grayowi.

– Przepraszam, że cię obudziłam – powiedziała.

Dochodziła dziesiąta, a Sylvia chciała jeszcze przed pracą pójść do jego pracowni, jak ustalili wieczorem. Gray popatrzył na zegar.

– Dobry Boże. O której wstałaś?

– Około siódmej. Rzadko śpię do późna.

– Ja też. Ale dzisiaj spałem jak zabity.

Wstał, żeby się uczesać i umyć zęby. Wrócił po chwili i znowu ułożył się w wygodnym łóżku z tacą na kolanach.

– Psujesz mnie, Sylvio. Zrobię się tłusty i leniwy.

Podejrzewała, że to mu nie grozi. Po prostu chciała z nim być, robić coś dla niego. Podala mu gazetę, którą sama wcześniej przeczytała nad kawą i grzanką w kuchni. Zerknął na gazetę i odłożył ją. Wolał rozmawiać z Sylwią.

Gawędzili, kiedy jadł śniadanie. Potem wstał i się ubrał. O jedenastej wyszli z mieszkania, trzymając się za ręce. Sylvia czuła się jak nastolatka, która ma nowego chłopaka. Już dawno nie przeżywała czegoś takiego, więc teraz rozkoszowała się każdą chwilą. Uśmiechała się, kiedy wyszli na wrześnie słońce i Gray wezwał taksówkę. Jazda do jego pracowni trwała krótko. W drodze po schodach na czwarte piętro zniszczonej starej kamienicy przeprosił ją za bałagan.

– Nie było mnie przez miesiąc, ale właściwie przedtem też miałem bałagan. Szczerze mówiąc – uśmiechnął się szeroko, trochę zdyszany po wspinaczce – mam bałagan od lat.

W jego życiu też panował bałagan, o tym jednak nie wspomniał. Swoim partnerkom jawił się jako filar stabilizacji, ale w porównaniu z Sylwią wydawał się niedbały i nieorganizowany. Ona prowadziła doskonale prosperującą galerię, przeżyła dwa długie związki, wychowała dwójką normalnych, zdrowych dzieci i wszystko wokół niej było idealnie, nieskazitelnie uporządkowane. Gray z trudem otworzył drzwi do własnego mieszkania. Wejście blokowała nierozpakowana walizka, paczki wepchnięte byle jak przez dozorcę i stos listów rozsypanych na podłodze. Rachunki, które opłacił poprzedniego dnia, leżały otwarte w nieładzie na stole. Kanapę zaścierały ubrania, rośliny doniczkowe uschły, całe mieszkanie wyglądało na zapuszczone. Panowała tu atmosfera męskiej wygody. Meble wyglądały przyzwoicie mimo wytartej tapicerki. Gray kupił wszystko z drugiej ręki. W kącie stał okrągły stół, przy którym czasami podejmował obiadem przyjaciół, dalej znajdowała się dawna jadalnia, obecnie jego studio. Dlatego Sylvia tu przyszła.

Ruszyła prosto do studia, a on daremnie próbował zaprowadzić trochę porządku. Szybko jednak pojął, że to beznadziejne. Poszedł więc za Sylwią do drugiego pokoju i obserwował reakcję na jego malarstwo. Na sztalugach stały trzy obrazy w różnych stadiach wykończenia. Jeden był prawie skończony, drugi Gray właśnie rozpoczął przed wyjazdem, trzeci zamierzał przerobić, ponieważ nie spełniał jego wymagań. Co najmniej tuzin innych płócien stało opartych o ściany. Sylwią oszłomiły piękno i siła jego prac. Figuratywne i wypracowane, na ogół ciemne, wyróżniały się niezwykłym zastosowaniem światła. Portret kobiety w średniowiecznym stroju przypominał dzieła starych mistrzów. Obrazy są naprawdę piękne, stwierdziła, patrząc na Graya z podziwem i szacunkiem. Różniły się całkowicie od najmodniejszych prac, które wystawiała w swojej galerii. Naprawdę interesowali ją początkujący artyści i wystawiała rzeczy, które łatwo się oglądało i przyjemnie z nimi mieszkało. Sprzedawała też prace kilku bardzo sławnych młodych malarzy, żaden jednak nie miał niewątpliwej wiedzy Graya, jego mistrzowskiej techniki i warsztatu widocznego w obrazach. Wiedziała, że Gray jest pierwszorzędnym mistrzem, teraz jednak zobaczyła w jego pracach dojrzałość, mądrość i ogromny talent. Stała, patrząc na obrazy, pochłaniając je wzrokiem.

– To absolutnie wspaniałe. – Rozumiała już, dlaczego tworzył tylko dwa lub trzy obrazy na rok. Nawet pracując nad kilkoma jednocześnie, jak to robi większość artystów, potrzebował miesięcy, a może lat na wykończenie każdego z nich. – Niesamowite.

Szczególnie zafascynował ją pejzaż, przedstawiający odbłask zachodzącego słońca na wodzie. Można było na to patrzeć przez wieczność. Sylvia wiedziała, że Graya powinna reprezentować ważna galeria, nie taka jak jej. Znał prace, które sprzedawała, ale chciał tylko pokazać jej swoje obrazy. Bardzo szanował jej wiedzę z historii sztuki, a nawet znajomość nowoczesnego malarstwa. Zdawał sobie sprawę, że pozytywna reakcja na jego obrazy to z jej strony wielki komplement. Malował właśnie tak, czyjej się to podobało, czy nie.

– Musisz znaleźć galerię, która będzie cię reprezentować, Gray – oświadczyła surowo.

Powiedział jej wcześniej, że nie miał agenta prawie od trzech lat. Sprzedawał swoje prace ludziom, którzy kupowali je wcześniej, i przyjaciółom, takim jak Charlie, którzy kupili sporo

obrazów i również uważali je za bardzo dobre.

– To zbrodnia, żeby te wszystkie płótna po prostu bezpańsko tutaj leżały. Sterty obrazów piętrzyły się pod ścianami.

– Nienawidzę wszystkich marszandów. Gównu ich obchodzi malarstwo, zależy im tylko na pieniądzech. Czemu mam im oddawać moją pracę? Nie zależy mi na pieniądzech.

Mogła się tego domyślać, widząc, jak mieszka.

– Ale musisz jeść – skarciła go łagodnie. – Nie wszyscy marszandzi są chciwi i nieodpowiedzialni. Niektórzy naprawdę przejmują się swoją pracą. Jak ja. Wprawdzie nie sprzedają sztuki tego kalibru ani tak mistrzowskiej, ale wierzę w moich artystów. Na swój sposób oni też mają ogromny talent. Po prostu wyrażają go inaczej niż ty.

– Wiem, że dla ciebie liczy się sztuka. Masz to wypisane na twarzy, dlatego chciałem, żebyś obejrzała moje prace. Gdybyś była jak tamci, nie zaprosiłbym cię do siebie. No i gdybyś była jak tamci, nie zakochałbym się w tobie.

Po pierwszej wspólnej nocy było to prawdziwe wyznanie. Sylvia przez chwilę nie odpowiadała. Chciała z nim być i poznać go lepiej, też jej na nim zależało, ale jeszcze nie wiedziała, czy go kocha. Chociaż traktowała poważnie ten związek, dla niej wszystko odbywało się za szybko. Dla niego też. Ale też rozwijało się szybciej, niż planowali. Stał się jej jeszcze bardziej drogi, kiedy zobaczyła jego obrazy i kiedy odważył się przed nią odsłonić. Obdarzyła go spojrzeniem, które nie wymagało słów. On wziął ją w ramiona i pocałował.

– Kocham twoje malarstwo, Gray – szepnęła.

– Nie jesteś moim marszandem – zażartował. – Możesz kochać tylko mnie.

– Chyba zaczynam – powiedziała szczerze. Szybciej niż się spodziewała.

– Ja też – odparł.

Przez długą chwilę wpatrywała się w obrazy, jakby znalazła się na innej planecie. Jej myśli pędziły z prędkością miliona kilometrów na minutę.

– Chcę znaleźć dla ciebie galerię i mam nawet kilka pomysłów. Możemy w tym tygodniu obejrzeć wystawy i zobaczymy, co powiesz.

– Nieważne, co powiem, ważne, co oni powiedzą. Nie martw się o to. Masz dosyć roboty, a ja i tak mam jeszcze za mało prac na wystawę – powiedział skromnie.

Nie chciał wykorzystywać jej znajomości. To, co do niej czuł, było całkowicie osobiste i prywatne, nie miało nic wspólnego z jego pracą ani jej pozycją zawodową i ona o tym wiedziała.

– Za mało, akurat – rzuciła ostro, jakby zwracała się do jednego ze swoich młodych artystów, trochę jak marszandka, a trochę jak wymagająca, nadopiekuńcza matka. Wielu z nich potrzebowało dopingu. Często nie zdawali sobie sprawy ze swojego talentu. W każdym razie nie ci najlepsi. U młodych ludzi tupet rzadko szedł w parze z talentem. – Popatrz na to.

Ostrożnie przesuwiała sterty obrazów, żeby zobaczyć, co jest pod spodem. Znalazła cudowne rzeczy, równie dobre jak te na sztalugach albo jeszcze lepsze. Ukończone obrazy Graya wydawały się rozświetlone od wewnątrz, niektóre ogniem, inne blaskiem świec. W żadnych współczesnych pracach Sylvia nie spotkała tej cechy. Była to świetlistość rodem prosto z renesansu i dzieł starych mistrzów, a jednak sprawiała na wskroś nowoczesne

wrażenie. Taka wspaniała technika stanowiła już zapomnianą umiejętność. Sylvia wiedziała, że Gray studiował w Paryżu i we Włoszech, jak obecnie jej córka. Tam zdobył solidne podstawy. Jego malarstwo uznała za wręcz natchnione.

– Musimy ci znaleźć galerię, czy tego chcesz, czy nie.

Właśnie to robił dla swoich kobiet, znajdował dla nich galerie, agentów, posady, chociaż rezultaty najczęściej okazywały się katastrofalne. Nikt nigdy nie proponował mu pomocy, może tylko Charlie. Gray nie lubił nikomu się narzucać, zwłaszcza przyjaciółom czy najbliższym.

– Nie potrzebuję galerii, Sylvio. Naprawdę nie potrzebuję.

– A jeśli znajdę taką, która ci się spodoba? Zgodzisz się przynajmniej ją obejrzeć i porozmawiać z właścicielem?

Naciskała ostro, ale kochał ją za to. Nic nie miała do zyskania, chciała tylko mu bezinteresownie pomóc, podobnie jak on tyle razy pomagał innym. Uśmiechnął się i kiwnął głową. Zdecydowała już, do kogo zadzwoni. Miał co najmniej trzy możliwości, wiedziała też, że znajdą się inne galerie w śródmieściu, ważne galerie, wystawiające rzeczy w stylu Graya. Stanowczo nie galerie w SoHo, takie jak jej własna. Potrzebował całkowicie innego otoczenia. Może również w Londynie. Odpowiednie galerie mają powiązania z innymi miastami. Tam było jego miejsce, tak uważała.

– Nie martw się tym – poprosił łagodnie Gray. – Masz dosyć na głowie, nie potrzebujesz dodatkowych obciążeń. Nie chcę ci przysparzać pracy, po prostu chcę być z tobą.

– Ja też – uśmiechnęła się do niego.

Ale chciała mu pomóc. Czemu nie? Zasługiwał na to. Wiedziała, że artyści zwykle są fatalnymi biznesmenami i nie potrafią sprzedać własnej pracy. Po to mieli marszandów. Gray też takiego potrzebował. Chciała mu pomóc i bardzo liczyła na ten związek. Na razie mogła tylko mieć nadzieję, bez względu jednak na to, jak im się ułoży, zawsze mogła go skierować do właściwych ludzi. Do licha, znała prawie wszystkich w nowojorskim świecie sztuki. Zdobyła reputację osoby tak uczciwej i honorowej, że wszystkie drzwi stały przed nią otworem. Stworzy Grayowi odpowiednią szansę, a reszta zależy od niego. Chciała tylko odegrać rolę przewodnika, całkowicie stosowną w ich związku, nawet gdyby mieli zostać tylko przyjaciółmi, którzy mieli kiedyś przelotny romans.

Potem spojrzała na zegarek. Zbliżało się południe, musiała wracać do biura. Gray obiecał, że zadzwoni później. Pocałowała go na pożegnanie i już po chwili zbiegała ze schodów.

– Dziękuję! – zawołał za nią w głąb klatki schodowej. Podniosła wzrok, obdarzyła go wesołym uśmiechem i zniknęła. Kiedy dotarła do biura, panował tam zwykły chaos. Dwóch artystów wydzwaniało gorączkowo w sprawie następnej wystawy. Klient się złościł, bo obraz jeszcze do niego nie dotarł. Ktoś inny zadzwonił, żeby sprawdzić zamówienie, które złożyli. Instalator miał wypadek motocyklowy, złamał obie ręce i nie mógł przygotować następnej ekspozycji. Po południu była umówiona z grafikiem w sprawie katalogu następnej wystawy. Musiała zdążyć w terminie z reklamą do „Artforum”, a fotograf nie dostarczył jeszcze zdjęć rzeźby, którą reklamowali. Nie miała czasu odetchnąć aż do czwartej po południu. Ale gdy tylko znalazła wolną chwilę, wykonała kilka telefonów w sprawie Graya. Poszło łatwiej, niż

się spodziewała. Marszandzi, do których dzwoniła, wierzyli w jej reputację, gust i ocenę. Ludzie, którzy ją znali, uważali na ogół, że ma dobre oko i instynkt. Dwaj marszandzi poprosili ją o przysłanie slajdów. Trzeci wracał tego wieczoru z Paryża, zostawiła mu wiadomość, żeby oddzwonił. Zadzwoiła do Graya, gdy tylko skończyła tamte rozmowy. Wypełniała misję. A on zaczął się śmiać, jak tylko usłyszał jej głos. Niemal połykała słowa z pośpiechu. Zapewnił ją, że ma slajdy. Bo jeśli nie ma, to ona może przysłać fotografa.

– Mam całe tony, jeśli tylko chcesz.

– Na razie to mi wystarczy – odparła wesoło i poinformowała, że za pół godziny przyśle po nie kuriera do studia.

– No, no, nie tracisz czasu?

– Nie w przypadku prac tak świetnych jak twoje. Poza tym... – Zwolniła trochę; musiała sobie przypomnieć, że przecież dla niej to nie jest interes, tylko romans. – Chcę, żeby spotkało cię coś dobrego.

– Już spotkało, w Portofino. Reszta to dodatki.

– Więc pozwól, że się zajmę tymi dodatkami – zażądała stanowczo.

– Proszę bardzo – zgodził się na wpół kpiąco.

Cieszyły go te względy, które stanowiły dla niego zupełną nowość. Nie chciał wykorzystywać Sylvii, ale fascynowała go jej praca, sposób życia. Ta kobieta nie zniechęcała się żadnymi przeszkodami, nie przyjmowała porażek do wiadomości. Po prostu podwijiała rękawy i zabierała się do roboty, żeby osiągnąć cel.

Kurier zjawił się pod drzwiami Graya dokładnie o wpół do piątej, zabrał slajdy dla Sylvii i zaraz po piątej dostarczył je wraz z listami przewodnimi do rąk własnych marszandów, z którymi rozmawiała Sylvia. Ona sama wyszła z galerii o szóstej i gdy tylko dotarła do domu, zadzwonił Gray i zaproponował wspólny obiad. Chciał ją zabrać do małej włoskiej restauracji w jego sąsiedztwie. Restauracja okazała się przytulna i zabawna, jedzenie było pyszne i tanie, co Sylvia z ulgą przeczytała w menu. Nie chciała, żeby Gray wydawał na nią pieniądze, ale nie chciała również go upokorzyć, proponując, że sama zapłaci rachunek. Przypuszczała, że w przyszłości często będą dla siebie gotować. Po obiedzie odwiózł ją do domu i został na noc. Zaczynali wpadać w rozkoszną rutynę.

Następnego ranka przygotowali wspólnie śniadanie, a jeszcze następnego Gray podał Sylvii śniadanie do łóżka. Powiedział, że to jej kolejka. Nigdy przedtem nie nadeszła jej kolejka, ale teraz miała prawdziwego partnera. Rozpieszczali się nawzajem, słuchali jedno drugiego, zasięgali rady i dzielili przemyśleniami. Na razie wszystko szło idealnie. Sylvia z obawą spoglądała w przyszłość, nie śmiała żywić zbyt wielkich nadziei. Cokolwiek jednak to znaczyło i jak długo miałyby trwać, teraz im odpowiadało i tego właśnie oboje chcieli. A seks był po prostu niesamowity. Oboje byli wystarczająco doświadczeni, żeby zadbać o przyjemność partnera. W ich związku nie było odrobiny wyrachowania. Każde cieszyło się, że może uszczęśliwić partnera, w łóżku czy poza nim. Popelniwszy w życiu wiele błędów, oboje nabrali dojrzałości niczym szlachetne wino, z czasem osiągające doskonałość. Jeszcze nie za starzy, ale pełni życia i radości. Chociaż dzieci Sylvii zapewne uważałyby ich za staruszków, w rzeczywistości osiągnęli najlepszy wiek, żeby cieszyć się sobą nawzajem.

Sylvia nigdy w życiu nie była tak szczęśliwa. Ani Gray.

Obaj marszandzi, do których Sylvia wysłała slajdy, zadzwonili do niej tego samego dnia. Obaj byli zainteresowani i chcieli zobaczyć prace Graya. Trzeci zadzwonił dwa dni później, po powrocie z Paryża, z podobną propozycją. Sylvia powiedziała o tym Grayowi przy obiedzie tego samego dnia.

– Chyba będziesz mógł wybierać – oznajmiła z rozradowaniem.

Gray był wręcz oszołomiony. W ciągu zaledwie paru dni Sylvia wyrwała go z letargu, wysłała slajdy z jego pracami we właściwe ręce i otworzyła przed nim drzwi sławy.

– Niezwykła z ciebie kobieta – oświadczył, mówiąc jej to samo wzrokiem.

– To ty jesteś niezwykłym mężczyzną i wspaniałym artystą. Umówiła się z nim w sobotnie popołudnie, żeby zawieźć jego prace do wszystkich trzech galerii. zaproponowała, żeby skorzystali z jej furgonetki. Zgodnie z obietnicą zjawiała się rano w bluzie i dzinsach i pomogła mu załadować obrazy. Dwie godziny zabrało im zniesienie na dół wszystkiego, co chciał zabrać. Trochę się wstydził, że zmuszają do pracy. I tak już była jego dobrą wróżką, nie chciał jeszcze robić z niej tragarza, ale ona chętnie pomagała.

Zabrała ze sobą sweter i wyjściowe buty, żeby się przebrać, zanim dojadą do umówionych galerii. Do piątej skończyli. Gray dostał oferty ze wszystkich trzech galerii, zachwyconych jego pracami. Nie mógł uwierzyć w to, czego dokonała Sylvia, i nawet ona przyznała, że jest zadowolona.

– Jestem z ciebie taka dumna – powiedziała rozpromieniona.

Oboje byli wyczerpani, ale szczęśliwi. Przez kolejne dwie godziny wnosili obrazy na górę. Jeszcze nie zdecydował, którą galerię wybierze. Podjął decyzję wieczorem i Sylvia uważała, że dokonał słusznego wyboru. Była to znana galeria na Pięćdziesiątej Siódmej ulicy, z dużą filią w Londynie i galerią w Paryżu, z którą wymieniała prace. Idealnie do ciebie pasuje, oznajmiła zachwycona jego wyborem.

– Jesteś niesamowita – powiedział z uśmiechem.

Nie wiedział, czy się śmiać, czy płakać, tak go wzruszyło wszystko, co dla niego zrobiła. Siedzieli na kanapie w jego salonie. W mieszkaniu panował jeszcze większy bałagan niż przedtem. Gray malował przez cały tydzień, zainspirowany energią Sylvii, i nie miał czasu na sprzątanie. Nie przejmowała się tym i nie zwracała na to uwagi. To też w niej kochał. Właściwie kochał w niej wszystko. Według niego była kobietą idealną, a on chciał być dla niej idealnym mężczyzną i dać jej wszystko, czego nigdy nie miała, a czego potrzebowała. Niewiele mógł dla niej zrobić, tylko być z nią i kochać ją, i tego właśnie pragnął.

– Kocham cię, Sylvio – powiedział cicho.

– Ja też cię kocham – odparła.

Nie wiedziała, czy tego naprawdę chce, ale noce i dni spędzone z nim wiele dla niej znaczyły. Podobał jej się sposób jego myślenia i rzeczy, w które wierzył. Podziwiała jego prawość i zasady, którymi się kierował. I uwielbiała jego pracę. Nie musieli nic robić, niczego zmieniać, podejmować żadnych decyzji. Wystarczyło cieszyć się związkim. Po raz pierwszy wszystko było takie proste w ich życiu, dotąd skomplikowanym.

– Chcesz, żebym zrobiła obiad? – zapytała.

Jedynie decyzje, które musieli podejmować, to gdzie pójść na obiad i u kogo tym razem pójdą spać. Chętnie zostawał u niej na noc, co jej również odpowiadało. W jego mieszkaniu panował za duży bałagan, chociaż lubiła go tam odwiedzać i oglądać postępy w jego pracy.

– Nie – zaprzeczył stanowczo Gray. – Nie chcę, żebyś zrobiła obiad. Chcę cię zabrać na miasto, skoro jest okazja. Załatwiłaś mi wspaniałego marszanda. Sam nigdy bym tego nie dokonał. Siedziałbym tylko na tej kupie obrazów, zbyt leniwy, żeby się ruszyć.

Tak naprawdę wcale nie był leniwy, tylko zbyt nisko oceniał swoją pracę. Sylvia знаła wielu artystów podobnych do niego. Potrzebowali kogoś, kto wykona za nich odpowiedni ruch i przerzuci most nad przepaścią. Cieszyła się, że mogła to zrobić i że tak dobrze jej się udało.

Zjedli obiad w małej francuskiej restauracji na Upper East Side, gdzie podawano dobre francuskie jedzenie i porządne francuskie wino. Świątowali swój związek, nową galerię Graya, wszystko, co ich czekało w przyszłości. Wracając taksówką do mieszkania Sylvii, rozmawiali o Charliem i Adamie. Gray nie widział Adama od powrotu z wakacji i nawet nie zadzwonił do niego. Wiedział, że Charlie jeszcze nie wrócił, i też do niego nie dzwonił. Często nie dawał znaku życia, zwłaszcza kiedy pogrążył się w pracy. Przyjaciele przywykli do okresów jego milczenia i dzwoniли, jeśli zbyt długo się nie odzywał. Tego wieczoru opowiedział Sylvii o ich przyjaźni, o łączącej ich głębokiej więzi. Rozmawiali o tym, dlaczego Charlie nigdy się nie ożenił i dlaczego Adam nie ożenił się powtórnie. Sylvia powiedziała, że im współczuje. Charlie wydawał jej się bardzo samotny i zasmuciła ją historia jego siostry i rodziców, ogromna, nieodwracalna strata najbliższych. W ostatecznym rachunku ta strata nie pozwoliła mu pokochać nikogo innego, co zwiększyło tylko jego tragedię.

– On wprawdzie twierdzi, że chce się ożenić, ale myślę, że nigdy tego nie zrobi – powiedział refleksyjnie Gray.

Oboje przyznali, że Adam jest odmiennym przypadkiem. Rozgoryczony z powodu Rachel, zły na swoją matkę, chciał tylko łatwych panienek, dostatecznie młodych, żeby były jego córkami. Takie życie wydawało się Sylvii puste.

– To wspaniały facet, jak już się go pozna – zapewniał Gray, zawsze lojalny wobec przyjaciela.

Sylvia nie była całkiem przekonana. Dostrzegła bez trudu zalety i wartość Charliego. Adam należał do tego rodzaju mężczyzn, którzy zawsze budzili jej gniew. Bystry, przebojowy, pewny siebie, traktujący kobiety wyłącznie jako obiekty seksualne i dekorację. Nigdy nie spotykałby się z kobietą w swoim wieku. Sylvia nie powiedziała Grayowi, że nie ma za grosz szacunku dla takich mężczyzn. Według niej Adam potrzebował terapii, mocnego kopa w tyłek i porządnej nauki. Miała nadzieję, że wcześniej czy później jakaś bystra młoda dziewczyna utrze mu nosa. Zresztą widziała, sam się o to prosi. Gray nie patrzył na niego w ten sposób. Uważał go za wspaniałego faceta, któremu Rachel złamała serce.

– To nie usprawiedliwia wykorzystywania ludzi ani braku szacunku dla kobiet.

Sylvia też miała złamane serce, nawet dwukrotnie, ale nie zaczęła traktować mężczyzn jak artykuły jednorazowego użytku. Po prostu się wycofała, lizała rany i rozmyślała, jak to się

stało, zanim odważyła się powrócić do świata. No, ale cóż, była kobietą. Kobiety działają inaczej niż mężczyźni i dochodzą do odmiennych wniosków. Większość tych, które fatalnie się sparzyły, leczy rany w ukryciu, mężczyźni w takiej sytuacji najczęściej rzucają się na oślep w wir uciech, szukając zemsty. Nie wątpiła w słowa Graya, że Adam dobrze traktował kobiety, z którymi się spotykał. Rzecz w tym, że ich nie szanował i nigdy nie zrozumiałby tego, co ją łączy z Grayem. Nigdy by do tego nie dopuścił ani w to nie uwierzył. Co jeszcze dobitniej uświadomiło jej cud, jakim było to, że ona i Gray odnaleźli się nawzajem.

Tej nocy zwinęła się obok niego w kłębek, z ciepłym poczuciem bezpieczeństwa i zadowolenia. Nawet jeśli w końcu odejdzie, pozostanie im ta magiczna chwila. Wiedziała teraz, że potrafi wszystko znieść. I za to Gray ją kochał. Była twarda, a on udowodnił całym swoim życiem, że też jest niezłomny. Rozczarowania, które przeżyli, nauczyły ich mądrości, łagodności, cierpliwości. Nie pragnęli skrzywdzić siebie ani wyrządzić krzywdy komuś innemu. I cokolwiek jeszcze zdarzy się pomiędzy nimi, oprócz marzeń, nadziei, romansu i seksu, zostaną przyjaciółmi i nauczą się kochać.

Rozdział 8

Wróciłem. Wszystko w porządku? – Charlie zadzwonił do studia Graya w poniedziałek, wyraźnie zmartwiony. – Nie miałem od ciebie wiadomości od tygodnia. Dzwoniłem kilka razy, odkąd wróciłem, ale zawsze masz włączoną sekretarkę, o każdej porze – narzekał.

Gray pomyślał, że pewnie był u Sylvii, kiedy Charlie dzwonił, ale nic mu nie powiedział. Spędzili z Sylwią cudowny weekend. Charlie nie miał pojęcia, co się działo z Grayem po powrocie do Nowego Jorku. Podczas weekendu u przyjaciół w Hamptons obliczył, że nie rozmawiał z Grayem od jego powrotu do domu. Wysłał mu kilka emaili na początku września, jeszcze z jachtu, ale nic więcej. Zwykle, jeśli nic złego się nie działo, Gray w końcu się odzywał, ale tym razem nie dał znaku życia.

– W najlepszym porządku – zapewnił radośnie Gray. – Po prostu pracuję.

Na razie nie wspominał o Sylvii, ale oboje doszli do wniosku, że już czas zawiadomić jego przyjaciół. Sylvia nie chciała jeszcze mówić o niczym swoim dzieciom. Spotykali się prawie od miesiąca i o ile potrafili to ocenić, ich związek był prawdziwy. Sylvia trochę się obawiała, że Charlie i Adam będą zazdrośni czy nawet urażeni. Poważny związek w życiu Graya oznaczał mniej czasu dla przyjaciół i Sylvia przeczuwała, że to się im nie spodoba. Gray twierdził, że nie ma racji, ale nie zdołał jej przekonać. Opowiedział za to Charliemu o nowym agencie. Charlie aż gwizdnął.

– Jak to się stało? Nie wierzę, że wreszcie się ruszyłeś i znalazłeś galerię, która będzie sprzedawać twoje obrazy. Najwyższy czas – mówił uradowany.

– Też tak sobie pomyślałem.

Na razie nie wspominał o zasługach Sylvii, ale miał zamiar powiedzieć o nich przy najbliższym spotkaniu. Po prostu nie chciał mówić o Sylvii przez telefon.

– Może w tych dniach umówimy się na lunch? – zaproponował Charlie. – Nie widzieliśmy się od wakacji.

W tym tygodniu wybierał się na koncert z Adamem. Trudniej było złapać Graya, który często pograżał się w pracy i odcinał od świata na całe tygodnie. Ale wydawał się w dobrym nastroju, a skoro podpisał umowę ze znanym marszandem, widocznie świetnie mu się układało.

– Chętnie zjem z tobą lunch – zawołał szybko Gray. – Kiedy?

Rzadko przejawiał taką entuzjastyczną gotowość do życia towarzyskiego. Zazwyczaj trzeba go było siłą wyciągać z nory i odrywać od sztalug. Charlie zakładał, że Gray pragnie uczcić umowę z galerią.

Szybko sprawdził w notesie. Zapępiały go spotkania w sprawach fundacji, większość połączona z lunchem. Ale następnego dnia miał wolne.

– Może jutro?

– Doskonale.

– W jachtklubie?

Charlie najbardziej lubił jadać lunch właśnie tam albo w innym ze swoich klubów. Gray

uważał jachtklub za niezdanie sztywny, Adam też, ale dla Charliego skłonni byli do ustępstw.

– Jak sobie życzysz – powiedział melancholijnym tonem.

– No to do zobaczenia o pierwszej – zakończył Charlie i obaj wrócili do pracy.

Następnego ranka Gray powiedział Sylvii, że spotyka się z Charliem na lunchu. Spojrzała na niego znad sterty naleśników, które właśnie usmażył.

– To dobrze czy źle? – zapytała nerwowo.

– Dobrze, oczywiście.

Usiadł przy stole naprzeciwko niej, nad swoim talerzem placków. Uwielbiał dla niej gotować. Został mistrzem śniadaniowym, a ona gotowała dla niego wieczorem, jeśli nie wychodzili. Wszystko się dopasowało i oboje stopniowo wchodzili w wygodną rutynę. On wyruszał rano do swojego studia, gdzie już nie sypiał. Ona szła do galerii i spotykali się znowu u niej około szóstej, kiedy oboje kończyli pracę. On zwykle przynosił butelkę wina albo coś do jedzenia. Na weekend kupił homary, co obojgu przypomniało szczęśliwe dni na jachcie. Oficjalnie jeszcze się do niej nie wprowadził, ale spędzał tam wszystkie noce.

– Zamierzasz mu o nas powiedzieć? – zapytała ostrożnie.

– Tak myślałem. Nie masz nic przeciwko temu? – Wiedział, że jest bardzo niezależna, i nie chciał jej niczego narzucać.

– Nie – zapewniła. – Po prostu nie wiem, jak on to przyjmie. Pewnie będzie zdumiony, rozumiesz. Co innego przelotna znajomość w Portofino, ale raczej nie będzie zachwycony tym, że powstał z tego związek.

Rzeczywiście powstał przez te cztery tygodnie, odkąd Gray wrócił do domu. I obojgu to odpowiadało. Nawet bardzo.

– Nie bądź niemądra. Ucieszy się ze względu na mnie. Zawsze ciekawiły go moje przyjaciółki.

Roześmiała się i naląła mu filiżankę kawy.

– Tak, bo nie stanowiły dla niego zagrożenia. Pewnie wyliczył sobie, że z reguły trafiają do więzienia albo do zakładu, zanim zdążą porządnie namącić między wami.

– Masz zamiar mącić między nami? – zaciekawiał się Gray, lekko ubawiony.

– Ależ skąd. Ale Charlie może tak podejrzewać. Wasza trójka jest nierozłączna od dziesięciu lat.

– Tak. I nadal zamierzam ich widywać. Nie ma powodu, żebyśmy się nie spotykali.

– No cóż, zobaczymy, co powie Charlie. Może powinniśmy zaprosić go na obiad. Ostatnio nawet o tym myślałam. I Adama też, jeśli chcesz – dodała, chociaż znacznie mniej go lubiła. – Po prostu nie przepadam za kobietami w wieku moich dzieci. Albo młodszyimi, jak dziewczyny Adama. Ale zrobię wszystko, co uznasz za stosowne.

Uważała, że to dyplomatyczne wyjście z sytuacji.

– Może najpierw zaprosimy samego Charliego – zaproponował uprzejmie Gray.

Wiedział, że nie lubiła Adama, i nie chciał naciskać. Przynajmniej nie od razu. Spodobał mu się pomysł, że Sylvia dołączy do jego przyjaciół. Wiele znaczyli w jego życiu, podobnie jak ona.

Oboje wiedzieli, że wprowadzenie przyjaciół do ich prywatnego świata to w dłuższej perspektywie jeden z warunków zdrowego układu. Nie mogli wiecznie siedzieć sami, trzymać się za ręce, oglądać filmów i spędzać sobót i niedziel w łóżku, chociaż oboje to uwielbiali i tak dobrze się bawili. Potrzebowali wokół siebie więcej ludzi. Włączenie przyjaciół w ich układ stanowiło kolejny krok ku stabilizacji. Sylvia zawsze miała wrażenie, że gdzieś tam istnieje podręcznik o budowaniu związku, którego zawartość inni znali lepiej niż ona. Najpierw się spało ze sobą, potem on zostawał na noc, stopniowo coraz częściej. W końcu potrzebował miejsca w szafie i w szufladach. Jeszcze do tego nie doszli, na razie jego ubrania wisiały w schowku na pranie. Wiedziała, że wcześniej czy później trzeba będzie to jakoś załatwić. Potem dostawał klucz, kiedy już miało się pewność, że nie chce się spotykać z nikim innym, żeby uniknąć niezręcznych sytuacji, gdyby przyszedł w nieodpowiedniej chwili. Już dała mu klucz, skoro nikogo innego nie było w jej życiu, bo czasami on wracał ze studia wcześniej, zanim ona przyszła z galerii. Nie musiał siedzieć na schodach i czekać na nią. Nie bardzo wiedziała, na czym polega następny etap. Kupowanie jedzenia – już to robił. Wspólne opłacanie rachunków. Odbieranie telefonu. Na to jeszcze stanowczo za wcześnie, przecież mogą dzwonić jej dzieci, które nie wiedzą o Grayu. Dalej poprosi go, żeby z nią zamieszkał, zmienił adres, umieścił swoje nazwisko na skrzynce pocztowej i obok dzwonka. Przyjaciele należeli do tego układu. Na pewno będzie miało znaczenie to, czy oboje lubią tych samych ludzi, przynajmniej niektórych. Zostawały dzieci. Chciała, żeby Gray je poznał, choć wiedziała, że miał jakieś opory. Sam jej to wyznał, ale nie spodziewała się kłopotów. Dzieci były wspaniałe i nie wątpiła, że Gray też je pokocha. Emily i Gilbert chcieli tylko, żeby była szczęśliwa. Jeśli zobaczą, że Gray dobrze ją traktuje, i jeśli się polubią, Gray zostanie członkiem rodziny. Znała swoje dzieci.

Mieli przed sobą długą drogę, ale zrobili już pierwsze kroki. Niektóre przeszkody na tej drodze nadal ją przerażały, nie była gotowa, żeby się z nimi zmierzyć, on też. Wiedziała jednak, że dla niego to wielka rzecz powiedzieć o niej Adamowi i Charliemu. Nie miała pojęcia, jak przyjmą wiadomość o ich związku. Liczyła, że Charlie nie będzie chciał wybić jej Grayowi z głowy ani straszyć go jej dziećmi. Dzieci to jego pięta achillesowa: budziły w nim chorobliwy lęk; nie tylko nie chciał mieć własnych, starał się też unikać cudzych. I nie miało dla niego znaczenia, że jej dzieci są już dorosłe. Człowieka, który przez całe życie opiekował się najbardziej szalonymi kobietami na tej planecie, przerażały tylko spotkania, kontakty, rozmowy z ich dziećmi. Sylvii ten strach wydawał się kompletnie irracjonalny, ale dla Graya był prawdziwy.

Pomógł jej pozmywać po śniadaniu i pierwszy wyszedł do studia. Sylvia musiała wykonać kilka telefonów przed wyjściem, przede wszystkim chciała zadzwonić do Emily i Gilberta. Z powodu różnicy czasu zwykle było za późno, żeby do nich dzwonić, kiedy wracała z pracy. Jeszcze nic im nie powiedziała o Grayu. Wiedziała, że żadne nie przyjedzie do Ameryki przed świętami, miała więc mnóstwo czasu, całe trzy miesiące, żeby się przekonać, jak jej się układa z Grayem, zanim im coś powie. Nie zastała żadnego, zostawiła więc czułe wiadomości na sekretarkach. Zachowała bliski kontakt ze swoimi dziećmi.

Zanim Sylvia wyszła do galerii, Gray spotkał się z Charliem w jachtklubie. Siedzieli przy

ulubionym stoliku Charliego w bardzo wytwornej jadalni o sklepionym suficie, ozdobionej portretami dawnych komandorów i modelami statków w szklanych gablotach. Charlie wyglądał wspaniale: opalony, wypoczęty, w szczytowej formie.

– Jak tam koniec rejsu? – zagadnął Gray lekko, kiedy już obaj zamówili sałatkę szefa kuchni.

– Doskonale. Po twoim wyjeździe właściwie nigdzie nie popłynęliśmy. Miałem robotę, a załoga zaczęła różne naprawy. Po prostu przyjemniej było mieszkać na jachcie zamiast tutaj, w mieście.

Ostatnio czuł się samotny i niespokojny. Nowojorski apartament działał na niego przygnębiająco.

– Opowiedz o tej galerii, z którą zawarłeś umowę. Wechsler-Hinkley, tak? – W świecie sztuki te nazwiska robiły wrażenie. – Jak to się stało? Sami cię znaleźli? – Cieszył się ze względu na Graya. Nikt nie zasługiwał na sukces bardziej niż on. – Czy ty ich znalazłeś?

Uśmiechnął się, czekając na opowieść.

– Właściwie wprowadziła mnie przyjaciółka – odparł ostrożnie Gray. Sylvia zaraziła go swoimi obawami. Wiedział, że to niemądre, ale coraz bardziej się denerwował i nie potrafił tego ukryć.

– Jaka przyjaciółka? – spytał Charlie z zaciekawieniem. Coś mu się nie zgadzało.

– No... moja przyjaciółka – bąknął Gray, zakłopotany jak uczeń tłumaczący się przed ojcem.

– A to dopiero! – zawołał ubawiony Charlie. – Kto to jest? Czy ją znam? Przygarnąłeś kolejną nieszczęsną ofiarę? Taką, która pracuje w galerii i ma znajomości? Bardzo sprytnie z twojej strony.

Strasznie się mylił. Gray nie spotykał się z sekretarką, która poprosiła szefa o spotkanie. W jego życiu nie pojawiła się kolejna ofiara, tylko wulkan energii, który porwał go i wystrzelił w niebo.

– Właściwie nie chodzi o spryt. Raczej miałem szczęście.

Shczęście nie ma z tym nic wspólnego – oświadczył Charlie, powtarzając słowa Sylvii. – Masz ogromny talent. Jeśli ktoś miał szczęście, przyjacielu, to oni. Ale nie odpowiedziałeś na moje pytanie. – Spojrzał Grayowi prosto w oczy. – Co to za kobieta? A może to sekret?

Może była mężatką. To już się zdarzało, Gray przygarniał żony, które uciekły od mężów i twierdziły, że są w separacji albo mają „umowę”. Potem zjawiali się mężowie i próbowali zabić Graya. Przez lata wiecznego kawalerstwa odegrał chyba wszystkie możliwe scenariusze. Czasami Charlie martwił się o niego. Któregoś pięknego dnia brutalny eks-facet jednej z tych wariatek może go zastrzelić.

– Chyba nie wpakowałeś się znowu w bagno? – zaniepokoił się. Gray uśmiechnął się smutno i pokręcił głową.

– Nie, nic z tych rzeczy. Ale mam reputację, co? Pewnie sobie na nią zasłużyłem. Zadawałem się z bandą wariatek. – Westchnął, znowu pokręcił głową i postanowił chwycić byka za rogi. – Nie tym razem. Tak, spotykam się z kimś. Ale to co innego – oświadczył z dumą.

– Kim ona jest? Czy ją znam?

Charlie umierał z ciekawości. Kimkolwiek była ta najnowsza kobieta, zwrócił uwagę na to, że Gray wydaje się szczęśliwy. Był odprężony, zadowolony z życia, wręcz radosny. Zupełnie jakby brał środki uspokajające czy przeciwdepresyjne. Charlie wiedział, że Gray nie zażywa leków, ale promieniował po prostu euforią.

– Poznałeś ją – oznajmił enigmatycznie Gray, nadal grając na zwłokę i myśląc o przestrogach Sylvii.

– I co? Czekasz na werbel? – zażartował Charlie.

– Poznałeś ją w Portofino – wyrzucił wreszcie z siebie Gray, ale strasznie się denerwował.

– Tak? Kiedy?

Charlie nagle poczuł pustkę w głowie. Nie pamiętał, żeby Gray z kimś się spotykał podczas rejsu. Tylko Adam zaliczał panienki w St. Tropez, na Korsyce i na Capri. Ani Charlie, ani Gray nie mieli żadnych przygód, o ile pamiętał.

– Sylvia Reynolds – powiedział spokojnie Gray. – Należała do tej grupy, którą spotkaliśmy w Portofino i na Sardynii.

– Sylvia Reynolds? Marszandka?

Charlie osłupiał. Pamiętał, że podobała się Grayowi i że Adam droczył się z nim, mówiąc, że Sylvia nie jest w jego typie, za mało stuknięta, a właściwie całkiem normalna. Charlie pamiętał ją doskonale. Polubił ją. Najwyraźniej Gray też. Trudno uwierzyć, że gdzieś po drodze zdążyli nabroić.

– Kiedy to się stało? – zapytał, wciąż ze zdumioną miną. Na jachcie podejrzewał, że się polubili, ale niekoniecznie aż tak, żeby się potem spotykać.

– Po moim powrocie. Spotykamy się prawie od miesiąca. To cudowna kobieta. Zaprotegowała mnie do Wechsler-Hinkleya i do dwóch innych galerii, kiedy tylko zobaczyła moje prace. Ani się obejrzałem, jak podpisałem umowę. Ona nie zasypia gruszek w popiele – stwierdził z podziwem, uśmiechając się do przyjaciela.

– No, rzeczywiście wydajesz się szczęśliwy – przyznał Charlie, stopniowo oswajając się z nowiną. Gray nigdy tak nie mówił o żadnej kobiecie. – Wstyd mi przyznać, ale zgadzałem się z Adamem. Uważałem, że ona nie jest w twoim typie.

– Bo nie jest. – Gray znowu zaśmiał się z przymusem. – I całe szczęście. Nie przywykłem do kobiet, które same potrafią zadbać o siebie i nie potrzebują mnie do niczego, tylko żeby przyjemnie spędzić czas i pobaraszkować na sianie.

– Więc o to chodzi? – powiedział Charlie. Miał wiele do przekazania Adamowi, kiedy się spotkają jutro wieczorem.

– Nie, nie o to. O dużo więcej. Codziennie u niej nocuję.

– Spotykacie się od miesiąca i już się do niej wprowadziłeś? Czy to nie za szybko? – Charlie był wstrząśnięty.

Odniosł wrażenie, że Gray zamienił się na role ze swoimi nieszczęsnymi ofiarami.

– Nie wprowadziłem się – zaprzeczył cicho Gray. – Powiedziałem, że tam nocuję.

– Codziennie? – Gray znowu poczuł się jak niegrzeczny uczeń. Charlie miał

niezadowoloną minę. – Nie uważasz, że wzięłaś trochę za szybkie tempo? Chyba nie rezygnujesz ze studia? – przestraszył się.

– Oczywiście, że nie. Po prostu dobrze mi jest ze wspaniałą kobietą i lubię jej towarzystwo. Ona jest niesamowita. Bystra, zdolna, normalna, przyzwoita, zabawna, hojna, kochająca. Nie wiem, gdzie była przez te wszystkie lata, ale w ciągu trzech i pół tygodnia całe moje życie się zmieniło.

– Ale czy tego chcesz? – zapytał Charlie z naciskiem. – Z twoich słów wynika, że wpadłeś po uszy. To może być niebezpieczne. Różne pomysły mogą jej przyjść do głowy.

– Na przykład? Żeby się wprowadzić do mojej szczerzej nory? Albo ukraść moje trzydziestoletnie walizki? Ma lepsze książki o sztuce niż ja. Oczywiście, zawsze może ukraść moje obrazy. Moja kanapa jest wytarta, a jej wygląda całkiem nieźle. Moje rośliny uschły, kiedy byłem w Europie. Nie mam w domu ani jednego porządnego ręcznika. Mam dwie patelnie, cztery talerze i sześć widelców. Nie wiem, co twoim zdaniem może mi zabrać, ale oddałbym jej wszystko z największą radością. Związki bywają trudne, ale to pierwsza kobieta, która nie wygląda na niebezpieczną. Inne zdecydowanie tak.

– Nie mówiłem, że chodzi jej o twoje pieniądze, ale wiesz, jakie są kobiety. Żyją złudzeniami i inaczej wszystko pojmują. Zapraszasz je na obiad, a następnego dnia przymierzają suknię ślubną i zamawiają wyprawę u Tiffany’ego. Po prostu nie chcę, żebyś się w coś wpakował.

– Zapewniam cię, Charlie, że w nic się nie pakuję. Z własnej woli wsiadłem do tego pociągu, dokądkolwiek on jedzie.

– Dobry Boże, chcesz się z nią ożenić? – Charlie wytrzeszczył oczy.

– Nie wiem – odpowiedział szczerze Gray. – Nie myślałem o małżeństwie od lat i wątpię, czy ona chce wyjść za mąż. Była mężatką i nie wspomina tego najlepiej. Mąż zostawił ją dla dziesięcioletniej smarkuli po dwudziestu latach małżeństwa. Ma dwoje dzieci i mówi, że jest za stara na więcej. Jej galeria świetnie prosperuje. Cholera, ma taką kasę, jakiej w życiu nie zarobię. Nie potrzebuje moich pieniędzy. A ja nie chcę jej wykorzystywać. Możemy wspierać się nawzajem, chociaż jej to lepiej wychodzi. Ma wystrzałowy apartament w SoHo i uwielbia swój zawód. Od czasu rozwodu związała się tylko z jednym mężczyzną, który popełnił samobójstwo trzy lata temu. Jestem pierwszy od tamtej pory. Na razie żadne z nas nie chce niczego więcej. Czy kiedyś się z nią ożenię? Prawdopodobnie. Jeśli się zgodzi, w co wątpię, tylko wariat nie złapałby takiej okazji. Na razie jednak nie podejmujemy żadnych decyzji, najwyżej dokąd pójść na obiad albo kto robi śniadanie. Nawet nie poznałem jej dzieci zakończył spokojnie.

Charlie patrzył na niego szeroko otwartymi oczami. Nieźle przemówienie! Nie widział Graya zaledwie przez trzy tygodnie i facet nie tylko mieszka z kobietą, ale odgraża się, że ją poślubi. Charlie był po prostu oszołomiony. Przez ułamek sekundy, widząc minę przyjaciela, Gray zaczął podejrzewać, że Sylvia miała rację. Charlie bynajmniej nie sprawiał wrażenia, że cieszy się ze zmian w życiu Graya.

– Nie masz własnych dzieci – przypomniał mu. – Dlaczego uważasz, że jej dzieci są inne?

– Może nie są. Może to będzie powód do zerwania. Może ona pierwsza się mną znudzi. Mieszkają sześć tysięcy kilometrów stąd, oboje są dorośli i na taką odległość chyba potrafię z nimi wytrzymać. Muszę tylko spróbować. To najlepsze, co mogę zrobić. Może się uda, może nie. Wiem tylko, że na razie wszystko gra i wspaniale nam jest ze sobą. Zresztą, cholera, co mam wiedzieć? W przyszłym tygodniu mogę umrzeć, ale tymczasem przeżywam piękne chwile. Najlepsze chwile w moim życiu.

– Mam nadzieję, że nie – powiedział ponuro Charlie, mając na myśli śmierć Graya w przyszłym tygodniu. – Ale będziesz żałował, kiedy ona się okaże inna, niż ci się wydaje, a już cię złapie.

Gray uśmiechnął się, słysząc ten złowieszczy ton. Charlie wyraźnie się bał, Gray nie wiedział tylko, czy ze względu na niego, czy na siebie. W obu wypadkach niepotrzebnie się martwił. Gray wcale nie czuł się złapany, bardziej niż chętnie odgrywał rolę niewolnika miłości w luksusowym apartamencie Sylvii.

– Nie złapała mnie – powiedział cicho. – Przecież wcale tam nie mieszkam, po prostu nocuję. Chcemy to wypróbować. Jeśli się nie sprawdzi, wrócę do mojego studia i tyle.

– To nigdy nie odbywa się w ten sposób – ostrzegł Charlie z naciskiem. – Niektóre kobiety nie chcą się odczepić, narzucają się, oskarżają, histeryzują, wynajmują adwokatów. Twierdzą, że coś im obiecywałeś. Kiedy raz wpadniesz w ich szpony, uważają cię za swoją własność.

Charlie naprawdę był przerażony. Przez lata widywał mężczyzn w podobnych sytuacjach i nie chciał, żeby coś takiego spotkało Graya. Wiedział, jak niewinny i naiwny bywa jego przyjaciel.

– Uwierz mi, ani Sylvia, ani ja nie chcemy do nikogo należeć. Za starzy na to jesteśmy. A ona ma o wiele więcej rozsądku, niż ci się wydaje. Skoro odeszła od męża po dwudziestu latach, nie oglądając się za siebie, nie będzie mi wisiła na szyi jak albatros i wbijała we mnie szponów. To raczej ona pierwsza ode mnie odejdzie.

– Boi się zaangażować? Jeśli tak, może cię zranić.

– A przedtem nikt mnie nie ranił? Charlie, bądź poważny, ludzie zawsze się ranią nawzajem. Tak już jest w życiu. Pewnie żadnego faceta w Nowym Jorku kobiety nie rzucały tak często jak mnie. Przeżyłem. I znowu przeżyję, jeśli trzeba. Tak, pewnie boi się zaangażować podobnie jak ja. Chryste, nawet nie chcę poznać jej dzieci. Śmiertelnie się boję za bardzo przywiązać albo sparzyć, ale po raz pierwszy w życiu naprawdę czuję, że warto zainwestować w dalszy rozwój czy nawet zaryzykować. Nikt tu niczego nie obiecuje. Nikt nie mówi o małżeństwie. Na razie rozmawiamy tylko o tym, dokąd pójść na obiad. Jak dotąd oboje czujemy się bezpiecznie.

– Żaden związek nie jest bezpieczny – oświadczył Charlie z troską. – Po prostu nie chcę, żebyś cierpiał.

W gruncie rzeczy mówił o swoim stosunku do związków między kobietą i mężczyzną. Nie chodziło tylko o skazy, jakie znajdował w swoich arystokratkach. Odkąd stracił rodzinę, starał się unikać bólu i rozpaczliwie bał się ryzyka. Gray już się nie bał, pozostawił za sobą ten kamień milowy. I Charlie odebrał to jako wielkie zagrożenie. Zupełnie jakby usłyszał

dzwon bijący na alarm. Jeden z członków Klubu Kawalerów zdezerterował. Gray zobaczył w oczach Charliego wszystko, czego obawiała się Sylvia: nie tylko niechęć i nieufność, ale absolutną panikę. Sylvia okazała się mądrzejsza, przynajmniej jeśli chodzi o znajomość ludzi, i z góry zaszufladkowała Charliego. Adama pewnie też. Reakcja Charliego sprawiła, że Gray nie tylko miał wrażenie, że jest wobec niego niełojalny, ale w ogóle czuł się jak skończony głupiec. To nieprzyjemne uczucie rzuciło cień na całe spotkanie. Z punktu widzenia Graya lunch nie należał do udanych.

– Sylvia i ja chcielibyśmy, żebyś przyszedł kiedyś do nas na obiad – bąknął, kiedy Charlie podpisywał rachunek.

Przyjaciel odłożył pióro i spojrzał na niego ze zgrozą.

– Czy ty słyszysz, co mówisz? – zapytał ponuro. Gray pokręcił głową. Wolał nie wiedzieć. • – Mówisz jak żonaty facet. Nie zapominaj, że jesteś kawalerem.

– Czy małżeństwo to najgorsze, co może mnie spotkać? – warknął Gray, rozczarowany reakcją Charliego, a nawet bardzo rozczarowany. Nie chciał, żeby Sylvia miała rację, ale niestety miała. – Ktoś mógłby pomyśleć, że zachorowałem na raka.

– Czasami trudno znaleźć różnicę – odparł cynicznie Charlie. – Takie zaangażowanie bywa często bardzo zdradliwe. Trzeba zrezygnować z własnej osobowości i zmienić się tak, jak żaden normalny człowiek.

Powiedział to z całkowitym przekonaniem. Gray spojrzał na niego i westchnął. Kim się stali przez te wszystkie lata? Jak wysoką cenę zapłacili za wolność, której tak kurczowo się czepiali? Może za wysoką. Przez całe życie bronili swojej niezależności i w końcu zostaną sami. Odkąd poznał Sylvię, ten cel nie wydawał mu się zbyt atrakcyjny. Powiedział jej to przed kilkoma dniami. W końcu zrozumiał, że kiedy nadejdzie ta chwila, nie będzie chciał umierać w samotności. Pewnego dnia rozszalałe wariatki, arystokratki i panienki Adama znikną z horyzontu. Zostaną z kimś innym. Raj wolności nie pociągał już Graya tak jak przedtem.

– Naprawdę chcesz spędzić starość ze mną? – zapytał przyjaciela, patrząc mu prosto w oczy. – Naprawdę? Nie wolałbyś mieć po drugiej stronie stołu lepszych nóg niż moje, kiedy pływasz na „Blue Moon”? Bo jeśli czegoś nie zrobisz w tej sprawie, zostanę ci tylko ja. Bardzo cię kocham, jesteś moim najlepszym przyjacielem, ale pewnego dnia, kiedy będę już stary, chory, zmęczony i samotny, chociaż bardzo lubię oglądać twoją twarz przy stole, może zapragnę wpełznąć do łóżka z kimś innym, kto mnie potrzyzyma za rękę. Więc jeśli nie chcesz skończyć z Adamem albo ze mną, lepiej też się nad tym zastanów.

– Co się z tobą stało? Czy ona cię faszkuje ecstazy? Po co się martwisz starością? Masz pięćdziesiąt lat i jeszcze przez trzydzieści nie musisz się niczym martwić, a Bóg wie, co się z nami stanie przez ten czas.

– Może właśnie o to chodzi. Mam pięćdziesiąt lat. Ty czterdzieści sześć. Może już czas, żebyśmy dorośli. Adamowi jeszcze to uchodzi, on jest od nas młodszy. Po prostu nie wiem, czy chcę dalej żyć tak jak dotąd. Ile jeszcze kobiet ocalę? Ile sądowych zakazów pomogę im uzyskać? Ile cycków opłaci jeszcze Adam? W ilu debiutantkach chcesz znaleźć jakieś wady? Jeśli nie są dość dobre, Charlie, to do diabła z nimi. Może czas, żebyś znalazł kogoś

wystarczająco dobrego.

– Tak mówią zdrajcy – zauważył Charlie, wznosząc toast resztką wina. Opróżnił kieliszek i odstawił. – Nie wiem, jak ty, ale mnie ta rozmowa przygnębia. Może ty czujesz, że czas depcze ci po piętach, co osobiście uważam za śmieszne. Ja nie. I nie zamierzam wpakować się w żaden idiotyczny związek z pierwszą lepszą tylko dlatego, że boję się umrzeć samotnie. Wolę jeszcze dziś popełnić samobójstwo. Nie ustatkuję się, ani mi się śni, dopóki nie znajdę właściwej kobiety.

– Nigdy nie znajdziesz – stwierdził ze smutkiem Gray.

Teraz też czuł się przygnębiony tą rozmową. Liczył, że Charlie ucieszy się ze względu na niego, on tymczasem potraktował Graya jak zdrajcę. W jego opinii Gray naprawdę go zdradził.

– Dlaczego tak mówisz? – zapytał Charlie z rozdrażnieniem.

– Bo nie chcesz znaleźć. A dopóki nie chcesz, żadna nie będzie się nadawała. Nie dajesz im szansy, bo nie chcesz znaleźć odpowiedniej żony. Ja też nie chciałem. A teraz nagle Sylvia wkroczyła w moje życie i wszystko się zmieniło.

– Raczej stanęło na głowie. Może powinieneś zażywać leki antydepresyjne i jeszcze raz spojrzeć na ten związek.

– Sylvia to mój najlepszy środek przeciwdepresyjny. Ta kobieta to wulkan energii, daje mi mnóstwo radości.

– W takim razie cieszę się ze względu na ciebie i mam nadzieję, że wam się uda. Ale dopóki tego nie wiesz, nie próbuj nas nawracać, zanim twoja teoria się nie sprawdzi. Ja nie jestem o tym przekonany.

– Dam ci znać – powiedział cicho Gray, kiedy obaj wstali.

Wyszli z jachtklubu i przez długą chwilę stali na chodniku, mierząc się wzrokiem. Lunch okazał się trudny dla nich obu i tak bardzo rozczarował Graya, który spodziewał się od przyjaciela wsparcia, pochwały, radości. Wszystkiego, tylko nie cynizmu i ostrych komentarzy, które padły przy stole.

– Uważaj na siebie – rzucił Charlie. Poklepał Graya po ramieniu, drugą ręką przywołując taksówkę. Chciał jak najszybciej odjechać. – Zadzwońię do ciebie... i gratulacje z powodu kontraktu!

Wskoczył do taksówki i odjechał.

Gray pomachał mu, spuścił głowę i odszedł. Postanowił wrócić piechotą do swojego mieszkania. Potrzebował świeżego powietrza i czasu do namysłu. Nigdy jeszcze nie słyszał, żeby Charlie wyrażał się tak cynicznie i bez ogródek. Wiedział, że słusznie ocenił przyjaciela: Charlie nie chciał znaleźć „odpowiedniej kobiety”. Gray nigdy przedtem tak nie myślał, ale teraz wszystko stało się jasne. Wbrew podejrzeniom Charliego Sylvia nie zrobiła mu prania mózgu, tylko otworzyła jego umysł i wpuściła słońce do jego świata. Stojąc obok niej, wiedział, czego zawsze pragnął, chociaż nigdy nie odważył się szukać. Dała mu odwagę stać się mężczyzną, jakim chciał zostać, tylko za bardzo się bał. Charlie nadal się boi, i to już od dawna. Odkąd umarli jego rodzice i Ellen. Nieważne, ile czasu poświęcił na terapię – a Gray wiedział, że sporo – nadal czuje strach i nadal ucieka. Może już zawsze będzie uciekał. Ta

myśl zasmuciła Graya. Uważał, że to okropne marnotrawstwo. Znał Sylwię zaledwie od sześciu tygodni, lecz odkąd otworzył przed nią serce, całe jego życie się zmieniło. Dotknęło go do żywego, kiedy Charlie zamiast się cieszyć, nazwał go zdrajcą. Gray odczuł to jak policzek.

Echa tych słów jeszcze tłukły mu się w głowie, kiedy zadzwonił telefon komórkowy.

– Cześć. Jak poszło? – To była Sylvia, pogodna i wesoła. Dzwoniła z biura. W końcu przekonała samą siebie, że Gray znał przyjaciela lepiej i na pewno źle przewidziała reakcję Charliego. Wmawiała w siebie, że to Gray miał rację, a ona niepotrzebnie jest podejrzliwa. – Powiedziałeś mu? I co?

– To było straszne – wyznał szczerze Gray. – Koszmar. Między innymi nazwał mnie zdrajcą. Biedny facet cholernie się boi każdego związku czy zaangażowania. Nigdy przedtem tak wyraźnie tego nie zobaczyłem. Przykro mi to mówić, ale miałaś rację. To był bardzo przygnębiający lunch.

– Przykro mi. W końcu mnie przekonałeś, że się myłę.

– Nie myliłaś się.

Sylvia rzadko się myliła. Miała świetne wyczucie co do ludzi i wykazywała zadziwiającą tolerancję wobec ich dziwactw.

– Szkoda. Na pewno się przejąłeś. Nie jesteś zdrajcą, Gray. Wiem, że ciągle ich kochasz. Przecież możesz znaleźć miejsce w życiu dla nich i dla mnie.

Nie chciała go odciągać od przyjaciół, miała jednak silne przeczucie, że Charlie na pewno spróbuje odciągnąć go od niej, jeśli Gray mu na to pozwoli.

– Jeśli jeszcze zechcą. Wygarnąłem mu wszystko prosto z mostu.

– O nas?

– O nim też. Powiedziałem mu, że marnuje życie i że umrze w samotności.

– Pewnie masz rację – powiedziała łagodnie – ale on sam musi to zrozumieć. Może właśnie tego chce. Postawił sprawę jasno. Mówił, że od czasu, gdy stracił rodzinę, przeżył kilka ważnych rozstań. Trudno się z tym pogodzić. Wszyscy, których kochał jako dziecko, umarli. Niełatwo kogoś przekonać, że następna osoba, jaką pokocha, nie opuści go i nie umrze. No więc pierwszy je rzuca.

– Mniej więcej to samo mu powiedziałem.

Oboje wiedzieli, że to prawda, a w głębi duszy Charlie też. Po prostu nie chciał się do tego przyznać nawet przed najlepszym przyjacielem. Znacznie łatwiej powiedzieć, że kobiety w jego życiu miały jakieś defekty, żeby usprawiedliwić ich odrzucenie.

– Chyba nie słuchał tego z przyjemnością.

– Nie wyglądało na to – potwierdził Gray ze smutkiem. – Ale nie podobało mi się to, co mówił o nas.

– Miejmy nadzieję, że mu przejdzie. Jeśli się zgodzi, musimy go kiedyś zaprosić na obiad. Tymczasem niech trochę ochłonie, musiał sporo przełknąć na jeden raz. Nas. I parę słów prawdy o sobie.

– Słusznie, nieźle go rąbnęło, kiedy się o nas dowiedział. Na jachcie należałem jeszcze do Klubu Kawalerów, a jak tylko spuścił mnie z oka, wyskoczyłem za burtę. Przynajmniej on tak

uważa.

– A ty? – zapytała z niepokojem.

– Że jestem największym szczęściarzem pod słońcem. Jemu też tak powiedziałem. Chyba mi nie uwierzył. Podejrzewa, że dosypujesz mi narkotyków do jedzenia. – Zaśmiał się. – Jeśli tak, nie bierz mnie na odwyk. To mi się podoba – zakończył pogodniejszym tonem.

– Mnie też. – Usłyszał uśmiech w jej głosie.

Czekał na nią klient, powiedziała więc Grayowi, że spotkają się u niej po pracy.

– Nie przejmuj się za bardzo – powtórzyła jeszcze raz. – On cię kocha i przejdzie mu.

Gray nie był tego taki pewien. Długo o tym rozmyślał, wracając pieszo do domu. Lunch stanowił wstrząs nie tylko dla Charliego, ale również dla Graya... „Tak właśnie mówią zdrajcy”... słowa Charliego wciąż dźwięczały mu w głowie, kiedy mijał kolejne przecznice.

Przez całą drogę do śródmieścia Charlie myślał o tym, co mu powiedział Gray. Miał dużo czasu na rozmyślanie. Był umówiony w ufundowanym przez siebie ośrodku opieki nad dziećmi, w samym sercu Harlemu. Nadal nie mógł uwierzyć we wszystko, co usłyszał z ust przyjaciela. Z wieloma rzeczami się zgadzał, bardziej niż chciał przyznać. On też się martwił, że umrze w samotności. Ale nie zamierzał dyskutować o tych lękach z nikim oprócz swojego terapeuty. Zdawał sobie sprawę, że Adam jest za młody, żeby to pojąć. W wieku czterdziestu jeden lat budował swoją karierę i parł do przodu. Co innego Gray. Charlie i Gray osiągnęli szczyt swoich możliwości i zaczęli schodzić na drugą stronę wzgórza. I Charlie nie miał już takiej pewności jak kiedyś, że chce tę drogę przebyć sam. Ale w końcu nie będzie miał wyboru. Bardziej niż chciał to przyznać, zazdrościł Grayowi, że znalazł sobie towarzyszkę na zakończenie podróży. Ale skąd wiadomo, że to przetrwa próbę czasu? Pewnie nie. Nie ma niczego trwałego.

Ze smętną miną rozpamiętywał rozmowę i notował w pamięci to, co powtórzy terapeuta, kiedy taksówka zatrzymała się pod podanym adresem.

– Poradzi pan sobie? – zatroszczył się taksówkarz.

Charlie wyglądał jak ktoś, kto powinien raczej wybrać się na Piątą Aleję, a nie do serca Harlemu. Nosił kosztowny garnitur, złoty zegarek i krawat od Hermesa. Nie chciał jednak pokazywać się w jachtklubie niedbale ubrany.

– Dam sobie radę – podziękował Charlie z uśmiechem i wręczył kierowcy hojny napiwek.

– Chce pan, żebym zaczekał? Albo wrócił po pana? – Taksówkarz nie chciał go zostawiać samego w takim miejscu.

– Bardzo dziękuję, proszę się nie martwić.

Uśmiechnął się z roztargnieniem i spróbował przestać pamiętać o rozmowie z Grayem. Popatrzył na budynek, który rozpaczliwie potrzebował remontu. Z milionem dolarów mogą wiele zdziałać, przynajmniej Charlie miał taką nadzieję.

Wbrew sobie, podchodząc do frontowych drzwi, wciąż myślał o Grayu. Miał uczucie, jakby go tracił na rzecz Sylvii. Niechętnie przyznawał sam przed sobą, że jest o nią zazdrosny. Nie miał zamiaru oddać najlepszego przyjaciela przebojowej babie, rozpychającej się łokciami – według opisu Graya – tylko dlatego że dzięki swoim znajomościom załatwiła mu marszanda. Podlizywała mu się oczywiście i chciała go wykorzystać. Jeśli potrafiła nim

manipulować – oby nie! – mogła zniszczyć ich przyjaźń i rozdzielić ich na zawsze. Najbardziej się bał, że straci przyjaciela przez małżeństwo albo wspólne mieszkanie, albo nocowanie, czy co tam mówił Gray. Charlie nie ufał tej kobiecie, bo Gray zachowywał się jak opętany. Zrobiła mu pranie mózgu, a najgorsze, że chwilami mówił całkiem sensownie. Aż za bardzo, zwłaszcza na temat Charliego. To na pewno jej sprawka. Z własnej inicjatywy Gray nigdy nie powiedziałby przyjacielowi takich rzeczy. Nigdy. Ta kobieta namieszała mu w głowie, a Charliemu wcale się to nie podobało.

Długo stał przed drzwiami dziecięcego ośrodka po naciśnięciu dzwonka. Otworzył mu młody mężczyzna z brodą, w dżinsach i podkoszulku, Afroamerykanin o szerokim białym uśmiechu i aksamitnych oczach barwy czekolady. Mówił ze śladem śpiewnego karaibskiego akcentu.

– Witam. Czym mogę służyć?

Patrzył na Charliego jak na przybysza z innej planety. W ośrodku nigdy nie widywano tak ubranych ludzi. Ukrył rozbawienie i wpuścił Charliego do środka.

– Jestem umówiony z Carole Parker – wyjaśnił Charlie.

Carole Parker kierowała ośrodkiem. Charlie wiedział o niej tylko tyle, że była pracownicą socjalną i miała doskonale kwalifikacje. Odbiła studia licencjackie w Princeton, zrobiła magisterium z socjologii na uniwersytecie Columbia i obecnie pracowała nad doktoratem. Specjalizowała się w problematyce maltretowanych dzieci.

Ośrodek stanowił bezpieczny dom dla maltretowanych dzieci i ich matek, w przeciwieństwie jednak do innych instytucji tego rodzaju tutaj skupiano się głównie na dzieciach. Bezdzietna kobieta lub taka, której dzieci nie padły ofiarą przemocy, nie mogła tu zamieszkać. Charlie wiedział, że w tym ośrodku pod patronatem nowojorskiego uniwersytetu zajmowano się badaniami nad zapobieganiem przemocy wobec dzieci, nie tylko łagodzeniem jej skutków. Personel składał się z dziesięciu pełnoetatowych pracowników, sześciu niepełnoetatowych, pracujących zwykle wieczorami, głównie absolwentów zaraz po studiach, dwójga współpracujących z nimi ściśle psychiatrów oraz licznych wolontariuszy, często nastolatków z ubogich dzielnic, byłych ofiar przemocy. Nowa koncepcja polegała na tym, żeby osoby, które przeszły przez piekło rodzicielskiej przemocy, pomagały młodszym dzieciom z takimi samymi problemami. Charlie zaakceptował wszystko, co czytał na ten temat. Pani Parker sama wprowadziła w życie ten pomysł przed trzema laty, kiedy obroniła magisterium. Zamierzała zostać psychologiem specjalizującym się w problemach dzieci miejskiej biedoty. Prowadziła ten ośrodek, z trudem wiążąc koniec z końcem. Sama zdobyła ponad milion dolarów na kupno domu i wdrożenie programu pomocy. Fundacja Charliego wyłożyła drugie tyle. Charlie wiedział tyle, że Carole Parker jest godną podziwu młodą kobietą i że ma trzydzieści cztery lata. Nie miał pojęcia, jak wygląda, bo rozmawiał z nią tylko przez telefon. Wyrażała się rzeczowo i profesjonalnie, ale w sposób ciepły i życzliwy. Zaprosiła go na zwiedzanie ośrodka i obiecała, że sama go oprowadzi. Wszystko, co podano w papierach, na razie się sprawdzało, włącznie z samą kierowniczką. Była młoda, ale podobno kompetentna. Referencje, które przedstawiła radzie fundacji, robiły spore wrażenie. Niektóre pochodziły od najważniejszych ludzi w Nowym Jorku. Kompetentna czy nie,

posiadała też imponujące znajomości. Sam burmistrz wystawił jej referencje. W trakcie organizowania ośrodka poznała wiele wpływowych osób i wywarła na nich dodatnie wrażenie.

Młody człowiek zaprowadził Charliego do małej, ciemnej poczekalni i zaproponował filiżankę kawy. Charlie odmówił. Dosyć już wypił z Grayem podczas lunchu i miał wrażenie, że wszystko to utkwilo mu w gardle. Wysiłkiem woli odepchnął myśli i skupił się na spotkaniu z kierowniczką.

Czekając, patrzył na ludzi przechodzących za otwartymi drzwiami poczekalni. Widział kobiety, małe dzieci, nastolatków w podkoszulkach wolontariuszy. Na dziedzińcu przed domem rozgrywano mecz koszykówki. Zauważył napis zapraszający kobiety z sąsiedztwa na zebrania odbywające się dwa razy w tygodniu, gdzie omawiano sposoby zapobiegania przemocy wobec dzieci. Nie wiedział, czy jak dotąd wywarli jakiś wpływ na tę społeczność, ale przynajmniej robili to, co zapowiedzieli. Patrzył właśnie, jak chłopcy przerzucają piłkę przez obręcz, kiedy drzwi się otworzyły i na progu stanęła wysoka blondynka, ubrana była w dżinsy, buty do biegania i firmowy , podkoszulek ośrodka. Wstając, żeby podać jej rękę, Charlie spostrzegł, że i kobieta jest prawie równie wysoka jak on. Miała sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, posągowe kształty i patrycjuszowskie rysy twarzy. Wyglądała jak modelka, nie jak pracownica socjalna. Przywitała go z uśmiechem, ale – oficjalnie i raczej chłodno. Potrzebowała pieniędzy od jego fundacji, ale w jej naturze nie leżało płaszczenie się czy podlizywanie, chociaż zdawała sobie sprawę, że to zwykle pomaga. Właściwie nie bardzo wiedziała, czego Charlie się po niej spodziewa, wydawała się więc nastawiona nieco podejrzliwie i defensywnie, kiedy zaprosiła go do swojego gabinetu.

Na ścianach wisiały plakaty, programy zajęć, zawiadomienia, ogłoszenia, federalne ostrzeżenia dla personelu. Gorące linie dla samobójców, kontrola zatruc, diagram pokazujący, jak wykonać zabieg Heimlicha. Biblioteczkę wypełniały książki związane z tematem, co najmniej drugie tyle wysypało się na podłogę. Na biurku zawalonym papierami stały oprawione fotografie dzieci, które w tym czy innym okresie przewinięły się przez ośrodek. Pojemnik na listy pękał w szwach. Był to zdecydowanie gabinet do pracy. Charlie wiedział, że pani Parker osobiście prowadzi wszystkie grupy socjalne i dziecięce. Nie kierowała tylko grupą dla maltretowanych matek. Zajmowała się tym przeszkolona wolontariuszka. Prawie wszystko inne, poza gotowaniem i szorowaniem podłóg, Carole Parker robiła sama. Z jej życiorysu wynikało, że w razie konieczności nie uchylała się również przed takimi obowiązkami. Należała do kobiet, o których ciekawie się czyta, ale przy bezpośrednim spotkaniu czasami onieśmielają. Charlie jeszcze nie zdecydował, czy ona też tak na niego działa. Z pewnością robiła imponujące wrażenie, ale kiedy usiadła za biurkiem, uśmiechnęła się do niego i oczy jej pocięły. Miała duże, przenikliwe, niebieskie oczy, jak lalka.

– A więc, panie Harrington, przyszedł pan nas sprawdzić.

Nawet ona musiała przyznać, że za milion dolarów miał do tego prawo. Fundacja przekazała im właściwie dziewięćset siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów, dokładnie tyle, o ile prosili. Pani Parker nie miała odwagi zażądać okrągłego miliona, zamiast tego poprosiła o równowartość sumy, którą sama zebrała przez ostatnie trzy lata. Była po prostu oszołomiona,

kiedy otrzymała zawiadomienie, że prośba o grant została załatwiona pozytywnie. W tym samym czasie składała podania do co najmniej tuzina innych fundacji i wszystkie odprawiły ją z kwitkiem. Oświadczyły, że najpierw chcą obserwować postępy ośrodka przez następny rok, zanim przyznają fundusze na projekt. Była więc wdzięczna, ale zawsze czuła się jak małopka kataryniarza, kiedy dobroczyńcy przychodzili się rozejrzeć. Ona zajmowała się ratowaniem życia i naprawianiem szkód wyrządzonych dzieciom. Tylko to ją interesowało. Zdobywanie pieniędzy stanowiło zło konieczne i nie sprawiało jej przyjemności. Nie lubiła czarować ludzi, żeby wyciągnąć od nich kasę. Dotkliwe potrzeby tych ludzi, którym służyła, wydawały się jej dostatecznie przekonującym argumentem. Nienawidziła proszenia tych, którzy prowadzili wygodne życie. Co oni wiedzieli o pięciolatce, której wlano do oczu wybielacz i oślepieno na całe życie, albo o chłopcu, któremu matka przycisnęła do twarzy gorące żelazko, albo o dwunastolatce notorycznie gwałconej przez ojca, który gasił jej papierosy na piersiach? Jak trzeba przekonywać ludzi, że takie dzieci potrzebują pomocy? Charlie nie wiedział, co miała mu do powiedzenia, widział jednak w jej oczach pasję oraz cień dezaprobaty, kiedy spoglądała na jego dobrze skrojony garnitur, kosztowny krawat i złoty zegarek. Sumy, które na to wydał, ona mogła spożytkować lepiej. Charlie natychmiast odczytał jej myśli i zrobiło mu się głupio, że przyszedł tutaj w takim stroju.

– Przepraszam, że nie ubrałem się odpowiednio. Miałem biznesowy lunch na mieście.

Nie mówił prawdy, ale nie mógł przecież pójść do jachtklubu ubrany jak ona, w dzinsach, nike'ach i podkoszulku. Teraz zdjął marynarkę, rozpiął mankiety koszuli, podwinął rękawy, ściągnął krawat i wepchnął do kieszeni. Niewiele to poprawiło, ale przynajmniej zrobił wysiłek w tym kierunku, nagrodziła go więc uśmiechem.

– Przepraszam powiedziała. – PR nie należy do moich mocnych stron. Kocham to, co tutaj robimy, i nie bardzo potrafię rozkładać czerwony dywan przed VIP-ami. Przede wszystkim nie mamy dywanu, a i tak nie miałabym czasu go rozłożyć.

Długie włosy, splecione w gruby warkocz, opadały jej na plecy. Wyglądała jak wiking, kiedy tak siedziała z długimi nogami wysuniętymi spod biurka. Wcale nie przypominała pracownicy socjalnej, chociaż tak podawały jej papiery. Charlie przypomniał sobie, że skończyła Princeton, żeby więc przełamać lody, powiedział, że to również jego alma mater.

– Bardziej mi się podobała Columbia – oświadczyła swobodnie, niezbyt przejęta faktem, że kończyli tę samą uczelnię. – Jest bardziej uczciwa. Princeton jest trochę zanadto skupiony na sobie jak na mój gust. Wszyscy myślą tylko o historii uczelni. Bardziej się przejmują przeszłością niż przyszłością.

– Nigdy o tym nie myślałem w ten sposób – bąknął Charlie, musiał jednak przyznać, że ma rację. Pod pewnymi względami okazała się równie szczerą i onieśmielającą, jak się obawiał, pod innymi wcale. – Należała pani do klubu obiadowego?* [Kluby obiadowe (*eating clubs*) organizacje studenckie w Princeton, których tradycja wywodzi się z XIX wieku; powstałe jako alternatywne rozwiązanie dla stołówek krytykowanych przez studentów, z czasem przekształciły się w snobistyczne kluby towarzyskie; na skutek protestów w latach 60. częściowo zatraciły swój elitarny charakter, nadal jednak osobom z zewnątrz kojarzą się raczej negatywnie (przyp. tłum.)] – zapytał w nadziei, że jednak czymś jej zaimponuje albo znajdzie jakiś wspólny punkt.

– Tak – przyznała z lekkim zakłopotaniem. – Byłam w Cottage. Przerwała na moment i uśmiechnęła się do niego znacząco. Znała ten typ.

Podobni do niego tłumnie uczęszczali do Princeton.

– A pan był w Ivy.

Ivy League nie przyjmowała kobiet, nawet wtedy, kiedy studiowała pani Parker. Nienawidziła wtedy chłopców, którzy należeli do tej Ligi. Teraz to się wydawało niedojrzałe i niemądre. Uśmiechnęła się, kiedy kiwnął głową.

– Nie zapytam głupio: „Jak pani zgadła?” – Najwyraźniej znała ten typ, ale nie wiedziała o nim nic więcej. – Czy mam szansę, że pani mi przebaczy?

– Tak – roześmiała się i nagle sprawiła wrażenie bardzo młodej. Nie była umalowana, nigdy nie zawracała sobie głowy makijażem, od kiedy pracowała w ośrodku. Miała za dużo spraw na głowie, żeby przejmować się szczegółami. – Dziewięćset siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów z pańskiej fundacji wystarczy, żebym przebaczyła panu prawie wszystko, o ile pan nie maltretuje swoich dzieci.

– Nie mam dzieci. Przynajmniej pod tym względem jestem niewinny.

Wyczuwał, że jej się nie spodobał, co natychmiast potraktował jak wyzwanie. Ostatecznie była bardzo ładną kobietą mimo wszystkich swoich stopni naukowych. Niewiele kobiet potrafiło oprzeć się Charliemu, kiedy uruchamiał swój czar. Nie miał jeszcze pewności, czy Carole Parker warta jest tego wysiłku. Wyglądała na twardy orzech do zgryzienia. Politycznie poprawna do szpiku kości, podejrzewała go o coś przeciwnego. Zdziwiła się, słysząc, że Charlie nie ma dzieci, a potem niejasno przypomniała sobie, że nie był żonaty. Zastanawiała się, czy jest gejem. Charlie załamałby się, gdyby o tym wiedział. Jej jednak nie obchodziły jego preferencje seksualne. Chciała od niego tylko pieniędzy dla dzieci z ośrodka.

– Chciałby się pan rozejrzeć? – zaproponowała uprzejmie i wstała. Spojrzała mu prosto w oczy. Na wysokich obcasach miałyby dokładnie tyle samo wzrostu co on. Charlie był wysoki, miał oczy dokładnie tego samego koloru co ona i równie jasne włosy. Przez krótką chwilę pomyślał, że wygląda jak jego siostra. Potem ze wszystkich sił starał się o tym zapomnieć. To go wyprowadzało z równowagi.

Nie widziała wyrazu jego twarzy, bo pierwsza wyszła z gabinetu. Przez następną godzinę oprowadzała go po salach i pokojach, ciągnęła przez korytarze. Pokazała mu ogród, który dzieci uprawiały na dachu. Przedstawiła mu kilkoro dzieci. Poznał niewidomą Gabby z psem przewodnikiem, za którego zapłaciła jego fundacja. Oboje przechodzili obecnie szkolenie. Gabby nazwała wielkiego czarnego labradora, którego jej dano, imieniem Zorro. Charlie przystanął i poklepał psa, pochylając głowę, żeby Carole nie zobaczyła łez w jego oczach. Opowiadała mu wstrząsające historie, kiedy dzieci nie było w pobliżu. Przez kilka minut oglądali zajęcia w grupie, co wywarło na Charliem ogromne wrażenie. Carole zwykle prowadziła te zajęcia, tym razem wzięła jednak wolne popołudnie, żeby oprowadzić gościa, co uważała zresztą za stratę czasu. Czuli, że lepiej wykorzystuje czas, spędzając go z pacjentami.

Przedstawiła mu wolontariuszy, pracujących przy terapii zajęciowej z młodszymi dziećmi oraz na kursach czytania dla tych, którzy doszli do szkoły średniej, nie umiejąc czytać ani

pisać. Pamiętał, że czytał o tym programie w jej broszurze i że otrzymała nagrodę państwową za rezultaty, jakie osiągnęła. Każdy pacjent umiał czytać i pisać, opuszczając po roku otwarty ośrodek. Rodziców również przyjmowano na kursy czytania dla dorosłych. Proponowano też doradztwo i terapię dla dzieci i rodziców.

Carole oprowadziła Charliego od dachu po piwnice, przedstawiła mu wszystkich, a na końcu swojego asystenta, młodego człowieka imieniem Tygue, tego samego, który otworzył mu drzwi. Poinformowała Charliego, że wypożyczyła Tygue'a z doktoranckiego programu w Yale. Ściągnęła tutaj do pracy wielu niezwykłych ludzi, niektórych z nich znała wcześniej, innych znalazła w trakcie organizowania ośrodka. Wyjaśniła, że razem z Tygue'em obronili prace magisterskie z socjologii. Potem ona założyła ten ośrodek, a on poszedł na Yale, żeby kontynuować studia. Pochodził z Jamajki i Charlie zachwycał się jego akcentem. Po paru minutach rozmowy Carole odprowadziła Charliego do swojego gabinetu. Wyglądał na wykończony.

– Nie wiem, co mam pani powiedzieć – zaczął pokornie. – To niezwykle miejsce. Zrobiła pani wspaniałą robotę. Jak pani to zorganizowała?

Podziwiał jej osiągnięcia i chociaż na początku potraktowała go oziębło, a nawet z lekką pogardą wspomniała o jego klubie obiadowym, nie wątpił, że ma do czynienia z wyjątkową kobietą. Dużo lepszą ode mnie, pomyślał. W wieku trzydziestu czterech lat stworzyła miejsce, które zmieniało ludzkie życie i ratowało wiele istnień ludzkich, starszych i młodszych.

Podczas zwiedzania tak go pochłonęły jej opowieści, że zupełnie zapomniał ją oczarować. To raczej ona zwała go z nóg, nie swoim czarem ani uderzającą urodą, tylko niezmordowaną pracą i osiągnięciami. Stworzony przez nią ośrodek, chociaż wciąż w oplakany stan, był zadziwiającym miejscem.

– Marzyłam o tym od dziecka – odpowiedziała z prostotą. – Oszczędzałam każdy grosz, odkąd skończyłam piętnaście lat. Jako nastolatka byłam kelnerką, kosiłam trawniki, sprzedawałam gazety, uczyłam pływania. Robiłam wszystko, żeby powstało to miejsce, i w końcu dopięłam swego. Samodzielnie uciułałam około trzystu tysięcy dolarów, włącznie z pieniędzmi zarobionymi później na giełdzie. Resztę wyciągnęłam od ludzi, aż zebrałam tyle, żeby wpłacić zaliczkę za budynek i zacząć. Z początku wszystko trzymało się na słowo honoru. Ale już tak nie będzie – powiedziała szczerze i nareszcie z wdzięcznością – dzięki pańskiej fundacji. Przepraszam, że na początku przyjąłem pana niezbyt serdecznie. Nie znoszę tłumaczyć się z tego, co robimy. Wiem, że robimy wspaniałą robotę, ale czasami ludzie, którzy tu przychodzą, nie widzą tego albo nie rozumieją wartości naszej pracy. Kiedy zobaczyłam garnitur i zegarek – wyznała z zażenowaniem – pomyślałam, że pan nie zrozumie. To głupie z mojej strony. Chyba jestem uprzedzona do ludzi, którzy studiowali w Princeton, włącznie z sobą samą. Jesteśmy tacy uprzywilejowani i nawet nie zdajemy sobie z tego sprawy. To, co tutaj widzę, jest prawdziwe. Reszta po prostu się nie liczy, przynajmniej dla mnie.

Charlie kiwnął głową. Nie wiedział, co odpowiedzieć. To była kobieta godna podziwu i właśnie podziw w nim budziła. Nie lęk czy onieśmienie, ale podziw. Nagle zawstydził się swojego garnituru i złotego zegarka.

Wskazał zegarek przepaszającym gestem.

– Przysięgam, że po drodze do domu wyrzucę go przez okno.

– Nie będzie pan musiał – zaśmiała się szczerze. – Któryś z naszych sąsiadów chętnie go panu zdejmie. Poproszę Tygue’a, żeby pana odprowadził. Sam nie dotrze pan nawet do krawężnika.

– Jestem twardy, nawet jeśli na to nie wyglądam – oświadczył z uśmiechem.

Carole wyraźnie nabrała do niego sympatii. Ostatecznie bez względu na klub obiadowy podarował im prawie milion dolarów i za to była mu wdzięczna. Przypuszczała, że na początku potraktowała go trochę za ostro. Nie znosiła facetów takich jak on, tych, którzy nigdy nie oglądali drugiej strony życia. A jednak kierował fundacją, która wspierała różne szlachetne cele, nie mógł więc być całkiem zły, chociaż na pewno zepsuty. Pewnie by ją zatkało, gdyby się dowiedziała, że posiada na własność osiemdziesięciometrowy jacht, ale jej tego nie powiedział.

– Ja też jestem twarda – wyznała otwarcie – ale w tej okolicy trzeba zachować ostrożność. Jeśli pan tu wróci, proszę włożyć dres i tenisówki.

Zauważyła jego kosztowne buty od Johna Lobba, robione na zamówienie w firmie Hermes.

– Obiecuję – powiedział.

Zamierzał dotrzymać tej obietnicy, choćby po to, żeby jej nie irytować. Znacznie lepiej się czuł, kiedy okazywała mu sympatię, tak jak teraz. Na początku jej oczy miały lodowaty wyraz, teraz sytuacja znacznie się poprawiła i Charlie nabrał ochoty na następną wizytę w ośrodku. Powiedział o tym jej i Tygue’owi, kiedy go odprowadzali do frontowych drzwi.

– Niech pan wpada w każdej chwili – zaprosiła go Carole z ciepłym uśmiechem.

Właśnie wtedy Gabby pewnym krokiem zeszła po schodach, trzymając mocno smycz Zorra. Rozpoznała głosy Tygue’a i Carole.

– Co ty tu robisz? – zapytała Carole ze zdziwieniem.

Dzieci zwykle nie schodziły na dół, tylko na posiłki albo żeby się pobawić w ogrodzie. Wszystkie biura znajdowały się na parterze – rozsądne rozwiązanie, zwłaszcza jeśli agresywni rodzice zjawiali się szukać dzieci albo próbowali odebrać przemocą te, które sąd oddał pod opiekę Carole, jak Gabby. Bezpieczniejsze były na górze.

– Zesłam do tego pana z miłym głosem. Zorro chciał się pożegnać.

Tym razem nawet Carole zobaczyła łzy w oczach Charliego. Na szczęście Gabby ich nie zobaczyła. Carole lekko dotknęła jego ramienia – nie mógł się sprzeciwić dziecku. Serce mu pękało, kiedy dziewczynka podeszła do nich roześmiana.

– Do widzenia, Zorro – powiedział Charlie i najpierw poklepał psa, a potem delikatnie dotknął włosów dziecka. Uśmiechnął się do małej, ale ona tego nie widziała. W żaden sposób nie mógł naprawić tego, co ją spotkało, ani wspomnień, ani skutków maltretowania. Mógł tylko pośrednio zapłacić za jej psa, a to wydawało się takie niewystarczające. Carole zawsze doświadczała podobnych uczuć. – Opiekuj się nim dobrze, Gabby. To ładny pies.

– Wiem – odparła z niewidzącym uśmiechem i pochyliła się, żeby pocałować psa w pysk.
– Przyjdzie pan jeszcze nas odwiedzić? Pan jest miły.

– Dziękuję, Gabby. Ty też jesteś miła i bardzo piękna. I przyjdę was odwiedzić. Przymierzam.

Spojrzał na Carole, a ona pokiwała głową. Pomimo początkowego uprzedzenia polubiła go. Pewnie był przyzwoitym człowiekiem, tylko bogatym i zepsutym. Przez całe życie uciekała od mężczyzn takich jak on, ale ten przynajmniej zdobył się na gest pomocy, wart milion dolarów. Wiele to o nim mówiło. No i zależało mu dostatecznie, żeby się tutaj pofatygować. Jeszcze bardziej spodobało się jej to, jak rozmawiał z małą dziewczynką. Szkoda, że sam nie ma dzieci.

Tygue znalazł dla niego taksówkę i wrócił powiedzieć, że już czeka.

– Proszę włożyć hełm – zażartowała Carole – i pilnować zegarka.

– Chyba jakoś dotrę do taksówki.

Podziękował jej za zwiedzanie; poprawiło mu nastrój na cały dzień, a może nawet rok. Jeszcze raz pożegnał się z Gabby i w drodze do drzwi po raz ostatni obejrzał się na nią i na psa. Ucisnął rękę Tygue'owi i z marynarką przerzuconą przez ramię, z podwiniętymi rękawami, wśliznął się do taksówki i podał kierowcy adres. Siedział w milczeniu, rozmyślając o tym wszystkim, co dzisiaj zobaczył. Za każdym razem, kiedy wspominał Gabby i jej psa, ścisnęło go w gardle.

Charlie wszedł do mieszkania i od razu poniosł słuchawkę telefonu. Zadzwoił do Graya. Dziś po południu zrozumiał wiele rzeczy: co jest ważne, a co nie.

Gray odebrał po drugim dzwonku. Razem z Sylvią gotowali obiad. Zdziwił się, słysząc głos Charliego. Właśnie opowiadał kolejny raz o lunchu i przykrych reakcji Charliego na wiadomość, że spotyka się z Sylvią.

– Przepraszam, dzisiaj przy lunchu zachowałem się jak dupek – powiedział Charlie bez żadnych wstępów. – Sam nie wierzę, że to mówię, ale chyba byłem zazdrosny.

Sylvia patrzyła na Graya ze zdziwieniem. Nie wiedziała, kto dzwoni i co mówi, ale Gray wyglądał jak ogłuszony.

– Nie chcę cię stracić, stary. Chyba się przestraszyłem, że coś się zmieni. Ale co tam, skoro ją kochasz, to jakoś z nią wytrzymam.

Znowu miał łzy w oczach, kiedy to mówił. Przeżył dzisiaj popołudnie pełne wzruszeń i nie chciał na domiar złego stracić przyjaciela. Przecież kochali się jak bracia.

– Nie stracisz mnie – powiedział Gray zdławionym głosem.

Nie wierzył własnym uszom. Wiedział, że Charlie jest jego przyjacielem. W końcu to Sylvia się pomyliła.

– Wiem – przyznał Charlie już normalnym głosem. – Zrozumiałem to dzisiaj po południu. A potem się zakochałem.

– Nie chrzań – zawołał Gray ze śmiechem. – W kim?

– W sześciolatniej niewidomej dziewczynce z czarnym labradorem przewodnikiem, imieniem Zorro. Najpiękniejsze dziecko, jakie widziałem w życiu. Matka nałapała jej bielinki do oczu i mała nigdy nie będzie widzieć. Wychodzi na to, że kupiłem jej psa.

Obaj mężczyźni milczeli przez długą chwilę. Łzy płynęły po policzkach Charliego. Nie mógł wyrzucić z pamięci dziewczynki i wiedział, że nigdy jej nie zapomni. Za każdym razem,

kiedy pomyśli o ośrodku pomocy dzieciom, zobaczy Gabby z jej psem Zorro.

– Jesteś dobrym człowiekiem, Charlie Harringtonie powiedział Gray, przytłoczony wzruszeniem.

Przez całe popołudnie sądził, że straci przyjaciela. Charlie mówił z takim gniewem i rozgoryczeniem, zwłaszcza kiedy nazwał go zdrajcą. Ale chyba już mu wybaczył i zabrało mu to tylko parę godzin.

– Ty też jesteś dobrym człowiekiem – powiedział Charlie, rozglądając się po swoim pustym mieszkaniu, które nagle wydało się jeszcze bardziej puste.

Znowu pomyślał o Sylvii i Grayu. – Zaproszcie mnie kiedyś na obiad. Mam nadzieję, że ona gotuje lepiej od ciebie. Kiedy ostatnio podałeś mi obiad, o mało nie umarłem. Pod żadnym pozorem nie gotuj dla niej swojego tajemniczego gulaszu.

– Prawdę mówiąc, gulasz właśnie bulgocze na kuchence. Pokazywałem jej, jak go robić.

– Dobrze ci radzę, wylej go do ubikacji, bo inaczej koniec z romanssem. Mnie o mało nie zrobili płukania żołądka. Zadzwoń po chińszczyznę na wynos.

– O człowieku małej wiary... ona już go jadła. Bardzo jej smakował.

– Kłamie. Wierz mi, nikomu na świecie nie może smakować twój gulasz. Albo zwariowała, albo cię kocha.

– Może jedno i drugie. Przynajmniej mam taką nadzieję.

– To nie leży w moim interesie – przyznał Charlie ostrożnie – ale ze względu na ciebie też mam taką nadzieję. Dla odmiany zasługujesz na coś dobrego. Może ja też. Jeśli kiedyś kogoś znajdziesz. – Zawahał się, ale brnął dalej. – Część tego, co dzisiaj powiedziałeś, to prawda. Sam nie wiem, czego chcę ani kogo i czy w ogóle pragnę zmiany. Teraz moje życie jest dużo prostsze.

Od czasu kiedy wrócił do Nowego Jorku. Prostsze, ale samotne. Odczuwał to tak dotkliwie, jak nigdy dotąd.

– Znajdziesz kogoś, jeśli zechcesz. Będziesz wiedział, że to ona, Charlie. Ja wiedziałem. Pewnego dnia to po prostu wkroczy w twoje życie.

– Mam nadzieję.

Rozmawiali jeszcze przez parę minut, potem Gray powiedział, że gulasz się przypala, co Charlie skomentował: „Całe szczęście!”

Odłożył słuchawkę i siedział w ciszy swojego apartamentu, wspominając wizytę w ośrodku pomocy dzieciom. Najpierw widział tylko Gabby i Zorra... potem Tygue'a, doktoranta z Jamajki, absolwenta Yale... a potem Carole Parker. Stanowili zadziwiającą grupę. Charlie wpatrywał się w przestrzeń i wspominał, jak na niego spojrziała, gdy zobaczyła go po raz pierwszy. Od razu z pogardą popatrzyła na jego garnitur i złoty zegarek. A mimo to bardzo mu się spodobała. Podobało mu się to, czego dokonała, w co wierzyła, to jak ciężko pracowała, żeby to wszystko osiągnąć. Była wyjątkową kobietą, obdarzoną niezwykle byстрыm umysłem i wielką odwagą. Nie wiedział kiedy, jak i dlaczego, ale wiedział, że chce ją jeszcze raz zobaczyć. Musiał ją zapytać o wiele rzeczy, nie tylko o to, co robiła z jego pieniędzmi w ośrodku, ale o życie. I miał nadzieję, że przy odrobinie szczęścia pewnego dnia, mimo garnituru i złotego zegarka, zostaną przyjaciółmi.

Rozdział 9

Adam zabrał Charliego na koncert śmiesznie długą limuzyną. Miała śpiewać jedna z jego najważniejszych klientek. Cała trasa koncertowa stanowiła drogę przez mękę, a negocjowanie związanych z tym kontraktów było koszmarem, teraz jednak, kiedy nadszedł wielki wieczór, Adam był w znakomitym humorze. Gwiazda należała do największych w kraju, a może i na świecie. Vana. Jedno słowo. Jedna kobieta. Wynajęli dla niej Madison Square Garden i każdy rozwrzeszczany nastolatek tam się wybierał, każdy świr, każdy nastoletni i dorosły fan rock and rolla z Nowego Jorku. Charlie rzadko chodził na takie imprezy, ale Adam przekonał go, że będą dobrze się bawić i koniecznie trzeba pójść.

Koniki sprzedawały miejsca po cztery i pięć tysięcy dolarów za bilet. Ludzie stali w kolejkach przez dwa i trzy dni, zanim otwarto kasy. Zapowiadała się największa impreza roku. Adam ostrzegł Charliego, żeby włożył dzinsy, nie chciał, żeby Charlie pojawił się w garniturze i dostał łomot od fanów. I bez tego miał dosyć zmartwień dziś wieczorem. Oczywiście załatwił nie tylko wejściówki za kulisy, ale miejsca w pierwszym rzędzie. To będzie niezapomniany wieczór. Adam miał nadzieję, że wszystko pójdzie gładko. Wszystkie trzy telefony komórkowe dzwoniły bez przerwy, kiedy jechali do Madison Square Garden. Nie mógł zamienić słowa z Charliem, dopóki nie przejechali połowy drogi. Pomachał mu ręką i nalał sobie drinka, gdy limuzyna zatrzymała się na czerwonym świetle.

– A mój lekarz się dziwi, czemu mam takie wysokie ciśnienie – powiedział wreszcie i uśmiechnął się do Charliego, ubawionego tymi wygłupami. Śmiesznie było słuchać, jak Adam wrzeszczy na każdego, kto do niego zadzwonił. – Ta robota mnie zabije. Co się dzieje z Grayem? Wszystko w porządku? Nigdy do mnie nie dzwoni.

W tym szaleństwie, spowodowanym występem Vany w Garden, Adam też nie miał czasu zadzwonić do Graya. Tkwił po same uszy w koncertowym zamieszaniu.

– W porządku – odparł enigmatycznie Charlie, a potem zdecydował się powiedzieć prawdę. – Właściwie jest zakochany.

– Taak, jasne. Założę się. Gdzie ją znalazł? Wyszła z odwyku czy z wariatkowa?

Adam dopił drinka.

– W Portofino – wyjaśnił Charlie, zadowolony z siebie i jeszcze bardziej ubawiony. Adam nigdy w to nie uwierzy, on sam nie uwierzył w pierwszej chwili. Wciąż jeszcze nie mógł się z tym oswoić.

– Co w Portofino?

Adam wydawał się półprzytomny i straszliwie spięty. Jeden z asystentów zadzwonił z wiadomością, że fryzjerka Vany nie zjawiała się z jej perukami i gwiazda wpadła w histerię. Pospiesznie wysłano kogoś do hotelu, ale występ może się opóźnić. Tylko tego mu brakowało. Związki zawodowe dostaną szału, jeśli występ się przedłuży, chociaż zawsze się przedłużał. Adam nie był producentem, ale jeśli Vana naruszy kontrakt, czekają lawina pozwów. Musi ją chronić przed nią samą, słyęła z niekontrolowanych wybuchów.

– Gray poznał ją w Portofino – odpowiedział cicho Charlie.

– Kogo poznał w Portofino?

Charlie roześmiał się na widok jego tępej miny. To nie była odpowiednia pora na omawianie miłosnego życia Graya, ale o czymś musieli rozmawiać, skoro tkwili w korku, a Adam kipiał z niecierpliwości. Chciał się dostać do Vany, zanim popełni jakieś szaleństwo, przestępstwo albo odwoła występ.

– Kobietę, w której się zakochał – ciągnął Charlie. – Mówi, że nocuje u niej, nie mieszka, tylko nocuje. Rozumiem, że to nie to samo.

– Oczywiście, że nie – rzucił Adam z irytacją. – Nocowanie oznacza, że jest zbyt zmęczony po seksie, żeby wstać z łóżka, co pewnie wynika z lenistwa i podeszłego wieku. Ale byłby głupi, gdyby z nią zamieszkał. Dostanie od niej to samo, może nawet i lepszy seks, jeśli tylko czasem przenocuje. Jak z nią zamieszka, wszystko się skończy. Będzie wynosił śmieci, odbierał rzeczy z pralni i gotował.

– Nic nie wiem o pralni ani śmieciach, ale gotuje dla niej.

– Zwariował. Jeśli tylko nocuje, nie ma swojej szafy ani klucza. I nie może odbierać telefonów. Ma klucz?

– Zapomniałem spytać.

Charlie śmiał się już na cały głos. Adam wyglądał jak kłębek nerwów, czekali na zmianę światła. Rozmowa o Grayu odwracała jego uwagę. Charlie słuchał zafascynowany wykładu Adama o regułach związków. Widocznie istniała cała lista rzeczy, które przekładały się na status mężczyzny. Charlie nigdy nie zakwalifikował się do większości z nich, chociaż raz miał klucz.

– Kto to jest, do cholery?

– Sylvia Reynolds, marszandka sztuki, którą poznaliśmy w Portofino. Widocznie Gray zaprzyjaźnił się z nią bardziej, niż sądziliśmy, kiedy ty się uganiałeś za jej siostrzenicą.

– O Jezus, ta dziewczyna z twarzą anioła i mózgiem jak Albert Einstein. Takiej dziewczyny nigdy nie zaciągniesz do łóżka, prędzej zagada cię na śmierć i umrzesz ze starości, zanim się dobierzesz do jej majątek. Miała świetne nogi, pamiętam – rzucił z żalem.

Zawsze żałował nóg, które mu przeszły koło nosa. O tych, które zaliczył, zapomniał następnego dnia.

– Siostrzenica miała świetne nogi? – upewnił się Charlie, próbując sobie coś przypomnieć. Ale pamiętał tylko jej twarz.

– Nie, Sylvia. Ta marszandka sztuki. Co ona, do cholery, robi z Grayem?

– Mogła trafić dużo gorzej – oświadczył lojalnie Charlie, a Adam przytaknął. – On za nią szaleje. Mam nadzieję, że ona za nim też. Ale skoro zjadła jego gulasz, to pewnie tak jest.

Nie przyznał się Adamowi do swego wybuchu, kiedy Gray powiedział mu o tym przy lunchu. Nadal wstydził się tego i z niesmakiem wspominał swoje obrzydliwe zachowanie. Gray chyba przeszedł nad tym do porządku dziennego, a Adam jakoś się nie przejął wiadomością, że Gray „nocuje” u Sylwii. Tego wieczoru miał inne, ważniejsze sprawy na głowie, na przykład to, że Vana odwoła występ, jeśli nie znajdą jej peruk. Procesy sądowe, które z tego wynikną, biorąc pod uwagę znaczenie i rozmiar koncertu, dostarczą mu zajęcia na następnych dziesięć lat.

– To nie potrwa długo. Ona jest zbyt normalna. Znudzi mu się po tygodniu.

– Wiesz, on chyba tak nie myśli. Mówi, że właśnie dlatego mu się podoba i że nie chce umrzeć sam.

– Jest chory?

Adam wydawał się szczerze zmartwiony. Charlie pokręcił głową.

– Po prostu myślał o swoim życiu. Prowadzi bardzo samotne życie, kiedy maluje. Ona zarekomendowała go świetnej galerii, więc chyba to nie jest takie złe.

– Może to coś poważniejszego, skoro robi dla niego takie rzeczy. Lepiej do niego zadzwonię. Nie chcemy, żeby posunął się za daleko z powodu pary świetnych nóg.

Adam miał zmartwioną minę i Charlie znów pokręcił głową.

– Z tego, co słyszałem, już się posunął. Zobaczymy, jak to dalej rozegra – powiedział Charlie ostrożnie.

Długa czarna limuzyna zatrzymała się przed Madison Square Garden. Charlie nie wierzył własnym oczom, kiedy zobaczył zgromadzone tłumy. Musieli się przepychać prawie przez dwadzieścia minut, z pomocą policji. Dwaj gliniarze w cywilu czekali, żeby zaprowadzić ich na miejsca.

Kiedy tylko je znaleźli, Adam zniknął za sceną, żeby sprawdzić sytuację. Charlie zapewnił, że da sobie radę. Siedział i obserwował kłębiące się tłumy. Zwrócił uwagę na ładną blondynkę w najkrótszej spódniczce, jaką widział w życiu. Włosy miała długie i utapirowane, nosiła czarne skórzane botki na wysokim obcasie i jaskrawoczerwoną skórzaną kurtkę. Pod grubym makijażem wyglądała na jakieś siedemnaście lat. Zapytała grzecznie, czy ktoś siedzi na wolnym miejscu obok niego, a kiedy odpowiedział twierdząco, zniknęła. Zobaczył ją znowu po paru minutach, jak rozmawiała z kimś innym. Miał wrażenie, że krążyła po sali i szukała miejsca. W końcu wróciła do niego.

– Na pewno ktoś tutaj siedzi? – zapytała z uporem.

Charlie doszedł do wniosku, że jest starsza, niż mu się początkowo wydawało. Była wyjątkowo ładna i miała wspaniałą figurę. Czarna przezroczysta bluzka niemal pękała w szwach, szczerze ukazując bujne krągłości. Dziewczyna wyglądałaby na prostytutkę, gdyby nie niewinny wyraz twarzy.

– Tak, na pewno. Mój przyjaciel tylko poszedł za kulisy.

– O Boże! – zawołała dziewczyna z niedowierzaniem. – Pana przyjaciel zna Vanę?

Powiedziała to takim tonem, jakby pytała, czy zna Pana Boga. Charlie uśmiechnął się i kiwnął głową. – Pracuje dla niej. Mniej więcej.

– Pozwoli pan, że tu usiądę, dopóki on nie wróci? – zapytała. Pomyślał, że dziewczyna próbuje go poderwać, ale chyba nie miał racji. Znacznie bardziej zainteresował ją Adam, odkąd się dowiedziała, że poszedł za kulisy. – Mam miejsce gdzieś z tyłu, a stamtąd nic nie widać. Pomyślałam, że sprawdzę, czy tu nie ma czegoś wolnego, ale chyba nie. Stałam w kolejce po bilet dwa dni. Przyniosłam śpiwór i biwakowałam. Zmieniałyśmy się z koleżanką.

Charlie kiwnął głową, lekko osłupiały. Wyglądała nie gorzej niż reszta tłumu, chociaż wyróżniałaby się w każdym innym miejscu. Przypominała Julię Roberts w *Pretty Woman*, zanim Richard Gere dokonał jej przemiany na Rodeo Drive – ten sam typ urody, zapierającej dech w piersiach. Jej strój też zapierał dech w piersiach, zwłaszcza botki na

dwunastocentymetrowych obcasach, sięgające wysoko za kolana. Spódniczka nie zakrywała prawie nic, a bluzka groziła rozerwaniem przy pierwszym kichnięciu. Niezły widok, ale działał na jej korzyść.

Charlie mimo woli zastanawiał się, jak by wyglądała bez makijażu, z włosami zaczesanymi do tyłu, w czystych dżinsach. Pewnie jeszcze piękniej niż teraz. Podejrzał, że jest modelką albo początkującą aktorką, ale wołał z nią nie rozmawiać. Nie chciał jej zachęcać do pozostania. Przysiadła na krawędzi miejsca Adama, który właśnie wrócił i zrobił zdumioną minę. Myślał, że Charlie ją poderwał, i był pod wrażeniem. Nie przypuszczał, że jego przyjaciel potrafi w pięć minut wyrwać taką dziewczynę.

– Znaleźli jej peruki. Fryzjerka uchłała się w hotelu, ale sprowadzili kogoś innego. Ten, kto ją znalazł, uratował nam życie – wyjaśnił, spoglądając z zaciekawieniem i zmieszaniem na dziewczynę siedzącą na jego miejscu. – Czy jest jakiś powód, że pani tu siedzi? – zapytał w końcu. – Czy my się znamy?

Mimo woli spojrział prosto na jej bluzkę, a potem na twarz. Wystrzałowa dziewczyna i dokładnie w jego typie, co za szczęśliwy dzień.

– Jeszcze nie – uśmiechnęła się do niego. – Mam miejsce do kitu, właśnie mówiłam pana znajomemu. Powiedział, że pan pracuje dla Vany. To musi być super.

Cała się rozplywała w uśmiechach, patrząc na Adama maślanym wzrokiem.

– Czasami jest super. Dzisiaj nie było super.

Kiedy wszedł za kulisy Vana groziła odwołaniem występu. Potem uspokoiła się, bo znaleźli jej peruki i inną fryzjerkę. Adam nie miał jednak ochoty tłumaczyć tego dziewczynie. Podejrzał, że nic by nie zrozumiała. Zakładał, że jej IQ nie zwala z nóg, ale cycki miała wspaniałe. IQ niewiele dla niego znaczyło, wołał piersi niż inteligencję, od czasu Rachel.

– Słuchaj, chętnie bym z tobą porozmawiał, ale ona zacznie za jakieś pięć minut, kiedy ją uczeszą. Lepiej wracaj na swoje miejsce.

Dziewczyna w dżinsowej minispódniczce i czarnych skórzanych botkach wyglądała tak, jakby się miała rozplakać. Adam poczuł irytację, ale nic nie mógł dla niej zrobić. Nie było wolnych miejsc. W końcu wpadł na pewien pomysł. Nie miał pojęcia, dlaczego jej pomaga, i sądził, że wkrótce tego pożałuje, ale chwycił ją za ramię, ściągnął z krzesła i gestem kazał pójść za nim.

– Jeśli obiecasz, że będziesz grzeczna, załatwię ci miejsce na scenie. Zawsze rezerwowali kilka miejsc na wypadek, gdyby niespodziewanie zjawił się ktoś ważny.

– Poważnie? – zapytała, przejęta nabożnym podziwem.

Poprowadził ją szybko w stronę sceny i pokazał przepustkę jednemu z ochroniarzy, którzy nie dopuszczali tam tłumu. Przepuścili go i dziewczyna przekonała się, że mówił całkiem poważnie. Od lat jej się tak nie powiodło. Przyjaciółka powiedziała, że chyba zwariowała, żeby szukać miejsca w pierwszych rzędach, ale tego wieczoru to się jej opłaciło stokrotnie. Adam pomógł jej wejść po schodkach na tych wysokich obcasach i w nagrodę obejrzał sobie jej tyłeczek. Podziwiał ten widok bez żadnych skrupułów. Zakładał, że skoro nosi taką spódniczkę, pewnie się tego po nim spodziewała.

– A tak przy okazji, jak się nazywasz? – zapytał bez szczególnego powodu, prowadząc ją

do rzędu składanych krzeseł upchniętych z tyłu sceny. Musieli przestępować przez kable i omijać sprzęt dźwiękowy, ale stamtąd dziewczyna będzie miała wspaniały widok na przedstawienie. Wpatrywała się w Adama z takim zachwytem, jakby objawił jej się w religijnej wizji.

– Maggie O'Malley.

– Skąd jesteś?

Spojrzał na nią z uśmiechem, kiedy usiadła i założyła nogę na nogę. Ze swojego miejsca mógł bez przeszkód zaglądać jej pod spódniczkę. Zastanawiał się, czy naprawdę była taka gorąca, czy tylko ubrała się tak na koncert. Miał więcej doświadczenia od Charliego z kobietami o takim wyglądzie i ocenił ją na jakieś dwadzieścia dwa lata.

– Urodziłam się w Queens, ale teraz mieszkam w West Side. Pracuję w Pier 92.

Był to bar, który przyciągał tłumy ludzi, właściwie restauracja i lokal rozrywkowy, gdzie wszystkie kelnerki wyglądały jak Maggie. Te ładniejsze tańczyły na kontuarze, tworząc erotyczno-alkoholowy nastrój. Adam słusznie odgadł, że Maggie sporo zarabia na napiwkach. Czasami pracowały tam młode bezrobotne aktorki, rozpaczliwie potrzebujące pieniędzy.

– Jesteś aktorką? – zapytał z zainteresowaniem.

– Nie, kelnerką. Ale trochę tańczę. W dzieciństwie uczyłam się stepować i chodziłam na balet.

Nie przyznała mu się, że wszystkiego nauczyła się z telewizji. W okolicy, gdzie wyrosła, nie udzielano lekcji tańca. Urodziła się w najbiedniejszej, najbardziej obskurnej części Queens i uciekła stamtąd przy pierwszej okazji. Budynek, w którym teraz mieszkała na Upper West Side, niewiele lepszy od czynszówki, stanowił pałac w porównaniu z miejscem, gdzie dorastała. Spojrzała na Adama bez tchu, ze łzami w oczach.

Dziękuję za miejsce. Jeśli mogę się jakoś odwdziżyć, niech pan mnie znajdzie w Pier 92. Postawię panu drinka.

Tylko tyle mogła mu ofiarować, chociaż on wolałby od niej dostać co innego. Wyglądała jednak tak niewinnie mimo wyzywającego stroju, że poczuł wyrzuty sumienia z powodu swoich lubieżnych myśli. Sprawiała wrażenie słodkiego dziewczątka przebranego w seksowne ciuchy.

– Nie przejmuj się. Chętnie ci pomogłem. Maggie, tak?

– Właściwie Mary Margaret – sprostowała z szeroko otwartymi oczami. Łatwo mógł ją sobie wyobrazić w parafialnym mundurku szkolnym. Mary Margaret O'Malley. Wciąż się zastanawiał, czemu się tak wystroiła. Miała twarz anioła i ciało striptizerki, ale strój należało spalić. Wyglądałaby wspaniale z odpowiednią fryzurą i przyzwoicie ubrana, tyle że los zrzucił inaczej. Zresztą dzisiaj doskonale sobie poradziła jak na biedną dziewczynę z Queens, która pracuje w Pier 92. Siedzi na scenie na występie Vany, na specjalnym miejscu.

– Znajdę cię po występie – obiecał Adam i przez chwilę zamierzał dotrzymać słowa, ale ona nagle zerwała się z krzesła i uścisnęła go jak mała dziewczynka. Łzy lśniły w jej oczach.

– Dziękuję za to, co pan dla mnie zrobił. To najmiłsza rzecz, jaka mnie spotkała.

Wyraz jej oczu ponownie obudził w nim wyrzuty sumienia. Wprowadzenie jej na scenę nic go nie kosztowało.

– Nie przejmuj się – powtórzył i chciał odejść, ale ona złapała go za rękaw.

– Jak pan się nazywa?

Chciała poznać nazwisko swojego dobroczyńcy. Zaskoczyła go. Nie przypuszczał, że jeszcze się spotkają.

– Adam Weiss – powiedział.

Potem szybko wrócił na swoje miejsce. Światła przygaszały. Dwie minuty później, kiedy już siedział obok Charliego, rozpoczął się występ. Charlie nachylił się do niego tuż przed wyjściem Vany.

– Znalazłeś dla niej miejsce? – zapytał.

Oczarowała go ta dziewczyna. Nigdy jeszcze nie spotkał takiej jak ona. Dziewczyny z takim wyglądem stanowczo nie były w jego typie.

– Tak – odszepnął Adam. – Mówiła, że chce z tobą wyjść – dodał z udawaną powagą.

– Wątpię – roześmiał się Charlie. – Wzięłaś od niej numer telefonu, grupę krwi i adres?

– Nie, tylko rozmiar stanika. Jest dużo większy niż jej IQ – odparł Adam ze złośliwym uśmiechem.

– Nie bądź paskudny – skarcił go Charlie. – Ona jest naprawdę słodka.

– Wiem. Może zabierzemy ją na przyjęcie po występie.

Charlie rzucił mu ponure spojrzenie. Pomyślał, że koncert mu wystarczy. Nie czuł się tutaj swobodnie, chociaż zawsze podobała mu się muzyka Vany. Również tego wieczoru.

Przedstawienie okazało się rewelacją, a Vana bisowała siedem razy. Nigdy nie wyglądała ani nie śpiewała lepiej. Podczas przerwy Maggie wróciła do nich, żeby jeszcze raz podziękować Adamowi. Objął ją ramieniem i zaprosił na przyjęcie po występie. Zarzuciła mu ręce na szyję i znowu uściskała. Poczul na żebrach ucisk jej piersi. Były prawdziwe, podobnie jak nos. Wszystko, co miała, stanowiło dar Boga, nie kupny towar. Od lat nie widział takiej dziewczyny.

– Nie powinieneś tego robić – powiedział cicho Charlie, gdy dziewczyna wróciła na swoje miejsce przed rozpoczęciem drugiej części.

– Czego? – zapytał niewinnie Adam.

Wciąż jeszcze czuł dotyk jej piersi. Bardzo mu się to spodobało. Jak zawsze. Znał milion podobnych do niej kobiet, ale żadna z nich nie była prawdziwa.

– Wykorzystywać młodych dziewczyn. Może ubiera się jak dziwka, ale sam widzisz, że to słodki dzieciak. Nie bądź draniem, Adamie. Kiedyś to się na tobie zemści. Nie chciałbyś, żeby ktoś tak potraktował twoje dziecko.

– Gdyby moja córka tak się ubrała, zabiłbym ją i matka też.

Chciał zabrać dzieci na występ, ale Rachel nie pozwoliła. Powiedziała, że nazajutrz idą do szkoły i że nie powinny przebywać w takiej atmosferze. Że są za młode. Miał miłe, zdrowe dzieci.

– Może Maggie nie ma nikogo, kto by jej doradził, jak się ubierać.

Chyba włożyła wiele wysiłku w skompletowanie stroju na dzisiejszy wieczór, ale w swoim entuzjazmie po drodze zbłądziła na manowce. Niewiele jednak mogła zepsuć z taką twarzą i figurą. Została hojnie obdarzona przez naturę. I może pewnego dnia, kiedy dorośnie,

nauczy się raczej tonować, niż podkreślać swoje wdzięki.

– Z pewnością – przyznał oschle Adam – skoro pracuje w Pier 92.

Raz odwiedził ten lokal i nie wierzył własnym oczom. Każdy łajdus z Broadwayu przychodził tam, żeby obmacywać dziewczyny przy jedzeniu. Kelnerki były tak skąpo odziane, że równie dobrze mogły być nagie. Nosiły sukienki przypominające minispódniczki tenisowe, pod nimi figi, a na górze tandetne satynowe biustonosze, o kilka numerów za małe. To była najgorsza speluna.

– Nie użalaj się nad nią, Charlie. Są gorsze rzeczy, na przykład urodzić się w Kalkucie albo stracić wzrok jak ta dziewczynka z Harlemu, o której mi opowiadałeś. Ta dziewczyna jest śliczna i zrozumie to pewnego dnia. Pewnie odkryje ją jakiś cwany agent i zrobi z niej wielką gwiazdę.

– Wątpię – mruknął Charlie.

Dziewczyny takie jak ona kupowano po dolarze za pęczek. Większość nigdy nie wyrwała się z piekła, w którym wegetowały, zwłaszcza jeśli wykorzystywali je faceci w rodzaju Adama. Charlie litował się nad nią, a potem zaczęła się druga część.

Po zakończeniu koncertu tłum oszalał. Fani, fotografowie i dosłownie połowa widowni próbowali wdrzeć się na scenę. Potrzeba było dziesięciu gliniarzy, żeby bezpiecznie wyprowadzić Vanę. Adam nie mógł nawet dostać się za kulisy. Zadzwoił z komórki do kierownika sceny, który zapewnił go, że Vana czuje się dobrze i jest zachwycona, że tak świetnie poszło. Adam przypomniał, że spotkają się na przyjęciu. Kiedy odwrócił się do Charliego, zobaczył Maggie. Tłum, przez który się przepychała, niemal zdarł z niej bluzkę i kurtkę, ale dotarła do nich i jeszcze raz wylewnie podziękowała Adamowi. Nie miała pojęcia, co się dzieje z koleżanką. W tej kotłownianinie znalezienie kogoś graniczyło z niemożliwością.

– Chcesz iść na przyjęcie? – zapytał Adam.

W tych okolicznościach wyglądała odpowiednio i nie wstydził się z nią pokazać, chociaż Charlie trochę się krępował. Ale Charlie i tak chciał wracać do domu. Po koncercie miał już dość, chociaż bawił się doskonale. Po prostu nie potrzebował więcej wrażeń, w przeciwieństwie do Adama. Adam uwielbiał ciemną stronę życia, a Maggie doskonale do tego pasowała. Aż się paliła, żeby pójść na przyjęcie.

Po pół godzinie dotarli do wyjścia, a przez następne dwadzieścia minut szukali limuzyny. Wreszcie jednak ją znaleźli i wszyscy troje wsiedli do środka. Jechali na East Side, do prywatnego klubu wynajętego na tę okazję. Charlie wiedział, że będzie tam mnóstwo kobiet, alkoholu i narkotyków. To nie dla niego. Adam też nie brał narkotyków, ale nie miał nic przeciwko wódce i kobietom, i to w dużej ilości. Maggie przysiadła na ławeczce naprzeciwko nich z wniebowziętą miną. Adam nieznacznie zerknął pod jej spódniczkę. Nogi miała jeszcze lepsze, niż myślał początkowo. Co za niewiarygodna figura! Charlie też zwrócił uwagę na jej nogi, ale zamiast zaglądać pod spódniczkę, wołał patrzeć w okno. A potem Maggie skrzyżowała nogi.

– Dokąd jedziemy? – zapytała podnieconym głosem dziecka, z lekkim nowojorskim akcentem, nienatrętnym, ale rozpoznawalnym. Adam jakby tego nie zauważył.

– Najpierw musimy podrzucić Charliego. Może zatrzymamy się gdzieś na drinka, a potem

zabiorę cię na przyjęcie.

A jeszcze potem do domu, jeśli będzie chętna. Nigdy nie zmuszał kobiet do niczego. Nie musiał. Przez jego życie przewijało się ich dostatecznie dużo, żeby zapewnić mu rozrywkę. Maggie nie powinna sprawiać problemów. Podrywał mnóstwo dziewczyn podobnych do niej, tak podnieconych atmosferą wyjątkowego wieczoru, że prawie zawsze łądowały w jego łóżku. Rzadko zdarzało się inaczej. Nie wątpił, że Maggie też tam będzie. Charlie również w to nie wątpił.

Charlie pożegnał się z nią uprzejmie, kiedy podwieźli go pod dom. Powiedział, że ma nadzieję, iż jeszcze się spotkają, chociaż wcale się tego nie spodziewał. Ale co innego miał powiedzieć? Życzeń przyjemnej nocy z Adamem? Przez krótką, dziwną chwilę miał nadzieję, że do niczego nie dojdzie. To przypominało łowienie ryb w beczce, a wolał, żeby przynajmniej miała sportowe szanse. Za bardzo jej imponowało, że Adam zabiera ją na przyjęcie i że zdobył dla niej miejsce na scenie. Charlie miał ochotę jej poradzić, żeby bardziej się szanowała, ale pewnych rzeczy nie można zmienić. To było jej życie i życie Adama. Nie od Charliego zależało, co zrobią, kiedy się z nim pożegnają. Niemal pragnął chronić Maggie przed Adamem i przed nią samą, choć nie miał takiej możliwości. Zamyślony wjechał windą na górę i wszedł do mieszkania, a potem długo stał, patrząc na park w ciemnościach. Spędził przyjemny wieczór i świetnie się bawił. Czuł się zmęczony i po paru minutach poszedł do łóżka.

Zgodnie z obietnicą Adam zabrał Maggie do baru. Zamówiła kieliszek wina, on wypił margaritę i mojito. Pozwolił jej spróbować łyczek. Smakowało jej, ale oświadczyła, że nie pije mocnych alkoholi, co go zdziwiło. Jeszcze bardziej się zdumiał, kiedy powiedziała, że ma dwadzieścia sześć lat. Wyglądała na młodszą. Powiedziała, że czasami występuje jako modelka na pokazach w domach handlowych i pozuje do katalogów, głównie jednak pracowała w Pier 92, gdzie podobno zarabiała fortunę na napiwkach. Łatwo w to uwierzył, przy takiej figurze nie mogło być inaczej.

Dotarli na przyjęcie o pierwszej w nocy. Właśnie się zaczynało. Adam zdawał sobie sprawę, że wszędzie krążą narkotyki. Kokaina, ecstasy, heroina, krystaliczny metadon. Tłum szalał bardziej niż zwykle i Adam wkrótce doszedł do wniosku, że robi się nieciekawie. Czasami tak bywało po koncertach. Przez kilka minut tańczył z Maggie, a potem zaprowadził ją z powrotem do limuzyny. Zaprosił do siebie na drinka przed snem, ona jednak popatrzyła na niego i pokręciła głową.

– Lepiej nie. Już bardzo późno. Jutro muszę iść do pracy, ale dziękuję. Nie powiedział nic, tylko podał kierowcy jej adres. Przeraził się, kiedy zobaczył, gdzie to jest. Nigdy nie widział tak niebezpiecznej ulicy. Nie mógł sobie wyobrazić, że mieszkała tu dziewczyna taka jak ona. Z pewnością codziennie walczyła o przetrwanie. Współczuł jej, ale również trochę się zirytował, że nie została u niego na noc.

– Chyba się nie gniewasz, że nie poszłam do ciebie – powiedziała przepraszająco. – Nie robię takich rzeczy na pierwszej randce.

Popatrzył na nią zaskoczony, nie wiedząc, czy naprawdę liczyła na drugą. Zapisła mu swój numer, który wetknął do kieszeni. Zamierzał go wyrzucić po powrocie do domu. Mógł

zabawić się z nią dla żartu przez jedną noc, ale nie widział powodu, żeby znowu się z nią spotykać. W każdej chwili mógł mieć setki takich jak ona. Nie potrzebował kelnerki z Pier 92, nawet najładniejszej i z najlepszymi nogami. Nie zrobiliby żadnej różnicy, gdyby z nim poszła. Po prostu by się zabawił.

– Nie, rozumiem. Może odprowadzę cię na górę?

Budynek sprawiał wrażenie, jakby mordowali tam każdego nieostrożnego lokatora, ona jednak znów pokręciła głową.

– Nie trzeba – odparła swobodnie. – Mam trzy współlokatorki. Dwie mieszkają w salonie i dziwnie by było, gdybyś tam wszedł. Zresztą teraz wszystkie śpią.

Adam nie potrafił sobie nawet wyobrazić takiego życia i wcale tego nie pragnął. Chciał tylko ją zostawić i zapomnieć, że wielu ludzi żyje tak jak ona. To nie był jego problem. On miał zamiar wrócić do domu.

– Dziękuję, panno Mary Margaret O'Malley, miło było panią poznać. Może jeszcze się spotkamy – powiedział uprzejmie.

– Mam nadzieję – odparła szczerze.

Ale nawet ona wiedziała, że to mało prawdopodobne. On prowadził życie z bajki. Znał ludzi takich jak Vana, miał przepustkę za kulisy, jeździł limuzyną i mieszkał w innym świecie. Maggie była niewinna, ale wcale nie taka głupia, jak sobie wyobrażał. Zamiast życzyć jej dobrej nocy, równie dobrze mógł jej życzyć dobrego życia. Wiedział jednak, że to życzenie raczej się nie spełni. Co świat mógł ofiarować takiej dziewczynie, nawet najpiękniejszej? Jakie miała szanse? Znał odpowiedź. Żadnych.

– Uważaj na siebie – powiedział.

Maggie otworzyła drzwi kluczem i obejrzała się na niego po raz ostatni.

– Ty też. I dziękuję za fantastyczny wieczór i to świetne miejsce. Uśmiechnął się do niej i pożałował, że nie leży z nią w łóżku, zamiast marznąć na cuchnącej ulicy. Pomachała mu i zniknęła. Pewnie czuła się jak kopciuszek wracający do domu. Bał się skończył i zanim Maggie wejdzie po schodach na górę, limuzyna z kierowcą zmieni się w dynię i szóstkę myszy.

Wsiadł do samochodu i poczuł zapach jej perfum. Były tanie, ale pasowały do niej i ładnie pachniały. Zauważył to, kiedy z nią tańczył. Jadąc do swojego apartamentu na Wschodniej Siedemdziesiątej którejś, odkrył z zaskoczeniem, że czuje się przygnębiony. Przygnębiała go świadomość, że ludzie żyją w ten sposób i że nie mają innego wyjścia. Maggie O'Malley będzie mieszkała w takich domach do końca życia, chyba że jej się poszczęści i wyjdzie za jakiegoś nieroba z piwnym brzuszyskiem. Wtedy przeprowadzi się znowu do Queens, gdzie będzie wspominać czynszówkę na Manhattanie i koszmarną pracę w lokalu, gdzie każdego wieczoru pijani durnie sięgali jej pod spódnicę. A on nie był lepszy. Poszedłby z nią do łóżka, gdyby się zgodziła, a następnego dnia zapomniałby o niej. Po raz pierwszy od lat poczuł się jak skończony drań, zwątpił we własną moralność. Charlie miał rację. A gdyby jakiś facet potraktował tak Amandę? To mogło spotkać każdą dziewczynę. Tym razem spotkało Maggie, której nie znał i nigdy nie pozna. Po powrocie do domu wypił kieliszek tequili, myśląc o niej. Wszedł na taras swojego penthouse'u i próbował sobie

wyobrazić, jakby z nią było. Pewnie podniecająco. Przez minutę czy dwie, godzinę, całą noc. Tylko tyle dla niego znaczyła. Rozebrał się i rzucił ubranie na podłogę przy łóżku. Wśliznął się do pościeli w szortach, jak zawsze, i zapomniał o Maggie. Przestała dla niego istnieć. Musiała wrócić do własnego życia, na dobre czy złe.

Rozdział 10

Chociaż Charlie tłumaczył sobie, że nie ma ku temu żadnych powodów, wrócił do ośrodka pomocy dzieciom, żeby jeszcze raz się rozejrzeć. Przyniósł lody i pączki dla dzieci, małego pluszowego misia dla Gabby i przysmaki dla jej psa. Od dnia pierwszych odwiedzin nie mógł o nich zapomnieć. Ale to nie Gabby go tutaj przyciągnęła, co zrozumiał natychmiast, gdy tylko wszedł do środka. Wspomnienie Carole prześladowało go na równi z wizją Gabby i psa, właściwie nawet bardziej. Wiedział, że to szaleństwo, ale nie mógł się powstrzymać. Myślał o niej przez cały tydzień.

– Co pana tu sprowadza? – zapytała na jego widok.

Tym razem przyszedł w dzinsach, starym swetrze i butach do biegania. Stał na podwórzu i rozmawiał z Tygue'em. Carole wyszła właśnie z zajęć.

– Po prostu chciałem jeszcze raz się rozejrzeć.

Przyszedł bez uprzedzenia i przez chwilę myślała, że ich sprawdza, co było niezbyt grzeczne. Potem Tygue powiedział jej o lodach dla dzieci, a Gabby pokazała jej misia i opowiedziała o przysmakach dla Zorra.

– Zalażły panu za skórę, co? – zażartowała, kiedy zaprowadziła go do swojego gabinetu i zaproponowała filiżankę kawy.

– Nie, dziękuję, wiem, że pani jest zajęta. Nie zostanę długo.

Nie mógł powiedzieć, że był w okolicy, ponieważ tu znajdował się tylko ośrodek, a poza tym czynszówki, gdzie dilerzy sprzedawali w bramach prochy. W tej okolicy mógł kupować jedynie heroinę albo kokę.

– To miłe, że przywiózł pan prezenty dla dzieci. Strasznie się cieszą, kiedy ktoś je odwiedza. Żałuję, że nie możemy dla nich więcej zrobić, ale zawsze brakuje nam pieniędzy. Muszę oszczędzać na ważne rzeczy, jak pensje, ogrzewanie i lekarstwa. One oczywiście wolą lody.

Uśmiechnęła się i Charlie nagle poczuł się zadowolony, że tu przyjechał. Chciał ją znowu zobaczyć, teraz jednak nie potrafił wymyślić żadnego usprawiedliwienia tej zachcianki. Tłumaczył sobie, że podziwia jej pracę, ale chodziło o coś więcej. Lubił z nią rozmawiać i chciał ją lepiej poznać. Tego jednak nie umiał sobie wytłumaczyć. Pracowała w opiece społecznej, on kierował fundacją. Teraz, kiedy dali jej pieniądze, których potrzebowała, poza sprawozdaniami finansowymi nie istniały powody do dalszych spotkań. Prowadzili zupełnie odmienne życie, co wykluczało kontakty towarzyskie między nimi. Już wiedział, że ona żywi jedynie pogardę dla świata, z którego przychodził. Poświęcała się dla gromadki dzieci walczących o przetrwanie. On dogadzał sobie i opływał w luksusy.

– Czy mogę coś dla pana zrobić? – zapytała.

Pokręcił głową. Nie potrafił wymyślić żadnego pretekstu, żeby zostać dłużej, chociaż bardzo chciał. – Nie, wrócę jeszcze do dzieci, jeśli pani pozwoli. Zobaczę, co z Gabby.

– Dobrze sobie radzi, odkąd ma Zorra. W przyszłym miesiącu zaczyna naukę w szkole specjalnej. Sądzymy, że jest gotowa.

– I wtedy stąd odejdzie? – przestraszył się.

– Na razie nie. W końcu spróbujemy jej znaleźć rodzinę zastępczą i włączyć ją z powrotem do społeczeństwa. Ale niełatwo znaleźć miejsce dla dzieci specjalnej troski, takich jak ona, z oczywistych powodów. Ludzie, którzy zgłaszają się na zastępczych rodziców, nie potrafią się zaopiekować niewidomą dziewczynką i jej psem przewodnikiem.

Nigdy nie myślał o tym, że dziecko takie jak Gabby na pewno będzie miało ciężkie życie. Zawsze.

– Jeśli nie znajdziemy dla niej zastępczych rodziców, umieścimy ją w domu dziecka. Dużo ich jest w stanie Nowy Jork. Dobrze jej tam będzie.

– Nie, nie będzie – zaprzeczył z rozpaczą.

Czuł się tak, jakby właśnie odkrył inny świat, pełen ludzi z problemami, których nikt nie rozwiąże. W tym wypadku dzieci, które nie ponosiły żadnej winy za to, co je spotkało.

– Będzie jej nie gorzej od innych – powiedziała ostrożnie Carole. – Może lepiej, dzięki pańskiemu prezentowi. Zorro to wielki plus w jej życiu.

– Czy pani się nie zastanawia, co się dzieje z nimi, kiedy stąd odchodzą?

– Oczywiście, że tak. Ale możemy zrobić tylko tyle, panie Harrington – odparła chłodno, obronnym tonem.

– Charlie – przerwał jej.

– Możemy zrobić tyle, ile możemy. Czasami to przypomina czerpanie wody naparstkiem, ale zdarzają się też sukcesy. Niektóre dzieci znajdują wspaniałe zastępcze domy i rozkwitają. Inne są adoptowane przez kochających ludzi. Załatwiamy operacje, na jakie nie miałyby szansy. A Gabby i jej pies? Niektóre problemy możemy rozwiązać, innych nie. Istnieją granice i trzeba się z tym pogodzić, bo inaczej serce człowiekowi pęknie.

Nigdy jeszcze nie widział z tak bliska, dokąd idą pieniądze fundacji i kto je dostaje. Nigdy nie spoglądał w twarz dzieci, nigdy nie spotkał kobiety, która poświęciła życie, żeby zmienić świat garstki nieszczęśników z Harlemu. Odkąd tu przyszedł po raz pierwszy, zaledwie kilka dni wcześniej, jego życie wywróciło się do góry nogami.

– Uczono nas, że trzeba działać profesjonalnie, zachować dystans i nie angażować się za dużo. Ale czasami po prostu tak nie można. Zdarza się, że wracam wieczorem do domu, kładę się do łóżka i płaczę.

Łatwo mógł to sobie wyobrazić. Sam tak zrobił.

– Musi pani czasami odetchnąć – powiedział z namysłem. Chciał ją zaprosić na lunch albo na obiad, ale nie miał odwagi.

– Odpoczywam. – Uśmiechnęła się do niego niewinnie. – Chodzę na siłownię, pływam albo gram w squasha, jeśli nie jestem zbyt zmęczona.

– Ja też – powiedział z uśmiechem. – To znaczy gram w squasha. Może kiedyś zagramy razem.

Wydawała się zdziwiona. Nie miała pojęcia, dlaczego powinni zagrać razem. Patrzyła na niego pustym wzrokiem. Wiedziała o nim tylko tyle, że kierował fundacją, która właśnie podarowała jej ośrodkowi milion dolarów, nic więcej. Nie potrafiła sobie wyobrazić, że się zaprzyjaźnią. Spotykała się z nim wyłącznie na stopie oficjalnej. Uprzejmie i profesjonalnie.

Miał prawo oczekiwać od niej wyłącznie sprawozdań finansowych. Nie przypuszczała, że chce się z nią zaprzyjaźnić, nawet jej to nie przyszło do głowy.

Po paru minutach odprowadziła go do drzwi i poszła na następne zajęcia. Zobaczyła, że znowu gawędził z Tygue'em i obiecał, że wkrótce wróci. Po paru minutach wsiadł do taksówki. Tego wieczoru jadł obiad z Grayem i Sylwią. Carole zapomniała o nim, kiedy tylko wyszedł.

Gray był właśnie w kuchni i drzwi otworzyła Sylvia. Miała na sobie ładną, czarną, haftowaną wiejską spódnicę i miękką białą bluzkę. Pięknie nakryła do stołu, z wysokimi białymi świecami i wielkim koszem tulipanów pośrodku. Chciała, żeby wszystko przypadło gościowi do gustu, ponieważ wiedziała, ile znaczył dla Graya, i sama też go polubiła, kiedy się spotkali po raz pierwszy. Pragnęła, żeby jego przyjaźń z Grayem przetrwała. Nie chciała burzyć jego życia, czuła, że nie ma do tego prawa. Ale nie chciała też, żeby on zburzył ich życie. W sercu Graya było miejsce dla nich obojga i chciała to udowodnić Charliemu. Spojrzała na niego ciepło. Wiedziała, jak podejrzliwie o niej myślał, kiedy Gray powiedział mu o ich związku. I słusznie przypuszczała, że nie było w tym nic osobistego. Polubił ją, kiedy się spotkali w Portofino, po prostu się martwił, jak to wszystko wpłynie na jego stosunki z Grayem. Był jak dziecko obserwujące pilnie nową nianię albo mężczyznę, z którym spotyka się matka. Charlie i Gray byli jak bracia, ale dodatkowy ciężar mógł naruszyć tę równowagę i wszystko zmienić. Sylvia chciała zapewnić ich obu, że chociaż doszła do tego układu, pozostaną bezpieczni w swoim prywatnym świecie. Kiedy wszyscy usiedli przy stole i Gray otworzył butelkę wina, czuła się jak Wendy z *Piotrusia Pana*, siedząca przy obiedzie z Zagubionymi Chłopcami.

Charlie obejrzał apartament, zanim usiedli. Zaimponowała mu elegancja wnętrza, ilość zgromadzonych tu skarbów i ich doskonałe rozmieszczenie. Sylvia miała dobre oko i talent do rozmowy towarzyskiej. Przez cały wieczór mądrze pozostawała raczej na drugim planie. Napoczęli już dość dobrze drugą butelkę wina, kiedy Charlie wspomniał o Carole i opisał swoją wizytę w ośrodku w Harlemlu.

– To niezwykła kobieta – oznajmił tonem głębokiego podziwu. Opowiedział im o Gabby i jej psie oraz o innych poznanych dzieciach.

Wiedział o różnych przypadkach znęcania się nad dziećmi, ale żadne nie były tak wstrętne i przygnębiające, jak historie usłyszane od Carole. Niczego nie owijała w bawełnę. Zrozumiał teraz, że inne organizacje upiększały i tuszowały różne rzeczy na ich użytek. Carole jednak mówiła prosto z mostu, czym się zajmuje i dlaczego chce od niego pieniędzy. Nie przeproszała, że potrzebuje aż tyle, i uprzedziła z góry, że poprosi o więcej. Miała wielką wizję ośrodka. Na razie musiała się ograniczyć do niedużego budynku, ale kiedyś pragnęła otworzyć wielkie centrum głęboko w sercu Harlemlu. Tam najbardziej mogła się przydać, zwróciła jednak Charliemu uwagę, że maltretowanie dzieci nie jest chorobą dzielnic biedoty. Zdarzało się też w domach na Park Avenue, w oazie luksusu. Co więcej, w domach klasy średniej znacznie trudniej było to wykryć. Zapewniła go, że ludzie popełniają ohydne zbrodnie na dzieciach w każdym mieście, w każdym stanie, w każdym kraju i na każdym poziomie socjoekonomicznym. Tam, gdzie pracowała, pod pewnymi względami było łatwiej.

Ślubowała walczyć z nędzą, maltretowaniem dzieci, zaniedbaniem, hipokryzją, obojętnością. Zanurzyła się głęboko w otchłań ludzkiej niedoli i nie miała czasu ani cierpliwości do ludzi takich jak on, którzy przymykali oczy, ignorowali otaczającą ich rzeczywistość, stroili się i chodzili na przyjęcia. Sama nie marnowała czasu na takie rzeczy i nie pragnęła ich. Chciała tylko pomóc drugiemu człowiekowi i ratować dzieci. Oczy Charliego rozjaśniły się jak dwie pochodnie, kiedy o niej mówił. Rozpaliła płomień w jego sercu i duszy.

– No to kiedy zabierasz ją na obiad? – zażartował Gray. Siedział obok Sylvii i obejmował ją ramieniem.

Charlie spędził z nimi przyjemny wieczór. Jedzenie było nad podziw jadalne, a rozmowa ożywiona. Ze zdziwieniem stwierdził, że Sylvia podoba mu się jeszcze bardziej niż w Portofino. Od tamtego czasu jakby złagodniała i musiał przyznać, że cudownie traktuje Graya. Nawet jego przyjmowała ciepło i życzliwie.

– Może nigdy? – odparł Charlie ze smutnym uśmiechem. – Ona nienawidzi wszystkiego, co sobą reprezentuję. Kiedy ją poznałem, spojrzała na mnie jak na brud na podszwie, bo byłem w garniturze. – Nie wspominając o złotym zegarku.

– Mnie się wydaje trochę za ostra. Przecież dałeś jej milion dolców. Czego się spodziewała? Że przyjdiesz w szortach i kłapkach? – zirytował się Gray.

– Może – mruknął Charlie.

Nawet jeśli potraktowała go za ostro, gotów był jej to wybaczyć. Pomyślał, że to, co robiła, było znacznie ważniejsze niż wszystko, co on zrobił przez całe życie. Właściwie tylko podpisywał czeki i wydawał pieniądze. Ona codziennie walczyła o życie tych dzieci.

– Ona nie ma cierpliwości do ludzi takich jak my, do naszego trybu życia. To praktycznie święta – oświadczył z przekonaniem.

Gray miał podejrziwą minę.

– Mówiłeś, że skończyła Princeton. Pewnie pochodzi z jakiejś bogatej rodziny i próbuje odpokutować za zbiorowe grzechy.

– Wątpię. Moim zdaniem dostała stypendium. Sporo takich osób było tam, kiedy studiowałem, i później. Princeton już nie jest takie elitarne jak kiedyś. I dobrze. Poza tym mówiła, że nie znosi tej uczelni.

Chociaż należała do dobrego klubu obiadowego. Ale mogła się tam dostać na wiele sposobów. Nawet Princeton nie było już tym dobrym męskim klubem co kiedyś. Świat się zmienił, zmienili go ludzie tacy jak Carole. Charlie stanowił przeżytek minionej ery, żyjący z chwały swojej rodziny. Carole należała do całkiem nowej rasy.

– Dlaczego jej nie zaprosisz? – zachęcał go Gray, popierany przez Sylwię. – A może to maskara?

Nie pomyślał o tym wcześniej. Słuchając zachwyty Charliego, automatycznie założył, że Carole jest atrakcyjna. Nie potrafił sobie wyobrazić, żeby Charlie zainteresował się brzydką kobietą, chociaż może w tym przypadku się mylił. Charlie opisywał ją jak Matkę Teresę.

– Nie, jest bardzo piękna, chociaż myślę, że to też jej nie obchodzi. Nie ma czasu na nic oprócz ważnych rzeczy.

Wiedział, że w jej opinii nie należał do tych rzeczy, chociaż właściwie nie dała mu szansy. Widziała w nim wyłącznie prezesa fundacji.

– Jak wygląda? – zapytała Sylvia z ciekawością.

– Ma około metra osiemdziesiąt, blondynka, ładna twarz, niebieskie oczy, dobra figura, bez makijażu. Mówi, że w wolnych chwilach pływa i gra w squasha. Ma trzydzieści cztery lata.

– Niezameżna? – wypytywała Sylvia.

– Raczej nie. Nie nosi obrączki i nie sprawia wrażenia mężatki, chociaż nie przypuszczam, żeby była sama.

Na pewno kogoś ma, pomyślał, to niedorzeczny pomysł, żeby ją zaprosić na obiad. Co prawda mógł udawać, że chodzi o sprawy fundacji, a przy okazji lepiej ją poznać. Ten podstęp nawet mu się spodobał, chociaż czuł, że to nieuczciwe zasłaniać się fundacją, żeby dowiedzieć się więcej o Carole. Ale może Sylvia i Gray mają rację i warto spróbować.

– Z takimi kobietami nigdy nie wiadomo – orzekła mądrze Sylvia. – Czasami wiele poświęcają dla sprawy. Jeśli ona wkłada tyle czasu i energii w swoją pracę, może nie ma nic więcej.

– Dowiedz się – namawiał Gray. – Co masz do stracenia? Sprawdź. Charlie dziwnie się czuł, rozmawiając z nimi o Carole. Odkrywał się przed nimi i było mu dość głupio.

Zanim Gray wyciągnął butelkę Chateau d'Yquem, którą Sylvia kupiła na tę okazję, prawie przekonali Charliego, ale gdy tylko wrócił do domu, zrozumiał, że zaproszenie Carole na obiad to głupi pomysł. Był dla niej za stary, za bogaty i konserwatywny, zbyt światowy. Bez względu na to, skąd pochodziła, wyraźnie nie przepadała za takimi facetami jak on. Nawet wyśmiała jego zegarek. Nie wyobrażał sobie, jak miałby jej powiedzieć o swoim jachcie, chociaż większość ludzi z jego świata słyszała o „Blue Moon”. Czasopisma o jachtingu szczęśliwie absolutnie nie wchodziły w zakres jej zainteresowań. Śmiał się na myśl o tym, kiedy kładł się do łóżka. Gray i Sylvia mieli dobre intencje, ale po prostu nie rozumieli, jaka inna i jak fanatyczna była Carole. Miała to wypisane na twarzy, a jej zgryźliwe komentarze na temat klubów obiadowych w Princeton nie padły w próżnię. Charlie słyszał ją głośno i wyraźnie.

Następnego ranka zadzwonił do Graya, żeby podziękować za obiad i przyjemny wieczór. Nie miał pojęcia, dokąd zmierza ich związek ani czy przetrwa, w co wątpił, na razie jednak wydawał się dobry dla obojga. Przekonał się z ulgą, że Sylvia nie próbuje się wtrącać ani odbierać mu głosu. Powiedział o tym Grayowi, który ucieszył się, że Charlie tak spokojnie akceptuje Sywlię, i zapowiedział, że znowu go zaproszą.

– Nawet lepiej gotujesz – zażartował Charlie. Gray się roześmiał.

– Ona mi pomagała – wyznał.

– Dzięki Bogu.

– Nie zapomnij zadzwonić do Matki Teresy i zaprosić ją na obiad. Charlie milczał przez chwilę, a potem się zaśmiał, tym razem sztucznie.

– Chyba wszyscy wczoraj za dużo wypiliśmy. W świetle dnia to już nie wygląda na taki dobry pomysł.

– Po prostu ją zapytaj. Co ci się może stać? – przekonywał Gray tonem starszego brata.

Na drugim końcu linii Charlie pokręcił głową.

– Może mnie nazwać palantem i rzucić słuchawkę. Będzie niezręcznie, kiedy znowu się spotkamy.

Nie chciał ryzykować, chociaż w jego życiu nie było innej kobiety już od miesięcy. Ostatnio czuł się zmęczony i niepostrzeżenie zwalniał tempo. Zaloty przestały go bawić. Łatwiej było chodzić samotnie na prośzone obiady i imprezy towarzyskie albo spędzić wieczór z przyjaciółmi, jak wczoraj z Grayem i Sylwią. Lepiej się bawił niż na wymuszonej randce, kiedy musiał się wysilać, żeby zaciągnąć kogoś do łóżka. Robił to zbyt często.

– I co z tego? – Gray dość lekceważąco traktował możliwość, że Carole rzuci słuchawkę.

– Gorsze rzeczy przeżyłeś. Nigdy nie wiadomo, może to ta właściwa.

– Taak, jasne. Sprzedam „Blue Moon” i zbuduję dla niej wymarzony ośrodek w Harlemie, a wtedy może się zgodzi ze mną umówić.

– No cóż – zaśmiał się Gray. – Miłość wymaga poświęceń.

– Nie wciskaj kitu. Co ty poświęciłeś dla Sylwii? Karaluchy w twoim mieszkaniu? Bez żartów.

– Zadzwoń do niej.

– Dobrze, dobrze – zgodził się Charlie na odczepnego.

Charlie twardo postanowił nie dzwonić do Carole, ale myśl o niej prześladowała go przez całe popołudnie. Poszedł do biura fundacji, potem do klubu, wziął masaż, zagrał w squasha ze znajomym i zadzwonił do Adama, żeby mu podziękować za koncert, ale Adam był na spotkaniu. Charlie zostawił wiadomość na poczcie głosowej. Zastanawiał się, co zaszło między Adamem a Maggie tamtej nocy. Pewnie to, co zwykle. Adam oszołomił ją swoim wyrafinowanym gustem, wlał w nią galon szampana i zaciągnął do łóżka. Charlie nadal jej żałował, pomimo wyzywającego stroju miała w sobie jakąś słodycz i niewinność. Czasami stosunek Adama do kobiet i jego brak skrupułów przyprawiały Charliego o zimny dreszcz. Adam zawsze podkreślał, że skoro same tego chciały, gra była uczciwa. Jak dotąd żadnej nie pobił i nie zgwałcił. To one padały mu do stóp, a ciąg dalszy odbywał się między dwiema dorosłymi osobami. Charlie jednak nie miał pewności, czy Maggie była tak dorosła, na jaką wyglądała, i dostatecznie doświadczona w tej grze. Nie potrzebowała implantów ani operacji nosa, chciała tylko zdobyć lepsze miejsce na koncercie. Mimo woli zastanawiał się, co musiała dać w zamian. Myślał o tym, kiedy wyszedł z klubu po partii squasha i pojechał taksówką do domu. Powiedział sobie, że się starzeje. Moralność Adama, czy raczej brak moralności, i sposób, w jaki traktuje kobiety, nigdy przedtem mu nie przeszkadzały. Adam zawsze mu przypominał, że wszystkie chwytaki są dozwolone, kiedy chodzi o seks i zabawę. Ale czy naprawdę? Charliego jakoś przestało to śmieszyć.

Dochodziła szósta, kiedy wszedł do mieszkania, odsłuchiwał wiadomości na sekretarce i stanął wpatrzony w telefon. Zastanawiał się, czy Carole jeszcze jest w gabinecie, na zajęciach, czy może poszła już do domu. Przypomniał sobie, że ma jej wizytówkę w portfelu. Wyjął ją, patrzył na nią przez długą chwilę, a potem wybrał numer. Czuł się głupio i okropnie się denerwował. Carole była pierwszą kobietą, która uświadomiła mu, że robi coś złego. Chciał

się przed nią wytłumaczyć ze swoich przywilejów i przyjemności, a jednak to właśnie dzięki tym przywilejom mógł jej podarować milion dolarów, żeby dalej ratowała świat. Miał tremę jak uczeń, kiedy słuchał sygnału po drugiej stronie. Nagle zapragnął, żeby jej nie było, i chciał już odłożyć słuchawkę, kiedy odebrała, trochę zdyszana.

– Halo?

Zapomniała się przedstawić, ale on natychmiast rozpoznał jej głos. Dzwonił na prywatny numer.

– Carole?

– Tak. – Nie rozpoznała jego głosu.

– Mówi Charlie Harrington. Czy zadzwoniłem nie w porę?

– Ależ skąd – skłamała, rozcierając gołęń. Uderzyła się, biegnąc do telefonu. – Właśnie skończyłam zajęcia. Biegłam po schodach, kiedy usłyszałam telefon.

– Przepraszam. Jak moja mała przyjaciółka?

Od razu wiedziała, że pyta o Gabby. Uśmiechnęła się i powiedziała, że Gabby czuje się dobrze. Zapytał, jak tam sprawy w ośrodku, czy są nowe sukcesy. Carole zaczęła się zastanawiać, czy zamierza ich sprawdzać przez cały następny rok. Kierownicy fundacji, które przyznawały im granty, raczej nie utrzymywali z nimi zażyłych stosunków. Nie rozumiała, po co dzwonił.

– Nie chcę składać obietnic, których nie będziemy mogli dotrzymać, ani budzić fałszywych nadziei, ale wspominała pani, że chciałyby wprowadzić inne programy i zbadać możliwości uzyskania kolejnych grantów. Może omówi to pani ze mną przy lunchu albo przy obiedzie?

Wiedział, że wybrał tchórzowskie wyjście, zasłaniając się fundacją, ale przynajmniej zadzwonił. Zapadło długie milczenie.

– Szczerze mówiąc, nie jesteśmy jeszcze gotowi, żeby złożyć podania o następne granty. W tej chwili nie mamy personelu do obsadzenia kolejnych programów czy nawet napisania propozycji, ale tak, właściwie chętnie wybadam, co pan sądzi o naszych planach.

Nie chciała tracić czasu i energii na forsowanie kierunków, które nie będą odpowiadały fundacji.

– Z radością wysłucham pani i przedstawię uczciwą ocenę naszych przyszłych planów. Oczywiście na późniejszy termin. – Trudno będzie przekonać radę fundacji, żeby przyznała jej więcej pieniędzy, skoro właśnie dostała milion dolarów. Ale rozmowa nic nie kosztuje. – Tak naprawdę niewiele możemy zrobić do przyszłego roku. Ale dobrze, że pani myśli o tym, żeby odpowiednio zaplanować atak na początku naszego przyszłego roku finansowego.

– Po czyjej pan jest stronie? – zaśmiała się.

On też się roześmiał i odpowiedział bardziej szczerze, niż przypuszczała:

– Chyba po pani. Robi pani wspaniałe rzeczy.

Zakochał się w ośrodku pomocy dzieciom i wiedział, że jeśli nie będzie uważał, zakocha się w samej Carole. Na tydzień lub dwa, może dłużej przy odrobinie szczęścia. Jego miłość nigdy nie trwała długo, strach stanowił znacznie silniejszą emocję.

– Dziękuję.

Wzruszyły ją jego słowa, wydawał się szczery. Słuchając go, stopniowo przestała się jeżyć i pomyślała, że chyba warto podtrzymywać tę znajomość.

– Kiedy chciałaby się pani spotkać? – zapytał niedbale, zadowolony z przebiegu rozmowy.

Dał jej do wyboru lunch albo obiad, żeby nie czuła się pod presją. To zawsze był dobry pierwszy ruch. W tym wypadku pewnie ostami. Nic w jej głosie nie świadczyło o zainteresowaniu jego osobą, wolał jednak dokładniej ją wy badać przy wspólnym posiłku. Jeśli go nie chciała, nie zamierzał odkrywać kart i ośmieszać się w jej oczach. Na razie jednak poszło całkiem dobrze.

– Nie bardzo mogę się wyrwać w porze lunchu. Zostaję tutaj i zjadam banana przy biurku, jeśli tak wypadnie. Na ogół w środku dnia mam zajęcia grupowe. Po południu spotykam się z indywidualnymi pacjentami.

Wyrwała wielki kawał z dnia pracy, żeby go oprowadzić po ośrodku, ale nie chciała go do tego przyzwyczajać.

– Więc może obiad? – Wstrzymał oddech. – Może jutro?

Był zaproszony na śmiertelnie nudny obiad, który chętnie by dla niej odwołał.

– Jasne – powiedziała z wahaniem, trochę zbita z tropu. – Nie wiem, czy zdążę do jutra uporządkować wszystkie materiały. Mam listę programów, które chcę rozpocząć, z grubsza naszkicowaną, leży gdzieś tutaj. Ale mogę panu wyjaśnić, o co mi chodzi.

Tylko tego od niej chciał, nie listy programów, chociaż ona o tym nie wiedziała. Mówił równie rzeczowo jak ona.

– Porozmawiamy o tym i zobaczymy, do czego wspólnie dojdziemy. Czasami taka swobodna forma bardziej mi odpowiada. Burza mózgów przy jedzeniu. Nawiasem mówiąc, gdzie pani lubi jadać?

Roześmiała się z tego pytania. Rzadko chodziła do restauracji, wieczorem zwykle wracała do domu wyczerpana. Najczęściej nie miała nawet energii, żeby pójść na siłownię, co tak lubiła.

– Zobaczymy. Moje ulubione lokale? Hamburgery u Mo na rogu Sto Sześćdziesiątej Ósmej i Amsterdam... Żeberka Sally na Sto Dwudziestej Piątej, obok przystanku metra po drodze do domu... Delikatesy Izzy'ego na rogu Wschodniej Dziewięćdziesiątej Dziewiątej i Columbus... Bywam tylko w najlepszych lokalach. Chyba od lat nie byłam w porządnej restauracji.

Chciał to zmienić, tak jak inne rzeczy w jej życiu, ale nie w ciągu jednego wieczoru. Musiał postępować z nią ostrożnie, dopóki nie rozpozna terenu.

– No, nie wiem, czy mogę konkurować z Mo i Izzym. A w ogóle gdzie pani mieszka?

Wahała się przez chwilę, jakby się bała, że Charlie złoży jej nieproszoną wizytę. Pomyślał nagle, że może z kimś mieszka.

– Na Upper East Side, w rejonie Dziewięćdziesiątych.

Była to przyzwoita dzielnica i Charlie odniósł wrażenie, że Carole wstydziła się do tego przyznać. Pomyślał, że może Gray miał rację i że Carole pochodzi z rodziny bardziej tradycyjnej, niż wskazywały na to jej poglądy. Bardzo poważnie traktowała to, w co wierzyła.

Spodziewał się, że mieszka gdzieś na Upper West Side, nie na East, ale nie wypytywał ani nie drążył tematu. Wyczuwał jej płochliwość. Charlie dobrze znał kobiety, miał spore doświadczenie w tych sprawach. Znacznie większe niż Carole, która nawet nie podejrzewała, do czego on zmierza. Gdyby otrzymał chociaż cień zachęty, której na razie mu poskąpiła, miał zamiar zmienić jej życie.

– Znam przyjemną spokojną włoską knajpkę na Wschodniej Osiemdziesiątej Ósmej. Co pani na to? – zapytał.

– Doskonale. Jak się nazywa?

– Stella di Notte. Nie jest taka romantyczna, jak się wydaje. Po włosku to znaczy gwiazda nocy, ale właściwie to gra słów. Stella jest właścicielką, sama gotuje i waży jakieś sto pięćdziesiąt kilo. Wątpię, czy się uniesie wyżej niż centymetr nad ziemię, ale pasta jest fantastyczna. Stella sama robi makaron.

– Zapowiada się świetnie. Spotkamy się na miejscu.

Charliego trochę zaskoczyła jej propozycja. Nie spodziewał się tego i coraz bardziej podejrzewał, że mieszka z mężczyzną. Postanowił to wyjaśnić.

– Nie woli pani, żebym po panią przyjechał?

– Nie – odparła szczerze. – Wolę się przejść. Jestem tutaj uwięziona przez cały dzień, a mieszkam na Dziewięćdziesiątej Pierwszej. Potrzebuję ruchu, nawet krótkiego spaceru, żeby oczyścić umysł po pracy.

Prawdopodobna wymówka, pomyślał Charlie. Pewnie w jej mieszkaniu jakiś przystojny trzydziestopięciolatek leży na kanapie z pilotem w ręku i ogląda telewizję.

– Więc do zobaczenia. Siódma trzydzieści? Wystarczy pani czasu po pracy?

– Zdążę. Ostatnią grupę mam o wpół do piątej, wrócę do domu przed wpół do siódmej. Zakładam, że to nie jakiś wytworny przybytek? – zaniepokoiła się nagle.

Prawie nigdy nie wychodziła i nigdy się nie stroiła. Nie wiedziała, czy Charlie się spodziewał, że włoży małą czarną sukienkę i perły. Nie miała takiej i nie chciała mieć. Charlie wyglądał na faceta w takim typie, ale przecież to tylko praca. Carole nie zamierzała się dla niego stroić. Wolałaby już pójść do Mo. Nie chciała zmieniać dla niego stylu życia, bez względu na pieniądze otrzymane od fundacji. Z niektórymi rzeczami skończyła na zawsze, należało do nich strojenie się.

– Nie jest wytworny – uspokoił ją. – Może pani nawet przyjść w dżinsach, jeśli pani chce. Miał nadzieję, że nie zechce, marzył, żeby ją zobaczyć w sukience.

– Więc przyjdę w dżinsach, jeśli pan pozwoli. Nie mam czasu się ubierać. Zresztą nigdy nie mam czasu. Nie szata zdoła człowieka.

Najwyraźniej. Tylko dżinsy. No trudno. Nie będzie sukienki.

– Ja też tak uważam – powiedział cicho.

– Przynajmniej może pan nosić swój zegarek w tej dzielnicy – zażartowała, a on się roześmiał.

– Jaka szkoda. Wczoraj go zastawiłem.

– Ile pan dostał?

Lubiła się z nim droczyć, wydawał się dość miły. Wbrew sobie cieszyła się na ten obiad.

Nie bywała z mężczyznami w lokalach prawie od czterech lat. I to się nie zmieni, z wyjątkiem tego jednego służbowego obiadu. Tylko jednego, przyrzekła sobie.

– Dwadzieścia pięć dolców – odpowiedział.

– Nieźle. Do zobaczenia jutro wieczorem – powiedziała i odłożyła słuchawkę.

I nagle w Charliego jakby piorun strzelił. A jeśli naprawdę zwariował? Jeśli dzinsy i tenisówki oznaczały coś zupełnie innego? Jeśli wspaniała jasnowłosa amazonka o sercu Matki Teresy nie mieszkała z mężczyzną? Czyżby palnął jeszcze większe głupstwo, bo jeśli ona była lesbijką... Wcześniej nawet mu to nie przyszło do głowy. Ale wszystko było możliwe. Carole stanowczo nie była zwykłą dziewczyną.

– No, pięknie – powiedział sobie.

Włożył wizytówkę z powrotem do portfela i zadzwonił do restauracji, żeby zarezerwować stolik. Jutro dowie się o niej więcej. Na razie mógł tylko zgadywać i czekać.

Rozdział 11

Przyszedł do restauracji przed Carole. Nikomu nie powiedział, że się z nią umówił, nawet Grayowi i Sylvii. Na razie nie miał nic do powiedzenia, tyle że zaprosił ją na nieformalny obiad w sprawach fundacji, bo takiego fortelu użył, żeby ją tu ściągnąć. To nie była randka. Sam również przyszedł do restauracji piechotą. Miał dłuższą drogę niż ona, ale też musiał się przewietrzyć. Denerwował się przez cały dzień. Do tej pory zdążył już uwierzyć, że Carole jest lesbijką. Pewnie dlatego nie zrobił na niej żadnego wrażenia, kobiety zwykle jakoś na niego reagowały. A ona nie. Podczas jednego i drugiego spotkania traktowała go wyłącznie oficjalnie, profesjonalnie do szpiku kości, chociaż innym okazywała ciepło, zwłaszcza dzieciom. A potem przypomniał sobie, jak przyjaźnie i miło odnosiła się do Tygue'a. Może to on był mężczyzną jej życia. Zanim dotarł do restauracji, z żołądkiem zaciśniętym w supeł, co mu się nigdy nie zdarzało, wiedział tylko, że Carole jest zagadką i może pozostanie taka nawet po wspólnym obiedzie. Wcale nie miał pewności, że otworzy się przed nim. Wydawała się zamknięta jak ostryga, co w połączeniu z jej imponującym umysłem stanowiło jeszcze większe wyzwanie.

Całkowicie różniła się od światowych kobiet, do których zwykle się zalecał. Tamte stroiły się, tańczyły, uśmiechały, chodziły z nim wszędzie, grały w tenisa i żeglowały, i na ogół nudziły go śmiertelnie. Dlatego właśnie zaprosił na obiad Carole Parker, która nie okazywała mu absolutnie żadnego zainteresowania i nie wiedział nawet, jaka jest jej orientacja seksualna. I skłamał, żeby się z nią umówić. Co za absurd.

Carole zjawiała się pięć minut po nim i usiadła obok niego przy stoliku w rogu, który zarezerwowała dla nich Stella. Weszła uśmiechnięta i odprężona, w białych dżinsach, sandałach i sztywnej białej koszuli. Włosy, jeszcze wilgotne po prysznicu, splotła pospiesznie w warkocz. Bez makijażu, z krótkimi i niepolakierowanymi paznokciami, wyglądała bardzo czysto i świeżo. Na ramiona zarzuciła bładoniebieski sweter. Charliemu przyszło do głowy, że w tym stroju wyglądałaby idealnie na pokładzie „Blue Moon”, jak żeglarka albo tenisistka, wysoka, smukła i wysportowana. Jej czyste błękitne oczy miały ten sam odcień co sweter. Przypominała żywą reklamę Ralphi Laurena, chociaż pewnie obraziłaby się, gdyby jej to powiedział. W głębi serca utożsamiała się raczej z Che Guevarą niż z prozaiczną modelką od Ralphi Laurena. Uśmiechnęła się do Charliego, gdy tylko go zobaczyła.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedziała.

Charlie wstał, żeby się z nią przywitać. Spóźniła się pięć minut, co pozwoliło mu ochłonąć, kiedy na nią czekał. Nie chciał zamawiać wina przed jej przyjściem, zanim wybiorą jedzenie.

– Nie szkodzi. I tak nie zauważyłem, skoro już nie mam zegarka. Pomyślałem, że wydam te dwadzieścia pięć dolarów na obiad.

Carole się roześmiała. Miał miłe poczucie humoru. Nawet nie wzięła ze sobą torebki. Klucz włożyła do kieszeni i nie musiała nosić ze sobą szminki, skoro się nie malowała. Z pewnością nie dla niego.

– Jak minął dzień?

– Pracowicie. W pośpiechu. Jak zwykle. A u pana? – zapytała z zainteresowaniem.

To było dla niego coś nowego. Nie pamiętał już, kiedy ostatnio jakaś kobieta go pytała, jak mu minął dzień, a w dodatku sprawiała wrażenie, jakby to ją obchodziło.

– Ciekawie. Cały dzień spędziłem w fundacji. Próbujemy obliczyć, ile chcemy wydać za granicą. Jest kilka bardzo dobrych programów pomocy dla krajów rozwijających się, ale mają cholerne kłopoty z ich wprowadzeniem, kiedy już dostaną pieniądze. Odbyłem dzisiaj konferencję na ten temat z Jimmym Carterem. Robią dużo dobrych rzeczy w Afryce i udzielił mi kilku cennych rad, jak ominąć biurokrację.

– To świetnie – uśmiechnęła się do niego. – Kiedy słyszę o takich projektach, uświadamiam sobie, że działamy na bardzo małą skalę. Przynajmniej ja. Zajmuję się dziećmi w promieniu góra czterdziestu przecznic od ośrodka. To żalosne, kiedy się dobrze zastanowić.

Westchnęła i oparła się wygodniej.

– Wcale nie żalosne. Robicie wspaniałe rzeczy. Nie dajemy miliona dolarów ludziom, którzy nie mają imponujących osiągnięć.

– Ile fundacja wydaje co roku?

Zastanawiała się nad tym, odkąd go poznała. Jego fundacja cieszyła się wielkim szacunkiem w kręgach filantropów i tylko tyle Carole o niej wiedziała.

– Około dziesięciu milionów. Pani podwyższyła budżet do jedenastu, ale warto było. – Uśmiechnął się do niej, a potem wskazał specjalność zakładu. – Pewnie umiera pani z głodu, jeśli cały pani lunch to banan.

Zapamiętał, co powiedziała. Oboje zamówili gnocchi, ponieważ Charlie zapewnił, że są pyszne, to specjalność Stelli. Tego wieczoru podawano je ze świeżymi pomidorami i bazylią. W ciepły wieczór trwającego wciąż babiego lata również Carole uznała to za doskonały wybór. Charlie zamówił butelkę niedrogiego białego wina i kiedy je podano, wypła łyżeczek.

Jedzenie okazało się równie pyszne, jak obiecywał Charlie. Aż do deseru rozmawiali o pomysłach związanych z ośrodkiem. Carole marzyła o wielkich rzeczach, które wymagały ciężkiej pracy, jednak dotychczasowe osiągnięcia dały jej pewność, że poradzi sobie również w przyszłości. Zwłaszcza z pomocą fundacji takich jak Charliego. Zapewnił ją, że robi wrażenie również na innych i bez kłopotu uzyska pieniądze od niego czy kogoś innego w przyszłym roku. Ogromnie mu zaimponowało, że tak starannie zaplanowała przyszłość.

– Umie pani marzyć, pani Parker. Kiedyś naprawdę zmieni pani świat. Wierzył w nią na tysiąc procent i uważał za niezwykłą kobietę. W wieku trzydziestu czterech lat dokonała więcej niż niektórzy przez całe życie, i to w większości sama, bez niczyjej pomocy. Ośrodek wyraźnie był jej oczkiem w głowie, co jeszcze bardziej podsyciło ciekawość Charliego.

– Co jeszcze pani robi w wolnym czasie? Żartuję, nic dziwnego, że nie ma pani czasu na jedzenie. Pewnie też mało pani sypia.

– Rzeczywiście – potwierdziła ze śmiechem. – Nie chcę tracić czasu na sen. Tylko to dla mnie istnieje. Praca i dzieci. Zajęcia. W weekendy najczęściej kręcę się po ośrodku, chociaż oficjalnie nie pracuję. Ale lepiej, kiedy jestem na miejscu i mam oko na wszystko.

– Podobnie traktuję fundację – wyznał – ale przecież musi pani znaleźć czas na inne

rzeczy i czasem się zabawić. Co dla pani oznacza zabawa?

– Praca jest moją radością. Nigdy nie byłam taka szczęśliwa jak wtedy, kiedy otworzyłam ośrodek. Nie potrzebuję niczego innego.

Powiedziała to szczerze i wiedział, że mówiła prawdę, co trochę go zmartwiło. Coś się nie zgadzało w tym wizerunku, jaki prezentowała. Brakowało wielu rzeczy poza pracą.

– Ani mężczyzny, ani dzieci, żaden zegar biologiczny nie ponagla pani do małżeństwa? To niezwykle w pani wieku.

Wiedział, że ma trzydzieści cztery lata, studiowała w Princeton i w Columbi, ale nie dowiedział się o niej niczego więcej, nawet po wspólnym obiedzie. Rozmawiali tylko o ośrodku i fundacji. Ojej i jego pracy. O misji każdego z nich.

– Nie. Ani mężczyzny, ani dzieci, ani zegara biologicznego. Wyrzuciłam go kilka lat temu. Od tej pory jestem szczęśliwa.

– Co to znaczy? – powiedział to może ze zbyt dużym naciskiem, ale chyba nie miała mu tego za złe. Wyczuwał, że Carole nic mu nie powie, jeśli sama nie zechce.

– Pacjenci z ośrodka to moje dzieci – odpowiedziała swobodnie.

– Teraz pani tak mówi, ale może kiedyś będzie pani żal. Kobiety mają pecha pod tym względem. Pewne decyzje muszą podjąć w określonym wieku. Mężczyzna zawsze może zrobić z siebie głupka i założyć rodzinę w wieku sześćdziesięciu, siedemdziesięciu czy osiemdziesięciu lat.

– Może adoptuję dzieci, kiedy mi stuknie osiemdziesiątka.

Uśmiechnęła się do niego i po raz pierwszy wyczuł słowa tragedii. Dobrze znał kobiety i wiedział, że tę spotkało coś bardzo złego. Nagle to wyczuł, nie wiadomo w jaki sposób. Zbyt gładko udzielała odpowiedzi, zbyt twardo trzymała się swojej decyzji. Nikt nie był pewien niczego w życiu, jeśli nie miał złamanego serca. Charlie sam to przeżył.

– Nie rozumiem, Carole – powiedział ostrożnie. Nie chciał jej spłoszyć, żeby się nie wycofała. – Jesteś kobietą, która kocha dzieci. I gdzieś w twoim życiu musi być mężczyzna.

Słuchał jej przez cały wieczór i już nie przypuszczał, że jest lesbijką. Nic na to nie wskazywało, chociaż mógł się mylić, co mu się zdarzyło raz czy dwa. Ale nie wyglądała na lesbijkę. Była po prostu skryta.

– Nie ma żadnego mężczyzny – odparła z prostotą. – Brak mi czasu. Chęci. Już to przerabiałam. Nie mam nikogo od czterech lat.

Czyli rok przed otwarciem ośrodka, obliczył Charlie. Zastanawiał się, czy jakiś zawód miłośny pchnął ją do tego, żeby leczyć rany swoje i cudze.

– To długo jak na twój wiek – powiedział łagodnie, a ona się roześmiała.

– Ciągłe mówisz o moim wieku, jakbym miała dwadzieścia lat. Nie jestem taka młoda. Mam trzydzieści cztery lata. To dość dużo.

– Nie dla mnie. Ja mam czterdzieści sześć – roześmiał się.

– No właśnie. – Szybko odbiła piłkę na jego stronę, żeby nie skupiali się tylko na niej. – I też nie masz dzieci i nie jesteś żonaty. Więc po co te wielkie słowa? A ty? Dlaczego twój zegar nie tyka, skoro jesteś o dwanaście lat starszy ode mnie?

Nie wyglądał na swoje lata, każdy dałby mu najwyżej trzydzieści sześć lat i ani dnia

więcej. Wprawdzie ostatnio zaczynał odczuwać swój wiek, każdą minutę tych czterdziestu sześciu lat i jeszcze trochę, ale przynajmniej wyglądał młodo. Podobnie jak ona, dałby jej najwyżej jakieś dwadzieścia pięć lat. Razem stanowili piękną parę, dokładnie w tym samym typie, prawie jak rodzeństwo, jak sam wcześniej zauważył, kiedy spostrzegł podobieństwo Carole do swojej siostry Ellen i matki.

– Mój zegar tyka – wyznał. – Po prostu jeszcze nie znalazłem odpowiedniej kobiety, ale mam nadzieję, że kiedyś ją znajdę.

– To bzdura – oświadczyła bez ogródek, patrząc mu prosto w oczy. – Faceci, którzy się nie ożenili, zawsze opowiadają, że nie spotkali właściwej kobiety. Nie wmówisz mi, że w wieku czterdziestu sześciu lat nigdy nie spotkałeś jej. Jest ich wiele i jeśli żadnej nie spotkałeś, to widocznie nie chciałeś. To naprawdę żalosna wymówka. Znajdź inną.

Wypiła łyk wina. Charlie patrzył na nią jak urzeczony. Dotknęła go do żywego, a co gorsza, miała rację. Wiedział o tym i ona też wiedziała. Mówiła z pełnym przekonaniem.

– Cóż, przynajmniej, że kilka mogło się nadawać, gdybym chciał pójść na kompromis. Szukam ideału.

– Nie znajdziesz. Nikt nie jest doskonały. Wiesz o tym. Więc o co chodzi?

– Cholernie się boję – powiedział szczerze po raz pierwszy w życiu i mało nie spadł z krzesła, kiedy usłyszał własne słowa.

– To już lepiej. Dlaczego?

Była dobra w swoim fachu, chociaż dopiero później to zrozumiał. Docierała do ludzkich serc i umysłów, bo taką miała pracę i lubiła to. Charlie jednak wyczuł instynktownie, że ona go nie skrzywdzi. Czuł się przy niej bezpiecznie.

– Moi rodzice zginęli, kiedy miałem szesnaście lat, zaopiekowała się mną siostra, a potem umarła na raka mózgu, kiedy skończyłem dwadzieścia jeden lat. I tyle. Koniec rodziny. Chyba przez całe życie myślałem, że jeśli się kogoś kocha, to ten ktoś umiera albo odchodzi, albo znika, albo cię porzuca. Wolę pierwszy zamknąć za sobą drzwi.

– To ma sens – powiedziała cicho, przyglądając mu się uważnie. Wiedziała, że mówił prawdę. – Ludzie rzeczywiście umierają, odchodzą i znikają. Czasami tak się zdarza. Ale jeśli tak wolisz pierwszy zamykać za sobą drzwi, na pewno zostaniesz sam. Nie przeszkadza ci to?

– Nie przeszkadzało.

Czas przeszły. Ostatnio bardzo mu to przeszkadzało, ale nie chciał jej tego mówić. Jeszcze nie.

– Płacisz w życiu wysoką cenę za swój strach – powiedziała cicho, a potem dodała: – Strach przed miłością. Sama sobie z tym nie radzę.

Ona też czuła się z nim bezpiecznie. Od dawna nie opowiadała tej historii i zabrzmiała jak streszczenie.

– Wysłałam za mąż w wieku dwudziestu czterech lat. On był przyjacielem mojego ojca, dyrektorem wielkiej firmy, błyskotliwym człowiekiem. Przedtem prowadził badania naukowe i założył firmę farmaceutyczną, którą wszyscy znamy. I był kompletnie stuknięty. Dwadzieścia lat starszy ode mnie, niezwykły mężczyzna. Nadal jest niezwykły. Ale jednocześnie narcystyczny, szalony, błyskotliwy, przebojowy, czarujący i niebezpieczny,

alkoholik, sadysta, brutal. To było najgorsze sześć lat mojego życia. Był zwariowanym socjopatą, a mnie wszyscy mówili, jakie mam szczęście, że za niego wyszłam. Bo nikt nie wiedział, co się dzieje za zamkniętymi drzwiami. Miałam wypadek samochodowy, chyba dlatego że sama tego chciałam. Marzyłam tylko, żeby umrzeć. On mnie torturował. Odchodziłam od niego na dzień czy dwa, ale sprowadzał mnie z powrotem albo przywabił podstępem. Sadyści nigdy nie tracą z oczu swojej ofiary. Kiedy leżałam w szpitalu po wypadku, odzyskałam zdrowe zmysły. Nigdy więcej nie wróciłam. Przez rok ukrywałam się w Kalifornii, poznałam wielu dobrych ludzi i odkryłam to, co chcę robić. Po powrocie do domu otworzyłam ośrodek i nigdy nie oglądałam się za siebie.

– Co się z nim stało? Gdzie teraz jest?

– Tutaj. Torturuje kogoś innego. Przekroczył już pięćdziesiątkę, w zeszłym roku ożenił się z jakąś żalną debiutantką, biedne dziecko. Jest równie czarujący i chory. Czasami do mnie dzwoni i raz napisał mi w liście, że ona nic dla niego nie znaczy i że nadal mnie kocha. Nie odpisałam mu i nie zamierzam odpisać. Sprawdzam telefony i nigdy nie oddzwaniam. Dla mnie to koniec. Nie mam ochoty spróbować jeszcze raz. Pewnie można o mnie powiedzieć, że boję się zobowiązań albo związków – uśmiechnęła się do Charliego – i nie zamierzam tego zmieniać. Nie mam ochoty znowu oberwać. Wcale się tego nie spodziewałam. Nikt się nie spodziewał. Widzieli tylko, że jest bogaty, przystojny i czarujący. Pochodzi z tak zwanej dobrej rodziny, a moja własna przez długi czas sądziła, że zwariowałam. Pewnie nadal tak uważają, ale z grzeczności tego nie mówią. Myślą, że mi odbiło. Ale przynajmniej żyję i jestem przy zdrowych zmysłach, co przez jakiś czas pozostawało pod znakiem zapytania, dopóki nie wjechałam samochodem w tył ciężarówki na Long Island Expressway i wystraszyłam się na śmierć. Zderzenie z tą ciężarówką było znacznie mniej bolesne i niebezpieczne niż życie z nim. On był i dalej jest absolutnym socjopatą. Wyrzuciłam przez okno mój zegar biologiczny, kosmetyki i szpilki, małe czarne koktajlowe sukienki, obrączkę i pierścionek zaręczynowy. Na szczęście nie miałam z nim dzieci. Pewnie wtedy bym z nim została. A teraz, zamiast jednego czy dwojga dzieci, mam ich czterdzieścioro, i w dodatku Gabby z Zorrem. I jestem o wiele szczęśliwsza.

Patrzyła na niego, a w oczach miała smutek i cierpienie. Widział, że przeszła przez piekło, dlatego tak się przejmowała dziećmi, z którymi pracowała. Sama przeżyła coś podobnego, chociaż w inny sposób. Ciarki chodziły mu po plecach, kiedy słuchał jej historii. Mówiła szybko i zwięźle, ale wiedział, że to tylko pozory. Carole żyła w koszmarnej śnie, aż wreszcie się przebudziła. Trwało to jednak sześć lat i przez te lata cierpiała niewyobrażalne męki. Współczuł jej bardziej, niż przypuszczała. Przeżyła jednak, żeby opowiedzieć mu tę historię, i robiła wspaniałe rzeczy. Mogła gdzieś ślinić się w kącie, zażywać narkotyki albo się upijać czy w końcu umrzeć. Zamiast tego zbudowała sobie dobre życie, dla którego wszystko poświęciła.

– Przykro mi, Carole. Każdego z nas mogą spotkać okropne rzeczy. Ważne, co zrobisz potem, ile kawałków wygrzebiez ze śmietnika i skleisz na nowo. – Wiedział, że jemu też brakuje kilku kawałków. – Jesteś bardzo dzielna.

– Ty też. Dla chłopaka w tym wieku strata całej rodziny to miazdzący cios. Nigdy do

końca tego nie przeboleałeś, ale może pewnego dnia zdobędziesz się na odwagę i nie odejdziesz pierwszy. Życzę ci tego – powiedziała łagodnie.

– Ja też ci tego życzę – szepnął wdzięczny za jej szczerość.

– Stawiałabym raczej na ciebie – uśmiechnęła się. – Moje życie mi się podoba. Jest proste, łatwe i bez komplikacji.

– I samotne – dokończył obcesowo. – Nie wmawiaj mi, że to nieprawda. Ja też jestem samotny, jak my wszyscy. Kiedy wybierasz samotność, nikt nie może cię skrzywdzić, ale płacisz za to wysoką cenę. To kosztowny towar, sama wiesz. Nie masz guzów ani siniaków, ani świeżych blizn, ale kiedy wracasz wieczorem do domu, słyszysz to samo, co ja. Ciszę. W domu jest ciemno. Nikt cię nie pyta, jak minął dzień, nikogo to nie obchodzi. Może twoich przyjaciół, ale oboje wiemy, że to nie to samo.

– Nie to samo – przyznała uczciwie. – Ale alternatywa przeraża mnie jak diabli.

– Może kiedyś cisza przerazi cię jeszcze bardziej. Mnie czasami dobija. Zwłaszcza ostatnio. A czas nie pracował na jego korzyść. Ani na jej.

– I co wtedy robisz? – zacięła się.

– Uciekam. Wychodzę. Podróżuję. Spotykam się z przyjaciółmi. Chodzę na przyjęcia. Zapraszam kobiety. Jest wiele sposobów na wypełnienie pustki, w większości sztucznych. Gdziekolwiek pójdziesz, wszędzie zabierasz siebie i swoje upiory. Ja też przez to przeszedłem.

Nigdy nie rozmawiał tak szczerze z nikim oprócz swojego terapeuty, ale zmęczył się już pozorami, udawaniem, że wszystko jest w porządku. Czasami po prostu nic nie było w porządku.

– Tak, wiem – powiedziała cicho. – Ja po prostu pracuję, aż padnę, i powtarzam sobie, że to mój obowiązek wobec pacjentów. Ale nie zawsze chodzi o nich. Czasami tak, ale czasami chodzi o mnie. A jeśli mam jeszcze siłę po powrocie do domu, pływam, gram w squasha albo chodzą na siłownię.

– Przynajmniej świetnie wyglądasz – uśmiechnął się. – Ale z nas świry, co? Dwa przypadki emocjonalnej fobii siedzą razem przy obiedzie i wyznają sobie sekrety zawodowe.

– Są gorsze rzeczy.

Popatrzyła na niego nieufnie. Nagle zaczęła się zastanawiać, dlaczego ją zaprosił. Podejrzewała, że nie chodziło tylko o jej plany dotyczące ośrodka, i miała rację.

– Zostańmy przyjaciółmi – zaproponowała miękko.

Chciała zawrzeć z nim umowę, od razu wyznaczyć granice i ustalić podstawowe zasady. Patrzył na nią przez długą, trudną chwilę, zanim odpowiedział. Tym razem chciał być z nią szczerzy. Kiedy zapraszał ją na obiad, nie postępował uczciwie, i teraz chciał to naprawić, zanim będzie za późno.

– Nie mogę ci tego obiecać – powiedział, patrząc w oczy równie błękitne jak jego. – Nie łamię obietnic, a tej chyba nie potrafię dotrzymać.

– Nie pójde z tobą więcej na obiad, jeśli nie będziemy tylko przyjaciółmi.

– To chyba zacniemy spotykać się na lunchu. Przyniosą ci banana albo pójdziemy do Sally i zatłuszcimy sobie twarze żeberkami. Nie mówię, że nie możemy zostać przyjaciółmi

ani że nie zostaniemy. Ale podobasz mi się o wiele bardziej. Nawet przypadki emocjonalnej fobii miewają romanse i chodzą na randki.

– To była randka?

Popatrzyła na niego zaskoczona. To jej nie przyszło do głowy, kiedy ją zapraszał na obiad. Naprawdę myślała, że chodziło o fundację. Teraz jednak bardziej go polubiła i chciała, żeby zostali przyjaciółmi.

– Nie wiem – odparł wykrętnie. Nie chciał przyznać, że ją okłamał i użył podstępów, żeby ją wyciągnąć na obiad. Wszystkie chwytów dozwolone, kiedy chodzi o seks i zabawę, jak mawiał Adam. Czy coś w tym rodzaju. Owszem, to było zabawne, a jeszcze bardziej interesujące, ale na razie nie doszło do seksu i Charlie przypuszczał, że jeszcze długo nie dojdzie, jeśli w ogóle. – Nie jestem pewien, co to było, dwoje inteligentnych ludzi o podobnych zainteresowaniach poznawało się nawzajem. Ale następnym razem chciałbym, żeby to była randka.

Przez chwilę siedziała w milczeniu, z nieszczęśliwą miną. Miała ochotę uciec. Potem podniosła na niego udreżony wzrok.

– Nie chodzą na randki.

– To było wczoraj. Dzisiaj jest nowy dzień. Jutro się zastanowisz i zobaczysz, na co masz ochotę. Nie musisz podejmować żadnych ważnych decyzji. To tylko obiad, nie operacja na otwartym sercu – powiedział po prostu.

To miało sens, nawet dla niej.

– A jak myślisz, które z nas pierwsze zamknie za sobą drzwi?

– Zagramy w orła i reszkę, ale ostrzegam, nie jestem już w takiej dobrej formie jak dawniej. Nie biegam szybko. Możesz mnie wyprzedzić.

– Wykorzystujesz mnie, żeby udowodnić swoją teorię o porzuceniu, Charlie? Że wszystkie kobiety zostawią cię wcześniej czy później? Nie chcę potwierdzać twojego neurotycznego scenariusza – warknęła.

– Spróbuję tego nie robić, ale nie mogę obiecać – uśmiechnął się Charlie. – Pamiętaj, to tylko obiad. Nie związek na całe życie.

Przynajmniej na razie. W duchu ostrzegł się przed pochopnym wypowiedaniem życzeń. Dziwniejsze rzeczy się zdarzały. Chociaż nie wyobrażał sobie niczego lepszego od spędzania z nią czasu, wszystko jedno, jak długo to potrwa i kto pierwszy zamknie za sobą drzwi.

– Jeśli szukasz „odpowiedniej kobiety”, obiad z potwierdzonym przypadkiem fobii uczuciowej nie powinien zajmować wysokiego miejsca na twojej liście.

– Spróbuję o tym pamiętać, ale nie musisz być moją terapeutką, Carole. Już mam jednego. Po prostu bądź moim przyjacielem.

– Chyba jestem.

Nie wiedzieli jeszcze, co będzie z resztą, ale nie musieli. Przyszłość należała do nich, jeśli tylko Carole zechce.

Charlie zapłacił rachunek i odprowadził ją do domu. Mieszkała w małej eleganckiej kamienicy, co trochę go zdziwiło. Nie zaprosiła go do siebie, a on tego nie oczekiwał. Pomyślał, że jak na pierwszą randkę poszło lepiej niż dobrze.

Carole powiedziała, że mieszka w małej kawalerce na tyłach budynku, którą wynajmuje od właścicieli. Wspomniała też, że ma szczęście, bo mieszkanie jest niewiarygodnie tanie. Charlie zastanawiał się, czy po rozwodzie dostała jakieś odszkodowanie, wspomniała, że mąż był bogaty. Ze względu na nią miał nadzieję, że tak i że wyniosła z tego małżeństwa nie tylko bolesne wspomnienia.

– Dziękuję za obiad – powiedziała uprzejmie, a potem dodała stanowczo: – To nie była randka.

– Wiem. Dziękuję za przypomnienie – odparł z błyskiem w oku.

W białej koszuli bez krawata, dżinsach i swetrze tego samego koloru co jej, w brązowych mokasynach ze skóry aligatora, włożonych na gołe nogi wyglądał bardzo przystojnie, a ona pięknie, kiedy życzyła mu dobrej nocy.

– Co powiesz na obiad w przyszłym tygodniu?

– Pomyślę – obiecała.

Włożyła klucz do zamka, pomachała mu i zniknęła.

– Dobranoc – szepnął do siebie Charlie z uśmiechem.

Ruszył ulicą ze spuszczoną głową, myśląc o wszystkim, czego się dowiedział od Carole. Nie obejrzał się i nie zobaczył, że wygląda za nim z okna na piętrze. Zastanawiała się, o czym myśli, podobnie jak on zastanawiał się nad nią. Charlie był zadowolony. Carole przerażona.

Rozdział 12

Dwa dni po obiedzie Charliego i Carole Adam zajeżdżał nowym ferrari przed dom rodziców na Long Island. Wiedział, że czekają go kłopoty. Spodziewali się, że pójdzie z nimi na nabożeństwo jak co roku. On też miał taki zamiar, ale jeden z jego sportowych gwiazdorów zadzwonił w panice. Jego żonę aresztowano za kradzież w sklepie, przyznał też, że jego szesnastoletni syn handluje kokainą. Dla Adama i jego rodziców Jom Kipur było ważnym świętem, ale futbolista z Minnesoty nic nie wiedział o Jom Kipur i potrzebował pomocy Adama. Adam zawsze był do dyspozycji, tym razem też. Rano wysyłali chłopaka do ośrodka w Hazelden na odwyk. Na szczęście Adam znał zastępcę prokuratora, oskarżającego w sprawie o kradzież żony. Zawarli ugodę na sto godzin prac społecznych i prokurator zgodził się nie wpisywać tego do akt. Piłkarz, którego reprezentował Adam, oświadczył, że zawdzięcza mu życie. O szóstej trzydzięci Adam wyruszył w drogę, a po godzinie dojechał do domu rodziców na Long Island. Przepadło mu nabożeństwo w synagodze, ale przynajmniej zdążył na obiad. Wiedział, że matka będzie wściekła, sam też był rozczarowany. W ten jeden dzień w roku lubił chodzić do synagogi, żeby odprawić pokutę za zeszłoroczne grzechy i wspomnieć zmarłych. W pozostałe dni religia niewiele dla niego znaczyła. Kochał jednak tradycje wielkich świąt i był wdzięczny, że Rachel wpaja te tradycje dzieciom. Poprzedniego lata Jacob miał swoją bar micwę i kiedy syn czytał po hebrajsku Torę, Adam wzruszył się do łez. Nigdy w życiu nie był taki dumny. Pamiętał, jak ojciec płakał przy tej samej okazji.

Tego wieczoru nie spodziewał się jednak wzruszających momentów. Matka będzie się wściekać, że nie zdążył do synagogi. Zawsze miała mu coś za złe. Nic dla niej nie znaczyło to, że opiekował się zrozpaczonymi klientami. Wściekała się na młodszego syna od czasu jego rozwodu. Rachel była jej bliższa, nawet teraz, niż Adam był kiedykolwiek. Zawsze czuł, że matka woli synową od własnego syna.

Kiedy Adam wszedł, wszyscy siedzieli w bawialni po powrocie z synagogi. Adam nosił pięknie skrojony granatowy garnitur od Brioniego, krawat, koszulę szytą na miarę i idealnie wypolerowane buty. Serce każdej innej matki zmiękłoby na jego widok. Był tak dobrze zbudowany i taki przystojny, i egzotyczny. W tych rzadkich dobrych dniach, kiedy był młodszy, matka mówiła mu, że wygląda jak młody izraelski bojownik o wolność, i czasami dawała do zrozumienia, że jest z niego dumna. Teraz powtarzała tylko, że wybrał życie w Sodomie i Gomorze i że okrył się hańbą. Potępiała wszystko, co robił, począwszy od kobiet, z którymi się umawiał, skończywszy na klientach, których reprezentował, i wycieczkach w interesach do Las Vegas, po to żeby obejrzeć walki swoich bokserów czy koncert raperów. Krytykowała nawet Charliego i Graya, nazywając ich parą nieudaczników, którzy nigdy się nie ożenili i nigdy nie ożenią, tylko włóczęją się z rozwiązłymi kobietami. Za każdym razem, kiedy widziała w brukowcach zdjęcie Adama z którąś z jego zdobyczy albo stojącego obok Vany czy innych klientów, dzwoniła do niego i twierdziła, że przynosi jej wstyd. Nie wątpił, że dziś wieczorem zachowa się nie lepiej.

Opuszczenie nabożeństwa na Jom Kipur to jej zdaniem był już szczyt wszystkiego. Nie pojawił się też w domu na Rosz Haszana. Był w Atlantic City i rozplątywał skomplikowaną sprawę jednego z jego najwybitniejszych artystów, który wystąpił pijany i stracił przytomność na scenie. Ważne żydowskie święta nic nie znaczyły dla jego klientów, ale wiele dla matki. Jej twarz miała twardość granitu, kiedy otworzył drzwi i wszedł do pokoju. Był blady, spięty i zdenerwowany. Podczas wizyt w domu zawsze czuł się jak dziecko, co nie budziło przyjemnych wspomnień. Odkąd przyszedł na świat, traktowano go jak intruza i utrapienie.

– Cześć, mamó. Przepraszam za spóźnienie – powiedział.

Podszedł do niej i pochylił się, żeby ją pocałować, ale ona odwróciła twarz. Ojciec siedział na kanapie i ze wzrokiem wbitym we własne stopy.

Chociaż słyszał wejście Adama, nawet nie podniósł na niego oczu. Nigdy na niego nie patrzył. Adam pocałował czubek matczynej głowy i się odsunął.

– Przepraszam wszystkich. Nic nie mogłem poradzić. Klient miał poważne kłopoty. Jego dzieciak sprzedaje narkotyki, a żonę chcieli wsadzić do więzienia.

Te wyjaśnienia nie zrobiły żadnego wrażenia na matce, dostarczyły jej nowych argumentów.

– Dla ładnych ludzi pracujesz – syknęła głosem tak ostrym, że mógł kroić befsztyki. – Pewnie jesteś bardzo dumny.

Każde słowo ociekało sarkazmem. Adam spostrzegł, że siostra zerknęła na męża, a brat zmarszczył brwi i odwrócił głowę. Widział, że zapowiada się kolejny wspaniały wieczór, po którym żołądek będzie go bolał przez kilka dni.

– Zarabiam na chleb dla dzieci – odparł Adam, siłąc się na lekki ton. Podszedł do kredensu i nalał sobie drinka. Mocnego. Czysta wódka z lodem.

– Nawet nie usiądziesz, zanim sobie nalejesz? Nie możesz przyjść do synagogi na Jom Kipur ani przywitać się jak należy z rodziną, ale już pijesz? Pewnego dnia, Adamie, wylądujesz w poradni AA.

Co miał odpowiedzieć? Z Charliem i Grayem obróciłby to w żart, ale w jego rodzinie nigdy nie było żartów. Wyglądali jak żalobnicy na sziwie, kiedy tak czekali, aż służąca oznajmi, że podano obiad. Od trzydziestu lat pracowała u nich ta sama Afroamerykanka, chociaż Adam nigdy nie mógł pojąć, dlaczego nie odeszła. Matka nadal nazywała ją w oczy *schwarze*, chociaż służąca mówiła teraz w jidysz lepiej od Adama. Tylko ją chętnie oglądał podczas rzadkich wizyt w domu. Nazywała się Mae. Matka powtarzała zawsze z potępiającą miną: „Co to za imię, Mae?”

– Jak było w synagodze? – zagadnął uprzejmie, próbując nawiązać rozmowę.

Sharon, jego siostra, mówiła coś zniżonym głosem do bratowej Barbary, a brat Ben rozmawiał o golfie z ich szwagrem Gideonem, którego nikt nie lubił, udawali więc, że nie ma imienia. W tej rodzinie, jeśli ktoś się nie spodobał, wszyscy udawali, że nie ma imienia. Ben był lekarzem, a Gideon tylko sprzedawał ubezpieczenia. Fakt, że Adam skończył Havardzką Szkołę Prawa nie miał znaczenia, skoro się rozwiódł, bo żona go rzuciła, za co, zdaniem jego matki, prawie na pewno ponosił odpowiedzialność. Gdyby był przyzwoitym facetem, dlaczego dziewczyna taka jak Rachel miałyby go rzucić? I zobaczcie, z jakimi kobietami się

zadaje od tamtego czasu. Takie mantry trwały zwykle bez końca i znał je wszystkie na pamięć. W tej grze nie mógł wygrać. Sam nie wiedział, dlaczego ciągle jeszcze próbuje.

Mae wreszcie zawołała ich na obiad i kiedy usiedli na zwykłych miejscach, Adam zobaczył, że matka wpatruje się w niego przez całą długość stołu. Jej wzrok mógł przewiercić beton. Ojciec siedział na drugim końcu, a obie pary zajmowały miejsca po bokach. Dzieci nadal karmiono w kuchni i Adam jeszcze ich nie widział. Rzuciły piłkę do kosza na podwórku i w sekrecie paliły papierosy. Jego własne dzieci nigdy tu nie przychodziły. Matka odwiedzała je u Rachel wtedy, kiedy jej to odpowiadało. Adam zajmował miejsce między ojcem a siostrą, jakby go upchnięto w ostatniej chwili. Zawsze opierał się kolanami o nogę stołu. Właściwie to mu nie przeszkadzało, ale wyglądało na znak od Boga, że nie ma dla niego miejsca w tej rodzinie, zwłaszcza ostatnio. Od czasu rozwodu z Rachel, choć na krótko przed nim został partnerem w swojej firmie prawniczej, traktowano go jak pariasa, powód żalu i wstydu, głównie dla matki. Jego osiągnięcia, które liczyły się w prawdziwym świecie, tutaj absolutnie nic nie znaczyły. Odnosili się do niego jak do przybysza z kosmosu i czasami czuł się jak E. T. , kiedy tak siedział, coraz bledszy z każdą chwilą, i marzył o powrocie do siebie. Co gorsza, tu był jego dom, chociaż ledwie mógł w to uwierzyć. Czuł się jak wśród obcych albo wrogów.

– No więc, gdzie byłeś ostatnio? – zapytała matka podczas pierwszej przerwy w rozmowie po to, żeby wszyscy usłyszeli listę miejsc takich jak Las Vegas czy Atlantic City, gdzie uprawiano hazard i prostytucję i gdzie krążyły tabuny rozwiązłych kobiet, a wszystkie przybyły tam dla Adama.

– Tu i tam – odparł niejasno Adam. Znał procedurę. Trudno było uniknąć pułapek i wilczych dołów, ale zwykle się starał. – W sierpniu byłem we Włoszech i Francji – przypomniał, bo rozmawiał już z nią od tamtego czasu.

Nie miało sensu mówić jej, że w zeszłym tygodniu był w Atlantic City, żeby zażegnać kolejny kryzys. Na szczęście nie miała pojęcia, gdzie spędzał Rosz Haszana, i nie spodziewała się go w domu. Robił taki wysiłek tylko na Jom Kipur. Potem zerknął na siostrę, która uśmiechnęła się do niego. Na mgnienie w przelotnej halucynacji ujrzał, jak włosy stają jej dęba, poznaczone białymi pasmami, a z ust wysuwają się kły. Zawsze uważał ją za Narzeczoną Frankensteina. Miała dwoje dzieci, które rzadko widywał, podobnych do niej i do Gideona. Chodził na wszystkie bar micwy i bat micwy, poza tym jednak nigdy ich nie odwiedzał. Siostrzeńcy i bratanice byli dla niego obcy, przyznał się nawet Charliemu i Grayowi, że tak woli. Twierdził, że wszyscy w jego rodzinie to dziwadła, a oni myśleli o nim dokładnie tak samo.

– Jak było nad jeziorem Mohonk? – zapytał matkę.

Nie rozumiał, dlaczego ciągle tam jeździła. Ojciec zbił fortunę na giełdzie przed czterdziestu laty, mogli więc sobie pozwolić na wakacje w każdym miejscu na świecie. Matka jednak lubiła udawać, że ciągle są biedni. I nie znosiła samolotów, dlatego nigdy nie wyjeżdżali daleko.

– Bardzo przyjemnie – odpowiedziała, szukając jeszcze czegoś, żeby mu dopiec.

Z reguły obracała przeciwko niemu wszystko, cokolwiek jej powiedział. Sztuka polegała

na tym, żeby nie podawać jej żadnych informacji poza tymi, które wyczytała w brukowcach, jakie nabożnie kupowała, albo tymi, które obejrzała w telewizji. Zwykle wysyłała mu wycinki z jego najbrzydszymi zdjęciami, jak stoi za klientem prowadzonym w kajdankach do więzienia. Zawsze dopisywała krótkie uwagi: Na wypadek, gdybyś nie widział... Jeśli natrafiła na wyjątkowo paskudne zdjęcie, wysyłała je trzy razy oddzielnie, z dopiskiem: Czy nie zapomniałam ci wysłać... ?

– Jak się czujesz, tato? – brzmiała zwyczajowo kolejna próba nawiązania rozmowy podjęta przez Adama.

Zawsze otrzymywał tę samą odpowiedź. Jako chłopiec wierzył, że przybysze z kosmosu porwali jego ojca i zastąpili go robotem. Robot miał defekt, który utrudniał mu mówienie. Potrafił mówić, ale najpierw trzeba było szturchać go w ruch, po czym odkrywano, że bateria jest rozładowana. W końcu ojciec wyduszał z siebie standardową odpowiedź: „Całkiem dobrze”, ze wzrokiem wbitym w talerz, nie przerywając jedzenia. Tylko dlatego, że całkowicie zamknął się w sobie i nigdy nie brał udziału w rozmowach, zdołał przeżyć pięćdziesiąt siedem lat małżeństwa z matką Adama. Tej zimy Ben, brat Adama, kończył pięćdziesiąt pięć lat, Sharon właśnie stuknęła pięćdziesiątka, Adam zaś stanowił wypadek, który przytrafił się dziewięć lat później, niewart wzmianki, niegodny uwagi, chyba że zrobił coś złego.

Nie pamiętał, żeby matka kiedyś mu powiedziała, że go kocha. Nigdy nie usłyszał od niej dobrego słowa. Od dzieciństwa stanowił dla rodziców utrapienie i powód do wstydu. Najłagodniejsi byli, kiedy go ignorowali, najgorsi, kiedy go strofowali, odtrącali, karcili i wymierzali klapsy, czym zajmowała się matka. Nadal to robiła, chociaż przekroczył już czterdziestkę, z wiekiem oszczędziła mu tylko klapsów.

– Więc z kim się teraz spotykasz, Adamie? – zagadnęła matka, kiedy Mae wniosła sałatkę.

Widocznie skoro się spóźnił do synagogi i zasłużył na karę, matka tym razem wcześniej wytoczyła ciężkie działo. Z reguły czekała z tym, aż po deserze podano kawę. Już dawno się nauczył, że na to pytanie nie ma dobrej odpowiedzi. Gdyby powiedział prawdę, dom by się zawalił.

– Z nikim. Jestem zajęty – odparł wymijająco.

– Na to wygląda – mruknęła matka.

Szybko podeszła do kredensu. Była szczupła, wyprostowana, w zadziwiająco dobrej formie, mimo siedemdziesięciu dziewięciu lat. Ojciec miał osiemdziesiątkę, ale też trzymał się mocno, przynajmniej w sensie fizycznym.

Matka wyjęła z szuflady egzemplarz „Enquirer” i puściła dookoła stołu, żeby wszyscy mogli zobaczyć. Tego wycinka jeszcze mu nie wysłała. Widocznie zachowała go na odświętną okazję, żeby wszyscy się nim nacieszyli, nie tylko Adam. Zobaczył swoje zdjęcie z koncertu Vany. Obok niego stała dziewczyna z szeroko otwartymi ustami i zamkniętymi oczami, w skórzanej kurtce, z piersiami wyskakującymi z czarnej bluzki. Spódniczkę miała tak krótką, że prawie niedostrzegalną.

– A to kto? – zapytała matka tonem sugerującym, że Adam coś ukrywa.

Gapił się na zdjęcie przez dobrą minutę i absolutnie nic nie kojarzył, a potem przypomniał sobie. Maggie. Dziewczyna, której załatwił miejsce na scenie i którą odwiózł do domu, do obskurnej czynszówki. Miał ochotę powiedzieć matce, żeby się nie martwiła, bo nie spał z tą dziewczyną.

– Jakaś dziewczyna, obok której stałem na koncercie – wzruszył ramionami.

– Nie byłeś z nią? – drażyła matka, rozdarta między ulgą a rozczarowaniem. Musiała sięgnąć po inną broń.

– Nie. Byłem tam z Charliem.

– Z kim?

Zawsze udawała, że nie pamięta. Zapominanie imion jego przyjaciół stanowiło kolejną formę odrzucenia.

– Charles Harrington. Ten, którego nazwiska za każdym razem rzekomo zapominasz.

– A, ten. Na pewno gej. Nigdy się nie ożenił.

Argument nie do odparcia. Teraz matka była górą. Gdyby powiedział, że Charlie nie jest gejem, kazałaby mu wyjaśnić, skąd o tym wie, co mogło go mocno obciążyć. A gdyby gwizdnął na ostrożność i przyznał jej rację, po prostu na odczepnego, nieuchronnie wyciągnęłaby to później. Sprawdził to już przy innych okazjach. Najlepiej było nic nie mówić. Zamiast tego uśmiechnął się do Mae, która obnosiła bułeczki, a ona mrugnęła do niego. Była jego jedynym sprzymierzeńcem, jak zawsze.

Zanim wreszcie wstali od stołu, Adam czuł się jak po paru godzinach w piekle. W żołądku miał węzeł wielkości pięści. Patrzył, jak sadowią się na tych samych krzesłach, na których siedzieli przed obiadem, na swoich zwykłych miejscach. Rozejrzał się po pokoju i zrozumiał, że po prostu tego nie wytrzyma. Stał obok matki na wypadek, gdyby zechciała go objąć. To się nieczęsto zdarzało.

– Przepraszam, mam. Strasznie mnie boli głowa, chyba mam migrenę. Czeka mnie długa droga, lepiej już pójdę.

Chciał się tylko stąd wyrwać i uciec jak najdalej.

Matka patrzyła na niego przez długą chwilę z zasznurowanymi ustami, a potem kiwnęła głową. Ukarła go stosownie za nieobecność w synagodze. Mógł odejść. Spełnił swój obowiązek jako chłopiec do bicia i kozioł ofiarny. Tę rolę wyznaczyła mu raz na zawsze, skoro miał czelność pojawić się w jej życiu wtedy, kiedy myślała, że już skończyła z rodzeniem dzieci. Stanowił niespodziewaną i niepożądaną przeszkodę w jej proszonych herbatkach i partyjkach brydża, za co spotkała go surowa kara. Teraz i zawsze. Przysparzał jej tylko kłopotów, nigdy radości. Inni wzorowali się na niej. W wieku czternastu lat Ben wstydział się, że matka znowu jest w ciąży. Dziewięcioletnią Sharon wprowadził w furję nieproszony gość. Ojciec grał w golfa i nic nie mówił. W akcie ostatecznej zemsty Adama wychowała niania i nigdy nie widywał rodziców. Kara w tym wypadku okazała się błogosławieństwem. Kobieta, która się nim opiekowała, dopóki nie skończył dziesięciu lat, była dobra, czuła i kochająca, jedyna przyzwoita osoba w świecie jego dzieciństwa. Do dziesiątych urodzin, kiedy zwolniono ją w trybie doraźnym i nawet nie pozwolono się pożegnać. Czasami się zastanawiał, co się z nią stało, ponieważ jednak już wtedy nie była

młoda, przypuszczał, że umarła. Przez lata miał wyrzuty sumienia, że nie próbował jej odnaleźć czy przynajmniej napisać do niej i podziękować za dobroć.

– Gdybyś tyle nie pił i nie zadawał się z rozwiązłymi kobietami – oświadczyła matka – nie cierpiałbyś na migreny.

Nie bardzo rozumiał, co z tym miały wspólnego rozwiązłe kobiety, ale wołał nie pytać. Wierzył jej na słowo.

– Dziękuję za pyszny obiad.

Nie miał pojęcia, co właściwie jadł. Prawdopodobnie rostbef. W tym domu nigdy nie zwracał uwagi na jedzenie. Po prostu starał się przetrwać posiłek.

– Zadzwoń do mnie czasami – zażądała surowo.

Kiwnął głową i powstrzymał się od pytania „po co”? Kolejne pytanie bez odpowiedzi. Czemu miałby do niej dzwonić? Nie widział powodu, ale i tak dzwonił co tydzień, z szacunku i z przyzwyczajenia, i modlił się, żeby jej nie zastać, tylko zostawić wiadomość, najchętniej u ojca, który ledwie potrafił wydusić dwa słowa między „Halo” a „Do widzenia”, zwykle: „Powiem jej”.

Adam pożegnał się ze wszystkimi, potem z Mae w kuchni, wyszedł sam i wśliznął się do ferrari z potężnym westchnieniem ulgi.

– Kurwa mać! – powiedział głośno. – Nienawidzę tych ludzi.

Po tych słowach poczuł się lepiej i odpalił silnik. Dziesięć minut później pędził po Long Island Expressway, znacznie przekraczając limit prędkości, ale żołądek już mu się uspokoił. Zadzwoił do Charliego, po prostu żeby usłyszeć głos normalnej istoty ludzkiej, ale go nie zastał, zostawił więc niedorzeczną wiadomość na sekretarce. Jadąc do domu, zaczął myśleć o Maggie. Jej zdjęcie w „Enquirerze” było okropne. Pamiętał, że wyglądała o wiele lepiej. Śliczna dziewczyna, na swój sposób. Rozmyślał o niej przez kilka minut i zastanawiał się, czy do niej nie zadzwonić. Chyba nie powinien, ale wiedział, że dzisiejszego wieczoru musi jakoś podreperować swoje zmaltretowane ego. Znał mnóstwo innych i kiedy wrócił do domu, zaczął do nich dzwonić. Żadnej nie zastał. Był piątek wieczorem i wszystkie znajome kobiety wyszły na randki. Potrzebował tylko czyjejś bliskości, uśmiechu, rozmowy, dotyku. Nie chciał nawet seksu, chciał tylko, żeby ktoś dostrzegł w nim pokrewną istotę ludzką. Spotkanie z rodziną wyczerpało jego siły, zupełnie jakby wampiry wyssały z niego krew. Teraz potrzebował transfuzji.

Już w apartamencie przewertował notes z adresami. Zadzwoił do siedmiu kobiet. Połączył się tylko z automatycznymi sekretarkami. Znowu pomyślał o Maggie. Przypuszczał, że pracuje, ale co tam, postanowił zadzwonić. Minęła już północ i może zastanie ją w domu. Wygrzebał skórzaną kurtkę, którą nosił tamtego wieczoru na koncercie Vany. Przetrzęsął wszystkie kieszenie w poszukiwaniu skrawka papieru, na którym zapisał jej numer. W końcu go znalazł. Maggie O'Malley. Wybrał numer. Wiedział, że to śmieszne szukać jej teraz, ale musiał z kimś porozmawiać. Matka doprowadzała go do szału, siostry nienawidził, nie, nawet nie czuł nienawiści, tylko antypatię, prawie równie wielką jak jej niechęć do niego. Niczego nie dokonała w życiu, po prostu wyszła za mąż i urodziła dwójkę dzieci. Najchętniej pogadałby z Grayem albo z Charliem, wiedział jednak, że Gray jest u Sylvii i było za późno,

żeby do niej dzwonić. I przypomniał sobie, że Charlie wyjechał na weekend. Zadzwoił więc do Maggie. Czuł wzbierającą falę paniki, jak zawsze po wizycie w domu, i teraz naprawdę dostał migreny. Sama obecność rodziny zawsze przywoływała najgorsze wspomnienia dzieciństwa. Przeczekał dziesięć dzwonek, ale nikt nie odbierał. W końcu włączyła się sekretarka z kilkoma dziewczęcymi imionami. Adam zostawił nazwisko i telefon dla Maggie, nie bardzo wiedząc, po co sobie zawraca głowę. Jak wszyscy jego znajomi, Maggie wyszła i gdy tylko odłożył słuchawkę, wiedział, że głupio zrobił. Przecież wcale jej nie znał. Nie mógł jej wyjaśnić, jak na niego wpłynęło spotkanie z rodziną ani ile bólu zawsze sprawiała mu matka. Maggie była głupią dziewczyną, którą ciągał ze sobą tamtego wieczoru z braku kogoś lepszego. Zwykła kelnerka, nic więcej. Przypomniał ją sobie przez ten wycinek prasowy, którym matka wykłuwała mu oczy, teraz jednak cieszył się, że jej nie zastał. Nawet się z nią nie przespał i tylko dlatego zachował jej numer, że zapomniał wyjąć kartkę z kieszeni.

Mimo złowieszczych ostrzeżeń matki przed nadużyciami alkoholu, który może wywołać migrenę, Adam nalał sobie drinka przed snem, a potem leżał i próbował pozbyć się napięcia po wieczorze na Long Island. Nie cierpiał wizyt w domu. To była wyrafinowana forma tortury. Zawsze potrzebował kilku dni, żeby dojść do siebie. Po co go wydali na świat, skoro przez całe życie traktowali jak wyrzutka? Leżał i rozmyślał o nich, aż w skroniach załomotał ból, przed którym przestrzegała go matka. Minęła prawie godzina, zanim zasnął.

Godzinę później, kiedy spał już głęboko, zadzwonił telefon. Śniło mu się, że potwory z kosmosu próbują go pożreć żywcem, wydając dziwaczne brzęczenie. Tymczasem matka śmiała się z niego i machała mu przed nosem gazetą. Naciągnął kołdrę na głowę i śnił, że ucieka z wrzaskiem przed potworami, dopóki nie dotarło do niego, że dzwoni telefon. Przyłożył słuchawkę do ucha i na wpół rozbudzony wybełkotał:

– ... lo?

– Adam?

Nie rozpoznał głosu, ale poczuł, że głowa boli go gorzej niż wtedy, kiedy kładł się spać.

– Kto mówi?

Nie wiedział i nic go to nie obchodziło. Przekręcił się w łóżku i znowu zaczął zasypiać.

– Maggie. Zostawiłeś mi wiadomość na sekretarce.

– Jaka Maggie? – Był zbyt zaspany, żeby cokolwiek zrozumieć.

– Maggie O'Malley. Dzwoniłeś do mnie. Obudziłam cię?

– Aha. Obudziłaś. – Trochę mu się przejaśniło w głowie. Spojrzał na budzik obok łóżka.

Parę minut po drugiej. – Dlaczego dzwonisz o tej porze?

Ból głowy stopniowo ustępował, Adam wiedział jednak, że rozmowa z dziewczyną wybije go ze snu.

– Myślałam, że to ważne. Zadzwoiłeś do mnie o północy. Właśnie wróciłam do domu z pracy. Myślałam, że jeszcze nie śpisz.

– Spałem – odpowiedział, leżąc w łóżku i myśląc o niej.

Jego telefon o północy mógł oznaczać tylko jedno. Ale jej telefon o drugiej nad ranem nie był lepszy. Właściwie nawet gorszy. Zresztą było już za późno na spotkanie. Adam chciał spać.

– W jakiej sprawie dzwoniłeś?

W jej głosie brzmiała ciekawość i pewne skrępowanie. Polubiła go i była mu wdzięczna za miejsce na scenie, ale również rozczarowana tym, że potem nie zadzwonił. Przyjaciółki z restauracji uważały, że nigdy nie zadzwoni. Według nich stracił zainteresowanie, skoro nie poszła z nim do łóżka. Może gdyby poszła, czułby się z nią jakoś związany. Z kolei szef sali twierdził, że wręcz przeciwnie.

– Chciałem tylko wiedzieć, czy jesteś zajęta – powiedział sennie Adam.

– O północy?

Adam, który już się rozbudził i zapalił światło, poczuł się lekko zażenowany. Większość kobiet, które znał, odłożyłaby teraz słuchawkę, z wyjątkiem tych naprawdę zdesperowanych. Maggie wydawała się urażona jego wyjaśnieniem.

– Po co dzwoniłeś, szukałeś okazji?

Postawiła sprawę jasno. Ale on szukał tylko odtrutki na jad swojej matki. Ten rodzaj trucizny miał szczególnie zabójcze działanie i Adam szukał współczującej duszy, która dostarczy mu antidotum. A jeśli zdarzy się seks, to nie zaszkodzi. Po prostu czuł się trochę niezręcznie, bo właściwie jej nie znał.

– Nie, nie szukałem okazji. Czuję się samotny. I głowa mnie bolała.

Nawet dla niego brzmiało to żałośnie.

– Zadzwoniłeś do mnie, bo głowa cię bolała?

– Tak, coś w tym rodzaju – bąknął z zakłopotaniem. – Spędziłem paskudny wieczór z rodzicami na Long Island. Jest Jom Kipur.

Słusznie się domyślał, że dziewczyna nazwiskiem O'Malley nie ma zielonego pojęcia o Jom Kipur. Jak większość jego dziewczyn.

– No to szczęśliwego Jom Kipur – rzuciła trochę zgryźliwie.

– To nie tak. To dzień pokuty za grzechy – poinformował.

– Dlaczego wcześniej do mnie nie zadzwoniłeś? – zapytała z uzasadnioną podejrzliwością.

– Byłem zajęty.

Z każdą minutą coraz bardziej żałował, że odebrał telefon. Tego tylko brakowało, żeby o drugiej nad ranem użerać się z dziewczyną, do której nigdy nie zamierzał dzwonić. Dobrze mi tak, pomyślał. Nie trzeba wydzwaniać do nieznajomych o północy.

– Taak, ja też byłam zajęta – powiedziała z wyraźnym nowojorskim akcentem. – W każdym razie dzięki za miejsce i za tamten miły wieczór. Wcale nie zamierzałeś do mnie dzwonić, prawda? – zakończyła ze smutkiem.

– Widocznie zamierzałem, skoro zadzwoniłem. Dwie godziny temu – odparł z irytacją.

Nie musiał się przed nią tłumaczyć. Ból głowy powracał, gorszy niż przedtem. Wizyty na Long Island zawsze powodowały taki skutek. A Maggie wcale nie pomagała, wręcz przeciwnie.

– Nie, nie zamierzałeś dzwonić. Moje koleżanki powiedziały, że nie zadzwonisz.

– Omawiałaś to z nimi?

Ogarniało go coraz większe zakłopotanie. Może cała dzielnica obstawiała zakłady, czy do

niej zadzwoni, czy nie.

– Zapytałam tylko, co myśłą. Zadzwońiłbyś, gdybym się z tobą przespała? – zapytała z ciekawością.

Adam jęknął, zamknął oczy i przekręcił się na drugi bok.

– Na litość boską, skąd mam to wiedzieć? Może tak, może nie. Kto wie? Zależy, czy byśmy się polubili.

– Szczerze mówiąc, nie wiem, czy cię lubię. Myślałam, że tak, tamtego wieczoru, kiedy się poznaliśmy. Teraz sędzę, że tylko się mną bawisz. Pewnie śmieliście się ze mnie razem z Charliem.

W jej głosi brzmiała uraza. Limuzyna i miejsca, do których ją zabierał, świadczyły wyraźnie, że jest bogaty. Mężczyźni tacy jak on ciągle wykorzystywali dziewczyny takie jak ona i nigdy potem nie dzwonili. Tak powiedziały koleżanki i skoro nie zadzwonił, doszła do wniosku, że miały rację. Jeszcze bardziej się cieszyła, że nie poszła z nim do łóżka, chociaż zastanawiała się nad tym. Nie znała go. I nie chciała płacić własnym ciałem za miejsce na scenie.

– Charlie uważał, że jesteś bardzo miła – skłamał Adam.

Nie miał pojęcia, co myślał Charlie. Nie pamiętał. Żaden z nich więcej o niej nie wspominał. Pewnego wieczoru przecięła wiązkę ich radarów i zniknęła na zawsze. Miała rację. Nie zamierzał do niej dzwonić, gdyby nie koszmar z Long Island. Rozpaczliwie potrzebował kontaktu z ludźmi. A teraz dostał go więcej, niż potrzebował.

– A ty? Też myślałeś, że jestem miła? – naciskała.

Ponownie otworzył oczy i wpatrzył się w sufit. Nie rozumiał, dlaczego z nią rozmawia. To przez matkę. Wypił akurat tyle, żeby uwierzyć, że prawie wszystko złe w życiu spotkało go przez matkę. Reszta przez Rachel.

– Słuchaj, czemu to robimy? Nie znam cię. Ty mnie nie znasz. Jesteśmy obcy. Głowa mi pęka i boli mnie żołądek. Matka uważa mnie za alkoholika. Może słusznie. Ja tak nie uważam. Ale czuję się parszywie. Przyszedłem na świat w piekielnej rodzinie i właśnie spędziłem z nią wieczór. To nie żarty. Jestem wkurzony. Nienawidzę rodziców, oni też za mną nie przepadają. Nie wiem, czemu do ciebie zadzwoniłem, ale zadzwoniłem. Nie zastałem cię w domu. Czemu na tym nie zakończymy? Udawajmy, że nigdy nie odsłuchałaś wiadomości. Może szukałem okazji. Nie wiem, po co do ciebie dzwoniłem, wiem tylko, że się parszywie czuję. Zawsze się parszywie czuję po spotkaniu z matką.

Zaczynał się nakręcać, a Maggie słuchała cicho na drugim końcu linii.

– Przepraszam, Adamie. Ja też nie miałam wspaniałych rodziców. Ojciec umarł, kiedy miałam trzy lata. Matka była alkoholizką. Nie widziałam jej, odkąd skończyłam siedem lat.

– To kto cię wychował?

Sam nie wiedział, czemu podtrzymuje tę rozmowę, ale Maggie wzbudziła jego ciekawość.

– Dorastałam u ciotki. Umarła, kiedy miałam czternaście lat. Potem byłam w zastępczej rodzinie, dopóki nie skończyłam szkoły średniej. Właściwie nie skończyłam. Dostałam świadectwo GED w wieku szesnastu lat. Od tamtej pory sama się utrzymuję.

Powiedziała to rzeczowo, jakby nie potrzebowała niczyjej litości.

– Niezłe dostałaś w kość.

Wiele znanych mu dziewczyn mogło opowiedzieć podobne historie. Kobiety, z którymi się spotykał, zwykle nie miały łatwego życia. Często molestowane przez męskich krewnych, uciekały z domu w wieku szesnastu lat i zaczynały pracować jako aktorki lub modelki. Właściwie nie znał żadnych dziewczyn z normalnych domów ani debiutantek, jak te, z którymi spotykał się Charlie. Maggie była taka sama. Po prostu bardziej filozoficznie traktowała swój los i nie wymagała od Adama, żeby cokolwiek naprawiał. Nie oczekiwała, że Adam kupi jej implanty w ramach rekompensaty za to, że matka była prostytutką albo że ojciec ją molestował. Cokolwiek ją spotkało, widocznie się z tym pogodziła. Raczej okazywała współczucie Adamowi.

– Nie masz rodziny? – spytał zaintrygowany.

– Nie. To trochę dołujące w święta, ale czasem odwiedzam przybranych rodziców.

– Brak rodziny to błogosławieństwo – powiedział cynicznie Adam. – Nie chciałabyś takiej jak moja.

Maggie nie bardzo się z nim zgadzała, ale wolała o tym nie dyskutować o wpół do trzeciej w nocy. Gadali o niczym prawie przez pół godziny, a ona wciąż uważała, że zadzwonił do niej w wiadomym celu, co było niegrzeczne i upokarzające. Zastanawiała się, do ilu innych kobiet dzwonił i czy w ogóle odezwałby się do niej, gdyby któraś z nich przyszła mu z pomocą. Widocznie żadnej nie zastał, skoro był sam i spał głęboko, kiedy do niego zadzwoniła.

– Myślę, że wolałabym mieć rodzinę, nawet złą. – Potem coś jej przyszło do głowy. Mimo późnej pory wcale nie czuła senności, a Adam też się rozbudził. – Czy masz braci i siostry?

– Maggie, możemy o tym porozmawiać kiedy indziej? Zadzwonię jutro. Wyrecytuję ci całą historię mojej rodziny, przyrzekam.

Nagle usłyszała huk, Adam jęknął i wrzasnął: „Cholera!”, jakby z bólu.

– Co się stało? – przestraszyła się.

– Wstałem z łóżka i walnąłem palcem u nogi o nocny stolik, i budzik spadł mi na stopę. Teraz jestem nie tylko zły i zmęczony, ale w dodatku ranny.

Mówił jak pięciolatek na granicy łez. Maggie stłumiła chichot.

– Jesteś beznadziejny. Najlepiej idź spać.

– Nie żartuj. Proponuję to od pół godziny.

– Nie bądź niemiły – skarciła go. – Czasami jesteś bardzo nieuprzejmy.

– Teraz mówisz jak moja matka. Ciągłe mi powtarza takie rzeczy. A powiedz, czy to uprzejme wysyłać mi wycinki z brukowców, na których wyglądam jak szmata albo moich klientów wsadzają do pudła? Czy to grzecznie wyzywać mnie od alkoholików i wychwalać moją byłą żonę, chociaż mnie zdradzała i rzuciła, a potem wyszła za innego?

Znowu się nakręcał, a Maggie słuchała.

– To nie jest niegrzeczne, tylko wredne. Mówi ci takie rzeczy? – pytała ze zdziwieniem i współczuciem.

Chociaż prawie wrzeszczał, zdał sobie sprawę, że to słodka dziewczyna. Zauważył to tego wieczoru, kiedy się poznali. Po prostu w jego życiu nie było miejsca dla kogoś takiego jak ona. Pragnął seksu, blichtru i podniecenia, a ona nie mogła mu dać nic z tego, chociaż miała fantastyczną figurę. Skoro jednak nie chciała mu użyzyć swoich wdzięków, nie mógł ich ocenić. Bredziła coś, że nie robi takich rzeczy na pierwszej randce. Adam nie pragnął drugiej. A teraz rozmawiała z nim w środku nocy i wysłuchiwała jego narzekań na matkę. Nawet nie miała mu tego za złe, chociaż zadzwonił do niej, wyraźnie szukając okazji. Nie ukrywała, że tego nie pochwała, a jednak nie odłożyła słuchawki.

– Nie powinienes jej pozwalać, żeby tak do ciebie mówiła, Adamie – powiedziała łagodnie.

Jej matka też ją podle traktowała, a pewnej nocy zniknęła bez pożegnania.

– Jak myślisz, czemu boli mnie głowa? – Adam znowu prawie krzyczał. – Bo duszę wszystko w sobie.

Zdawał sobie sprawę, że zachowuje się jak czubek. To była terapia przez telefon, bez seksu. Nigdy jeszcze nie prowadził równie dziwacznej rozmowy. Prawie żałował, że odebrał ten telefon, ale najwyraźniej lubi rozmawiać z Maggie.

– Nie powinienes dusić w sobie uczuć. Spróbuj kiedyś z nią porozmawiać i powiedz jej, co czujesz.

Adam wznosił oczy do góry. Maggie trochę upraszczała, ale przynajmniej okazywała mu współczucie. Tylko że nie znała jego matki. Na szczęście dla niej.

– Co brałeś na ból głowy?

– Wódkę i czerwone wino w domu matki. Kieliszek tequili po powrocie do domu.

– Fatalna mieszanka. Zażyłeś aspirynę?

– Nie, brandy i szampan są gorsze.

– Powinienes zażyć aspirynę, tylenol albo coś.

– Nie mam – odparł.

Leżał w łóżku i użalał się nad sobą, ale w jakiś dziwny sposób przyjemnie się z nią rozmawiało. Naprawdę była miła. Żadna inna nie słuchałaby, jak narzeka na rodziców i wlicza rozmaite nieszczęścia.

– Jakim cudem nie masz w domu tylenolu? – A potem coś jej przyszło do głowy. – Jesteś scjentyście?

Znała kiedyś kogoś takiego. Nie zażywał żadnych lekarstw ani nie chodził do lekarza. Tylko się modlił. Wydawało jej się to dziwne, ale podobno się sprawdzało.

– Nie, skąd. Zapomniałeś? Dzisiaj jest Jom Kipur. Jestem Żydem. Od tego się wszystko zaczęło. Dlatego pojechałem na obiad do rodziców. Jom Kipur. I nie mam w domu aspiryny, bo nie jestem żonaty. Żonaci ludzie miewają takie rzeczy. Żony je kupują. Moja sekretarka kupuje mi aspirynę w biurze, a ja zapominam kupić do domu.

– Jutro musisz kupić, zanim znowu zapomnisz.

Miała dziecienny głos, ale działał na niego kojąco. W końcu dała mu to, czego potrzebował: współczucie i chwilą rozmowy.

– Muszą iść spać – przypomniał. – I ty też. Zadzwonię do ciebie jutro. Tym razem

naprawdę.

Przynajmniej żeby jej podziękować.

– Nie, nie zadzwonisz – powiedziała ze smutkiem. – Nie jestem dla ciebie dość elegancka, Adamie. Tamtego wieczoru widziałam, do jakich miejsc chodzisz. Pewnie się umawiasz z samymi wystrzałowymi dziewczynami.

A ona była tylko kelnerką z Pier 92. Kaprys losu sprawił, że w ogóle się spotkali, a przez następne zrzącenie losu Adam zostawił jej wiadomość na sekretarce. Przypadek numer trzy: oddzwoniła.

– Znowu mówisz jak moja matka. Zawsze tak gada. Zawsze mnie krytykuje. Uważa, że już dawno powinienem znaleźć sobie inną miłą żydowską dziewczynę i znowu się ożenić. A skoro już o tym mowa, nie spotykam się z kobietami bardziej eleganckimi od ciebie.

Wprawdzie ubierały się trochę drożej, ale z reguły ktoś za to płacił. Pod wieloma względami Maggie bardziej od nich zasługiwała na szacunek, chociaż jego matka miałaby zapewne odmienne zdanie.

– Jak to się stało, że nie ożeniłeś się po raz drugi?

– Nie chcę. Raz się sparzyłem i to fatalnie. Moja była żona okazała się całkiem taka jak matka. I nie mam ochoty znowu ryzykować.

– Masz dzieci?

Nie zapytała go tamtego wieczoru, kiedy się poznali. Nie zdążyła, za wiele się działo.

– Tak. Amandę i Jacoba, czternaście i trzynaście lat – odpowiedział z uśmiechem, co Maggie usłyszała w jego głosie.

– Gdzie studiowałeś?

– Nie wierzę! – roześmiał się ubawiony, że dalej odpowiada na jej pytania, ale jakoś nie mógł przestać. – W Harvardzkiej Szkole Prawa. Skończyłem Szkołę Prawa *magna cum laude*.

Trochę pompatycznie to zabrzmiało, ale co tam, i tak jej nie widział, a w rozmowie telefonicznej wszystko jest dozwolone.

– Wiedziałaś – zawołała z przejęciem. – Po prostu wiedziałaś. Wiedziałaś, że skończyłeś Harvard! I że jesteś geniuszem! – Przynajmniej raz była to właściwa reakcja. Leżał w łóżku, chichocząc. – Niesamowite!

– Nie, wcale nie – odpowiedział skromnie. – Wiele osób kończy uniwersytet Harvarda. Niechętnie to wyznaję, ale Rachel Straszliwa skończyła te studia *summa cum laude* i zdała egzamin adwokacki za pierwszym podejściem. Ja nie. – Wyznawał wszystkie swoje grzechy i słabości.

– Kogo to obchodzi, skoro jest wredną suką?

– Miło, że tak mówisz. – Poczuł zadowolenie. Nawet nie szukając, znalazł sprzymierzeńca.

– Przepraszam. Nie powinnam mówić w ten sposób o matce twoich dzieci.

– Owszem, powinnaś. Ja ciągle to mówię. Bo to suka. Nienawidzę jej. Właściwie – poprawił się – nie nienawidzę jej, tylko bardzo jej nie lubię. – Ostatecznie było święto, chociaż Maggie pewnie była katoliczką. – Jesteś katoliczką, prawda?

– Byłam. Teraz już nie bardzo. Czasami chodzę do kościoła i zapalam świece, ale nie więcej. Chyba już w nic nie wierzę. W dzieciństwie chciałam zostać zakonnice.

– Zmarnowałabyś piękną twarz i wspaniałe ciało. Dzięki Bogu, że nie poszłaś do zakonu – powiedział z powagą w głosie.

– Dziękuję, Adamie. Miło, że tak mówisz. Teraz już naprawdę powinieneś zasnąć, bo jutro głowa będzie cię jeszcze bardziej bolała.

Nie myślał o tym przez ostatnie pół godziny, ale uświadomił sobie nagle, spoglądając na zegarek, że ból głowy zniknął. Dochodziła czwarta nad ranem.

– Może zjemy razem śniadanie? O której wstajesz?

– Zwykle około dziewiątej. Jutro zamierzałam pospać dłużej, wzięłam wolny dzień w pracy.

– Ja też. Przyjadę po ciebie w południe. Zabiorę cię do jakiegoś miłego lokalu na brunch.

– Jak miłego? – zaniepokoiła się.

Zwykle pożyczała ciuchy od współlokatorek. Ani jedna z rzeczy, które miała na sobie w wieczór, kiedy się poznali, nie należała do niej, dlatego bluzka była taka ciasna. Maggie miała z nich największe piersi, ale nie wspomniała o tym Adamowi. Domyślił się, czym się martwi. Wiele dziewczyn, z którymi się umawiał, miało podobne kłopoty.

– Miłego na dzinsy albo dzinsową spódnicę? Albo miłego na szorty? – dawał jej wybór.

– Miłego na dzinsową spódnicę – zdecydowała z ulgą.

– Doskonale. Ubiorę się tak samo.

Oboje parsknęli śmiechem. Adam jeszcze raz zapisał jej adres na bloczku, który trzymał obok łóżka. Zwykle kiedy coś zapisywał w środku nocy, chodziło o aresztowanie kogoś z klientów. Tym razem dużo lepiej się bawił.

– Dzięki, Maggie. Przyjemnie się rozmawiało.

Pewnie przyjemniej niż przy ewentualnej randce. Teraz naprawdę z nią rozmawiał, a nie próbował jej zaciągnąć do łóżka. Przypuszczał, że przy brunchu też tego nie spróbuje. Może po prostu zostaną przyjaciółmi. Dobrze zaczęli.

– Mnie też było przyjemnie. Cieszę się, że do mnie zadzwoniłeś, nawet w wiadomym celu – droczyła się.

– Wcale nie w wiadomym celu – przekonywał, ale mu nie uwierzyła. On sam też w to nie wierzył. Naprawdę zadzwonił w wiadomym celu, ale dobrze się skończyło. I głowa przestała go boleć.

– Akurat – kpiła Maggie. – Właśnie że w wiadomym celu. Każdy telefon po dziesiątej wieczorem jest w wiadomym celu, sam wiesz.

– Kto wymyśla takie zasady?

– Ja – parsknęła śmiechem.

– Idź spać, bo jutro będziesz wyglądała jak śmierć na chorągwi. Nie, chyba nie. Jesteś za młoda, żeby wyglądać jak śmierć, ale ja będę tak wyglądał.

– Wcale nie – zaprzeczyła rzeczowo. – Jesteś bardzo przystojny.

– Dobranoc, Maggie – powiedział cicho. – Rozpoznasz mnie po spuchniętej głowie.

Dzięki jej słowom o uniwersytecie Harvarda i jego wyglądzie naprawdę zaczął ją lubić.

Sprawiła, że poczuł się wspaniale mimo bólu głowy. Miłe zakończenie koszmarnego wieczoru. Wynagrodziła mu wszystkie tortury, które zniósł na Long Island.

– Do zobaczenia jutro.

– Dobranoc – powiedziała cicho i odłożyła słuchawkę.

Kładąc się do łóżka, zastanawiała się, czy naprawdę po nią przyjedzie. Faceci tak postępowali. Obiecywali, a potem nie dotrzymywali słowa. Na wszelki wypadek postanowiła się ubrać i czekać. Ale nawet gdyby się nie pojawił, przyjemnie się z nim rozmawiało. Miły facet, naprawdę go polubiła.

Rozdział 13

Następnego dnia siedziała na kanapie w pokoju dziennym, czekając na Adama. Zbliżało się południe, dzień był piękny, pierwsza sobota października. Maggie włożyła dzinsową minispódniczkę, obcisłą różową podkoszulkę pożyczoną od koleżanki i złote sandaalki. Tym razem zczesła długie włosy prosto do tyłu i związała je różową wstążką w koński ogon, z którym wyglądała jeszcze młodziej. Prawie się nie umalowała. Miała niemiłe wrażenie, że tamtego wieczoru, kiedy się poznali, zrobiła sobie za mocny makijaż.

Spojrzała po raz kolejny na zegarek, było pięć po dwunastej i Adam jeszcze się nie zjawił. Dziewczyny wyszły i Maggie zaczęła już wątpić, czy w ogóle przyjdzie. Może nie. Postanowiła poczekać do pierwszej, a jeśli się nie doczeka, pójdzie na spacer do parku. Nie warto się gryźć, skoro nic się nie stało. Nie powiedziała nikomu o spotkaniu, nikt jej nie wyśmiej, jeśli Adam ją wystawił. Rozmyślała właśnie o tym, kiedy zadzwonił telefon. To był Adam. Uśmiechnęła się, gdy tylko usłyszała jego głos, ale w następnej sekundzie pomyślała, że chce odwołać spotkanie. Dziwne, że dzwoni przez telefon, zamiast nacisnąć dzwonek przy drzwiach na dole.

– Cześć, jak się masz? – zapytała swobodnym tonem, żeby nie okazać rozczarowania. – Jak tam ból głowy?

– Jaki ból głowy? Zapomniałem numeru twojego mieszkania.

– Gdzie jesteś? – zdziwiła się. Jednak przyjdzie. Lepiej późno niż wcale. Było dopiero dziesięć po dwunastej.

– Na dole. – Dzwonił z komórki. – Zejdz na dół. Zarezerwowałem miejsce na lunch.

– Zaraz schodzę.

Odłożyła słuchawkę i popędziła po schodach, zanim zniknie czy zmieni zdanie. Rzadko zdarzało jej się spotkać ludzi, którzy dotrzymywali słowa. A on dotrzymał.

Wyszła przed dom. Siedział tam w nowiutkim czerwonym ferrari i wyglądał jak gwiazdor filmowy. Poprzedniego wieczoru pojechał na Long Island tym samym wozem, który cała rodzina uprzejmie zignorowała. Rodzice jeździli jednakowymi mercedesami, podobnie jak brat i bratowa, szwagier bmw, a siostra w ogóle nie prowadziła. Oczekiwała, że inni na każde zawołanie rzucą wszystko, żeby ją wozić. W ich opinii ferrari było tak krzykliwe i wulgarne, że nawet nie zasługiwało na komentarz. Adam jednak kochał ten wóz.

– O mój Boże! Ale bryka!

Maggie wytrzeszczała oczy i aż podskoczyła z wrażenia. Adam uśmiechnął się, otworzył drzwi i wskazał miejsce. Nigdy nie widziała takiego samochodu, tylko na filmach, a teraz jechała nim z Adamem. Nie mogła w to uwierzyć. Żałowała, że nikt znajomy ich nie widzi.

– To twój? – zapytała bez tchu.

– Nie, ukradłem go – zażartował. – Oczywiście, że mój. Nie da się ukryć, że skończyłem Harvard.

Roześmieli się oboje, a potem Maggie podała mu małą paczuszkę. – Co to jest?

– Prezent dla ciebie. Rano poszłam do sklepu i kupiłam ci.

Była to buteleczka tylenolu na wypadek, gdyby znowu dostał bólu głowy.

– To miłe z twojej strony. – Zachowam ją na następną wizytę u matki. Dzień był piękny. Adam przejechał przez Central Park i zatrzymał się na Trzeciej Alei przy restauracji, która miała ogródek. Zamówił dla obojga jajka Benedict, ponieważ Maggie zapewniła, że je lubi. Nigdy jeszcze ich nie próbowała, ale sądząc po opisie, były smaczne. Później siedzieli przy stoliku w ogrodzie i popijali wino, a kiedy wreszcie wyszli z restauracji, ruszyli na spacer. Maggie oglądała z Adamem wystawy sklepowe i rozmawiała o ludziach, których reprezentował. Podobało jej się to. Opowiedział też o swoich dzieciach, o rozpadzie małżeństwa i jak to ciężko przeżył, a potem o dwóch najlepszych przyjaciółach, Charliem i Grayu. Pod wieczór miała wrażenie, że zna go na wylot. Sama też ostrożnie powiedziała mu parę rzeczy.

Maggie chyba nie lubiła mówić o sobie. Opowiedziała Adamowi kilka wspomnień z dzieciństwa, o przybranych rodzicach, o kolegach i koleżankach z pracy. Oboje jednak zdawali sobie sprawę, że prowadziła życie znacznie mniej ciekawe od niego. Głównie jadła, spała, chodziła do kina i do pracy. Nie miała zbyt wielu przyjaciół, wyjaśniła, że nie ma dla nich czasu. Pracowała do późna w Pier 92, a kiedy spytał, co robi w wolnym czasie, uśmiechnęła się i odpowiedziała wymijająco: „Tylko pracuję”. Dziwił się temu, że czuje się przy niej tak swobodnie. Przyjemnie się z nią rozmawiało i chociaż prowadziła proste życie, nie brakowało jej życiowej mądrości. Wiele widziała, również niezbyt przyjemnych rzeczy, jak na dwudziestosześcioletnią kobietę. Wyglądała młodo, ale duchowo była o wiele starsza. Pod pewnymi względami starsza od Adama.

Wrócili do samochodu o szóstej i Maggie pomyślała, że nie chce tak kończyć dnia. Adam jakby odczytał jej myśli. Odwrócił się do niej z nadzieją.

– A może upieczemy steki na moim tarasie? Co ty na to, Maggie?

– Bardzo chętnie – uśmiechnęła się promiennie. Adam zapewnił, że ma kilka steków w lodówce.

Tylko na filmach widywała budynki takie jak ten, w którym mieszkał Adam. Odźwierny przywitał ich i uśmiechnął się do Maggie. Była ładną kobietą i ludzie wszędzie się za nią oglądali. Adam nacisnął w windzie guzik PENTHOUSE. Kiedy wpuścił Maggie do mieszkania, stanęła w milczeniu i wytrzeszczyła oczy.

– O mój Boże – powiedziała całkiem tak samo, jak wtedy, gdy zobaczyła ferrari. – Ale widok.

Adam mieszkał na trzydziestym trzecim piętrze. Wokół mieszkania był taras, wyposażony w podgrzewany basen, leżaki i grill.

– To film – powiedziała Maggie w osłupieniu, oglądając się na Adama. – Dlaczego mnie to spotkało?

– Po prostu miałaś szczęście – zażartował.

Teraz, kiedy poznał ją lepiej, najbardziej żałował tego, że nic dobrego jej nie spotkało. Spotkało jego. Po obiedzie wróci do swojej nędznej czynszówki. Nienawidził takiego życia. Zasługiwała na znacznie więcej, niż los mógł jej ofiarować. Naprawdę, świat jest niesprawiedliwy. Adam mógł z nią spędzić przyjemny wieczór, porządnie ją nakarmić i

odesłać z powrotem do jej świata. Nic nie zmieni jej ponurej rzeczywistości, lecz co najdziwniejsze, wcale jej to nie przeszkadzało. Nie miała w sobie ani krzty zazdrości i podziwiając jego liczne osiągnięcia, cieszyła się ze względu na niego.

Całkowicie różniła się od kobiet, które dotąd spotykał. Wyglądała jak inne, ale na tym kończyło się podobieństwo. Maggie była dobra, miła, zabawna i prawdziwa pod każdym względem. Była bystra i lubiła się z nim spierać.

Ku jego radości podziwiała go z całego serca. Kobiety, z którymi się spotykał, zawsze chciały go wykorzystać. Żądały strojów, biżuterii, kart kredytowych, apartamentów, nowych samochodów, chirurgii plastycznej i załatwienia posady albo roli w filmie. Wszystkie miały jakieś ukryte cele. Maggie zachowywała się tak, jakby chciała tylko być z nim i miło spędzić czas. Miała w sobie rys nieodpartej niewinności, kontrastujący z wyrachowaniem dziewczyn, które przewinęły się przez jego życie w ciągu ostatnich lat.

Przygotowała wielką miskę sałatki, Adam wyjął steki z lodówki i rozpałił grill. Steki były ogromne, potem jedli na tarasie lody, które kapaly im na ubranie. Maggie miała całe stopy umazane lodami truskawkowymi, ale się tym nie przejmowała.

– Proszę – zaproponował uczynnie Adam – wsadź nogi do basenu. Nikt się nie dowie.

Zdjął pokrywę i odsłonił ciepłą, bulgoczącą wodę. Basen mógł pomieścić co najmniej tuzin osób. Maggie usiadła na krawędzi, włożyła stopy do wody i zachichotała.

– Pewnie często urządzasz szalone imprezy – powiedziała.

Siedząc tak na krawędzi basenu, w dzinsowej spódnicy i różowym podkoszulku, wyglądała jak mała dziewczynka.

– Czemu tak mówisz? – zapytał wymijająco.

Nie lubił rozmawiać o innych kobietach, ale myślał, że Maggie go o nie zapyta.

– Popatrz na te bajery – powiedziała, rozglądając się dookoła. – Penthouse, taras, podgrzewany basen, grill, wspaniały apartament, zabójczy widok. Gdybym ja miała taką chatę, ciągle bym zapraszała przyjaciół.

Nie skreśliła w tę stronę, której się spodziewał.

– Czasami zapraszam – powiedział szczerze. – Czasami lubię być sam. Pracuję ciężko i po prostu muszę odpocząć.

Pokiwała głową. Tak samo się czuła, kiedy wracała do domu z pracy. A potem Adam dodał łagodnie: Dobrze się czuję tutaj z tobą.

– Ja też – odparła z prostotą, spoglądając na niego ze swojego miejsca na krawędzi basenu. – Dlaczego nie chcesz się ożenić po raz drugi?

– Skąd wiesz? – zdumiał się.

– Powiedziałeś mi wczoraj przez telefon – wyjaśniła.

Był wtedy taki zaszpany, że wiele zapomniał z ich rozmowy. Pamiętał tylko, że przyjemnie mu się rozmawiało z Maggie.

– Nie chcesz mieć więcej dzieci? Jesteś jeszcze młody.

Takie rozpoznanie przeprowadzała większość kobiet i nigdy nie podobały im się odpowiedzi. On jednak zawsze postępował z nimi uczciwie. Uznawał tylko prawdziwą reklamę, bez względu na to, czy kobiety mu uwierzą. Większość nie wierzyła. Odkąd poznały

prawdę, stanowił dla nich tym większe wyzwanie.

– Jestem zadowolony z tej dwójki, którą mam. Nie muszę się żenić. Nie chcę mieć więcej dzieci. Nie mam dobrych wspomnień z małżeństwa. Znacznie lepiej się bawię jako kawaler.

– No myślę – roześmiała się Maggie. – Każdy facet miałby używanie z tymi zabawkami.

Była pierwszą kobietą, która to przyznała. Inne próbowały go przekonywać, że małżeństwo jest lepsze. Maggie nawet nie próbowała, widocznie uznała, że miał rację.

– Ja też tak myślę – zgodził się. – Po co z tego rezygnować dla jednej kobiety, która może sprawić ci zawód i unieszczęśliwić na resztę życia?

Znów pokiwała głową. Nawet nie umiał sobie wyobrazić kobiety, która go nie rozczaruje i która da mu szczęście. To smutne.

– Masz dużo dziewczyn?

Podejrzewała, że tak. Wyglądał na takiego. Samo ferrari świadczyło o tym, że lubił ostrą jazdę.

– Tak – przyznał szczerze. – Nie lubię być związany. Wolność wiele dla mnie znaczy.

Podobało jej się to, że nie próbował niczego ukrywać. Wszystko przedstawiał jasno i wyraźnie.

– Czasami nie spotykam się z nikim przez jakiś czas.

– A teraz? – zapytała z figlarnym uśmiechem. – Masz dużo dziewczyn czy żadnej, czy tylko kilka?

– Znowu wypełniamy kwestionariusz? – Uśmiechnął się, poprzedniej nocy też zadawała mu wiele pytań. To było w jej stylu. – Teraz z nikim konkretnym się nie spotykam.

– Robisz nabór? – zażartowała.

Wyglądała teraz bardziej kobieco. Piękna z niej była dziewczyna. W jasnym świetle dnia widział to wyraźniej niż tamtego wieczoru, kiedy się poznali.

– A co, starasz się o tę posadę?

– Może – odpowiedziała szczerze. – Nie jestem pewna.

– A ty? – zapytał cicho. – Masz kogoś?

– Nie. Nie spotykam się z nikim od roku. Ostatni facet okazał się handlarzem narkotyków i trafił do więzienia. Przez jakiś czas wydawał się bardzo miły. Poznałam go w Pier 92.

– Nie handluję prochami, jeśli tego się obawiasz – zapewnił. – Wszystko, co widzisz, zdobyłem w pocie czoła.

– Nie podejrzewałam cię o to.

Wstał, żeby nastawić jakąś muzykę. Wieczór nabierał romantycznego charakteru. Kiedy wrócił, Maggie zadała mu następne, ważne dla niej pytanie.

– A jeśli zaczniemy się spotykać? Czy będziesz się umawiał z innymi kobietami?

– Możliwe. Nie narażę cię na ryzyko, jeśli tym się martwisz. Zachowuję ostrożność i ostatnio robiłem test na AIDS.

– Ja też – oznajmiła rzeczowo Maggie. Zrobiła test, kiedy aresztowano handlarza narkotyków.

– Jeśli pytasz, czy obiecuję ci całkowitą wyłączność, Maggie, to raczej nie. Przynajmniej z początku. Później, kto wie? Lubię zachować otwarte opcje i ty też powinnaś, w twoim

wieku.

Nie zachwycalo jej to, co uslyszala, ale miało sens i przynajmniej był uczciwy. Nie zamierzał skladać obietnic, a potem oszukiwać. Ale miał zamiar spotykać się z innymi. Ona też.

– Nawet gdybyśmy się spotykali, wolę żyć własnym życiem. Od dawna jestem sam, prawie od jedenastu lat, i pewnie tak już zostanie. Nie chcę się wplątywać w cudze życie.

– Nie masz racji w sprawie ponownego małżeństwa – powiedziała swobodnie – ale to twoja sprawa. Ja też nie chcę jeszcze wychodzić za mąż. Jestem za młoda. Chcę robić dużo innych rzeczy, przynajmniej przez najbliższe lata. Ale kiedyś chcę wyjść za mąż i mieć dzieci.

– Powinnaś.

– Chcę dać moim dzieciom wszystko, czego sama nie miałam. Na przykład matkę – dodała cicho.

– Ja też nie miałem – wyznał Adam i podszedł do niej. Wciąż siedziała na brzegu basenu, majtając nogami w wodzie jak dziecko. – Nie wszystkie matki są matkami. Moja nie była. Przyszedłem na świat jako niespodzianka prawie dziesięć lat po mojej siostrze i czternaście po bracie. Wszyscy byli na mnie wściekli przez całe życie. Wcale nie powinni mnie mieć.

– Cieszą się, że mieli – powiedziała cicho, kiedy stanął obok niej. – Naprawdę bym żałowała, gdyby ciebie nie było.

– Dziękuję – uśmiechnął się, nachylił i pocałował ją.

Potem zaproponował, żeby wzięli razem kąpiel. Podał jej nowiutki kostium kąpielowy, dokładnie w jej rozmiarze. Miał ich zapas w szafie i zaproponował, żeby wybrała sobie, jaki jej się podoba. Trafiała do idealnej garsoniery z pełnym wyposażeniem. Gdyby Adam nie rozmawiał z nią szczerze, poczułaby niepokój, teraz jednak niczego przed sobą nie ukrywali.

Przebrała się w kostium i weszła do ciepłej wody, a po chwili on dołączył do niej w kąpielówkach. Całowali się i rozmawiali, a potem zdjęli kostiumy, kiedy nad Nowym Jorkiem zapadła ciepła październikowa noc. Długo leżeli obok siebie. Potem on zawinął ją w ręcznik i zaniósł do domu. Położył ją na łóżku i rozwinął jak prezent. Wyglądała cudownie. Nigdy w życiu nie widział równie pięknego ciała. Z zaskoczeniem stwierdził, że jest naturalną blondynką. Maggie CMalley nie miała w sobie cienia fałszu. Cała była prawdziwa.

Kochał się z nią i oboje zdumili się, jak idealnie do siebie pasują, jak wielką radość sobie dają. Nawet chwilami śmiali się i mówili głupstwa. Czula się z nim całkowicie swobodnie. Potem leżeli obok siebie na łóżku, w końcu wrócili do gorącej kąpieli. Maggie oświadczyła, że to najlepsza noc w jej życiu, w co natychmiast uwierzył. Do tej pory nie miała łatwego życia. Czula się niemal surrealistycznie, wiedząc, że wkrótce wróci do swojej czynszówki i pracy, że nic się nie zmieni w jej egzystencji, ale przez te krótkie chwile dzieliła z Adamem los, jakiego dotąd nawet sobie nie wyobrażała. Wiedział, że jeśli będą się spotykać, takie lawirowanie między dwoma światami będzie dla niej interesującym i mobilizującym doświadczeniem.

Kochali się jeszcze raz, zanim wyszła. Tym razem zrobili to całkiem spontanicznie i zaskoczyła ich własna namiętność.

Zaprosił ją, żeby została na noc, chociaż zwykle tego nie robił. Nie chciał jej odsyłać z powrotem do koszmaru, w którym mieszkała. Oboje jednak musieli do tego przywyknąć, ona do powrotów, on do rozstań. Nie ofiarował jej stałego związku, tylko chwile wytchnienia od tamtego życia, a ona powiedziała, że to jej wystarczy. Tej nocy wołała jednak wrócić do siebie.

Nalegał, że ją odwiezie. Nie chciał, żeby brała taksówkę, mieszkała w niebezpiecznej dzielnicy. Traktowała go dobrze, więc on też chciał być dla niej miły. W drodze do domu czuła się jak kopciuszek, tym bardziej że jechali ferrari, nie wynajętą limuzyną.

- Nie zaproszę cię na górę – powiedziała, kiedy ją pocałował.
- Pewnie masz tam męża i dziesięcioro dzieci, które przede mną ukrywasz – zażartował.
- Tylko pięcioro – roześmiała się.
- Spędziłem z tobą cudowne chwile – szepnął i mówił to szczerze.
- Ja też – odszepnęła i znów go pocałowała.
- Zadzwoń jutro – obiecał, a ona parsknęła śmiechem.
- Taak... na pewno...

Wyskoczyła z ferrari, wbiegła po stopniach, otworzyła drzwi, pomachała mu i znikła. Miała nadzieję, że zadzwoni, ale nie liczyła na to za bardzo. Maggie sama wiedziała najlepiej, że w życiu nie ma nic pewnego.

Rozdział 14

W tygodniu po Jom Kipur Adam dzwonił do Maggie często. Kilka razy została też u niego na noc. W Pier 92 przesunięto ją na dzienną zmianę i jej rozkład dnia pasował do zajęć Adama. Uwielbiała u niego nocować. Wszystko układało się między nimi idealnie i oboje dotrzymywali niepisanej umowy. Nie zadawała mu żadnych pytań o przyszłość, a kiedy nocowała w domu, przy następnym spotkaniu żadne nie pytało drugiego, co robili i z kim się spotykali.

W rzeczywistości Adam tak się do niej przywiązał, że kiedy się nie widzieli, i tak do niej dzwonił, zwykle późnym wieczorem, zanim poszedł spać. Dwa razy zdziwił się, a nawet lekko zirytował, bo jej nie zastał. Ale nie przyznał się jej, że dzwonił, i nie zostawił wiadomości na sekretarce. Przy następnym spotkaniu nie wspomniała ani słowem, że z kimś wychodziła. Maggie nie siedziała w domu, czekając na jego telefon, i Adam musiał przyznać w duchu, że to go martwi. Ale nigdy jej o tym nie mówił. Oboje nadal korzystali z uroków wolności. Podczas pierwszych tygodni ich związku Adam nie sypiał z innymi kobietami. Coraz bardziej przyzwyczajał się do Maggie. Ona powiedziała mu otwarcie, że nie ma nikogo innego. Zdarzały się jednak noce, kiedy dzwonił i nie zastawał nikogo w domu. Z czasem stwierdził, że coraz mniej to mu się podoba. Zaczął myśleć, że powinien czasem spotkać się z kimś innym, przynajmniej żeby nie przywiązywać się zanadto do Maggie. Zbliżało się już Halloween, a on nic nie robił w tym kierunku. Nadal miała na niego wyłączność, już od miesiąca. Coś takiego zdarzyło mu się po raz pierwszy od lat.

Adam trochę się martwił, że prawie nie widuje Charliego od jego powrotu. Za każdym razem, kiedy dzwonił i gdzieś go zapraszał, Charlie był zajęty. Adam zdawał sobie sprawę, że Charlie ma liczne towarzyskie zobowiązania oraz wiele pracy w fundacji, ale irytowało go, że nie mają się kiedy spotkać. Z drugiej strony dzięki temu miał więcej czasu dla Maggie. Stopniowo coraz bardziej mu na niej zależało i coraz częściej się zastanawiał, co ona robi pod jego nieobecność. Wiele razy zdarzyło się, że wieczorem nie zastał jej w domu. Nigdy mu nie opowiadała, gdzie była. Po prostu następnego dnia zjawiała się pogodna i uśmiechnięta, radośnie wskakiwała z nim do łóżka i znowu zachwycał się jej cudownym ciałem. Z dnia na dzień coraz bardziej za nią szalał. Nawet o tym nie wiedząc, pobiła go w jego własnej grze. Wszystkie zasady, o których z takim namaszczeniem mówił na początku, traciły dla niego znaczenie. Sądząc po tym, jak często jej nie zastawał, kiedy dzwonił późnym wieczorem, korzystała ze swojej wolności bardziej niż on.

Nie widywał też Graya. Rozmawiał z nim kilka razy, ale Gray z Sylwią rozkoszowali się domowym ciepłem i nie chcieli nigdzie wychodzić. W końcu Adam wysłał do obu przyjaciół emaile i namówił na kawalerski wieczór na mieście, dwa dni przed Halloween. Nie widzieli się od ponad miesiąca. Po raz pierwszy od lat rozłąka trwała tak długo i każdy narzekał, że pozostali nie dają znaku życia.

Spotkali się w restauracji w śródmieściu, jednym z ich ulubionych lokali. Adam zjawił się pierwszy. Pozostali dwaj weszli zaraz za nim i Adam zauważył, że Gray przybrał na wadze.

Niewiele, ale wystarczająco, żeby twarz mu się wypełniła. Powiedział, że często gotują razem z Sylwią, i wyglądał na szczęśliwego jak nigdy dotąd. Byli ze sobą już od dwóch miesięcy, a znajomość trwała od trzech. Jak twierdził Gray, na razie nie zauważył żadnych czerwonych flag alarmowych. Przyjaciele cieszyli się ze względu na niego, ale uprzedzali, że to dopiero początek. Gray opowiadał, że nigdy się nie kłóca z Sylwią i są naprawdę szczęśliwi. Nie sypiał już w swoim studiu i spędzał u niej każdą noc, wciąż jednak upierał się, że nie mieszka z nią oficjalnie, tylko „nocuje”. Dla Adama i Charliego ta semantyka przypominała dzielenie włosów na czworo, ale najwyraźniej poprawiała Grayowi samopoczucie.

– A ty? – zwrócił się Adam do Charliego z lekką wymówką. – Gdzie się podziewałeś przez cały miesiąc?

– Często wychodziłem – odparł Charlie enigmatycznie.

Gray uśmiechnął się. Charlie przyznał mu się kilka dni wcześniej, że posłuchał jego rady i spotyka się z Carole Parker. Na razie nic ważnego się nie wydarzyło, ale często jadali razem obiad i poznawali się lepiej. Spotykali się kilka razy w tygodniu, lecz jak dotąd Charlie nawet jej nie pocałował. Znajomość rozwijała się powoli i Charlie przyznawał bez oporów, że oboje śmiertelnie się boją zostać skrzywdzeni.

Adam dostrzegł konspiracyjną minę Graya i zmusił Charliego do wyjaśnień.

– Chryste, co się z wami dzieje? Gray praktycznie mieszka z Sylwią, ale nie chce się do tego przyznać przed samym sobą, ty też wyraźnie zamierzasz przekroczyć granicę. Zdradzacie kawalerski kodeks honorowy.

Narzekał dobrodusznie, ale cieszył się ze względu na przyjaciół. Obaj od ‘, dawna chcieli kogoś znaleźć. Co do siebie nie miał pewności. Związek z Maggie wydawał się stabilny, ale zmierzał donikąd, jak oboje ustalili na ‘ początku. Po prostu się spotykali, ale poza tym robili, co chcieli, i prowadzili oddzielne życie. Kiedy jednak byli razem, robiło się naprawdę gorąco. Adam uwielbiał kochać się z Maggie. Nigdy nie miał jej dość i czasami nawet irytowała go jej niezależność. Nigdy przedtem czegoś takiego nie przeżywał. W poprzednich związkach to on dążył do niezależności, lecz Maggie przewyższała go pod tym względem. Najwyraźniej potrzebowała czasu dla siebie, Adam też zawsze tego pragnął, ale nie w tym przypadku.

– A ty? – zapytał Charlie Adama przy deserze. – Strasznie jesteś dyskretny. Spotykasz się z kimś? Czy tylko z setką wybranych, jak zwykle?

Adam miał więcej kobiet, niż Charlie mógł zliczyć. Czasami jednocześnie.

– Spotykam się z kimś od miesiąca – odparł niedbale. – Nic takiego. Umówiliśmy się, że to nie będzie na poważnie. Ona wie, że nie chcę się żenić.

– A ona? Zegar jej jeszcze nie tyka? – wypytywał zaciekawiony Charlie. Adam pokręcił głową.

– Jest za młoda na zegar. Na tym polega zaleta młodszych.

– O Boże – Gray wzniosł oczy do góry – nie mów mi, że ma czternaście lat. Kiedyś wylądujesz w więzieniu, jeśli nie będziesz uważał.

Lubili mu dokuczać na temat młodych kobiet, z którymi się widywał. Adam twierdził, że przemawia przez nich zazdrość.

– Spokojnie, chłopaki, ma dwadzieścia sześć lat, jest bardzo miła i ma absolutnie

wspaniałe ciało.

I wspaniały umysł, o czym wolał nie wspominać, żeby się nie zorientowali, że wpadł po uszy. Sam zaczynał się tego obawiać. Jeśli zakochał się w umyśle kobiety, to bardzo zły znak. Prawdę mówiąc, wszyscy trzej wpadli, ale żaden nie chciał tego przyznać przed innymi ani przed sobą. Zresztą żaden z tych związków nie przeszedł jeszcze próby czasu. Nie przeżyli pierwszej kłótni ani zwykłego rozczarowania, jakie wszystkim się zdarzają. Wciąż działał na nich urok nowości, nie mogli wiedzieć, co przyniesie przyszłość.

Siedzieli w lokalu, aż minęła północ, popijali, rozmawiali i dobrze się bawili w swoim towarzystwie. Tęsknili za sobą przez ostatni miesiąc, chociaż nawet o tym nie wiedzieli. Pochłonięci innymi sprawami, zaangażowani w związki z kobietami, nie zdawali sobie sprawy, jak wiele dla siebie znaczą i jaka pustka powstaje w ich życiu, kiedy się nie widują. Przyrzekli sobie częściej się umawiać. Tymczasem rozmawiali o pieniądzach, polityce, inwestycjach, sztuce – w związku z nową galerią Graya, którą zawdzięczał Sylvii – oraz swojej pracy. Adam zdobył dwóch ważnych klientów, a Charlie był zadowolony z postępów fundacji. Niechętnie opuszczali restaurację jako ostatni klienci.

– Obiecujemy coś sobie – zaproponował Gray, zanim wsiedli do taksówek i rozjechali się w różnych kierunkach. – Nieważne, co się stanie z naszymi kobietami albo z następnymi, które przyjdą po nich, spotykajmy się od czasu do czasu albo przynajmniej rozmawiajmy przez telefon. Brakowało mi was obu. Kocham Sylvię i uwielbiam nocować u niej – podkreślił ostatnie słowa uśmiechem – ale was też kocham.

– Amen – zakończył Charlie.

– Cholerna racja – zgodził się Adam.

Po chwili każdy wsiadł do swojej taksówki i wrócił do własnego życia. Adam zadzwonił do Maggie po powrocie do domu, chociaż zrobiło się późno. Tym razem wpadł we wściekłość, kiedy jej nie zastał. Dochodziła pierwsza w nocy. Co ona robi, do cholery? I z kim?

Dwa dni później Charlie poszedł na zabawę z okazji Halloween, którą Carole organizowała dla dzieci z ośrodka. Poprosiła go, żeby przyszedł w kostiumie, a on obiecał, że przyniesie ciasteczka. Lubił odwiedzać ją w pracy. Dwa razy zabrał ją na lunch, raz do Mo i raz do Sally, zwykle jednak jadała z nim obiad po pracy. Wtedy mogli się bardziej odprężyć i czuli się swobodniej.

Żadne z nich nie chciało, żeby ich wzięto na języki. Jeszcze nie zdecydowali, czy łączy ich przyjaźń, czy romans, czy jedno i drugie, dlatego na razie nie chcieli, żeby ludzie wiedzieli o ich spotkaniach i czegoś od nich oczekiwali. Charlie zwierzył się tylko Adamowi i Grayowi i nawet nie wspominał o tym Carole, kiedy z nią rozmawiał następnego ranka. Powiedział, że spędził wspaniały wieczór z przyjaciółmi, a ona odparła, że się cieszy. Jak dotąd nie poznała żadnego z nich, ale z opowiadań Charliego wiedziała, że obaj to wartościowi, interesujący ludzie, wobec których czuł nie tylko lojalność, ale głębokie przywiązanie. Mówił, że obaj są dla niego jak bracia, a ona to szanowała. Dla Charliego, który nie miał już na tym świecie żadnych krewnych, przyjaciele stali się rodziną.

Dzieci wyglądały uroczo w kostiumach. Gabby przebrała się za Cudowną Kobietę, Zorro nosił podkoszulkę z literą S, jako Superpies. Wśród przebierańców znalazły się Myszki Minnie i Myszki Miki, Żółwie Ninja i Spidermani oraz cały sabat czarownic i duchów. Carole włożyła wysoki, spiczasty czarny kapelusz, zieloną perukę, czarny golf i czarne dżinsy. Wyjaśniła, że musi ciągle krążyć wśród dzieci i dlatego nie mogła sobie pozwolić na bardziej wymyślny kostium. Pomalowała jednak twarz na zielono i nałożyła na usta czarną szminkę. Ostatnio zaczęła się malować przed ich wieczornymi spotkaniami. Charlie natychmiast to zauważył i skomplementował to na pierwszej oficjalnej randce. Carole zarumieniła się i mruknęła, że głupio się czuje, ale nie przestała się malować.

Charlie wybrał się na halloweenową imprezę jako Tchórzliwy Lew z *Czarnoksiężnika z Oz*. Sekretarka znalazła dla niego kostium w teatralnym sklepie.

Dzieci bawiły się wspaniale, ciasteczka cieszyły się ogromnym powodzeniem. Charlie przyniósł dla nich mnóstwo halloweenowych słodyczy, skoro nie mogły grasować w sąsiedztwie. Okolica była zbyt niebezpieczna, a dzieci w większości za małe. Dochodziła ósma, kiedy Charlie i Carole wreszcie wyszli. Zamierzali pójść na obiad, oboje jednak byli zmęczeni i zjedli za dużo słodyczy. Charlie pochłonął garść snickersów, a Carole nie potrafiła sobie odmówić czekoladowych dyń z marcepanowym nadzieniem.

– Zaprosiłabym cię do siebie – powiedziała ostrożnie – ale mam w domu straszny bałagan. Wychodziłam przez cały tydzień.

Prawie co wieczór jedli razem obiad, z wyjątkiem wieczoru, kiedy Charlie spotkał się z Adamem i Grayem.

– Wpadniesz do mnie na drinka? – zapytał swobodnie.

Jeszcze nigdy go nie odwiedziła, zawsze spotykali się na mieście. Poznali kilka restauracji, które oboje polubili, i kilka takich, które im nie odpowiadały.

– Chętnie, ale nie na długo. Jestem padnięta.

– Ja też – przyznał.

Taksówka przemknęła Piątą Aleją i zatrzymała się przed domem Charliego. Wysiadł w swoim kostiumie lwa, prowadząc Carole z zieloną peruką i zieloną twarzą, a portier przywitał ich z uśmiechem, jakby zobaczył parę w wieczorowych strojach. Jechali windą w milczeniu, uśmiechając się do siebie. Charlie otworzył drzwi do apartamentu, zapalił światło i wszedł pierwszy. Ona szła za nim nieufnie, rozglądając się dookoła. Wnętrze wyglądało pięknie i elegancko. Wszędzie stały antyki, w większości odziedziczone, niektóre kupione już przez niego. Carole powoli obeszła salon i podziwiała widok parku.

– Tu jest cudownie, Charlie.

– Dziękuję.

Było to piękne mieszkanie, bez wątplenia, ostatnio jednak wprawiało go w przygnębienie. Wszystko wydawało się takie stare i zmęczone, zawsze panowała tu śmiertelna cisza. Dziwne, ale ostatnio czuł się lepiej na jachcie. Oprócz chwil spędzonych z Carole.

Zatrzymała się przy stoliku zastawionym fotografiami, kiedy Charlie poszedł po wino i włączył resztę świateł. Stały tam zdjęcia jego rodziców, piękny portret Ellen i kilka fotek przyjaciół. I zabawna fotografia Charliego z Adamem i Grayem na jachcie tego lata. Zrobiono

ją na Sardynii, gdzie spędzali czas z Sylwią i jej przyjaciółmi, ale na zdjęciu byli tylko trzej muszkietierowie, nikt więcej. Następną fotografią pokazywała „Blue Moon” z profilu, zakotwiczony w porcie.

– Niezła łódź – stwierdziła Carole, kiedy Charlie podał jej kieliszek wina. Jeszcze nie powiedział jej o jachcie, czekał na odpowiednią chwilę. Czuł się zakłopotany, wiedział jednak, że wcześniej czy później musi się przyznać, że ma jacht. Początkowo uważał to za pretensjonalne, teraz jednak, kiedy tak często się widywali, chciał postępować uczciwie. To nie tajemnica, że jest bogatym człowiekiem.

– Co roku Gray, Adam i ja spędzamy na niej sierpień. To zdjęcie zrobiono na Sardynii. Świetnie się bawiliśmy – powiedział trochę nerwowo.

Carole kiwnęła głową i upiła łyk wina. Potem usiadła obok niego na kanapie.

– Czyja to łódź? – zapytała niedbale. – Czarterujecie ją?

Wspominała mu wcześniej, że pochodzi z rodziny marynarzy i że w młodości spędzała wiele czasu na żaglówkach. Miał nadzieję, że spodoba jej się jacht, chociaż był motorowy, a żeglarze zwykle nazywali takie „śmierdzielami”. Był jednak piękny, bez dwóch zdań.

Uśmiechnął się do zielonej twarzy Carole. Sam wyglądał równie śmiesznie w kostiumie lwa. Rozparł się wygodnie na kanapie i skrzyżował futrzaste nogi. Lwi ogon sterczał prosto z tyłu i Carole zachichotała. Tworzyli niezłą parę.

– Nie, nie czarterujemy – odpowiedział najpierw na drugie pytanie.

– Należy do Adama?

Charlie wspominał, że Adam odnosi ogromne sukcesy, a jego rodzina ma pieniądze. Pokręcił głową. A potem nabrał powietrza. – Nie. Jest mój. W pokoju zapadła grobowa cisza. Carole spojrzała mu w oczy.

– Twój? Nigdy mi o tym nie mówiłeś – powiedziała ze zdumioną miną.

– Bałem się, że tego nie pochwalasz. Kiedy się pierwszy raz spotkaliśmy, właśnie wróciłem z rejsu. Każdego lata spędzam na jachcie trzy miesiące w Europie i kilka tygodni w zimie na Karaibach. To wspaniałe miejsce.

– Na pewno – przyznała z zadumą. – Rany, Charlie... to wielka rzecz.

Jacht stanowił jaskrawy symbol bogactwa, tak ostro kontrastujący z życiem i pracą Carole, ze wszystkim, w co wierzyła. Wiedziała o fortunie Charliego, sama jednak prowadziła życie znacznie prostsze i bardziej dyskretne. Jej świat skupiał się wokół ośrodka w Harlemlu, a nie jachtu żeglującego po Karaibach. Charlie podejrzewał w duchu, że Carole ma znacznie bardziej spartańskie usposobienie od niego. Nie chciał stracić w jej oczach przez swoje ekstrawaganckie przyjemności. Nie chciał jej odstraszyć.

– Mam nadzieję, że to nie powód do zerwania znajomości – powiedział cicho. – Chciałbym cię kiedyś na niego zaprosić. Nazywa się „Blue Moon”.

Poczuł się lepiej, kiedy to powiedział, chociaż jeszcze nie wiedział, co na to powie. Wydawała się trochę oszołomiona.

– Jaki jest duży? – zapytała.

– Osiemdziesiąt metrów.

Carole gwizdnęła i znów napiła się wina.

– Boże... ja pracuję w Harleemie, a ty masz jacht długi na osiemdziesiąt metrów... to spora różnica. Z drugiej strony – ciągnęła, rozgrzeszając go jakby za tę ekstrawagancję – właśnie dałeś mi milion dolarów na dzieci.

Pewnie gdybyś nie miał takich pieniędzy, nie mógłbyś nam pomóc, więc to chyba w porządku.

– Mam nadzieję. Nie chcę, żeby jakiś głupi jacht nas rozdzielił. Popatrzyła na niego poważnie i czule.

– Nie rozdzieli – powiedziała z namysłem. – Przynajmniej mam taką nadzieję. – Wiedziała, że Charlie nie miał zwyczaju popisywać się bogactwem, ale ten jacht wiele dla niego znaczył. Szkoda, że był aż taki duży. – Masz długie wakacje – dodała.

– Może w przyszłym roku pojedziesz ze mną – zaproponował z nadzieją. – Wcale nie muszę tam zostać tak długo. W tym roku nie miałem żadnych pilnych powodów do powrotu i zostałem dłużej niż zwykle. Czasami okropnie nie chcę tutaj wracać. Czuję się samotny.

Rozejrzał się po mieszkaniu, potem spojrzął na Carole i się uśmiechnął.

– Dobrze się bawię na jachcie, zwłaszcza z Adamem i Grayem. Nie mogę się doczekać, żeby cię z nimi poznać.

W gruncie rzeczy Carole i Charlie nie byli jeszcze na to gotowi. Oboje potrzebowali więcej czasu, żeby ugruntować swój związek. Charlie spojrzął na nią i objął ją ramieniem. Marzył o tym od wielu dni.

– Teraz znasz mój najmroczniejszy sekret. Mam jacht.

– Jest aż tak źle?

– Niestety. Nigdy nie siedziałem w więzieniu. Nigdy nie oskarżono mnie o żadne przestępstwo czy nawet wykroczenie. Nie mam dzieci, ślubnych ani nieślubnych. Nigdy nie ogłosiłem bankructwa. Nigdy nie byłem żonaty ani nie odebrałem nikomu żony. Co wieczór myję zęby przed snem, nawet kiedy jestem pijany, co się rzadko zdarza. Zawsze używam nici dentystrycznej. Płacę mandaty. Zobaczmy, co jeszcze...

Przerwał, żeby złapać oddech, a Carole parsknęła śmiechem. Lwi ogon sterczał sztywno nad oparciem kanapy.

– Wyglądasz tak zabawnie z tym ogonem.

– A ty, moja droga, absolutnie zachwycająco z zieloną twarzą.

I pocałował ją, a kiedy przestał, nie mogła złapać tchu. Ten wieczór był pełen niespodzianek, jak dotąd przyjemnych, chociaż Carole trochę poruszyła wielkość jachtu. Przypominał jej bardziej oceaniczny liniowiec niż zwykłą łódź.

– Zawsze chciałem pocałować kobietę z czarnymi ustami i zieloną twarzą – szepnął Charlie, a ona znowu się roześmiała.

Pocałował ją po raz drugi. Tym razem przywarła do niego. Budził w niej uczucia stłumione i zapomniane od lat. Całe serce włożyła w swoją pracę i zapomniała o wszystkim innym, lecz w ramionach Charliego przypomniała sobie, jak słodkie są pocałunki, a jeszcze słodsza czułość i opieka mężczyzny.

Dziękuję – szepnęła, kiedy ją tulił do siebie.

Tak bardzo się bała zbliżyć do niego i zaryzykować, że znowu się zakocha. Łagodnie

przeprowadził ją przez próg swojego prywatnego świata i poczuła się przy nim bezpiecznie. Tak jak on przy niej.

Potem oprowadził ją do mieszkania, pokazał niektóre swoje skarby i ukochane pamiątki. Fotografie rodziców i siostry, obrazy, które kupił w Europie, włącznie ze wspianym Degasem wiszącym nad łóżkiem. Ale kiedy obejrzała obraz, wyprowadził ją z sypialni. Oboje czuli, że jeszcze na to za wcześnie. Degas skierował rozmowę na temat baletu. Carole powiedziała, że kiedyś tańczyła.

– Traktowałam to bardzo poważnie, dopóki nie skończyłam szesnastu lat, a potem zrezygnowałam – powiedziała z żalem.

Teraz rozumiał, skąd się bierze jej postawa i gracia w ruchach.

– Czemu rzuciłaś taniec? Uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

– Za bardzo urosłam. Na zawsze byłabym skazana na ostatni rząd *corps de ballet*. Primabaleriny są małe, przynajmniej kiedyś były. Teraz pewnie są wyższe, ale nie tak wysokie jak ja.

Jej wzrost miał pewne minusy, choć nie dla Charliego. Zachwycił się jej smukłą i zgrabną sylwetką, która tak naturalnie łączyła elegancję i kobiecość. Był od niej znacznie wyższy i wcale mu to nie przeszkadzało.

– Chciałabyś kiedyś pójść na balet?

Oczy jej zabłyśły na tę propozycję, a on obiecał, że kiedyś na pewno pójdą razem. Tyle rzeczy chciał z nią robić. Zabawa dopiero się zaczęła.

Carole została prawie do północy i jeszcze kilka razy się całowali. W końcu wylądowali w kuchni, gdzie przekąsili coś przed jej wyjściem. Tego wieczoru nie jedli porządnego obiadu, tylko mnóstwo słodczy i ciasteczek, teraz więc przygotowali kanapki i siedzieli, gawędząc przy kuchennym stole.

– Wiem, że to brzmi śmiesznie, Charlie. Przez całe życie nienawidziłam ekstrawagancji, snobizmu i arogancji bogatych ludzi. Nigdy nie chciałam się wyróżniać, jeśli na to nie zasłużyłam, a nie jest zasługą to, że jakiś mój krewny zarobił pieniądze. Chciałam pomagać biednym i tym, którym zabrakło szczęścia. Czuję się winna, kiedy robię coś, czego inni nie mogą robić, albo wydaję więcej pieniędzy niż oni, więc nie wydaję. Zresztą nie mam pieniędzy. Ale gdybym miała, też bym nie wydawała. Taka już jestem. Charlie trochę już ją poznał i się nie zdziwił. Carole nigdy nie opowiadała o swojej rodzinie, nie wiedział, czy mieli pieniądze. Sądząc po jej trybie życia, raczej nie. Może trochę, ale niedużo. Poza arystokratyczną urodą nic nie wskazywało, że Carole pochodzi z bogatej rodziny. Zapewne z dobrej i solidnej, o dochodach tak skromnych, że wysłanie córki do Princeton stanowiło spore obciążenie.

– Rozumiem – powiedział cicho, kiedy oboje kończyli kanapki. – Przeraziłaś się, że mam jacht?

– Nie – zaprzeczyła. – Po prostu nie kupiłabym jachtu, nawet gdybym mogła. Ale ty masz całkowite prawo wydawać swoje pieniądze, na co chcesz. Robisz wiele dobrego dla ludzi. Ja zawsze uważałam, że powinnam żyć w skrajnej biedzie i oddawać wszystko innym.

– Czasami musisz coś zatrzymać dla siebie.

– Wiem. Ale wolę raczej oddać to, co moje. Mam wyrzuty sumienia, że biorę pensję w ośrodku. Myślę, że inni bardziej potrzebują tych pieniędzy.

– Musisz jeść.

On nie miał takiego poczucia winy. W młodym wieku odziedziczył olbrzymią fortunę i przez lata nauczył się ponosić za nią całkowitą odpowiedzialność. Cieszył się luksusami, obrazami, kolekcją dzieł sztuki i nade wszystko jachtem. Nigdy przed nikim się nie tłumaczył, dopiero teraz pośrednio przed Carole. Wyznawali odmienne filozofie życiowe, ale miał nadzieję, że nie nazbyt odmienne.

– Może trochę przesadzam – przyznała Carole. – Dzięki ascezie czuję, że odkupuję swoje grzechy.

– Nie widzę żadnych grzechów – powiedział Charlie bardzo serio. – Widzę cudowną kobietę, która poświęciła życie dla innych i haruje jak wół. Nie zapominaj o przyjemnościach.

– Przyjemnie mi z tobą, Charlie – powiedziała cicho. – Zawsze jest przyjemnie, kiedy się spotykamy.

– Mnie też.

Uśmiechnął się i znowu ją pocałował. Podobało mu się to i bardzo chciałby posunąć się dalej, ale jeszcze nie miał odwagi. Wiedział, jak bardzo Carole boi się zaangażować i narazić na kolejne ciosy. Sam też musiał pokonać własne lęki. Obawiał się tego samego i zawsze szukał w kobiecie jakiejś niewybaczalnej skazy. W jej przypadku wada była oczywista, nie ukryta, tylko jawna niczym sztandar. Carole pochodziła z innego środowiska. Pracowała społecznie, poświęciła się swojej działalności w Harlemie i nie pasowała do jego świata. Nie była debiutantką ani damą z towarzystwa, potępiała jego styl życia, chociaż wcale nie potępiała jego samego. Zasadnicze pytanie brzmiało: czy Carole zdoła przełamać swoje uprzedzenia i zaakceptować jego styl życia. Jeśli mieli zostać razem, musi jakoś pogodzić te rozbieżności, podobnie jak on. Teraz czuł, że to możliwe, ale więcej zależało od Carole niż od niego. To ona musi mu wybaczyć luksusy jego świata.

Odwiózł ją taksówką do domu i pocałował przed frontowymi drzwiami. Nie zaprosiła go do środka, ale uprzedzała przecież, że ma w domu bałagan. Nigdy nie widział jej kawalerki, wyobrażał sobie jednak, jak trudno jest mieszkać w jednym pokoju. W dodatku prowadziła bardzo aktywne życie.

Na pożegnanie pocałował ją w czubek nosa, a ona parsknęła śmiechem, widząc, że zazielenił sobie wargi. Nie zmyła jeszcze z twarzy farby po halloweenowej zabawie.

– Zadzwoń jutro – obiecał, wsiadając z powrotem do taksówki. – I załatwię bilety na balet, może w przyszłym tygodniu.

Pomachała i podziękowała mu po raz ostatni, a potem zniknęła w budynku.

Mieszkanie wydawało się puste bez niej, kiedy wrócił do siebie. Polubił to, jak wypełniła jego przestrzeń, życie, serce.

Rozdział 15

Następnego ranka sekretarka Charliego zawiadomiła go, że dostała bilety na balet na piątkowy wieczór. Zapowiadano znakomite przedstawienie *Giselle*. Charlie zostawił wiadomość dla Carole, a potem usiadł, żeby otworzyć pocztę. Przyszedł nowy informator absolwentów Princeton i dla zabawy Charlie poszukał nazwiska Carole. Wiedząc, w którym roku ukończyła studia, łatwo mógł ją znaleźć. Przewertował odpowiednie strony i zmarszczył brwi, nie widząc jej nazwiska.

Przypomnił sobie, jaką datę mu podała, i jeszcze raz przekartkował informator. Nie było jej. Dziwne. Widocznie popełniono błąd. Wspomniał o tym sekretarce i postanowił wyświadczyć Carole przysługę oraz oszczędzić jej czasu, bo na pewno sama chciałaby, żeby poprawiono pomyłkę. Poprosił sekretarkę, żeby zadzwoniła do biura absolwentów i zgłosiła przeoczenie. Podał jej pełne nazwisko Carole, Carole Ann Parker, oraz rok ukończenia studiów.

Po południu pracował nad sprawozdaniami finansowymi, kiedy sekretarka zgłosiła się przez interkom. Z roztargnieniem podniósł słuchawkę. Próbował doszukać się sensu w niezwykle skomplikowanych finansowych projektach, sięgających daleko w przyszłość, tak że nie od razu zrozumiał słowa sekretarki.

– Dzwoniłam do biura absolwentów, tak jak pan mnie prosił, panie Harrington. Podałam im nazwisko panny Parker i rok ukończenia studiów. Powiedzieli, że nikt o takim nazwisku nigdy nie ukończył Princeton. Kazałam im jeszcze raz sprawdzić i nic. Wątpię, czy studiowała w Princeton. Może to pomyłka. Biuro absolwentów twierdzi, że nie studiowała.

– To absurd. Podaj mi numer. Sam do nich zadzwonię.

Rozzłościła go ich głupota i wiedział, że Carole też się rozzłości. Znał nawet jej klub obiadowy. Wszędzie w CV podawała, że ukończyła Princeton.

Ale kiedy zadzwonił tam pięć minut później, powiedziano mu to samo. Zachowali się wręcz nieprzyjemnie i oświadczyli, że nie popełniają takich błędów. Carole Ann Parker nigdy nie skończyła Princeton. Co więcej, według ich danych, nikt o takim nazwisku i imieniu nigdy nie uczęszczał na tę uczelnię. Charlie odłożył słuchawkę. Zimny dreszcz przebiegł mu po kręgosłupie. Pięć minut później, czując się jak potwór, zadzwonił na wydział socjologii uniwersytetu Columbia. Powiedziano mu to samo. Panna Parker nigdy nie studiowała w Columbii. Po tej rozmowie wiedział już, że znalazł niewybaczalną wadę. Kobieta, w której o mało się nie zakochał, okazała się oszustką. Mimo że pracowała tyle na rzecz ośrodka, nie miała stopni naukowych, jakie sobie przypisywała, i wyłudziła milion dolarów od jego fundacji na podstawie sfalszowanych referencji i rzekomej reputacji. Właściwie popełniła przestępstwo, chociaż nie chciała pieniędzy dla siebie, tylko po to, żeby pomóc innym. Nie miał pojęcia, co począć z tą informacją. Potrzebował czasu do namysłu.

Po południu, kiedy zadzwoniła do niego po raz pierwszy, odkąd się poznali przed sześcioma tygodniami, nie odebrał telefonu. Nie mógł po prostu zniknąć z jej życia, zresztą pragnął wyjaśnić. Ale potrzebował czasu, żeby to przetrwać. Za dwa dni zabierał ją do

teatru. Tego popołudnia podjął decyzję, żeby na razie nic jej nie mówić i wyjaśnić sprawę dopiero po przedstawieniu. Zadzwoił do niej późnym popołudniem i powiedział, że rada dyrektorów ma poważne kłopoty i że mogą się spotkać dopiero w piątek. Powiedziała, że świetnie to rozumie, sama też przechodziła przez takie rzeczy. Kiedy jednak odłożyła słuchawkę, zaczęła się zastanawiać, dlaczego mówił takim oziębłym tonem. W rzeczywistości Charlie prawie płakał. Czuł się całkowicie odarty ze złudzeń. Kobieta, którą podziwiał z całego serca, kłamała.

Przez następne dwa dni przeżywał tortury, czekając na spotkanie. Kiedy w piątek zabrał ją na balet, wyglądała ślicznie. Włożyła klasyczną małą czarną koktajlową sukienkę, pantofle na wysokim obcasie i prosty czarny futrzany zakiet. Miała piękną fryzurę i bardzo stosowne kolczyki z perłami, które, jak twierdziła, należały do jej matki. Charlie nie wierzył teraz w ani jedno jej słowo. Zepsuła wszystko kłamstwem o Columbi i Princeton. Stracił do niej zaufanie. Carole zauważyła, że Charlie wydaje się sztywny i nieszczęśliwy. Zapytała, czy wszystko jest w porządku. Kurtyna właśnie poszła w górę i tylko kiwnął głową. Prawie z nią nie rozmawiał w taksówce ani kiedy weszli do Lincoln Center. Wyglądał okropnie. Carole mogła się tylko domyślać, że coś złego stało się w fundacji.

W czasie antraktu poszli do baru na drinka i zanim wrócili na miejsca, Carole stwierdziła, że musi pójść do toalety. Zamierzała już odejść, kiedy jakaś para rzuciła się na nią z powitaniem. Carole nie zdążyła ich wyminąć, ale odwróciła głowę, jakby chciała się schować przed nimi. Charlie zauważył to i wzdrygnął się w duchu. Wyjaśniła, że to znajomi jej rodziców i że ich nie cierpi, po czym zniknęła. Charlie zorientował się, kim są, kiedy znajoma Carole rzuciła się na niego, a mąż szybko poszedł w jej ślady. On też ich znał i prawdę mówiąc, także nie lubił nieznośnie natrętnych parweniuszy.

Kobieta paplała bez końca o przedstawieniu i mówiła, że spektakl z poprzedniego sezonu bardziej jej się podobał. Rozwodziła się do znudzenia nad wadami i zaletami tancerek, a potem wbiła w Charliego paciorkowate oczy i wygłosiła tajemniczą uwagę, której znaczenia nie zrozumiał w pierwszej chwili.

– No, dokonał pan nie lada sztuki – powiedziała znacząco, z paskudnym uśmiechem.

Charlie nie miał pojęcia, o czym mówi, i tylko gapił się na nią, marząc o tym, żeby Carole wreszcie wróciła. Chociaż był na nią wściekły, wolał stać obok niej w niezręcznym milczeniu, niż znosić tę babę i jej bladoustego męża, którzy przyczepili się do niego z powodu jego pozycji towarzyskiej.

– Słyszałam, że się załamała nerwowo, kiedy mąż ją rzucił. Nie wiem, czego w ogóle od niego chciała, Van Hornowie mają tyle pieniędzy, a to tylko zwykły dorobkiewicz. Van Hornowie to najstarsza fortuna w kraju.

Nie rozumiał, dlaczego opowiada o Van Hornach. Znał osobiście Arthura Van Horna, chociaż niezbyt blisko, jednego z najbardziej konserwatywnych ludzi, jakich spotkał w życiu, z pewnością największego sztywniaka i stanowczo najgorszego nudziarza, i absolutnie go nie obchodziło, ile Van Horn ma pieniędzy.

– Van Hornowie? – powtórzył machinalnie.

Baba trajkotała jak szalona, przytaczając plotki i pikantne szczegóły, które wprawiały

Charliego w zakłopotanie. Opowiadała o jakiejś osobie porzuconej przez męża, która najwyraźniej należała do rodziny Van Hornów. Nic z tego nie pojmował. Baba popatrzyła na niego jak na kompletnego idiotę.

– Van Hornowie. Mówiłam o córce Van Hornów. Przecież właśnie z nią pan był, kiedy podeszliśmy.

Spojrzał na nią jak na wariatkę, potem nagle zrozumiał i jakby piorun w niego strzelił.

– Oczywiście. Przepraszam za moje roztargnienie. Panna Van Horn, jasne.

– Spotykacie się? – zapytała bezczelnie.

Kobiety jej typu nie wstydziły się zadawać osobistych pytań. Pazernie zbierały informacje, którymi potem popisywały się przed innymi, żeby udawać osoby należące do śmietanki towarzyskiej, chociaż w rzeczywistości mogły o tym tylko marzyć. Znały „właściwych” ludzi, ale nikt ich nie lubił.

– Mamy wspólne interesy – przytaknął. – Fundacja sponsoruje jej ośrodek pomocy dzieciom. Robią wspaniałe rzeczy dla maltretowanych dzieci. Przy okazji, pamięta pani, jak się nazywała po mężu?

– Czy nie Mosley? Albo Mossey? Jakoś tak. Okropny człowiek. Zbił straszny majątek. Potem ożenił się z dziewczyną chyba jeszcze młodszą od Carole. Szkoda, że tak to przeżyła.

– A nie Parker?

Charlie miał teraz przed sobą cel. Chciał poznać prawdę, nieważne, z jakiego źródła. Nawet od tej odrażającej parweniuszki.

– Ależ skąd. To panińskie nazwisko jej matki. Bank Parkera w Bostonie. Nie tak wielki jak fortuna Van Hornów, ale całkiem przyzwoity. To miłe, że Carole dziedziczy dwa majątki, niejeden. Niektórzy są po prostu w czepku urodzeni.

Charlie kiwnął głową i zobaczył nadchodzącą Carole. Na wysokich obcasach wyróżniała się w tłumie. Dał jej znak, że podejdzie do niej, podziękował swojej informatorce i odszedł. Przez ostatnie dwa dni odkrył tyle kłamstw Carole, że nie wiedział już, w co ma wierzyć.

– Przepraszam, że cię zostawiłam z tą okropną babą. Bałam się, że jeśli zostanę, ona nigdy nie odejdzie. Zagadała cię na śmierć?

– Tak – odparł krótko.

– Zawsze miele jęzorem. To największa plotkara w Nowym Jorku, wiecznie tylko opowiada, kto się z kim ożenił, kim był czyjś dziadek i ile pieniędzy odziedziczyli albo zarobili. Bóg jedne wie, skąd czerpie informacje. Po prostu jej nie znoszę.

Kiwnął głową i poprowadził ją z powrotem na miejsce. Kurtyna od razu poszła w górę. Charlie siedział sztywny jak z drewna, odchylony od towarzyszki. Niewybaczalna wada Carole, jak odkrył przez ostatnie dni, nie polegała na tym, że pochodziła z innego świata, z ubogiej rodziny, i że czuła się nieswojo w jego świecie, ani nawet że popełniła oszustwo, jak myślał w środę. Okazała się znacznie prostsza. Carole kłamała.

Kiedy przedstawienie się skończyło i kurtyna opadła, Carole uśmiechnęła się do Charliego i podziękowała.

– To było naprawdę piękne. Dziękuję ci. Bardzo mi się podobało.

– Cieszę się – odpowiedział uprzejmie.

Obiecał, że zabierze ją na obiad, ale stracił na to ochotę. Nie chciał jej mówić publicznie tego, co miał do powiedzenia. Zaproponował, żeby wrócili do niego. Carole uśmiechnęła się i powiedziała, że zrobi mu jajecznicę. Kiwnął głową. Z trudem podtrzymywał swobodną pogawędkę podczas krótkiej jazdy do jego mieszkania. Nie wiedziała, co mu się stało, ale wyraźnie coś go dręczyło. Nie musiała długo czekać na wyjaśnienie.

Otworzył przed nią drzwi, zapalił światło, wszedł pierwszy do salonu i nawet nie usiadł. Odwrócił się do niej ze wściekłą miną.

– Co ty sobie wyobrażałaś, wciskając mi te pretensjonalne bzdury, że nie lubisz klubów obiadowych i bogatych ludzi z towarzystwa? Po co mnie okłamywałaś? Nie jesteś zwykłą dziewczyną, która poświęciła się pracy dla biedaków w Harlemie. Pochodzisz z tego samego świata co ja, chodziłaś do tej samej szkoły. Robisz te same rzeczy z tych samych powodów i jesteś tak samo cholernie bogata jak ja, panno Van Horn! Przestań mi mydlić oczy, jak źle i niezręcznie się czujesz w moim świecie.

– Skąd to wszystko wiesz? I to nie twój cholerny interes, czy jestem bogata. Właśnie o to chodzi, Charlie. Nie chcę, żeby ludzie mnie podziwiali, szanowali, uganiali się za mną i płaszczyli z powodu mojego dziadka. Chcę, żeby mnie szanowali i lubili dla mnie samej. A nie mam na to najmniejszych szans, nosząc nazwisko Van Horn. Używam panieńskiego nazwiska matki. I co z tego? Pozwij mnie do sądu, na litość boską. Nie muszę się tłumaczyć przed tobą ani przed nikim – zakończyła, równie wściekła jak on.

– Nie chciałem, żebyś mnie okłamywała. Chciałem, żebyś mi mówiła prawdę. Jak mam ci ufać, jeśli nawet nie powiedziałaś, kim naprawdę jesteś? Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Z tego samego powodu, dla którego ty nie powiedziałaś mi o swoim jachcie. Bo myślałaś, że mnie odstraszysz albo oburzysz, albo się bałaś, że lecę na twoje pieniądze. No więc nie lecę, idioto. Mam własne. I wszystko, co mówiłam o tym, że źle się czuję w twoim świecie, to prawda. Nienawidziłam tego świata przez całe życie, dorastałam w nim i miałam go powyżej uszu. Całe to zadęcie, ceremonialne bzdury i pretensjonalne śmiecie, nie potrzebuję tego. Kocham moją pracę. Kocham te dzieciaki. I tylko tego chcę. Nie chcę wytwornego życia. Nie potrzebuję. Nienawidziłam tego życia. Rzuciłam je cztery lata temu i jestem szczęśliwa. I nigdy nie wrócę do tego świata, dla ciebie ani dla nikogo.

Niemal buchała parą z nozdrzy.

– Ale tam się urodziłaś. Tam należysz, nawet jeśli tego nie chcesz. Dlaczego czołgałem się przed tobą na kolanach? Przynajmniej tego mogłaś mi oszczędzić. Mogłaś mi powiedzieć, kim jesteś, zamiast robić ze mnie durnia. Kiedy zamierzałaś mi powiedzieć? A może chciałaś wiecznie odgrywać biedną dziewczynkę i zmuszać mnie, żebym cię przeproszał na klęczkach za wszystko, co mam, kim jestem i jak żyję? A skoro o tym mowa, nie wierzę, że mieszkasz w kawalerce, słyszysz? Cały dom należy do ciebie, prawda?

Piorunował ją wzrokiem. Okłamała go w każdym szczególe. Na chwilę pochyliła głowę, a potem spojrzała na niego.

– Prawda. Chciałam się przeprowadzić do Harlemu, kiedy otworzyłam ośrodek, ale ojciec mi nie pozwolił. Nalegał, żebym przyjęła ten dom, ale nie wiedziałam, jak ci to wytłumaczyć.

– Przynajmniej ktoś w twojej rodzinie ma trochę rozsądku, nawet jeśli ty go nie masz. Przecież mogą cię tam zabić. Nie jesteś Matką Teresą, na litość boską. Jesteś małą bogatą dziewczynką, tak jak ja byłem bogatym chłopcem, o wiele za młodym. A teraz jestem bogatym mężczyzną. I wiesz co? Jeśli komuś to się nie podoba, chrzanię go. Bo taki właśnie jestem. Może ty kiedyś też przestaniesz przeproszać. Ale dopóki nie nadejdzie ten dzień i nie zaakceptujesz samej siebie, nie możesz okłamywać ludzi i udawać kogoś innego. Postąpiłaś podle i głupio, przez ciebie czuję się jak idiota. W tym tygodniu zadzwoniłem do biura absolwentów w Princeton z awanturą, że popełnili błąd i nie zamieścili cię na liście. Powiedzieli mi, że nigdy nie studiowałaś w Princeton, bo myślałem, że nazywasz się Parker. A potem uważałem cię za oszustkę. Jak się okazuje, nie jesteś oszustką, tylko zwykłą kłamczucha. W związkach ludzie powinni postępować wobec siebie uczciwie, w każdym wypadku. Tak, mam jacht. Tak, mam dużo pieniędzy. Ty też. Tak, nazywasz się Van Horn. I co z tego, do ciężkiej cholery? Ale skoro raz mnie okłamałaś, nie wierzę ci, nie ufam ci i prawdę mówiąc, nie chcę być z tobą. Dopóki nie zdecydujesz, kim jesteś i co chcesz robić, do czasu, kiedy dorośniesz, nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia.

Ze zdenerwowania trząśł się od stóp do głów, podobnie jak ona. Żałowała, że tak wyszło, ale w pewnym sensie czuła też ulgę. Nienawidziła go okłamywać. Bez trudu ukrywała prawdę przed ludźmi w ośrodku, ale przed nim nie chciała niczego ukrywać.

– Charlie, ja tylko chciałam, żebyś mnie lubił dla mnie samej, nie z powodu nazwiska ojca.

– A co myślałaś? Że lecę na twoje pieniądze? To śmieszne. Zmieniłaś w farsę nasz związek, a twoje kłamstwa dowodzą braku szacunku dla mnie.

– Skłamałam tylko w sprawie nazwiska i pochodzenia. To nieważne. Nadal jestem sobą. I przeproszam. Masz rację, nie powinnam tego robić. Ale zrobiłam. Chyba po prostu się bałam. Skoro już mnie poznałeś jako Carole Parker, trudno mi było wyjaśnić, kim naprawdę jestem. Nie zabiłam nikogo, na litość boską, nie ukradłam twoich pieniędzy.

– Ukradłaś moje zaufanie, co jest znacznie gorsze.

– Charlie, przeproszam. Myślę, że się w tobie zakochałam.

Łzy popłynęły jej po policzkach. We własnej opinii wszystko zepsuła i czuła się okropnie. Tak bardzo jej na nim zależało.

– Nie wierzę ci – rzucił jej w twarz. – Gdybyś się we mnie zakochała, nie okłamałabyś mnie.

– Popełniłam błąd. Ludzie czasami robią błędy. Bałam się. Chciałam, żebyś mnie kochał dla mnie samej.

– Zaczynałem. Ale Bóg jeden wie, kim naprawdę jesteś. Zakochałem się w Carole Parker, zwykłej dziewczynie znikąd, bez pieniędzy i nazwiska. Teraz okazałaś się kimś innym. Pieprzona dziedziczka.

– To takie straszne? Nie możesz mi tego wybaczyć?

– Może. Straszne jest, że mnie okłamałaś, Carole. To jest straszne. Odwrócił się do niej plecami i spojrzał przez okno na park. Stał tak przez długą chwilę. Powiedzieli już dosyć jak na jeden wieczór, może na zawsze.

– Chcesz, żebym wyszła? – zapytała zdławionym głosem.

Nie odpowiedział od razu. Potem kiwnął głową i wreszcie się odezwał:

– Tak, chcę. Między nami skończone. Już nigdy ci nie zaufam. Okłamywałaś mnie prawie przez dwa miesiące. To cholernie długo.

– Przepraszam – powtórzyła cicho.

Wciąż stał odwrócony do niej plecami, nie chciał więcej oglądać jej twarzy. Za bardzo cierpiał. Niewybaczalna skaza ujawniła się w całej okazałości.

Carole cicho wyszła z mieszkania i zamknęła za sobą drzwi. Wciąż się trzęsła, kiedy wsiadła do windy i zjechała na dół. Powtarzała sobie, że to śmieszne. Rozgniewał się na nią, że jest bogata, chociaż sam był jeszcze bogatszy. Ale wiedziała, że nie o to chodzi. Wpadł w furię, bo go okłamała.

Wróciła taksówką do domu. Miała nadzieję, że Charlie zadzwoni. Nie zadzwonił. Ani tego wieczoru, ani następnego dnia. Bez przerwy sprawdzała pocztę głosową. Mijały tygodnie, ale on się nie odzywał. Wreszcie zrozumiała, że nigdy nie zadzwoni. Tamtego wieczoru powiedział jej prawdę, że dla niego wszystko skończone, że stracił do niej zaufanie. Chociaż miała dobre chęci, złamała uświęcony pakt zaufania, podstawę związku. Nie chciał jej więcej widzieć ani z nią rozmawiać. Teraz wiedziała, że go kocha, ale to nic nie zmieniło. Charlie odszedł na zawsze.

Rozdział 16

Dwa tygodnie przed Świętem Dziękczynienia Adam i Maggie spędzali spokojny wieczór w jego apartamencie, kiedy ni z tego, ni z owego Maggie poruszyła temat świąt. Nie myślała o tym przedtem, ale skoro tak często się spotykali, chciała je z nim spędzić. Nie wiedziała, czy planuje święta z dziećmi. Na razie ich nie poznała i oboje się zgadzali, że jeszcze na to za wcześnie. Sypiali ze sobą niemal co noc i Adam to uwielbiał, ale jak uprzedził Maggie, ich związek wciąż przechodził okres próbny.

– Dziękczynienie? – spojrzał na nią pustym wzrokiem. – Dlaczego?

– Będziesz z dziećmi?

– Nie. Rachel zabiera je do krewnych w Ohio. Zmieniamy się co roku. Teraz jej kolej.

Maggie się uśmiechnęła. Liczyła, że to oznacza dla niej dobre nowiny. Od lat, właściwie od wczesnego dzieciństwa, nie miała prawdziwych świąt, z bliskimi osobami. Raz piekła indyka z matką, która się upiła i straciła przytomność, zanim pieczeń była gotowa. Maggie w końcu zjadła kolację sama przy kuchennym stole. Ale przynajmniej matka była obok, chociaż leżała pijana w sąsiednim pokoju.

– Myślisz, że możemy spędzić razem święta? – zapytała, przytulając się do niego i zaglądając mu w oczy.

– Nie możemy – odparł ponuro.

– Dlaczego?

Odebrała to jako brutalną odmowę. Ostatnio tak dobrze układało się między nimi, że ta szorstka odpowiedź zaskoczyła ją i uraziła.

– Bo muszę pojechać do rodziców. I nie mogę cię zabrać ze sobą. Matka dostałaby zawału, gdyby usłyszała nazwisko O'Malley. Poza tym nie ich sprawa, z kim się spotykał.

– Dlaczego tam jedziesz? Myślałam, że strasznie się męczyłeś w Jom Kipur. To nie miało dla niej sensu.

– Owszem. Jedno nie ma nic wspólnego z drugim. W mojej rodzinie trzeba się stawić na święta. To jak nakaz aresztowania. Nie chodzi o dobrą zabawę. Chodzi o tradycję i obowiązek. Chociaż doprowadzają mnie do szału, uważam, że rodzina jest ważna. Moja jest koszmarna, ale mimo to czuję, że muszę pojechać i okazać im szacunek. Bóg jeden wie dlaczego, ale jestem im to winien. Rodzice są starzy, już się nie zmieniają. Zaciskam zęby i jadę. Nie masz dokąd pójść? – zapytał z nieszczęśliwą miną.

Niechętnie sobie przypominał, że musi spędzić z rodzicami następne okropne święta. Nienawidził świąt, właśnie z tego powodu. Matka wszystkie mu zepsuła. Jedyna pociecha, że rodzice obchodzili Chanukę, nie Boże Narodzenie, które spędzał z dziećmi. Przynajmniej dobrze się bawili. Nie tak, jak na Long Island.

– Gdzie spędzisz święta?

– W pustym mieszkaniu. Dziewczyny jadą do domu.

Ona oczywiście nie miała dokąd pojechać.

– Nie wpędzaj mnie w poczucie winy – prawie krzyknął na nią. – Wystarczy mi matka.

Maggie, naprawdę mi przykro, że nie masz dokąd pójść, ale nic na to nie poradzę. Muszę pojechać do domu.

– Nie rozumiem – powiedziała żałośnie. – Traktują cię jak gówno. Sam mi mówiłeś. Więc czemu tam jedziesz?

– Bo czuję, że powinienem – odparł z napięciem w głosie. Nie chciał bronić przed nią swoich decyzji. I tak było mu dostatecznie trudno. – Nie mam wyboru.

– Właśnie że masz – upierała się.

– Nie mam. Nie chcę o tym dyskutować. Po prostu tak już jest. Wrócę wieczorem. Możemy coś zrobić przez weekend.

– Nie o to chodzi. – Nalegała, a on tego nie lubił. Stąpała po cienkim lodzie. – Jeśli łączymy nas związek – naciskała dalej na własną zębę – to chcę spędzić z tobą święta. Jesteśmy razem od dwóch miesięcy.

– Maggie, nie popędzaj mnie – ostrzegł. – To nie jest związek, tylko się spotykamy. A to wielka różnica.

– Bardzo przepraszam waszą królewską mość – rzuciła sarkastycznie.

– Od początku znałaś zasady. Masz własne życie. Ja mam swoje. Spotykamy się, kiedy nam obojgu to odpowiada. A Święto Dziękczynienia mi nie odpowiada. Żałuję. Wierz mi, że żałuję. I z radością spędziłbym święta z tobą. Ale nie mogę. To święto u moich rodziców to wielka gala. Wrócę do domu z migreną, bólem żołądka i gigantyczną depresją, ale choćby się waliło i paliło, spodziewają się, że przyjdę.

– No to kicha – stwierdziła nadąsana.

– Kicha – zgodził się. – Dla nas obojga.

– A co to za bzdury o twoim i moim życiu? Że to nie jest związek, tylko się spotykamy?

– Bo tak właśnie jest. I tak widzimy się w każdy weekend, a to wiele znaczy.

– W takim razie to już jest związek, prawda?

Ciągle nalegała, nie zwracając uwagi na jego ostrzegawcze sygnały, co jej się rzadko zdarzało. Ale rozżłościła się, że zostanie sama na Święto Dziękczynienia, dlatego nabrała odwagi, żeby sprzeciwić się Adamowi i jego „zasadom”.

– Związek jest dla ludzi, którzy w przyszłości chcą się pobrać. Ja nie chcę. Mówiłem ci. Tylko się spotykamy. Tak jest dla mnie dobrze.

Maggie nie powiedziała więcej ani słowa, a następnego ranka wróciła do siebie. Przez całe popołudnie Adama nękały wyrzuty sumienia z powodu tej rozmowy. Przecież łączył ich związek. On nie spotykał się z nikim innym i ona też, o ile wiedział. Po prostu nie lubił tego przyznawać, ale nie lubił też ranić jej uczuć. I cholernie żałował, że nie spędzi z nią świąt. Nienawidził tego wszystkiego. Czuł się jak gnojek. Była w pracy, kiedy do niej zadzwonił, zostawił więc czułą wiadomość na sekretarce.

Nie odezwała się po pracy. I nie wróciła do mieszkania. Dzwonił do niej wieczorem, ale jej nie zastał. Potem dzwonił co godzinę, aż do północy. Myślał, że robi mu na złość, ale w końcu odebrała jedna ze współlokatorek i powiedziała, że Maggie naprawdę nie ma. Kiedy znowu zadzwonił, powiedziały, że Maggie śpi. Nie oddzwoniła. Przez cały następny dzień gotował się ze złości. W końcu po południu postanowił zadzwonić do niej do pracy, co rzadko

robił.

– Gdzie byłaś wczoraj wieczorem? – zapytał, siłąc się na spokojny ton.

– Myślałam, że tylko się spotykamy. Wtedy nikt nie zadaje pytań, prawda? Muszę sprawdzić, ale chyba takie są zasady, skoro to nie związek.

– Przepraszam. Głupio się zachowałem. Po prostu zdenerwowałem się z powodu świąt. Czuję się jak palant, że zostawiam cię samą.

– Jesteś palantem, bo zostawiasz mnie samą – poprawiła.

– Maggie, nie męcz już mnie w tej sprawie. Proszę. Muszę pojechać na Long Island. Przysięgam na Boga, że nie mam wyboru.

– Owszem, masz. Co innego, gdyby chodziło o dzieci. To zrozumiem. Ale przestań jeździć na święta do rodziców, żeby mogli cię karać.

– To moi rodzice. Muszę. Słuchaj, przyjdź wieczorem. Zrobię ci obiad i miło spędzimy czas.

– Mam coś do roboty. Przyjdę o dziewiątej – odparła chłodno.

– Co będziesz robić?

– Nie zadawaj mi pytań. Przyjdę najszybciej, jak się da.

– O co chodzi?

– Muszę iść do biblioteki – oświadczyła ku jego wściekłości.

– To najbardziej idiotyczna wymówka, jaką słyszałem w życiu. Dobrze, zobaczymy się wieczorem. Przyjdź, kiedy zechcesz.

Odłożył słuchawkę. Miał ochotę jej powiedzieć, żeby wcale się nie fatygowała. Ale chciał ją zobaczyć i wiedzieć, co się dzieje. Co najmniej dwa razy w tygodniu zdarzały się wieczory, kiedy dzwonił do niej i nie zastawał jej w domu. Jeśli spotykała się z innym, wolał to wiedzieć. Była pierwszą kobietą od lat, której dochował wierności, ale zaczynał podejrzewać, że go zdradza.

Siedział na kanapie i czekał na nią, popijając mocnego drinka. Przyszła dopiero przed dziesiątą, kiedy nalał sobie po raz drugi. Co pięć minut spoglądał na zegarek. Weszła i spojrzała na niego ze skrucą.

– Przepraszam. To trwało dłużej, niż myślałam. Przyszłam, kiedy tylko mogłam.

– Co robiłaś? Powiedz prawdę.

– Myślałam, że nie zadajemy sobie pytań – broniła się nerwowo.

– Nie wciskaj mi tych bzdur – krzyknął. – Spotykasz się z kimś, tak? Cudownie. Po prostu cudownie. Przez ostatnich jedenaście lat miałem kobiety na pęczki. Ty się zjawiasz i po raz pierwszy od lat jestem ci wierny. A co ty robisz? Pieprzysz się z innym.

– Adamie – powiedziała cicho Maggie, usiadła naprzeciwko niego i spojrzała mu w oczy. – Nie pieprzę się z innym. Przysięgam.

– Więc gdzie się włóczysz, kiedy dzwonię wieczorem? Nie ma cię prawie do północy. Cholera, nigdy cię nie ma w domu, jeśli nie jesteś tutaj.

Oczy go piekły, w głowie łupało. Miał migrenę, a kobieta, za którą szalał, bzykała się z innym. Nie wiedział, czy krzyczeć, czy płakać. Pewnie spotkała go zasłużona kara, skoro tak traktował inne kobiety, ale to mu się wcale nie podobało. Przecież szalał za nią.

– Gdzie byłaś dzisiaj wieczorem?

– Mówiłam ci – odparła spokojnie. – Byłam w bibliotece.

– Maggie, proszę... przynajmniej nie kłam. Miej odwagę powiedzieć prawdę.

Widząc cierpienie w jego oczach, zrozumiała, że nie ma wyboru. Musiała powiedzieć mu prawdę, choć nie chciała. Ale jeśli podejrzewał, że go zdradza, powinien wiedzieć, co robi pod jego nieobecność.

– Chodzę do szkoły przygotowującej na studia prawnicze – powiedziała cicho, ale stanowczo.

Adam wytrzeszczył oczy.

– Co? – Chyba się przestyszała.

– Chcę zrobić maturę i pójść do szkoły prawa, co mi chyba zabierze ze sto lat. Mogę chodzić tylko na dwa kursy w semestrze. Nie stać mnie na więcej. Dostałam częściowe stypendium. – Odetchnęła głęboko i poczuła ulgę, kiedy powiedziała mu prawdę. – Byłam dzisiaj w bibliotece, bo musiałam napisać referat. W przyszłym tygodniu mam egzaminy semestralne.

Adam patrzył na nią z niedowierzaniem, potem uśmiech wypłynął mu na twarz.

– Żartujesz?

– Nie, nie żartuję. Robię to od dwóch lat.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Myślałam, że mnie wyśmiejesz.

– Dlaczego w ogóle to robisz?

– Bo nie chcę być kelnerką do końca życia. I nie szukam mężczyzny, żeby mnie uratował. Nie chcę się od nikogo uzależniać. Chcę sama sobie radzić.

O mało się nie rozplakał, kiedy to usłyszał. Wszystkie kobiety, które dotąd znał i z którymi się spotykał, chciały naciągnąć jakiegoś dzianego durnia, włącznie z nim. Maggie harowała jak wół, pracowała w knajpie, chodziła do szkoły dwa razy w tygodniu i wybierała się na prawo. Nigdy nie poprosiła go nawet o centa. I znacznie częściej, niż tego pragnął, zjawiała się z torbą jedzenia albo drobnym prezentem. Niezwykła kobieta.

– Chodź do mnie – skinął ręką. Podeszła, a on otoczył ją ramieniem.

– Chcę ci powiedzieć, że jesteś wspaniała. Najwspanialsza kobieta, jaką poznałem w moim życiu. Przepraszam, że zachowałem się jak palant, i przepraszam, że zostawiam cię na święta. Obiecuję, że zrobimy sobie święto w czwartek i że nigdy więcej nie będę ci robił wymówek. I jeszcze jedno – dodał rzeczowo, ale w oczach miał czułość, jakiej jeszcze nie znała. – Chcę, żebyś wiedziała, że cię kocham.

– Ja też cię kocham – szepnęła cicho. Nigdy jeszcze jej tego nie mówił. – Jak to wpływa na zasady?

– Jakie zasady? – zapytał zmieszany.

– No wiesz, zasady. Czy to znaczy, że dalej tylko się spotykamy, czy to już jest związek?

– To znaczy, że cię kocham, Maggie O'Malley. Pieprzyć zasady. Potem zobaczymy, co dalej.

– Zobaczymy? – zapytała z przejęciem.

– Tak, zobaczymy. A kiedy następnym razem zacznę gadać o zasadach, przypomnij mi, że jestem palantem. Przy okazji, o czym jest twój referat?

– O deliktach.

– O cholera. Jutro mi pokażesz, co masz. Dzisiaj jestem zbyt pijany, żeby się tym zajmować.

Oboje jednak wiedzieli, że nie był aż taki pijany. Po prostu wolał zabrać ją do łóżka i kochać się z nią. Na to z pewnością nie był zbyt pijany.

– Naprawdę mi pomożesz?

– Oczywiście. Przepchniemy cię przez szkołę i studia prawnicze w rekordowym czasie.

– To niemożliwe – powiedziała poważnie. – Muszę pracować. Nie prosiła o pomoc, tylko stwierdziła fakt.

– Porozmawiamy o tym kiedy indziej. Wziął ją na ręce i zaniósł do sypialni.

– Mówiłeś poważnie? – zapytała, kiedy położył ją na łóżku. – Czy naprawdę jesteś pijany?

– Nie, Maggie. Nie jestem pijany. I mówiłem poważnie. Kocham cię. Po prostu czasami trochę wolno kojarzę.

Chociaż jak na niego dwa miesiące to było całkiem szybko. Maggie uśmiechnęła się, a on zgasił światło.

Rozdział 17

Gray zadzwonił do Charliego do biura na tydzień przed Świętem Dziękczynienia. Charlie wydawał się dziwnie przygnębiony.

– Co robisz w święto?

– Nic szczególnego – odparł Charlie.

Sam się nad tym zastanawiał. Święta zawsze stanowiły dla niego trudny okres. Nie znosił planów. Uważał, że święta to czas, kiedy rodziny gromadzą się i obdarowują ciepłem, a samotni jeszcze bardziej dotkliwie odczuwają lodowatą pustkę po utraconych bliskich.

– Sylvia i ja chcielibyśmy cię zaprosić na obiad. Upiecze indyka, obiad powinien być niezły.

Charlie parsknął śmiechem.

– Przyjdę bardzo chętnie.

W ten sposób mógł przyjemnie spędzić święto z przyjacielem.

– Zapraszamy też Carole, jeśli chcesz ją przyprowadzić.

– Niekoniecznie, ale dziękuję – odparł Charlie zmienionym głosem.

– Ona ma inne plany? – Gray wiedział, że coś jest nie tak.

– Tak przypuszczam. Prawdę mówiąc, nie wiem.

– To nie wygląda dobrze – zmartwił się Gray.

– Racja. Pokłóciliśmy się poważnie dwa tygodnie temu. Carole i ja to już przeszłość. Było miło, ale to koniec.

– Przykro mi to słyszeć. Założę się, że odkryłeś jakąś niewybaczalną wadę. Zawsze odkrywał. Można było na nim polegać pod tym względem.

– Można tak powiedzieć. Okłamała mnie. Nie mogę być z kobietą, której nie ufam.

– Chyba nie.

Gray znał go dobrze i wiedział, że kiedy wada wyszła już na jaw, Charlie zniknął. Wykonał swoje zadanie. Gray zaprosił go do Sylvii na szóstą i po paru minutach skończyli rozmowę. Wieczorem Gray przekazał Sylvii złą nowinę o Carole. Sylvia też się zmartwiła.

– On zawsze to robi – oświadczył Gray z nieszczęśliwą miną. – Zawsze szuka jakiegoś dowodu, wszystko jedno jakiego, że ukochana nie jest świętą i nie potrafi chodzić po wodzie, a potem bum, zrywa i zamyka za sobą drzwi. Po prostu nie umie wybaczyć kobietom ich słabości ani przyznać, że pomimo to zasługują na miłość. Nie daje im szans. Nigdy. Tak cholernie się boi, że mogą go skrzywdzić, odejść albo umrzeć, że wystarczy kichnąć, żeby nacisnął guzik katapulty. Widziałem to mnóstwo razy.

– Rozumiem, że kichnęła – powiedziała Sylvia w zamyśleniu. Chociaż nie znała dobrze Charliego, słyszała o nim wiele od Graya. Często o nim mówił. Czuli się bardziej braćmi niż przyjaciółmi. Zresztą obaj nie mieli innej rodziny. Gray wspominał, że ma jeszcze znacznie młodszego adoptowanego brata, ale nie widział go od lat i nie zna jego adresu. Charlie był bratem jego serca. Sylvia znała jego historię i wiedziała, że za każdym razem przerażony, że dziewczyna go opuści, Charlie rzucał ją pierwszy.

– Facet jest po prostu za mało elastyczny, nigdy nie ustąpi nawet na włos.
– Oboje wiedzieli z doświadczenia, że w związku czasem trzeba się ugiąć.
– Powiedział, że skłamała. A kto czasem nie kłamie? To się zdarza. Ludzie robią różne głupstwa.

Sylvia kiwnęła głową. Ciekawiło ją, co dokładnie się stało. – Na jaki temat skłamała?

– Nie powiedział. Sądząc z historii z przeszłości, domyślam się, że to nic ważnego, ale wykorzystał to jako przykład czy pretekst na dowód, że może też kłamać w poważniejszych rzeczach. Tak to zwykle się odbywa. Jak w teatrze kabuki. On robi okropne miny, wydaje mnóstwo nieprzyjemnych dźwięków i odgrywa wstrząśniętego. „Nie potrafi uwierzyć... „ Znam to na pamięć. Co za cholerna szkoda. W końcu facet zostanie naprawdę sam. Właściwie już został.

– Może on tego chce – podsunęła Sylvia.

– Przykro mi na to patrzeć.

Gray uśmiechnął się smutno. Chciałby oglądać przyjaciół równie szczęśliwych jak on sam. Wszystko pomiędzy nim a Sylvią układało się wspaniale, odkąd się poznali. Czasami żartowali, że ani razu się nie pokłócili, nawet nie doszło do pierwszej sprzeczki. Wiedzieli, że wcześniej czy później coś wyniknie, na razie jednak panował spokój. Zupełnie jakby dopasowali się idealnie pod każdym względem. Miesiąc miodowy wciąż trwał w najlepsze.

W Święto Dziękczynienia Charlie zjawił się punktualnie o szóstej. Przyniósł dwie butelki wspaniałego czerwonego wina, butelkę szampana Cristal i następną Chateau d'Yquem. Wszyscy nastawili się na wspaniały wieczór z dobrym winem, jedzeniem i dobrymi przyjaciółmi.

– Mój Boże, Charlie, tyle tego, że możemy otworzyć sklep z alkoholami – zawołała Sylvia. – Co za fantastyczny towar.

– Pomyślałem, że skoro jutro mamy mieć kaca, niech to będzie kac na najwyższym poziomie.

Sylvia miała na sobie czarne aksamitne spodnie i biały sweter. Długie czarne włosy upięła w kok. Nosiła małe brylantowe kolczyki i uśmiechała się czule za każdym razem, kiedy napotykała wzrok Graya. Charlie nigdy nie widział przyjaciela równie szczęśliwego i serce w nim rosło. Zniknęły neurotyczki i wariatki, psychotyczni eksmeżowie grożący zabójstwem, kobiety, które porzucały go z byle powodu dla kogoś innego albo na pożegnanie próbowały spalić jego obrazy. Sylvia była dokładnie taką kobietą, jaką powinien mieć każdy mężczyzna. I wyraźnie było widać, że Gray równie wiele dla niej znaczył. Charlie z ulgą spostrzegł, że Sylvia traktuje swojego mężczyznę jak króla. To go wzruszało, ale jednocześnie stawiało na uboczu. W towarzystwie ludzi, którzy kochają się do tego stopnia, ktoś trzeci zawsze odczuwa brak tego, czego nie posiada. Wieczór upłynął dla Charliego w gorzko-słodkim nastroju. Sylvia z pomocą Graya przygotowała przepyszny posiłek. Stół wyglądał pięknie, obrus i serwetki zostały doskonale dobrane, kwiaty ułożone osobiście przez Sylvię. Gray żył jak król i pлавił się w ciepłe miłości.

Temat Carole wypłynął dopiero w połowie posiłku. Charlie ani razu o niej nie wspomniał, ale Gray nie mógł dłużej znieść niepewności i sam chwycił byka za rogi.

– Więc co się stało z Carole? – zapytał, daremnie siląc się na niedbały ton. Sylvia rzuciła mu szybkie spojrzenie. Uważała, że nie powinien poruszać tego bolesnego tematu. Ale było już za późno, żeby go powstrzymać. Charlie nie zareagował. – W czym cię okłamała?

– W drobnej kwestii, na przykład kim jest. Nawet nie podała mi swojego prawdziwego nazwiska. Widocznie podróżowała przez życie incognito i uznała, że nie warto mi mówić prawdy.

– Ojej, to fatalnie. Ukrywa się przed dawnym chłopakiem czy kimś takim? Czasami kobiety tak robią.

Gray szukał dla niej usprawiedliwienia, ponieważ wiedział, że Charlie był nią zauroczony. Nie chciał patrzeć, jak kolejna obiecująca kandydatka ląduje w koszu na śmieci. Dla dobra przyjaciela próbował wskrzesić zamierający romans. Sądząc jednak z lodowatego tonu Charliego, śmierć już nastąpiła i mimo najlepszych chęci Gray nie mógł pomóc.

– Nie – odpowiedział Charlie powoli – ona się ukrywa przed sobą.

– Ja też tak robiłem, i ty. Niektórzy tak robią przez całe życie.

– Pewnie miała taki zamiar. Dowiedziałem się przypadkiem. Najpierw myślałem, że skłamała na temat swoich kwalifikacji. Sprawa okazała się znacznie bardziej skomplikowana. Ukrywała przed wszystkimi tożsamość. Udawała zwykłą dziewczynę, która nienawidzi elitarnego towarzystwa i szanuje tylko ludzi harujących w społecznych rynsztokach, tak jak ona, co jest godne podziwu, ale jej skromne pochodzenie to bzdura. Przez nią czułem się winny z powodu tego, kim jestem i co posiadam, jak żyję i skąd pochodzę. Bałem się nawet powiedzieć jej o jachcie.

– I co? Jest kimś innym? Księżniczką w przebraniu? Gray nie uważał, że to zbrodnia zasługująca na karę śmierci. Charlie jednak sądził inaczej.

– Okazało się, że pochodzi z Van Hornów, na litość boską. Jest równie „elitarna” jak ja, jeśli można użyć tego słowa. Nawet nie chciałem jej tego wymawiać, ale przypominam sobie, że jej dziadek miał jacht większy od mojego.

– Z tych Van Hornów? – zdumiał się Gray.

– Właśnie – potwierdził Charlie takim tonem, jakby uprawiała publicznie seks z jego najlepszym przyjacielem w westybulu hotelu Plaża, w dodatku na oczach mediów.

– O rany! To niesamowite. Van Hornowie. Cholera, Charlie, przecież to ci ułatwia sprawę. Czemu się wściekasz? Przynajmniej nie odgrywasz Pigmaliона, co nie jest łatwe. No wiesz, „i w Paryżu nie zrobią z owsa ryżu”, i tak dalej, chociaż dużo ludzi próbuje, ale to cholernie trudne i rzadko się udaje. Ona ma własny rodowód, może nawet lepszy od twojego. A może to ci przeszkadza?

Sylvia aż się skrzywiła. Gray nie owijał niczego w bawełnę.

– Nie, skąd. Nie zazdrościsz jej rodowodu – zirytował się Charlie. – Nie podoba mi się to, że skłamała. Zrobiła ze mnie durnia. Myślałem, że czuje się niezręcznie z powodu mojego stylu życia, chodziłem dokoła niej na paluszkach i przepraszałem, a okazuje się, że ona wyrosła w takim samym środowisku. Może nie lubić tego świata, ale to jej dom. Krótko mówiąc, łże. Cała ta skromna prostota to w jej przypadku tylko sztuczna, pretensjonalna poza.

Mówił z taką furią, że Gray parsknął śmiechem.

– Śmiało, powiedz, co o niej myślisz – zażartował. – Dobrze, więc ona udaje, że jest nikim. I co z tego? Niełatwo nosić takie nazwisko w jej pracy. Ani twoje. Może nie chce odgrywać dobrej pani, zniżającej się do pospólstwa. Woli być jedną z nich i nie zawracać sobie głowy tymi bzdetami. Masz jej to za złe, Charlie?

– Tak, mam. Proszę bardzo, niech okłamuje ludzi, z którymi pracuje, skoro chce. Ale mnie nie powinna. Powiedziała mi, że mieszka w jednopokojowej kawalerce. Cholera, mieszka w kamienicy za dziesięć milionów na Upper East Side.

– To doprawdy odrażające – rzucił Gray ze zjadliwą ironią. – Jestem wstrząśnięty! A ile jest wart twój apartament na Piątej Alei, ze wspaniałym widokiem na Central Park? Pięć milionów? Dziesięć? Czekaj no, ile zapłaciłeś za „Blue Moon”? Nie pamiętam. Pięćdziesiąt milionów...? Sześćdziesiąt?

– Nie o to chodzi – gniewnie odparował Charlie. – Rzecz w tym, że skoro nie powiedziała prawdy o tym, kim jest, jak się nazywa i skąd pochodzi, mogła też kłamać w innych sprawach i pewnie tak robiła.

– Albo nie – sprzeciwił się Gray.

Dla niego wszystko to wyglądało na przysłowiową burzę w szklance wody. Kosztem Carole. Charlie wylał jej kubek zimnej wody na głowę i odszedł obrażony. Gray uważał, że to nie fair. Charlie nigdy nie grał uczciwie. I w końcu przegrywał, chociaż tak nie sądził. Gray rozumiał to wyraźnie, zwłaszcza teraz. Cała jego życiowa perspektywa zmieniła się przez ostatnich kilka miesięcy.

– Może ona tylko nie chciała się wyróżniać. A ty czasami tego nie chcesz? Zawsze chciałeś być Charlesem Sumnerem Harringtonem? Założę się, że nie. Charlie, daj jej szansę. Dobrze, głupio się poczułeś, kiedy odkryłeś, kim jest. Ale czy to takie straszne? Naprawdę nie możesz jej tego wybaczyć? Jezu, a ty sam jesteś ideałem?

– Nie okłamuję ludzi, których kocham. Nie okłamuję nawet przyjaciół. Nigdy cię nie okłamałem.

– Taak, dlatego się kochamy. Ale z góry cię uprzedzam, nie rzucę Sylvii, żeby się z tobą ożenić.

– Cholera – zaśmiał się Charlie – a taką miałem nadzieję. – Spojrzał na Sylwię. – Przykro mi, Sylvio, ja go pierwszy zobaczyłem.

– Chętnie się nim z tobą podzielę – powiedziała szczerze, a potem postanowiła wtrącić swoje trzy grosze. – Nie chcę się wtrącać i rozumiem twoje stanowisko. Ja też zawsze się złościę, kiedy ludzie robią coś, co mi się nie podoba. Na pewno nie widzę wszystkiego, co się za tym kryje, taka teoria czubka góry lodowej. Ale podejrzewam, że ona ma serce na właściwym miejscu. Ludzie tacy jak ty czy ona nigdy właściwie nie mają pewności, czego inni od nich chcą albo kogo widzą. W tym przypadku Gray chyba ma rację, ona chciała po prostu zacząć z czystą kartoteką. Powinna ci to powiedzieć, może wcześniej. Pechowo się złożyło, że sam to odkryłeś. Ale z twoich słów wynika, że to wspaniała kobieta i macie ze sobą wiele wspólnego. Chyba powinieneś jej dać jeszcze jedną szansę. Wszyscy czasami potrzebujemy wyrozumiałości. Zawsze możesz odejść, jeśli znowu coś ci się nie spodoba. To nie dożywocie. W każdym związku są kompromisy, jak wszyscy wiemy. Niestety, nikt z nas

nie jest doskonały. Może kiedyś ty też będziesz potrzebował jej pobłażliwości. W końcu to transakcja wiązana, wiele rzeczy, które w kimś kochasz, za kilka, których nie lubisz. Dopóki szale wagi przechylają się na stronę pozytywów, warto znieść trochę przykrości. A zanim to się stało, słyszałam, że lubisz w niej wiele rzeczy.

Zamilkła, kiedy Charlie popatrzył na nią. Oczy miał jak dwa głębokie jeziora smutku. W jego duszy kryło się mnóstwo bólu, którego nigdy nie okazywał. Odwrócił wzrok, bo łzy napłynęły mu do oczu.

– Po prostu nie chcę cierpieć. Życie i tak jest dostatecznie trudne. Sylvia dotknęła jego ręki, ponieważ siedzieli obok siebie przy pięknie nakrytym stole.

– Samemu jest trudniej. Ja to wiem – wyznała, pokonując ściskanie w gardle.

Znowu na nią spojrzął i kiwnął głową, ale nie całkiem się z nią zgadzał. Samemu jest trudno, ale jeszcze trudniej stracić kogoś, kogo się kochało.

Wiedział, że ona też to przeżyła. Prawie się załamała po samobójstwie ostatniego kochanka.

– Nie wiem – powiedział smutno – może masz rację. Po prostu byłem wściekły. Tak mnie nabrała. I czułem się jak dureń, kiedy się dowiedziałem o wszystkim. Ona żywi absolutną niechęć do własnego świata i gatunku. Nienawidzi wszystkiego w tym świecie. Uważasz, że to zdrowe i normalne?

– Może nie miała łatwego dzieciństwa – odezwał się Gray. – Wszyscy myślimy, że innym tak świetnie się powodzi. Nie wiemy, kto był dręczony, poniewierany, zaniedbywany, bity, molestowany przez wujka. Po prostu nie wiemy. Wszyscy mamy za sobą ciężkie przejścia. Nikt nie dostaje taryfy ulgowej. Może ona też nie stąpała po różach. Sporo czytałem o jej ojcu, to dość ważny facet, ale nie wygląda na przyjemniaczka. Nie wiem, Charlie. Może masz rację, może to zakłamana dziwka, która złamie ci serce i urwie jaja. Ale jeśli nie? Jeśli to przyzwoita osoba, która miała już dość siebie samej, córki najbogatszego człowieka na świecie? Komuś takiemu jak ja trudno to sobie wyobrazić, ale ty powinieneś wiedzieć, że odpowiedzialność związana z twoją pozycją czasami wcale nie jest przyjemna. Prawdę mówiąc, uwielbiam twoje rzeczy i cholernie dobrze się bawię z tobą na jachcie, ale po zastanowieniu chyba nie chciałbym być tobą na co dzień. Czasami myślę, że to ciężka harówka i przeraźliwa samotność.

Gray nigdy jeszcze nie mówił tak otwarcie i Charlie był wzruszony. Bardziej niż podejrzewał przyjaciela.

– Masz rację, to ciężka harówka i czasami samotność. Ale nie mamy wyboru. Pewnego dnia przekazują ci pałeczkę, czasami wcześniej niż zwykle, jak mnie się przydarzyło, i ruszasz do wyścigu. Nie stoisz z boku i nie jęczysz, że nie chcesz grać. Po prostu dajesz z siebie wszystko.

– Ona chyba taka jest. Może tylko chciała odpocząć od bycia sobą. Charlie przesuwał okruchy po obrusie, rozmyślając nad słowami Graya i Sylvii. Możliwe że mieli rację.

– Kobieta, która zdradziła mi jej tożsamość, wspominała, że przeszła załamanie nerwowe, kiedy jej małżeństwo się rozpadło. Wcześniej sama mi coś takiego powiedziała. Jej były mąż to brutalny łajdak i socjopata. Poznałem go, to nie jest miły facet. Zrobił duże pieniądze, ale

moim zdaniem to gnojek. Podejrzewam, że ożenił się z nią, bo pochodziła z Van Hornów.

Gray słusznie zauważył, że może chciała odpocząć od tego wszystkiego. Żyła w ukryciu prawie od czterech lat. Bezpieczniej czuła się na ulicach Harlemu niż we własnym świecie. Źle to świadczyło o jej poprzednim życiu, chociaż Charlie wiedział, że jeszcze nie powiedziała mu wszystkiego. Nie mogła się na to zdobyć.

– Przemyślę to – obiecał.

Wszyscy odetchnęli z ulgą, kiedy rozmowa zeszała na inne tematy. Trudno im było mówić o uczuciach. Każde z nich nosiło własne blizny, miało własne lęki i cierpienia. Każde jednak musiało się nauczyć, jak omijać życiowe rafy i mielizny, zamiast uciekać na brzeg z tonącego statku.

Charlie został u nich do dziesiątej wieczorem. Gawędzili o różnych sprawach, opowiadali zabawne anegdoty o sobie i innych. Charlie mówił o fundacji, ale nie wspominał już o Carole. Był w melancholijnym nastroju i uściskał oboje gospodarzy na pożegnanie. Ze wzruszeniem patrzył na ich szczęście, ale tym dotkliwiej odczuwał własną samotność. Nawet sobie nie wyobrażał, jak to jest, kiedy dwoje ludzi powoli splata swoje losy po tylu latach samotnego życia. Pomyślał, że chciałby spróbować, ale jednocześnie tyle rzeczy go przerażało. A jeśli znudzą się sobą albo zaczną się zdradzać? A jeśli jedno umrze albo zachoruje? A jeśli po prostu rozczarują się nawzajem i związek nie wytrzyma próby czasu czy pospolitych życiowych przykrości? A jeśli jakaś tragedia dotknie jedno z nich lub oboje? Ryzyko wydawało się zbyt wysokie.

Później, kiedy leżał już w łóżku i rozmyślał o tym wszystkim, jakby kierowany przez siłę wyższą wychylił się i sięgnął po telefon. Palce same wybrały numer, zanim zdążył się powstrzymać, a potem usłyszał w słuchawce głos Carole. Zupełnie jakby kto inny do niej zadzwonił, a on nie miał już wyboru i musiał się odezwać.

– Carole? – Wydawał się niemal równie zdziwiony jak ona.

– Charlie?

– Ja... tylko chciałem ci złożyć świąteczne życzenia – bąknął, niemal dławiąc się własnymi słowami.

– Myślałam, że już nigdy się nie odezwiesz. – W jej głosie brzmiało zaskoczenie. Minęły cztery tygodnie. – U ciebie wszystko w porządku?

– Tak – odpowiedział z zamkniętymi oczami, rozkoszując się jej głosem, w którym słyszał lekkie drżenie. – Byłem na świątecznym obiedzie u Sylvii i Graya.

Widocznie powiedzieli coś, co dotarło do jego duszy, bo wiedział, że bez tej rozmowy nigdy nie zadzwoniłby do Carole. Po raz pierwszy w życiu zatrzymał się i rozejrzył, a potem powoli zawrócił. Minął już ostatni zakręt i widział przed sobą ląd.

– A jak twoje święto?

Westchnęła i uśmiechnęła się, słysząc jego głos. Cudownie było z nim rozmawiać o zwykłych sprawach.

– Jak zawsze. Wszystko, co najgorsze. Nikt z mojej rodziny nigdy nie myśli o dziękczynieniu, tylko zachwycają się sobą aż do mdłości. Nie przychodzi im do głowy, że inni nie mają tego wszystkiego i może nawet nie pragną mieć. Dla nas nie liczy się rodzina,

tylko wspaniałe nazwisko Van Horn. Rzygać się chce. W przyszłym roku spędzę Święto Dziękczynienia w ośrodku. Wolę jeść kanapki z indykiem czy nawet z galaretką i masłem orzechowym, kiedy skończą nam się pieniądze, niż popijać szampana i zajadać bażanta z moją rodziną. Kością w gardle stoi mi ten bażant. Poza tym nie lubię bażantów. Nigdy nie lubiałam.

Uśmiechnął się. Sylvia i Gray mieli rację, a on chyba się mylił. Na pewno trudno jej było żyć z nazwiskiem Van Horn. Chciała żyć jak inni. I nagle ją zrozumiał.

– Mam lepszy pomysł – powiedział cicho.

– Jaki? – zapytała, wstrzymując oddech.

Nie miała pojęcia, co chce powiedzieć, po prostu kochała dźwięk jego głosu. I całą resztę. Od samego początku.

– Może w przyszłym roku spędzimy święta z Sylvią i Grayem. Indyk był całkiem niezły.

Uśmiechnął się na wspomnienie przyjemnego wieczoru, który z nimi spędził. Ale byłoby jeszcze lepiej, gdyby miał przy sobie Carole.

– Bardzo bym chciała – szepnęła Carole ze łzami w oczach.

Potem postanowiła wrócić do tematu swojej przewrotności. Od czterech tygodni o niczym innym nie myślała. Miała dobre chęci, ale zdawała sobie sprawę, że postąpiła źle. Skoro kochała Charliego i chciała z nim być, powinna powiedzieć mu prawdę, nawet jeśli się bała, że mu się nie spodoba. Powinna zaufać mu dostatecznie, żeby odsłonić się przed nim, bez względu na ryzyko.

– Przepraszam, że cię okłamałam – powiedziała ze smutkiem. – Głupio zrobiłam.

– Wiem. Ja też czasami robię głupstwa. Jak wszyscy. Bałem się powiedzieć ci o jachcie.

Popęłił raczej grzech milczenia niż fałszywego świadectwa, ale z tych samych powodów. Czasami po prostu nie mógł wytrzymać w świetle jupiterów. Stanowił łatwy cel, doskonale widoczny dla wszystkich: zdawało mu się, że ma na plecach wymalowaną tarczę strzelecką. Widocznie ona czuła to samo. Niełatwo było tak żyć.

– Bardzo bym chciała kiedyś zobaczyć twój jacht – powiedziała ostrożnie. Nie chciała naciskać, po prostu była wdzięczna, że do niej zadzwonił.

Bardziej wdzięczna niż się domyślał. Ciche łzy spływały z kącików jej oczu i wsiąkały w poduszkę. Nawet modliła się, żeby wrócił, i przynajmniej raz jej modlitwy zostały wysłuchane. Ostatnim razem modliła się na próżno, kiedy jej małżeństwo się rozpadło. W końcu Bóg wiedział lepiej.

– Zobaczysz – obiecał jej Charlie. Pewnego dnia chciał ją zaprosić na „Blue Moon”. Nic lepszego nie mógł wymyślić. – Co robisz jutro?

– Nic. Myślałam, że wpadnę do ośrodka. Biuro jest zamknięte, ale dzieci tam są. Robią się niespokojne w długie weekendy, a święta to dla nich ciężka próba.

– Dla mnie też – wyznał szczerze. – Nienawidzę świąt. Najbardziej nie lubię tej pory roku.

Święta przywoływały zbyt wiele wspomnień o utraconych bliskich. Święto Dziękczynienia go przygnębiało, ale Boże Narodzenie było jeszcze gorsze.

– Może zjemy razem lunch?

- Wspaniale – rozpromieniła się Carole.
- Możemy wpaść do ośrodka, jeśli chcesz. Nie włożę złotego zegarka – zażartował.
- Może powinieneś być w kostiumie lwa. Zasłużyłeś na niego. Postąpiłeś bardzo dzielnie
- powiedziała głosem pełnym podziwu.
- Owszem. – Niełatwo przyszło mu wykonać ten telefon, ale cieszył się, że się na to zdobył. Wiedział, że powinien podziękować Sylvii i Grayowi. Dzięki nim nabrał odwagi, żeby zadzwonić do Carole. – Przyjadę po ciebie o dwunastej.
- Będę czekać... i, Charlie... dziękuję.
- Dobranoc – powiedział cicho.

Rozdział 18

Jazda na Long Island ciągnęła się bez końca. Ferrari Adama wlokło się w żółtym tempie po Long Island Expressway. Nie spędził poprzedniej nocy z Maggie, ponieważ nie chciał wysłuchiwać jej uwag, choćby słusznych, skoro rano wybierał się z wizytą do rodziny. Poprzedniego wieczoru podrzucił ją do domu i wiedział, że spędzi ten dzień samotnie. Nie mógł nic na to poradzić. Czuł, że niektórych rzeczy w życiu nie da się zmienić ani uniknąć. Tak mu dyktowało poczucie obowiązku wobec rodziny, choćby nie wiem jak podle go traktowała. Nie mógł się wykręcić od Święta Dziękczynienia w rodzinnym gronie, nawet jeśli przez to cierpiał. Maggie oczywiście miała rację, ale to niczego nie zmieniało. Jechał do domu jak skazaniec, który ma stanąć przed plutonem egzekucyjnym. Pomimo całego zdenerwowania cieszył się z korków, które opóźniały jazdę. Zupełnie jakby odroczone wykonanie wyroku. A gdyby złapał gumę? Byłoby jeszcze lepiej.

Dotarł na miejsce spóźniony prawie pół godziny. Matka spiorunowała go wzrokiem. Witamy w domu.

– Przepraszam, mamu. Niesamowite korki. Jechałem tak szybko, jak się dało.

– Powinieneś wyjechać wcześniej. Do kobiety na pewno bardziej się spieszysz. Bum. Pierwszy strzał. Wiedział, że nie ostatni. Nie miało sensu odpowiadać i milczał. Punkt dla niej. Nigdy dla niego.

Reszta rodziny już była na miejscu. Ojciec złapał grypę. Dzieci bawiły się na dworze. Szwagier miał nową pracę. Brat robił przytyki do pracy Adama. Siostra narzekała. Nikt nie mówił o sprawach, które go obchodziły. Matka oświadczyła, że wyczytała w prasie, że Vana bierze narkotyki, dlaczego przyjmuje takich klientów? Co to za kancelaria, która obsługuje dziwki i narkomanów? Żołądek Adama skurczył się w węzeł, stosownie do okoliczności. Nie gorszy niż zwykle, ale nieprzyjemny. Matka gadała o starości, pewnego dnia odejdzie i powinni bardziej ją doceniać, dopóki jeszcze mogli. Siostra gapiła się w pustkę. Brat oznajmił, że słyszał, iż ostatnie modele ferrari są do dupy. Matka wychwalała Rachel pod niebiosa. Ojciec zasnął w fotelu przed lunchem. Pigułki na przeziębienie, wyjaśniła matka. Wytknęła Adamowi, że zrujnował swoje małżeństwo z Rachel, że gdyby poświęcał jej więcej uwagi, może nie rzuciłaby go dla innego, przynajmniej nie dla chrześcijanina. Czy nie martwi go, że chrześcijanin wychowuje jego dzieci? W ogóle co się z nim dzieje? Nawet nie dotarł do synagogi na Jom Kipur. Tyle dla niego zrobili, zapewnili mu przyzwoite wychowanie, a on już nie chodzi do świątyni, nawet w święta, i zadaje się z kobietami, które wyglądają jak prostytutki. Może chciałby się nawrócić. Adam słuchał, a czas stanął w miejscu. Słyszał głos Maggie. Myślał o niej, samotnej w pustym mieszkaniu w nowojorskiej czynszówce. Wstał, kiedy Mae weszła do pokoju i oznajmiła, że podano lunch. Matka wytrzeszczyła na niego oczy.

– Co z tobą? Chory jesteś?

Twarz miał białą jak płótno.

– Chyba tak.

– Może masz gripę – stwierdziła i odwróciła się, żeby coś powiedzieć do brata.

Adam ani drgnął. Stał jak przykuty do miejsca i patrzył na nich. Maggie miała rację.

– Muszę iść – powiedział do wszystkich, ale patrzył na matkę.

– Czyś ty zwariował? Jeszcze nie jedliśmy – zaprotestowała. Patrzyła prosto na niego, ale wiedział, że wcale go nie widziała. Widziała małego chłopca, który wtargnął w jej życie i przeszkodził w partyjkach brydża, nie mężczyznę, którym się stał, mającego na swoim koncie sukcesy i osiągnięcia, porażki i cierpienia. Żadnego z krewnych nie obchodziło jego cierpienie. Nawet kiedy Rachel go porzuciła. To była jego wina. Jak zawsze. Zawsze, zawsze, zawsze jego wina, teraz i na wieki. Rzeczywiście spotykał się z kobietami, które wyglądały jak kurwy. I co z tego? Traktowały go lepiej niż własna rodzina. I nie wbijały mu szpilek. Chciały tylko nowych cycków i nosów, i dostępu do jego kart kredytowych. A Maggie nie chciała nawet tego. Nie chciała niczego, tylko jego. Ojciec ocknął się i rozejrzał. Zobaczył Adama stojącego na środku pokoju.

– Co się dzieje? Co się stało?

Nikt się nie ruszał. Wszyscy patrzyli na Adama.

– Odchodzę. Nie mogę już tego znieść – powiedział do ojca.

– Siadaj – rozkazała matka takim tonem, jakby nadal miał pięć lat i wstał w nieodpowiedniej chwili.

Ale chwila była odpowiednia. Maggie miała rację. Nie powinien tu przychodzić, tylko skończyć z tym przed laty. Jeśli go nie szanowali, nawet nie dostrzegali, skoro uważali, że zasłużył na te wszystkie świństwa, które mu robiła Rachel dawniej i teraz, to chyba nie byli jego rodziną, a przynajmniej nie byli tego warci. Miał dzieci i tylko na nich mu zależało, ale ich tutaj nie było. Ci ludzie byli dla niego obcy. I to im odpowiadało. Ale nie jemu. Miał czterdzieści jeden lat i wreszcie dorósł. Najwyższy czas.

– Przepraszam, tato – powiedział spokojnie. – Po prostu nie mogę ciągle tego robić.

– Czego? – zapytał zmieszany ojciec. Pigułki na przeziębienie trochę go otepiły, ale nie aż tak, jak wyglądało. Adam wyczuwał, że ojciec dokładnie wie, co się dzieje, ale nie zamierza kiwnąć palcem. Nigdy się nie angażował. Tak było łatwiej. Dzisiejszy dzień nie różnił się od innych. – Dokąd idziesz?

– Wracam do domu – oznajmił Adam, patrząc na ludzi, którzy przez tyle lat nie przepuścili żadnej okazji, żeby mu dokuczyć. Nigdy go nie chcieli. A teraz on ich nie chciał.

– Jesteś chory – oświadczyła matka; Mae wciąż stała w drzwiach, nie wiedząc, czy zapowiadać lunch. – Potrzebujesz lekarza. Potrzebujesz terapeuty, Adamie. Jesteś bardzo chorym człowiekiem.

– Tylko wtedy, kiedy tu przyjeżdżam, mam. Za każdym razem, gdy stąd wychodzę, mam w żołądku supeł wielkości pięści. Nie muszę już przychodzić i się męczyć. Nie chcę. Wesołych świąt. Bawcie się dobrze.

Odwrócił się i wyszedł z pokoju. Nie czekał na dalsze komentarze czy kolejne docinki. Miał dosyć. Mae przechwyciła jego spojrzenie i mrugnęła. Nikt nie próbował go zatrzymać i nikt nie powiedział ani słowa. Dzieci go nie znały. Rodzinie na nim nie zależało. I jemu też przestało zależeć na ludziach, dla których tak niewiele znaczył. Wyobrażał sobie, że siedzą i

wymieniają spojrzenia, słysząc odjeżdżające ferrari, a potem przechodzą do jadalni. Nikt więcej o nim nie wspomni.

Adam naciskał na gaz, jadąc do domu. W drodze powrotnej nie natrafił na korki. Miał dobry czas i po pół godzinie wjechał na FDR Drive, uśmiechając się do siebie. Po raz pierwszy w życiu poczuł się wolny. Naprawdę wolny. Roześmiał się głośno. Może matka miała rację i zwariował, ale nigdy w życiu nie czuł się bardziej zdrowy na umyśle. I na żołądku. Był głodny, umierał z głodu. I chciał tylko zobaczyć Maggie.

Po drodze do jej mieszkania wstąpił do supermarketu. Mieli wszystko, czego potrzebował. Przygotowanego, nadzianego, podpieczonego, omal nieprzeżutego indyka z przybraniem. Kupił cały zestaw, żurawinową galaretkę, słodkie ziemniaki, bułeczki wymagające tylko podgrzania, tłuczone ziemniaki, groszek i placek z dyni na deser. Za pięćdziesiąt dolarów dostał wszystko, czego potrzebował. Dziesięć minut później dzwonił do jej domofonu. Odezwała się nieufnym głosem. Nie spodziewała się nikogo i całkowicie zaskoczyła ją odpowiedź Adama, ale od razu nacisnęła brzęczyk. Kiedy otworzyła mu drzwi mieszkania, miała na sobie koszulę nocną. Wyglądała niechlujnie, rozczochrana, z rozmazanym tuszem na twarzy. Widział, że płakała. Spojrzała zdumiona.

– Co się stało? Czemu nie jesteś na Long Island?

– Ubieraj się. Jedziemy do domu.

– Dokąd? – Wyglądał jak wariat, w grafitowym garniturze, białej koszuli z krawatem i błyszczących butach. Prezentował się nieskazitelnie, ale oczy miał dzikie. – Jesteś pijany?

– Nie. Trzeźwy jak świnia. Ubierz się. Wychodzimy.

– Dokąd?

Nie ruszyła się z miejsca. Adam rozejrzał się po mieszkaniu. Wyglądało okropnie, gorzej niż się spodziewał. Nigdy nie przypuszczał, że Maggie mieszka w takich warunkach.

W sypialni stały dwa wąziutkie składane łóżka z rozgrzebaną pościelą, w salonie na dwóch obszarpanych wersalkach leżały śpiwory. Jedyne dwie lampy miały pęknięte abażury. Nic nie pasowało do siebie, wszystko było brudne. Podarte rolety niedokładnie zasłaniały okna. Na środku pokoju goła żarówka wisiała na wystrzępionym drucie nad brudnym dywanem. Sprężyny dwóch wersalek kupionych w sklepie Goodwilla obwisały nad podłogą, stolik do kawy zastępowała skrzynka po pomarańczach. Adam nie wyobrażał sobie, że można tak mieszkać ani tego że ona wychodziła stąd w przyzwoitym stanie. Na podłodze łazienki walało się pranie, wszędzie stały brudne naczynia. Korytarz na dole śmierdział kotami i uryną. Serce go bolało, kiedy na nią patrzył w tej koszuli. Stara, wystrzępiona flanelowa koszula nocna nadawała jej wygląd małej dziewczynki.

– Ile płacisz za to mieszkanie? – zapytał bez ogródek. Nie chciał powiedzieć: „za tę norę”.

– Moja działka to sto siedemdziesiąt pięć dolarów – odparła z zakłopotaniem.

Nigdy nie pozwoliła mu wejść na górę, ale i on nigdy tego nie chciał i teraz czuł się winny również z tego powodu. Ta kobieta prawie co noc spała w jego łóżku i wyznawał jej miłość, a kiedy wychodziła, wracała tutaj. Gorzej niż kopciuszek sprzątający dom macochy i szorujący podłogi na kłęczkach. To był absolutny koszmar, a przez resztę czasu dawała się

obmacywać w Pier 92. Nie miał pojęcia o jej życiu.

– Tylko na to mnie stać – powiedziała przeprasząco, a on przelknął łzy.

– Chodź, Maggie – odezwał się łagodnie, objął ją i wreszcie pocałował – chodźmy do domu.

– Co chcesz robić? Nie musisz jechać do rodziców?

Myślała, że jeszcze nie wyjechał i wpadł ją odwiedzić po drodze. W marzeniach przyszedł ją prosić, żeby z nim pojechała do rodziców. Ale nie zdawała sobie sprawy, czym to groziło.

– Już pojechałem. Wróciłem. Wyszedłem stamtąd. Wróciłem do domu, żeby być z tobą. Nie mogłem już znieść tego gówna.

Wtedy się uśmiechnęła. Była z niego dumna i wiedział o tym. Przynajmniej ktoś był z niego dumny. Jeszcze nigdy w życiu tak odważnie się nie postawił. Dzięki niej. Ona otworzyła mu oczy i kiedy spojrzał na swoją rodzinę, nie mógł już tego znieść. Przypomniała mu, że miał wybór.

– Wychodzimy na lunch? – zapytała, przegarniając ręką włosy. Wyglądała beznadziejnie, bo nie spodziewała się go przed wieczorem.

– Nie, zapraszam cię na świąteczny obiad do siebie. Chodźmy.

Usiadł na jednej z wersalek, która zapadła się pod jego ciężarem. Wszędzie było tak brudno, że wręcz bał się usiąść. Nie wyobrażał sobie, że można tutaj mieszkać. Nigdy mu nie przyszło do głowy, że ludzie tak żyją ani że ona tak żyje. Serce go bolało na tę myśl.

Maggie ubrała się w ciągu dwudziestu minut. Po prostu włożyła dzinsy, sweter, buty i kurtkę Levisa, uczesała się i umyła twarz. Powiedziała, że weźmie prysznic i umaluje się u niego, bo tam trzymała lepsze ubrania. Nie chciała ich zostawiać u siebie, bo współlokatorki zawsze je pożyczały i niczego nie oddawały, nawet butów. Teraz, kiedy zobaczył tę norę, nie mógł pojąć, jakim cudem w ogóle potrafiła dobrze wyglądać dla niego. Trzeba było chyba czarów, żeby stąd wyjść jako istota podobna do człowieka, myśląca i postępująca jak człowiek, ale jej jakoś się udawało.

Zszedł za nią po schodach i dwie minuty później odjechali z rykiem silnika. U niego pomogła mu wnieść zakupy i przygotować obiad, ale najpierw wzięła prysznic i się kochali. Nakryła do stołu, a on pokroił indyka. Zjedli świąteczny obiad w kuchni, ubrani w szlafroki. Po obiedzie znowu poszli do łóżka. Adam trzymał Maggie w objęciach i rozmyślał o wszystkim, co się wydarzyło tego dnia. Przebyli długą drogę.

– Tak, chyba to jest związek – powiedział, przyciągając ją bliżej do siebie.

– Czemu tak mówisz? – spytała z uśmiechem. Dla niej wyglądał równie pięknie jak ona dla niego.

– Właśnie spędzamy razem święta, prawda? Może nawet zapoczątkowaliśmy tradycję. Chociaż w przyszłym roku musimy się ubrać. Przyjdą moje dzieci i nie zabiorę ich do matki.

Musiał jeszcze podjąć decyzję w kwestii Chanuki, ale zostało mu kilka tygodni. Nie chciał rozdzielać wnuków z dziadkami, ale nie zamierzał już się poświęcać i cierpieć katuszy dla ich przyjemności. Te czasy minęły. Istniała nikła szansa, że po jego dzisiejszym wyjściu nauczą się traktować go lepiej, ale wątpił. Teraz wiedział tylko, że jest szczęśliwy z Maggie i

nie boli go żołądek. To była wielka zmiana na lepsze.

Dopiero w niedzielę wieczorem zaproponował jej coś, co chodziło mu po głowie przez cały weekend. Zdobył się na wielki krok, ale odkąd zobaczył jej mieszkanie, nie mógł się zmusić, żeby ją tam odesłać. Bał się jak jasna cholera, ale to przecież nie małżeństwo, powtarzał sobie.

Zmywali naczynia po niedzielnym obiedzie przed jej wyjściem. Na lunch skończyli resztę indyka. Był pyszny. Najlepsze święta Adama jak dotąd i z pewnością najlepsze dla Maggie.

– Co ty na to, żeby się wprowadzić? No wiesz... tak na próbę... zobaczyć, jak się ułoży... i tak spędzasz tutaj większość czasu... a ja ci pomogę w zadaniach domowych...

Głos mu zamarł, kiedy odwróciła się do niego z niepewną miną, wzruszona, ale przestraszona.

– Nie wiem – bąknęła z zakłopotaniem. – Nie chcę się od ciebie uzależnić, Adamie. Stać mnie na to, co widziałeś. Jeśli się przyzwyczaję, a ty mnie wykopiesz na bruk któregoś dnia, trudno będzie wrócić.

– Więc nie wracaj. Zostań tu. Nie wykopię cię, Maggie. Kocham cię. I na razie to działa.

– No właśnie, „na razie”. A jeśli się zepsuje? Nie stać mnie nawet na to, żeby się dokładać do czynszu.

Wzruszył go ten argument.

– Nie musisz – odpowiedział, zadowolony z siebie. – Jestem właścicielem. Uśmiechnęła się i pocałowała go.

– Kocham cię. Nie chcę cię wykorzystywać i nie chcę od ciebie nic. Tylko ciebie.

– Wiem. A ja marzę o tym, żebyś się wprowadziła. Tęsknię za tobą, kiedy cię nie ma. – Zrobił żalostną minę basseta. – Boli mnie głowa, kiedy cię nie ma.

Poza tym lubił wiedzieć, gdzie jest i co porabia.

– Przestań mi wmawiać żydowskie poczucie winy. – Spojrzała na niego i powoli kiwnęła głową. – Dobrze... wprowadzę się. Ale na razie zatrzymuję mieszkanie, na wszelki wypadek. Jeśli coś nie wyjdzie albo zaczniemy sobie działać na nerwy, wrócę tam.

To nie była pogrożka, tylko rozsądne posunięcie i szanował ją za to. Jak zawsze.

Została u niego na noc i kiedy przytulony do niej już odpływał w sen, stuknęła go w ramię. Otworzył jedno oko. Z reguły chciała z nim omawiać śmiertelnie poważne sprawy albo podejmować życiowe decyzje akurat wtedy, kiedy zasypiał. Inne kobiety zachowywały się podobnie. Doszedł do wniosku, że to kwestia genów, z góry zaprogramowana. Kobiety lubiły rozmawiać, kiedy mężczyźni chcieli spać.

– No? Co? – Z trudem zachowywał świadomość.

– Więc jak to teraz wygląda? – zapytała bez cienia senności w głosie. – Hę?

– No, skoro mieszkamy razem i spędziliśmy wspólne święta, to jest prawdziwy związek, tak? A może jeśli ludzie mieszkają razem, nazywasz to inaczej?

– Nazwij to snem, bo chcę spać... ty też śpij... kocham cię... porozmawiamy jutro... to się nazywa mieszkanie razem... dobra rzecz... – Prawie zasypiał.

– Tak, wiem – szepnęła, uśmiechając się do siebie, zbyt podniecona, żeby spać.

Leżała i patrzyła na Adama, który obrócił się na bok i zachrapał.

Rozdział 19

W piątek Charlie przyjechał po Carole punktualnie o dwunastej i zabrał ją na lunch do La Goulue. Była to modna restauracja na Madison Avenue, z dobrym jedzeniem i ożywioną atmosferą. Odkąd wiedział, kim Carole jest naprawdę, nie czuł się już w obowiązku zabierać jej do tanich lokali. Oboje z przyjemnością wybrali się do miłego miejsca. Zjedli pyszny lunch, a potem wędrowali po Madison Avenue, oglądając wystawy.

Po raz pierwszy Carole szczerze opowiedziała Charliemu o swoim dawnym życiu. Gray miał rację. Błękitna krew i wytworne domy nie oznaczały szczęśliwego dzieciństwa. Carole mówiła o swoich rodzicach, zimnych i dalekich, oziębłych wobec siebie nawzajem, niedostępnych dla niej emocjonalnie ani fizycznie. Wychowywana przez nianię, nigdy nie widywała rodziców. Twierdziła, że jej matka to ludzka bryła lodu. Nie miała żadnego rodzeństwa na pociechę, była jedynaczką. Czasami nie widywała rodziców tygodniami. Ogromnie ich zmartwił jej wybór drogi życiowej. Stopniowo znenawidziła wszystko, co sobą reprezentował ten świat: hipokryzję, obsesję na punkcie dóbr materialnych, obojętność na ludzkie uczucia i brak szacunku dla każdego, kto nie urodził się w tej sferze. Słuchając jej, Charlie zrozumiał, że była samotnym dzieckiem. W końcu zamieniła ich lodowatą obojętność na pomysłowe okrucieństwo człowieka, za którego wyszła, który zgodnie z podejrzeniami Gaya ożenił się z nią dla jej nazwiska. Kiedy wreszcie ją porzucił, chciała wziąć rozwód nie tylko z nim, ale ze wszystkim, co go do niej przyciągnęło, z systemem wartości, których nienawidziła przez całe życie.

– Nie możesz tego zrobić, Carole powiedział łagodnie Charlie. Sam też czasami tego pragnął, chociaż nie tak mocno jak ona, ona jednak zapłaciła wyższą cenę. – Musisz zaakceptować samą siebie. Robisz cudowne rzeczy dla dzieci, z którymi pracujesz. Nie potrzebujesz w tym celu odrzucać wszystkiego, czym jesteś. Możesz być szczęśliwa w obu światach.

– Nigdy nie byłam szczęśliwa w dzieciństwie – wyznała szczerze. – Nienawidziłam wszystkiego od czasu, kiedy byłam małą dziewczynką. Ludzie albo chcieli się ze mną bawić, ponieważ byłam sobą, albo nie chcieli się ze mną bawić z tego samego powodu. Nigdy nie wiedziałam, czego się spodziewać, a rozszyfrowanie tego kosztowało zbyt wiele pracy.

Charlie rozumiał, jak to się stało. Coś mu to przypomniało. Wahał się, czy jej o tym mówić. A jednak miał wrażenie, że wcale się nie rozstawali. Carole trzymała go pod rękę i spacerowali po Madison Avenue, rozmawiając jakby nigdy nic. Czuł, że należy do jej życia, a ona czuła dokładnie to samo.

– Pewnie zabijesz mnie za to – zaczął ostrożnie, kiedy przecięli Siedemdziesiątą Drugą ulicę i skierowali się na północ. Zrobiło się chłodno, ale świeżo i rześko. Carole włożyła wełniany kapelusz, kaszmirowy szal i rękawiczki, a on postawił kołnierz płaszcza. – Co roku wybieram się na imprezę, na którą pewnie nie zechcesz pójść, biorąc pod uwagę to, co mi opowiedziałaś. Ale ja zawsze czuję, że powinienem tam iść, a w tym roku wystąpią córki dwóch moich przyjaciół. Co roku chodzę na Bal Szpitalny, gdzie prezentują się debutantki. Poza oczywistymi towarzyskimi implikacjami to zawsze miłe przyjęcie. Pójdziesz ze mną,

Carole? – zapytał z nadzieją.

Parsknęła śmiechem. Wiedziała, że po wszystkich tyradach, jak to nienawidzi „ich” świata, pewnie bał się ją zaprosić na imprezę, gdzie młode panienki o błękitnej krwi były przedstawiane w towarzystwie i „debiutowały”. Była to archaiczna, snobistyczna tradycja, niewątpliwie dobrze jej znana.

– Z przykrością przyznam – uśmiechnęła się żałośnie – że sama tam wystąpiłam. Rodzice też chodzą na ten bal co roku. Po moim debiucie nie byłam tam ani razu. Ale z tobą może być przyjemnie. Inaczej bym nie poszła.

– Czy to znaczy, że tak? – zapytał, uśmiechając się szeroko.

Marzył, żeby pójść z nią gdzieś pomiędzy ludzi i pochwalić się nią w ładnej sukni. Chętnie odwiedzał ją w ośrodku, ale uroczyste bale wciąż sprawiały mu przyjemność. Fajnie jest czasami się wystroić, a na balu obowiązywał frak.

– To znaczy tak – odpowiedziała, nie zwalniając kroku. – Kiedy? Musiała kupić suknię. Od lat nie miała na sobie balowej sukni. Mogła pożyczyć którąś od matki, bo nosiły ten sam rozmiar, ale nie chciała jej prosić. Pragnęła wyglądać pięknie dla Charliego, a suknie matki pasowały raczej do matrony.

– Dopiero za kilka tygodni. Sprawdzę, jak wrócę do biura.

Carole kiwnęła głową. Przyjmując zaproszenie Charliego na bal debutantek, robiła wielki krok z powrotem do dawnego życia. Wiedziała jednak, że to tylko jednorazowy wyjątek, nie powrót na stałe. Jako przypadkowa turystka mogła to wytrzymać, chociaż nie chciała więcej. Zgodziła się na kompromis i wykonała gest dobrej woli wobec Charliego.

Milcząc, szli dalej w stronę śródmieścia, a potem skręcili na wschód w Dziewięćdziesiątą Pierwszą. Oboje zmarzli już na kość. Zapowiadała się śnieżycą. Kiedy dotarli pod frontowe drzwi jej domu, odwróciła się do niego z uśmiechem. Teraz mogła go zaprosić, skoro już wiedział, że nie wynajmuje małej kawalerki na tyłach i że cały dom do niej należy.

– Wejdiesz na chwilę? – zapytała go nieśmiało, szukając klucza na dnie torebki.

– Naprawdę tego chcesz? – zapytał ostrożnie.

Kiwnęła głową. Chciała, żeby wszedł. Zapadł już zmrok. Spędzili ze sobą czas od lunchu, który dość się przeciągnął. Mieli wiele do nadrobienia i oboje przyznali przy lunchu, że bardzo za sobą tęsknili. Charliemu brakowało rozmów z Carole, opowieści o jej pracy, dzielenia się z nią codziennymi kłopotami i emocjami. Nauczył się polegać na jej trzeźwych, mądrych radach. Bolesnie odczuł jej brak, podobnie jak ona nie dawała sobie rady bez niego.

Weszli do małego, eleganckiego westybulu z piękną czarnobiałą marmurową posadzką. Na parterze znajdowały się dwa małe saloniki, jeden wychodzący na uroczy ogródek. Na piętrze była piękna bawialnia z kominkiem, z dużymi, wygodnymi, miękkimi fotelami i sofami, umeblowana angielskimi antykami, które Carole zabrała bez pozwolenia z jednego z domów należących do rodziców. Mieli więcej takich mebli na składzie. Dom był wytworny, ale jednocześnie ciepły i przytulny, podobnie jak sama właścicielka, pogodna i dystygowana. Wypełniały go przedmioty, które wiele dla niej znaczyły, nawet rysunki dzieci z ośrodka – cudowny melanz starego i nowego, rzeczy kosztownych i nieposiadających ceny, i różnych osobliwości przywiezionych z podróży. Do dużej, wygodnej kuchni przylegała

niewielka klasyczna jadalnia o ciemnoczerwonych ścianach, na których wisiały angielskie ryciny myśliwskie, należące niegdyś do dziadka Carole. Na górze miała wielką, słoneczną sypialnię i pokój gościnny. Najwyższe piętro zamieniła w małe domowe biuro. Oprowadziła Charliego po domu, który zrobił na nim duże wrażenie.

– Nigdy nikogo nie zapraszam, z oczywistych powodów – powiedziała ze smutkiem, kiedy zeszli z powrotem do kuchni. – Chętnie zaprosiłabym czasem gości na obiad, ale po prostu nie mogą.

Udawała biedną i prowadziła podwójne życie. Charlie zdawał sobie sprawę, że czuła się samotna, podobnie jak on, chociaż z innych powodów. Ona nadal miała rodziców, ale nie kochała ich i nigdy nie zaznała ich miłości. Emocjonalnie nigdy nie zaistnieli w jej życiu. On nie miał nikogo. Dotarli do tego samego miejsca, chociaż szli odmiennymi drogami.

Poczęstowała go gorącą czekoladą w przytulnej kuchni. Siedzieli przy kuchennym stole, na dworze zapadał zmierzch. Charlie znowu wspomniął, że nienawidzi świąt i że zawsze myśli o nich ze strachem. Nie pytała go o świąteczne plany, sądziła, że to za szybko. Dopiero dziś wszedł z powrotem w jej życie. Potem zaofiarował się rozpalić w kominku. Usiedli wygodnie na kanapie w głównej bawialni, przy płonącym ogniu, i rozmawiali przez wiele godzin. Każde z nich rozsypywało dookoła swoje życie niczym kawałki układanki, które stopniowo zaczynały do siebie pasować, tu kawałek nieba, tam drzewo, przepływająca chmura, dom, trauma z dzieciństwa, złamane serce, ulubione zwierzątko, jak bardzo kochał siostrę, jak się załamał po jej śmierci, jaka samotna była jako dziecko. Wszystko dopasowało się idealnie, lepiej niż mogli przypuszczać.

Dopiero po ósmej zaproponowała, że przygotuje mu obiad. On uprzejmie zaprosił ją gdzieś na miasto, ale właśnie zaczęło padać i oboje zgodzili się, że w domu jest o wiele przytulniej. Stojąc obok siebie przy kuchence, razem ugotowali pastę i usmażyli omlety, które zjedli z francuskim chlebem, serem i sałatką. Zanim obiad dobiegł końca, oboje zaśmiewali się z zabawnych historyjek, które opowiadała Carole. Charlie mówił o egzotycznych miejscach, jakie zwiedził, pływając jachtem. Kiedy wrócili do salonu, Charlie wziął ją w ramiona i pocałował, a potem nagle wybuchnął śmiechem.

– Z czego się śmiejesz? – zapytała trochę nerwowo.

– Przypomniało mi się Halloween i twoja zielona twarz. Wyglądałaś tak zabawnie.

Wtedy pocałował ją po raz pierwszy i oboje dobrze to pamiętali. Wkrótce potem wybuchła między nimi straszliwa awantura.

– Nie tak zabawnie jak ty z lwim ogonem sterczącym do góry. Dzieci ciągle o tym mówią. Strasznie im się spodobało. Uważają, że jesteś super, a Gabby miała się czego trzymać, kiedy za tobą łąziła.

Carole powiedziała, że następnego dnia wybiera się do ośrodka, a Charlie zapragnął z nią pójść. Tęsknił za dziećmi, zwłaszcza za Gabby.

– Powiedziałam im, że wyjechałeś – wyjaśniła Carole.

Pokiwał głową. Brakowało mu wszystkich, ale najbardziej Carole. A potem, kiedy znowu ją pocałował, spojrzała mu w oczy. Zobaczyła w nich taki spokój i łagodność, że poczuła się, jakby wróciła do domu.

– Nie chcesz pójść na górę? – zapytała delikatnie.

Przytaknął. Bez słowa poszedł za nią po schodach do jej sypialni. Potem stanął i wpatrywał się w nią przez chwilę, która trwała bez końca.

Nie chciał jej popędzać. Pamiętał, jak niechętnie zgodziła się na pierwszą randkę, zaledwie dwa miesiące wcześniej. Dużo się wydarzyło od tamtego czasu i jego czterotygodniowa nieobecność przekonała ją, że go kocha. Chciała podjąć ryzyko. Dla niej upłynęło już odpowiednio dużo czasu.

Umościli się wygodnie w wielkim łóżku, gdzie sama zwykle sypiała pośrodku. Leżała obok niego i miała wrażenie, że już to zna. Miłość przyniosła im jednocześnie radość i odprężenie, napiętność i spokój. Właśnie tego oboje pragnęli, intymności dzielonej z drugą osobą. Na dworze padał śnieg jak ze świątecznej pocztówki, a oni leżeli w swoich ramionach jak we śnie.

Rozdział 20

Weekend po Święcie Dziękczynienia minął dla Graya i Sylvii spokojnie. Ona poszła w sobotę do galerii, gdzie miała sprawy do załatwienia. Gray wyruszył do pracowni, żeby malować. W niedzielę siedzieli w łóżku, otoczeni rozrzuconymi płachtami „New York Timesa”, on uczył ją rozwiązywać krzyżówki, w końcu kochali się i znowu zasnęli.

Charlie nie odezwał się ani razu od czasu świątecznego obiadu. Oboje mieli nadzieję, że posłuchał ich rady, ale nie mogli tego sprawdzić. W niedzielę rano na ziemi leżało osiem centymetrów śniegu. Wieczorem Sylvia ugotowała obiad, Gray czytał książkę w salonie. Przy obiedzie gawędzili wesoło o mało ważnych sprawach, kiedy nagle Gray zapytał ją, kiedy dzieci wracają do domu. Do tej pory o tym nie myślał i teraz miał przerażoną minę. Wiedziała, że bał się spotkania z nimi i podejrzewał, że mogą nie zaaprobować ich romansu.

– Chyba na kilka dni przed Gwiazdką. Gilbert pisał, że dwudziestego trzeciego, Emily nigdy nie mówi niczego dokładnie. Złapie samolot w ostatniej chwili i wpadnie tu jak burza. Jak zwykle.

– Tego właśnie się boję – wyznał Gray ze zmartwioną miną. – Sylvio, ja po prostu nie wiem, czy to dobry pomysł.

– Że moje dzieci przyjeżdżają na święta? Żartujesz? – zapytała zaskoczona. Dzieci zawsze były światłem jej życia. W żadnym razie nie zamierzała im zabronić przyjazdu, nawet dla niego. – Co ty mówisz?

– Mówię – zaczął i zaczerpnął powietrza – że nie wiem, czy jestem gotowy, żeby je poznać. Chyba powinienem zostać w pracowni, dopóki tu będą.

Sylvia miała na dole malutką kawalerkę, gdzie dzieci się zatrzymywały, kiedy przyjeżdżały do domu. Przez resztę czasu wykorzystywała ją jako magazyn. Nie było powodu, żeby Gray się od niej wyprowadzał, jak to już mu wyjaśniła przed kilkoma tygodniami.

– Skarbie, oni cię pokochają – rzuciła swobodnie, żeby rozproszyć jego obawy.

– Nie radzę sobie z dziećmi.

– To nie są dzieci, tylko dorośli.

– Ty tak myślisz. Dzieci to dzieci, wszystko jedno, mogą nawet mieć po osiemdziesiąt lat. Jeśli czyjaś stuletnia matka ma przyjaciela, osiemdziesięcioletni dzieciak się wkurzy. To prawo natury – stwierdził z przekonaniem.

– Bzdura, nigdy nie sprawiały kłopotów Gordonowi, a przecież były wtedy młodsze. – Gordon był jej kochankiem, który umarł. – Wierz mi, to wspaniałe dzieciaki i od razu je polubisz.

– Niekoniecznie – odparł ze smutkiem. Zaniepokojona podniosła na niego wzrok.

– Co ty mówisz?

Wyczuwała, że chodzi o coś więcej. Wiedziała, że obawiał się spotkania z dziećmi, ale nie sądziła, że do tego stopnia.

– Tego rodzaju zobowiązania mnie przerażają. Dopóki mam do czynienia z tobą jest

świetnie. Ale jeśli wciągasz w to dzieci, zaczynam panikować.

– Gray, na litość boską, to wariactwo. Zostaną tu tylko przez parę tygodni. Po świętach mieli jechać z nią na narty i chciała, żeby Gray też tam był.

Wiedziały już, że w jej życiu pojawił się mężczyzna, i żadnemu z nich to nie przeszkadzało. Zdawały sobie sprawę, jaka samotna była ich matka od śmierci Gordona.

– Chyba powinienem usunąć się ze sceny, dopóki nie wyjadą – powtórzył stanowczo, z każdą chwilą coraz bardziej zdecydowany.

Sylvia była urażona, oburzona i zła.

– Wyjaśnijmy to sobie – rzuciła przez zaciśnięte zęby. – Nie chcesz poznać moich dzieci i nie chcesz się ze mną spotykać, dopóki nie wyjadą. Tak? Dobrze zrozumiałam?

– Tak. Możesz przyjść do mnie do pracowni, kiedy tylko zechcesz.

– Nie zechcę – warknęła i zaczęła nerwowo krążyć po pokoju. – Nie mam zamiaru się wiązać z mężczyzną, który nie chce poznać moich dzieci. To cudowne dzieci i kocham je. Ciebie też, Gray, ale one są częścią mnie. Nawet nie wiesz, kim jestem, dopóki ich nie poznasz.

– Owszem, wiem. I też cię kocham – zapewnił, choć minę miał nietęgą. Nie spodziewał się po niej takiej zdecydowanej reakcji. – Ale nie pozwolę się przemocą wpakować w sytuację, która mnie przerasta. Nie poradzę sobie z takim zobowiązaniem. Po prostu nie umiem. Znam siebie. Nigdy nie chciałem mieć dzieci i nie chcę mieć cudzych.

– To powinieneś znaleźć sobie kobietę, która nie ma dzieci.

– Może tak – mruknął, wpatrując się w podłogę.

– Kiedyż to doszedłeś do takich wniosków?

Jego słowa wprawiły ją w przerażenie. Nigdy się po nim nie spodziewała, że będzie tak nierozsądny.

– Jak tylko mi powiedziałaś, że przyjeżdżają na święta. Planowałem, że zniknę dyskretnie na parę tygodni.

– A co z letnimi wakacjami? Do Europy też ze mną nie pojedziesz?

Lubiła spędzać z nim czas we dwoje, ale jego argumenty uznała za nedorzeczne, a nawet małostkowe. Nie chciał nawet kiwnąć palcem, żeby poznać jej dzieci i stać się częścią jej życia, ważną częścią, przynajmniej dla niej.

– Chciałam, żebyś pojechał z nami na narty – westchnęła z rozczarowaniem. Wynajęła już piękny dom w Vermont.

– Nie jeżdżę na nartach.

– Ani ja. Ale one jeżdżą. I zawsze się dobrze bawimy.

– W tym roku też się zabawicie, tyle że beze mnie.

– Cholerny gnojek! – krzyknęła, wpadła do sypialni i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Kiedy wyszła dwie godziny później, Gray wyszedł już na noc do pracowni, po raz pierwszy od trzech miesięcy. Poczuli się okropnie. Zadzwoiła do niego, ale powiedział, że pracuje i nie chce rozmawiać.

– Do diabła – mruknęła do siebie i znowu zaczęła nerwowo spacerować.

Nie miała pojęcia, jak go przekonać. Wiedziała, że miał przykre dzieciństwo i

zwariowaną rodzinę, zapowiedział też na początku, że życie rodzinne nie jest dla niego. Po prostu nie spodziewała się po nim takich skrajności. Nawet nie chciał ich zobaczyć. Chciał tylko jej. Wiedziała, że jeśli Gray nie ustąpi, wcześniej czy później wpłynie to na ich związek – raczej wcześniej niż później. Nie mogła zdecydować, czy zostawić go w spokoju i czekać, aż sam zmięknie, czy nakreślić granicę i postawić mu ultimatum. W obu przypadkach mogła go stracić.

Trzej muszkietierowie, jak Sylvia teraz ich nazywała, spotkali się na obiedzie w chińskiej restauracji dwa tygodnie przed Gwiazdką. Wszyscy byli zabiegani i zdenerwowani. Charlie narzekał, że musi załatwić milion spraw związanych z fundacją, zanim wypłynie w rejs. Klienci Adama całkiem zwariowali, w weekend leciał do Vegas, gdzie jeden z nich walczył o tytuł mistrzowski. A Gray wydawał się po prostu przygnębiony.

– I jak tam nasze gołąbeczki? – droczył się z nim Charlie, kiedy zaczęli jeść.

Gray tylko pokręcił głową.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że Sylvia i ja prawie ze sobą nie rozmawiamy. Mieliśmy kilka trudnych tygodni od Święta Dziękczynienia.

– Co się stało? – zdumiał się Charlie. – Wszystko wyglądało dobrze, kiedy u was byłem.

Wyglądało lepiej niż dobrze. Wyglądało wspaniale.

– Nie znoszę dzieci.

– Wiem – uśmiechnął się Charlie. – To działka Adama. Dwudziestodwulatki. Sylvia jest urocza, ale nie jest dzieckiem.

– Nie, ale ma dzieci. A ja nie chcę ich poznawać. Przyjeżdżają na Boże Narodzenie i po prostu nie mogę tam pójść. No, nie mogę. Dostaję wysypki na samą myśl o tym. Każda rodzina doprowadza mnie do szału. Robię się nerwowy, wpadam w depresję. Nie chcę poznawać jej dzieci. Kocham ją, a nie jej dzieci.

– O cholera. A co ona na to? – zapytał Charlie z niepokojem.

– Jest wkurzona. Pewnie urażona. Nie mówi tego, ale przeczuwam, że jeśli nie ustąpię, koniec z nami, a ja nie ustąpię. Chcę zachować szacunek dla siebie. Mam swoje ograniczenia i problemy. Wychowałem się w rodzinie Addamsów, funkcjonujących na LSD. Moja siostra jest buddyjską mniszką, brat Indianinem Navajo, nie widziałem go od miliona lat i nie chcę widzieć. A rodzice byli parą czubków. Mam alergię na rodziny.

– Nawet na jej rodzinę? – drażył Charlie.

– Nawet – potwierdził Gray. – Po świętach jada do Vermont – oznajmił takim tonem, jakby lecieli w kosmos. – Na narty – dodał z miną świadcząca, że wolałby krzesło elektryczne.

– Może będziesz się dobrze bawił.

– Nie będę. Pewnie wcale nie są tacy mili, jak ona uważa. A nawet jeśli są, mam własne kłopoty. Nie chcę się wiązać z jej rodziną, tylko z nią.

Ale wiedział, że jeśli uprze się przy swoim, może zniszczyć ten układ. Czuł, że nie ma wyboru. Charlie serdecznie żałował ich obojga. Rozumiał, ile to znaczy dla Sylvii, była taka

dumna ze swoich dzieci i taka zakochana w Grayu. A on był z nią szczęśliwy.

– Mam nadzieję, że jakoś to rozwiążecie – powiedział łagodnie. – Byłaby wielka szkoda. Potem opowiedział przyjaciółom o Carole.

– Posłuchałem waszej rady – oznajmił z dumą i dodał: – Mam nadzieję, Gray, że teraz ty posłuchasz mojej i zgodzisz się na kompromis. Bo jeśli nie, to później będziesz żałował.

– Na pewno będę żałował – przyznał Gray z rezygnacją, gotów zapłacić każdą cenę za swoją decyzję i nawet stracić Sylwię, byle tylko nie spotkać jej dzieci.

– Mam nowinę – odezwał się Adam z lekkim zażenowaniem, a tamci spojrzeli na niego. – Pamiętasz Maggie, tę z koncertu Vany? – zwrócił się do Charliego, który kiwnął głową. – Właśnie się do mnie wprowadziła.

Wydawał się jednocześnie dumny i zawstydzony. Dwaj przyjaciele wytrzeszczyli na niego oczy.

– Co takiego? – zakrztusił się Charlie. Pamiętał, jak Maggie wyglądała tamtego wieczoru, i szczerze jej żałował. Wyglądała na miłą dziewczynę, trochę zagubioną. – Ty? Facet, który twierdził, że nigdy więcej nie da się wrobić w żaden związek, bo ceni sobie wolność i chce zaliczyć milion kobiet? Jak to się stało?

Maggie nie wyglądała na osobę, która przymyka oko, ale kto wie? Zresztą może w jakiś sposób nawróciła Adama.

– Ona chodzi do szkoły wieczorowej, żeby się przygotować do studiów prawniczych. Pomyślałem, że pomogę jej przy referatach – odparł Adam, siląc się na niedbały ton.

– Powiedz to swojej babci.

– No dobrze, dobrze... naprawdę ją lubię... kocham... bo ja wiem? Najpierw się spotykaliśmy, a potem nagle nie mogłem bez niej wytrzymać. Jeszcze jej nie mówiłem, ale zabieram ją w ten weekend do Vegas. Nigdy tam nie była.

Nigdzie nie była, on jednak miał zamiar szybko to zmienić.

– Powiedziałaś jej o jachcie? – zapytał Charlie.

Dwudziestego szóstego grudnia, po świętach spędzonych z dziećmi, Adam leciał do St. Barts, żeby jak co roku popływać z Charliem na jachcie. Adam pokręcił głową, udając bez troskę.

– Myślałem, że powiem jej po weekendzie. – Miał nadzieję, że po takim ekscytującym weekendzie Maggie nie zrobi mu awantury z powodu jachtu. – Nie mogę wszystkiego zmieniać. Odbywamy ten rejs od dziesięciu lat. Powiedziałaś Carole?

– Nie, ale powiem. Nie znoszę świąt – oświadczył stanowczo Charlie.

– Nie znoszę dzieci – odezwał się równie stanowczo Gray.

– Chcesz z nami wyjechać do St. Barts? – zaproponował Charlie. – Skoro nie spędzisz świąt z Sylwią, równie dobrze możesz popłynąć z nami.

– Karaibów też nie znoszę – odparł Gray z zakłopotaniem, a potem roześmiał się z siebie samego. – Chryste, do spółki mamy tyle kompleksów, że możemy napisać podręcznik.

Każdy, kto przeszedł długą, trudną drogę i dotarł w życiu tak daleko jak oni, musiał zapłacić wysoką cenę. Oni zapłacili.

– Nie znoszę małżeństwa – dodał Adam i wybuchnął śmiechem.

– Powiedz mi to za rok – zaśmiał się Charlie. – W życiu się nie spodziewałem, że zamieszkas z kobietą. Co się stało ze wszystkimi innymi, którymi zawsze tak zręcznie żonglowałeś?

Ciekawość nie dawała mu spokoju. Adam zawsze miał co najmniej cztery kobiety jednocześnie, często pięć, czasami sześć w dobrym tygodniu. A raz siedem.

– Rzuciłem je dla niej – odparł z zakłopotaniem. – Nie chciałem, żeby traktowała mnie tak samo. Myślałem, że mnie zdradza. Okazało się, że chodzi do szkoły wieczorowej. Myślałem, że ma innego. Szczerze mówiąc, to mnie doprowadzało do szaleństwa. A potem zrozumiałem, że ją kocham. Lubię z nią mieszkać.

– Ja tylko nocuję u Sylvii – przypomniał Gray. – Jeszcze z nią nie zamieszkałem.

Wydawał się dumny, że jeszcze się nie poddał.

– To tylko znaczy, że trzymasz ubrania po całym mieście i nigdy nie masz właściwych butów we właściwym mieszkaniu – wyjaśnił mu Adam. – I nie będziesz u niej nawet „nocował”, jeśli nie poznasz jej dzieci. Przynajmniej tak podejrzewam. Myślę, że dla niej to ważna sprawa. I wcale się jej nie dziwię. Też bym się wściekał, gdyby moja dziewczyna nie chciała poznać moich dzieci. Dla mnie to koniec związku.

Gray przyjął to do wiadomości, ale nadal kręcił głową.

– Czy twoje dzieci poznały Maggie? – zapytał Charlie z zainteresowaniem.

– Jeszcze nie. Ale poznają, pewnie tuż przed świętami. Przy okazji, matek też już nie znoszę. W każdym razie na Święto Dziękczynienia. Pojechałem do rodziców i siedziałem tam, a oni jak zwykle ciosali mi kołki na głowie. Wstałem i wyszedłem przed lunchem. Myślałem, że matka dostanie zawału, jeśli zrobię coś takiego, ale nie dostała. Właściwie od tamtej pory jest bardzo uprzejma, ilekroć dzwonię.

– Co powiedział ojciec? – zapytał Gray.

– Zasnął.

Reszta obiadu minęła spokojnie. Przyjaciele rozmawiali o polityce, interesach, inwestycjach, sztuce (ze względu na Graya). W kwietniu miał wystawę, ale galeria sprzedała już trzy z jego obrazów. Sylvia dokonała cudu, otwierając przed nim te drzwi, i był jej bardzo wdzięczny, ale nie aż tak, żeby poznać jej dzieci. Niektórych rzeczy po prostu nie mógł zrobić. Adam i Charlie rozmawiali z ożywieniem o dwóch tygodniach, które zamierzali spędzić na pokładzie „Blue Moon”. Namawiali Graya, żeby do nich dołączył, on jednak nie chciał. Twierdził, że ma dużo pracy, żeby się przygotować do wystawy.

Jak zwykle ostatni wyszli z restauracji i sporo wypili. Zazwyczaj żaden z nich nie pił dużo, ale kiedy się spotkali, mogli zwolnić hamulce i pójść na całość.

Gray wrócił do pracowni. Maggie spała, kiedy Adam przyszedł do domu. Charlie wracał uśmiechnięty, rozmyślając o dwóch tygodniach na jachcie. Wyjeżdżał cztery dni przed Bożym Narodzeniem i w ten sposób mógł udawać, że święta nie istnieją.

Rozdział 21

Następnego ranka Adam powiedział Maggie o weekendzie w Las Vegas. Wpadła w zachwyt. Wprawdzie musiała napisać referat, ale powiedziała, że zabierze książki ze sobą i zrobi to, kiedy Adam będzie zajęty. Zarzuciła mu ramiona na szyję. Nie mogła uwierzyć we własne szczęście. Lecieli tam jego prywatnym samolotem. A potem popatrzyła na niego z paniką w oczach.

– W co się ubiorę?

Teraz, kiedy z nim mieszkała, nie miała już dostępu do garderoby współlokatorek, ale i tak nie znalazłaby tam nic odpowiedniego. Adam już o tym pomyślał. Uśmiechnął się i rzucił jej kartę kredytową.

– Idź na zakupy – zaproponował hojnie.

Maggie patrzyła na niego przez dobrą minutę, a potem oddała mu kartę.

– Nie mogę tego zrobić – powiedziała ze smutkiem. – Może jestem biedna, ale nie tania.

Wiedziała, że inne kobiety korzystały z pieniędzy Adama, postanowiła jednak, że w żadnym wypadku tak nie postąpi. Pewnego dnia sama zacznie zarabiać pieniądze. Do tej pory wystarczało jej to, co miała, czyli pensja i napiwki z Pier 92.

– Dziękuję, kochanie. Coś wymyślę.

Wiedział, że można na niej polegać, ale serce mu się ścisnęło. Miała takie ciężkie życie, znacznie cięższe niż on. Chciał jej pomóc, ale nigdy mu na to nie pozwalała. Szanował ją za to. Należała do całkiem innego gatunku niż kobiety, które znał dotąd.

W piątek po południu lecieli do Las Vegas. Maggie była tak przejęta, że nie mogła usiedzieć na miejscu. Uwielbiał sprawiać jej przyjemność. Nie mógł się już doczekać chwili, kiedy pokaże jej miasto. Pragnął jej wynagrodzić wszystkie trudne chwile, a ona zawsze okazywała wdzięczność i nigdy nie przyjmowała tego jak rzeczy należnej. W następny weekend, po wyprawie do Las Vegas, zamierzał świętować Chanukę z nią i swoimi dziećmi. Uprzedził już matkę, że nie przyjdzie. Czasy w końcu się zmieniły.

Kiedy Charlie przyjechał po Carole, żeby ją zabrać na bal debutantek, była już ubrana i czekała na niego. Wyglądała tak, że dech mu zapało. Miała na sobie różową satynową suknię i srebrne sandały na wysokich obcasach. Włosy zwinęła w elegancki francuski kok. Pożyczyła od matki biały żakiet z norek, a suknię kupiła u Bergdorfa. Nie zaglądała tam od lat. Nosiła brylantowe kolczyki i brylantową bransoletkę, należące przedtem do jej babki, i długie białe rękawiczki z koźlej skóry, a w rękę trzymała małą srebrną torebkę.

Przez długą, długą chwilę Charlie tylko stał i patrzył. Sam włożył frak i białą muszkę. Tworzyli wyjątkową parę. Carole wyglądała jak skrzyżowanie Grace Kelly i Urny Thurman, z odrobiną Michelle Pfeiffer. A Charlie przypominał Gary'ego Coopera i jednocześnie Cary'ego Granta.

Oglądano się za nimi, kiedy weszli do sali balowej hotelu Waldorf-Astoria. Carole wyglądała absolutnie po królewsku, jak nie ta sama kobieta, którą widywał w ośrodku ubraną

w dzinsy i adidasy albo na zabawie w Halloween z peruką i zieloną twarzą. Najciekawsze jednak, że kochał wszystkie trzy jej oblicza. Przyjemnie było pokazać się z nią publicznie i oglądać ją taką wystrojoną.

Przeszli przez powitalną kolejkę i poznali wszystkie debutantki, a Carole *sotto voce* wspominała własną prezentację. Opowiadała, że umierała ze strachu, ale w końcu świetnie się bawiła, wbrew sobie.

– Założę się, że wyglądałaś cudownie – powiedział Charlie, patrząc na nią z podziwem. – Ale teraz wyglądasz jeszcze lepiej. Jesteś absolutnie piękna.

Zawirował z nią po sali w powolnym walcu. Tańczył znakomicie, podobnie jak ona. Cała ogląda nabyta w młodości lśniła pełnym blaskiem właśnie w takich chwilach, szkoły tańca, bale debutantek, wszystko to, co Carole odrzuciła i próbowała wymazać z pamięci. Dziś wieczorem jednak powróciła do starego świata, chociaż na krótko. Charlie wiedział, że nieczęsto zdoła ją nakłonić do takich rzeczy, ale to mu nie przeszkadzało. Niekiedy sam miał ich dosyć. Po prostu od czasu do czasu lubił mieć taką możliwość.

Wkrótce po kolacji wpadli na jej rodziców. Carole wskazała ich Charliemu i uprzejmie podeszli do ich stolika. Van Hornowie siedzieli wśród nowojorskiej arystokracji. Ojciec wstał, gdy tylko ich zobaczył. Był wysokim, dystyngowanym mężczyzną, bardzo podobnym do córki. Podał rękę Charliemu, ale zachował kamienny wyraz twarzy. Charlie poznał go już przed laty, wątpił jednak, czy starszy pan go pamięta.

– Znałem pańskiego ojca – oznajmił Arthur Van Horn. – Byliśmy razem w Andover. Bardzo się zmartwiłem, kiedy usłyszałem o tej tragedii. To wielka strata.

Nie był to dla Charliego przyjemny temat. Carole próbowała skierować rozmowę na inne tory. Jej ojciec rzucał jakby cień na otoczenie, taki miał sposób bycia. Carole przedstawiła też Charliego matce, która siedziała w lodowatym milczeniu. Podała mu rękę, kiwnęła głową i odwróciła wzrok. Tylko tyle. Carole i Charlie wrócili do swojego stolika, a potem jeszcze raz zatańczyli.

– Potrafią człowieka onieśmielić – pokręcił głową Charlie.

Carole parsknęła śmiechem. Takie powitanie było typowe dla jej rodziców i z Charliem nie miało nic wspólnego.

– Całkiem ciepło cię potraktowali, jak na nich. – Stanowili karykaturę klasy wyższej, do której należeli. – Wątpię, czy matka chociaż raz w życiu mnie uścisnęła albo pocałowała. Zawsze wchodziła do pokoju dziecinnego, jak go nazywała, z taką miną, jakby zwiedzała zoo i bała się, że zwierzęta ją zaatakują, jeśli zostanie dłużej. Nigdy nie widziałam jej dłużej niż przez pięć minut. Jeśli kiedyś będę miała dzieci, chcę leżeć z nimi na podłodze, brudzić się, całować i ścisnąć do utraty tchu.

– Moja matka była taka, jak to opisujesz.

Tym trudniej zniósł jej śmierć. Zawsze mu mówiła, jak bardzo go kocha, podobnie jak Ellen. Ojciec był jego nauczycielem i najlepszym przyjacielem aż do śmierci. Był dla niego wzorem. Charlie stracił właściwie cały swój świat. Pamiętał ojca jako szczęśliwego, niefrasobliwego człowieka, który wyglądał jak Clark Gable i kochał jachty. Pewnie dlatego i on kupił jacht, kiedy rodzice zginęli. Chciał mieć łódzie, które ojciec by pochwalił. Zwierzył

się Carole, jakie dziwne mu się wydaje, że dzieciństwo określa właściwie całe dorosłe życie.

– Chyba po prostu zawsze chcemy zadowolić naszych rodziców – powiedział, kiedy siedli do kolacji.

Wieczór upłynął przyjemnie, dziewczęta były ładne, niektóre chwile wzruszające. Debiutantki tańczyły najpierw z ojcami, trzymając bukiety, w długich, strojnych białych sukniach. Przypominało to wesele i czasem nawet je poprzedzało. Dawniej debiutantki prezentowano w towarzystwie, żeby znalazły mężów. Teraz dziewczęta po prostu dobrze się bawiły, a na koniec wieczoru przebierały się w minispódniczki i biegły na dyskoteki z przyjaciółmi.

– Zasadniczo potępiam ten zwyczaj – przyznała Carole – i wszystko, co reprezentuje. Ale właściwie nie ma to wielkiego znaczenia i nikomu nie szkodzi. Nie jest politycznie poprawne, ale młodzież chyba dobrze się bawi. No więc czemu nie?

Charlie poczuł ulgę, słysząc, że Carole tak sądzi. Znowu patrzył na nią z przyjemnością, kiedy odwoził ją do domu limuzyną, którą wynajął na tę okazję. Spędzili bardzo elegancki wieczór i obojgu się to podobało.

– Dziękuję, że mnie zaprosiłeś – uśmiechnęła się do niego.

Pochylił się i pocałował ją. Pomyślał, że to najpiękniejsza kobieta na świecie. Był dumny, że jest z nią, chociaż trochę go przerażali jej rodzice. Nie wyobrażał sobie dzieciństwa z takimi ludźmi. Zadziwiająco, że Carole wyrosła na normalną osobę, na szczęście niepodobną do rodziców. Miała w sobie dużo ciepła, dobroci i współczucia, była łagodna i miła, nie tak sztywna jak oni. Uśmiechała się do niego radośnie, kiedy podjechali pod jej dom.

– Nie mogę się już doczekać, żeby spędzić z tobą Gwiazdkę – powiedziała. – Kocham święta. Pomyślałam, że jutro kupimy i ubierzemy choinkę.

Charlie drgnął, jakby go uderzyła w twarz. Nastąpiła dziwnie niezręczna chwila milczenia. Wiedział, że musi teraz jej powiedzieć, inaczej byłby kłamcą. Musiał jej powiedzieć prawdę, podobnie jak oczekiwał tego od niej.

Odezwwał się cichym, bardzo smutnym głosem:

– Nie będzie mnie.

– Jutro? – spytała zaskoczona.

– Nie. Na święta – odparł ostrożnie. – Nienawidzę świąt, każdej ich chwili. Już nie obchodzę Bożego Narodzenia. To dla mnie za trudne. Co roku spędzam je na jachcie. Nie będzie mnie przez trzy tygodnie.

Znowu zapadło długie milczenie. Carole patrzyła na niego, jakby nie wierzyła własnym uszom.

– Kiedy wyjeżdżasz? – zapytała w końcu.

Wyglądała, jakby uderzył ją cegłą w głowę. Niemal spodziewał się zobaczyć, że krew cieknie jej z uszu. Zrobiło mu się niedobrze, za nic nie chciał jej rozczarować. Ale pewnych rzeczy nie mógł zrobić dla nikogo, nawet dla niej.

– W przyszłym tygodniu – odparł z bólem, lecz stanowczo.

– Przed Gwiazdką? Kiwnął głową.

– Jadę do St. Barts z Adamem. To nasza tradycja. Robimy tak co roku.

Mówił tak, jakby się usprawiedliwiał, chociaż wiedział, że w jej oczach to nie jest usprawiedliwienie.

– Adam zostawia dzieci na święta? – spytała głosem pełnym dezaprobaty, bo takie postępowanie wydawało się jej krańcowym egoizmem.

– Przylatuje następnego dnia po Bożym Narodzeniu. Ja zawsze wyjeżdżam o tydzień wcześniej.

– Dlaczego nie polecisz z nim? Wtedy spędzimy razem Boże Narodzenie. Kompromis wydawał się rozsądny, ale Charlie pokręcił głową.

– Nie mogę. Znam siebie. Po prostu nie dam rady. Muszę się stąd wyrwać, zanim wszyscy się roztkliwią. Boże Narodzenie jest dla ludzi z dziećmi i rodzinami. Ja nie mam ani tego, ani tego.

– Masz mnie – powiedziała ze smutkiem.

W jakiś sposób wiedziała, że jest za wcześnie, żeby wymagać od niego takich poświęceń, ale przecież łączył ich związek, przecież wyznali sobie miłość, a święta wiele znaczyły dla Carole. To chyba się liczyło. Widocznie jednak nie dla Charliego.

– Urządźmy coś, kiedy wrócę – obiecał na pocieszenie. Carole jednak w zamyśleniu wyglądała przez okno.

– Wtedy nie będę mogła się wyrwać. Nie planowałam niczego specjalnego. – Odwróciła się znowu do niego. – Chciałam tylko być z tobą. I tak muszę wtedy pracować. Nie mogę po prostu zostawić dzieci, kiedy przyjedziesz, tylko dlatego że nie chcesz spędzić ze mną świąt.

– Nie chodzi o ciebie – tłumaczył z nieszczęśliwą miną. – Nienawidzę tych cholernych świąt. Wymyślono je specjalnie po to, żeby wywoływać przygnębienie i poczucie wyobcowania. Nawet dzieci nigdy nie dostają tego, czego chcą. Ludzie się kłócą, dzieci się biją. Święty Mikołaj to kłamstwo, które wmawiamy dzieciom, a później przeżywają rozczarowanie, kiedy mówimy im prawdę, bo uznaliśmy je za dostatecznie duże. Nie znoszę tego wszystkiego i nie dam się zrobić.

– Może miłość zawsze oznacza rozczarowanie – powiedziała, patrząc mu prosto w oczy.

– Miałem nadzieję, że potrafisz przyjąć odmowę – rzucił spiętym głosem, kiedy zajęchali przed jej dom.

– Miałam nadzieję, że będziesz ze mną.

Perspektywa świąt z rodzicami przygnębiała ją jeszcze bardziej, z oczywistych powodów. Zamierzała spędzić większość czasu w ośrodku, a resztę z nim. Nic nie wyszło z jej planów.

Pomógł jej wysiąść z samochodu i odprowadził do frontowych drzwi. Zepsuł ten wieczór swoim wyznaniem i teraz bał się nawet ją pocałować. Chociaż nic nie powiedziała, obawiał się, żeby nie uznała tego za powód do zerwania. Wiedział jednak, że tej jednej rzeczy nie może i nie chce dla niej zrobić.

– Zadzwoń do ciebie jutro – powiedział łagodnie, kiedy wprowadził ją do domu.

Nie spytał, czy może zostać, a ona go nie zapraszała. Za bardzo zdenerwowała się tą rozmową. Widocznie ich związek nie był taki, jak myślała. Charlie nie chciał z nią spędzić świąt, ani sylwestra, skoro wyjeżdżał na trzy tygodnie. Czekał ją następny samotny sylwester.

– Dobranoc – powiedziała cicho i pocałowała go w policzek.

Po chwili wyszedł. Stała w oknie i patrzyła na odjeżdżającą limuzynę.

W drodze do domu słowa Carole dźwięczały Charliemu w uszach: „Może miłość zawsze oznacza rozczarowanie”. Gorzkie stwierdzenie, na które chyba zasłużył. Tym razem jednak oboje doznali rozczarowania. On liczył, że ona zrozumie, jakie to dla niego bolesne. Nie rozumiała. Ona liczyła, że on z nią zostanie. Nie chciał. Nawet dla niej, bez względu na cenę, jaką przyjdzie im za to zapłacić.

Rozdział 22

Maggie spędziła bajeczny weekend w Las Vegas. Wszystko ją zachwycało. Przedstawienia, sklepy, światła, gra, ludzie, nawet walka bokserska. W końcu Adam kupił dla niej suknię i krótkie futerko, które włożyła na walkę. Wygrała na automatach pięćset dolarów po zainwestowaniu pięćdziesięciu z własnych pieniędzy i nie posiadała się z radości. Siedziała w samolocie wracającym do Nowego Jorku i czuła się jak księżniczka. Adam uśmiechał się do niej z przyjemnością.

– Cieszę się, że miałaś dobrą zabawę.

Uwielbiał ją rozpieszczać, pokazywać się z nią i popisywać przed ludźmi. Wyglądała absolutnie bosko w nowej sukni i futrzanej narzutce.

– Ubawiłam się za wszystkie czasy – potwierdziła i wylewnie mu podziękowała.

Schodzili do lądowania na lotnisku JFK, kiedy bez żadnego szczególnego powodu Maggie poruszyła temat sylwestra. Powiedziała, że byłoby fajnie powitać Nowy Rok w Las Vegas. Zakochała się w tym mieście. Dopasowała się idealnie do świata Adama, zamiast gderać jak jego matka.

– Tak, może kiedyś – odpowiedział wymijająco.

– A w tym roku? – zapytała z podnieceniem.

Wiedziała, że często tam latał i miał samolot, mogli więc wybrać się wszędzie, co stanowiło dla niej nowość. Czuła się jak ptak z ogromnymi skrzydłami.

– Nie mogę – odparł, wyglądając przez okno, a potem, podobnie jak Charlie, zrozumiał, że powinien jej powiedzieć. Wcześniej czy później musiała się dowiedzieć, a teraz nadeszła odpowiednia chwila. – Co roku wyjeżdżam z Charliem dzień po świętach.

– Męska wyprawa, jak polowanie albo coś? – zapytała z rozczarowaniem.

– Tak, coś w tym rodzaju.

Zamierzał chwilowo na tym poprzestać, ale ona nie popuściła.

– Dokąd jedziesz?

– Do St. Barts, na jachcie Charliego. Maggie popatrzyła na niego oburzona. – Na Karaiby? Na jachcie? Żartujesz?

– Nie, nie żartuję. Charlie nienawidzi świąt Bożego Narodzenia. Wyjeżdża tydzień wcześniej. A ja przyjadę po świętach spędzonych z dziećmi. Co roku tak robimy.

– Tak, i co jeszcze? Dmuchacie wszystkie laski na Karaibach?

– Przedtem tak było. Teraz nie. Teraz mam ciebie – odparł spokojnie. Nie chciał się z nią kłócić ani zmieniać swoich planów. Wyprawy z Charliem stanowiły tradycję, która wiele dla niego znaczyła.

– I nie prosisz mnie, żebym pojechała z tobą? – zapytała z taką miną, jakby chciała czymś w niego rzucić. Na szczęście nie miała nic pod ręką.

– Maggie, nie mogę. To jacht Charliego, a on będzie sam. To męska wyprawa.

– Akurat. Wiem, co robią faceci, kiedy są sami. Te same świństwa, które robiłeś, zanim mnie poznałeś.

– Charlie jest bardzo porządny. I teraz też ma dziewczynę.

– A ona jedzie? – zapytała podejrzliwie Maggie. Adam pokręcił głową. – Nie, nie jedzie. Tylko my dwaj.

– Na jak długo?

– Na dwa tygodnie.

Skrzywił się, kiedy zobaczył jej minę.

– Dwa tygodnie?! Więc mam tu siedzieć, a ty przez dwa tygodnie będziesz podrywał panienki? Chyba zwariowałeś, jeśli tak myślisz.

– Nie próbuj mi grozić – ostrzegł zirytowany. – Wiem, że się denerwujesz, ale nic na to nie poradzę. Nie sprawię zawodu Charliemu. I nie mogę go poprosić, żeby ciebie też zabrał. Czułby się niezręcznie, bo miałem przyjechać sam.

– Świetnie, życzę ci wystrzałowego sylwestra, kiedy będziesz go całował. Może właśnie o to chodzi. Czy on jest gejem?

– Na litość boską. Jesteśmy przyjaciółmi. Podróżujemy razem dwa razy w roku. Przepraszam, że to wypada akurat w sylwestra, ale nie wiedziałem, że cię spotkam. Przepraszam.

– A w przyszłym roku będzie inaczej?

– Może. Nie wiem. Nie chcę obiecywać, co będzie za rok. Zobaczymy, co z tego wyjdzie.

Usiłował mówić spokojnie, ale nie bardzo mu wychodziło. Od tej rozmowy głowa go rozboleła. Okropnie.

– Powiem ci, co z tego wyjdzie. Guzik wyjdzie, jeśli chcesz mnie odstawiać na święta i wyjeżdżać na wycieczki z kumplami. Jeśli nie chcesz spędzać ze mną świąt, w porządku, ale wtedy możesz sobie wsadzić gdzieś swoje zasady. Bo ludzie w związku spędzają święta razem, zwłaszcza sylwestra.

– Dzięki za informację. – Ścisnął już głowę obu rękami, ale ona nie zwracała na to uwagi, bo była wściekła. – Słuchaj, dopiero co spędziliśmy miło czas w Las Vegas, nie psujmy tego. Chcę, żebyś w przyszłym tygodniu poznała moje dzieci. Kocham cię. Chcę, żeby nam się udało. Po prostu muszę wyjechać na parę tygodni. Nie możesz się z tym pogodzić? Spróbuj być miła.

– Mili ludzie zawsze dostają w dupę. A ty wcale nie musisz jechać, tylko chcesz. Co na to dziewczyna Charliego?

– Nie mam pojęcia – odparł ponuro Adam.

– Założę się, że nie skacze z radości.

Kłótnia o spędzenie sylwestra oddzielnie trwała przez cały tydzień. Maggie przerwała ją tylko na weekend, żeby poznać dzieci Adama. Po wstępnych ostrożnych sondowaniach pokochały ją, a ona po prostu przepadała za nimi. Adam był zachwycony. Poszli razem na łyżwy, a Maggie zabrała Amandę na zakupy po gwiazdkowy prezent dla ojca. Opowiedzieli jej wszystko o święcie Chanuka, Maggie z kolei pokazała Amandzie, jak się malować, upiekła ciasteczka z Jacobem i udzieliła mu paru rad w kwestii dziewcząt. Dzieci uznały ją za ósmy cud świata: była dostatecznie młoda, żeby się z nimi bawić, i dostatecznie dorosła, żeby mogli brać z niej przykład. Adam spodziewał się oporu z ich strony, ale się przeliczył. Cała

trójka zdążyła się serdecznie zaprzyjaźnić, zanim Amanda i Jacob wyjechali. A potem wojna znowu wybuchała. Zawieszenie broni trwało tylko przez weekend.

Po balu debiutantek Charlie dwa razy jadł obiad z Carole, lecz od tamtego czasu panował między nimi wyraźny chłód. Carole początkowo nic nie mówiła i wreszcie przy drugim spotkaniu zapytała go, czy zmienił plany. Pokręcił głową.

– Carole, nie mogę.

Pokiwała głową w milczeniu. Chciał zostać u niej na noc, ale nie miał odwagi jej poprosić, tylko wrócił do siebie. Mocno podejrzewał, że jeśli wyjedzie na święta, po powrocie romans się zakończy. Nie potrafiła zwłaszcza zrozumieć, dlaczego Charlie wyjeżdża sam na pierwszy tydzień, podczas świąt. Według niej nie miał żadnego powodu, żeby nie poczekać do dwudziestego szóstego i wyjechać z Adamem. Nie próbował już jej tego tłumaczyć i postanowił rozmówić się z nią po powrocie. Jeśli jeszcze będą ze sobą rozmawiali.

W przeddzień wyjazdu Adam zadzwonił do niego do biura. Charlie pracował w szaleńczym pośpiechu, żeby dokończyć wszystkie sprawy. Adam powiedział, że u siebie ma taki sam młyn.

– Wszyscy moi klienci załamują się o tej porze roku. Jeśli w małżeństwie im się nie układa, decydują się na rozwód. Jeśli kochanki zrzędzą, dostają łomot. Jeśli dzieciaki wariują, trafiają do pierdła. Jeśli piosenkarka ma dosyć kontraktu, drze go na strzępy. Połowa moich sportowców upija się podczas świąt, wychodzi i kogoś gwałci. Zabawa na całego. Uwielbiam tę porę roku.

Adam wydawał się straszliwie zestresowany.

– Ja też – zaśmiał się Charlie. Nie bacząc na reakcję Carole, nie mógł się już doczekać wyjazdu. – Zakładam, że pomimo tych kłopotów wszystko jest na właściwej drodze. Jedziesz, prawda?

Zawsze warto sprawdzić, pomyślał. Ku jego wielkiemu zdziwieniu po tym retorycznym pytaniu nastąpiła pauza. Nagle usłyszał inny ton w głosie Adama.

– Maggie daje mi popalić – wyznał. – Myśli, że będziemy krążyć po Karaibach i wrywać wszystko, co się nawinie. Nie jest zachwycona.

Charlie roześmiał się z tego opisu, ale zaraz spoważniał.

– Carole też się złości, chociaż nie wyraziła tego tak obrazowo. Myślała, że spędzimy razem święta, a ja jej powiedziałem, że nie znoszę świąt. Miałem nadzieję, że ona zrozumie, ale nic z tego. Dla niej to chyba powód do zerwania.

Postanowił jednak, że nie pozwoli się do niczego zmuszać. Jeżeli ona tego nie zaaprobuje, to trudno. Chciał, żeby go akceptowała w pełni, ze wszystkimi słabościami. A jedną z nich było to, że nie znosił świąt od śmierci rodziców, a jeszcze bardziej od śmierci Ellen.

– Przykro mi to słyszeć – bąknął zmartwiony Adam. – Boję się, że Maggie uważa tak samo. Wielka szkoda, że po prostu nie mogą machnąć na to ręką, ale dla niektórych świąta to ważna rzecz. Święta i kobiety mają w sobie coś takiego, że jeśli źle się zachowasz, to cię rozstrzelają.

– Najwyraźniej – warknął Charlie.

Denerwował się również z powodu Carole. Bardzo się popsuło między nimi, odkąd jej powiedział o rejsie. Planował wyjazd na trzy tygodnie, zostanie jej więc sporo czasu, żeby się na niego złościć. Tym bardziej że tak niedawno do siebie wrócili. I od razu się pokłócili, chociaż powinni unikać wszelkich wybojów. Charlie obawiał się, że ich związek nie przetrwa następnej kłótni. Za nic nie chciał stracić Carole, bał się tego, ale nie dość, żeby zostać na święta.

– A żeby jeszcze bardziej skomplikować sytuację, moje dzieci właśnie poznały Maggie w ten weekend i szaleją za nią. Prawdę mówiąc, Charlie, nie lubię jej wkurzać.

Jeszcze bardziej nie lubił jej ranić, a teraz zamierzał wyrządzić jej wielką przykrość.

– Co ty mówisz? Nie chcesz jechać? – spytał wstrząśnięty Charlie.

– Sam nie wiem. Może czasy się zmieniły dla nas obu. W każdym razie dla mnie.

Nie wiedział, jak bardzo Charlie czuł się związany z Carole. Podejrzywał, że sam Charlie tego nie wiedział. On i Maggie mieszkali razem i mieli plany na przyszłość.

– Pomyślę nad tym. Zadzwoń do ciebie.

– Dzwon na komórkę. Przez całe popołudnie będę na spotkaniach. Żarty na bok, wierz albo nie, ale naprawdę muszę wyciągnąć klienta z więzienia za kaucją.

– Szczęściarz z ciebie! Oddzwonię – obiecał Charlie i odłożył słuchawkę. Dochodziła piąta, kiedy Charlie dodzwonił się do Adama. Obaj byli bardzo zdenerwowani. Adam miał za sobą koszarne popołudnie lawirowania między klientem a prasą. Charlie próbował nadrobić zaległości na koniec roku. Przede wszystkim jednak martwił się o Carole. W poprzedniej rozmowie zwrócił uwagę na słowa Adama. Czasy się zmieniły. Jeśli chciał w życiu czegoś więcej niż dotąd, on też musi się zmienić. Musi skoczyć z wysokiej skały. Miejmy nadzieję, że nie na beton. To się zobaczy.

– Dobrze – powiedział takim tonem, jakby proponował im skok z samolotu bez spadochronów. – Spróbujmy.

– Co spróbujmy? – Nie zrozumiał Adam.

Wciąż jeszcze był w więzieniu i usiłował okiełznać prasę. Panował tam hałas jak w ptaszarni w zoo.

– Czemu nie zabierzesz Maggie na jacht? Lubię ją. Ty ją kochasz. Ona kocha ciebie. Będzie fajnie. A co tam. Inaczej twój związek się rozpadnie. – Nie chciał ponosić za to odpowiedzialności. Widział, że Adam został przyparty do muru i może nawet sam chciał zabrać Maggie. – Jeśli chcesz, zabierz ją ze sobą. To zależy od ciebie. Zaproszę też Carole.

– Charlie, jesteś bohaterem – oświadczył Adam. Nie chciał go o to prosić, ale naprawdę chciał zabrać Maggie. – Jesteś księciem z bajki. Powiem jej o tym dziś wieczorem. A ty?

– Pewnie zwariowałem i już nie wiem, co się ze mną dzieje. Ale zamierzam zaprosić Carole. Wolałbym, żeby mi pozwoliła wyjechać samemu. Ale skoro nie chce czy nie może się z tym pogodzić, myślę, że za dużo mógłbym stracić.

Zainwestowali już sporo w ten związek – prawdę, uczciwość, odwagę, miłość, nadzieję – więc nie chciał, żeby to przepadło. A gdyby ją zostawił na święta, musiałby się pożegnać z perspektywą zysków.

– Cholera jasna – zaśmiał się Adam. – Co się z nami dzieje?

– Boję się pomyśleć – odparł Charlie słabym głosem.

– Tak, ja też. Aż ciarki chodzą po plecach, bracie. Ale podziwiam, że się na to zdobyłeś. Przynajmniej nie będziemy musieli szukać towaru do łóżka ani polegać na tubylczych zasobach.

– Lepiej nie mów tego Maggie – zaśmiał się Charlie. – Jasne. Kiedy jedziesz?

– Jutro rano.

– Miłej podróży. Zobaczymy się dwudziestego szóstego. Wszyscy razem! Przy okazji, zabiorę Carole samolotem, jeśli zechce. Daj jej mój numer i powiedz, żeby do mnie zadzwoniła.

– Dzięki – powiedział Charlie.

– Nie, to ja dziękuję.

Rozłączyli się i Charlie przez całą minutę siedział, wpatrując się w przestrzeń. Adam miał rację. Czasy się zmieniły.

Charlie wyszedł z biura o wpół do szóstej, złapał taksówkę i dojechał do ośrodka o szóstej, akurat wtedy, gdy Carole zamykała biuro. Zdziwiła się na jego widok i pomyślała, że stało się coś złego. Znowu. Ostatnio wiele rzeczy źle się działo. Święta. Nowy Rok. Jego wyjazd na trzy tygodnie. Nawet nie obejrzał jej choinki.

– Cześć, Charlie. Co słyhać?

Wyglądała na zmęczoną, miała za sobą ciężki dzień.

– Przyszedłem się pożegnać – powiedział, wchodząc do gabinetu.

– Kiedy wyjeżdżasz?

– Jutro.

Kiwnęła głową. Co jeszcze mogła powiedzieć? Wiedziała, że zanim wróci, wszystko będzie skończone. Przynajmniej dla niej. Przeżywała to równie mocno, jak on przeżywał jej kłamstwa. Według niej, jeśli dwoje ludzi łączył związek, powinni spędzić święta razem, a on nie myślał w ten sposób. Święta dla niego nie istniały. Może ona też nie istniała. Potrzebowała kogoś otwartego, nie takiego, który tłumi w sobie uczucia, ponieważ to za bardzo boli. Życie za bardzo boli, ale trzeba je przeżyć. Wspólnie, miejmy nadzieję.

– Życzę miłej podróży – powiedziała, wpychając opasłą teczkę do szuflady.

– Ja tobie też – powiedział cicho.

– Co mnie też?

Nie zrozumiała. Była zbyt zmęczona, żeby uprawiać jakieś gierki.

– Tobie również życzę miłej podróży.

– Nigdzie nie wyjeżdżam. Wyprostowała się i popatrzyła na niego.

– Owszem, wyjeżdżasz, przynajmniej taką mam nadzieję... to znaczy wyjedziesz... – Płatał mu się język. – Jeśli zechcesz. Chciałbym, żebyś poleciała dwudziestego szóstego z Adamem i Maggie. On zabiera ją ze sobą. Dzisiaj to ustaliliśmy.

– I chcesz, żebym też przyjechała? – Uśmiechnęła się zaskoczona. – Poważnie?

– Całkiem poważnie. – Aż za bardzo jak na jego gust. – Bardzo bym chciał, żebyś przyjechała, Carole. Przyjedziesz? Mam nadzieję, że możesz się wyrwać.

– Spróbuję. I chyba rozumiesz, że nie usiłowałam się wepchnąć na wasz rejs. Po prostu

chciałam, żebyś tu został na święta i poleciał razem z nim . dwudziestego szóstego.

– Wiem, ale nie mogę tego zrobić. Przynajmniej na razie. Może kiedyś. Jeśli przyjedziesz, spędzimy razem dwa tygodnie.

Taka perspektywa wydała się jej fantastyczna. Jemu też. Wspaniałe pomysły. Cieszył się, że Adam do niego zadzwonił.

– Wątpię, czy będę mogła zostać dłużej niż tydzień. Zobaczę.

– Będzie, jak zechcesz – powiedział i pocałował ją.

Spojrzała na niego z miłością i oddała mu pocałunek. A potem pojechali do niej taksówką i spędzili razem noc, zanim wyjechał następnego dnia. Nawet zobaczył jej choinkę.

Wieczorem, po powrocie do domu, Adam podał Maggie kartę kredytową. Siedziała nad podręcznikami prawa i nie podniosła wzroku, kiedy wszedł. Upuścił kartę kredytową na biurko.

– Po co to? – zapytała, nie patrząc na niego.

Ciągle złościła się z powodu wyjazdu. Wspólny weekend z dziećmi stanowił tylko krótką przerwę w działaniach wojennych. Teraz przeszli na etap zimnej wojny.

– Musisz pójść na zakupy – wyjaśnił. Ściągnął krawat i rzucił na krzesło.

– Po co? Nie używam twoich kart kredytowych. Przecież wiesz. Odrzuciła kartę, a on złapał ją i stanął przed biurkiem.

– Tym razem musisz jej użyć – powiedział.

– Czemu?

– Bo potrzebujesz mnóstwa rzeczy. No wiesz, kostiumy kąpielowe, okulary przeciwsłoneczne, sandały, kobiece fatałaszkę, ja tam się nie znam. Sama wykombinujesz.

– Co wykombinuję? – Ciągle nie rozumiała.

– Czego potrzebujesz na wyjazd.

– Jaki wyjazd? Dokąd wyjeżdżamy? – Pomyślała, że Adam znowu zabiera ją do Las Vegas w ramach nagrody pocieszenia.

– Płyniemy do St. Barts na jachcie Charliego – powiedział takim tonem, jakby jej o tym przypominał.

– Nie, to ty płyniesz do St. Barts na jachcie Charliego. Ja nie. Pamiętasz?

– Zadzwonił dzisiaj i ciebie też zaprosił – powiedział Adam łagodnie.

Maggie odłożyła długopis.

– Mówisz poważnie?

– Tak. On też. Powiedziałem mu, że nie chcę cię unieszczęśliwiać, i myślę, że on też nie chce unieszczęśliwiać Carole. Ją też zaprosi.

– O mój Boże! O mój Boże! O mój Boże!

Pocałowała go i, piszcząc, zaczęła skakać po pokoju, a potem rzuciła mu się w ramiona. Roześmiał się z jej entuzjazmu.

– Czy to załatwia sprawę? – Widział, że tak. Z nawiązką.

– Żartujesz? O mój Boże! Płynę z tobą jachtem na Karaiby! Tak, tak, tak, tak! – A potem odwróciła się do niego z wdzięcznością. – Adamie, kocham cię. I tak bym cię kochała, ale

sprawiłeś mi przykrość.

– Wiem – szepnął i znowu ją pocałował.

– Naprawdę cię kocham – oświadczyła, przywierając do niego. – Chyba wiesz.

– Tak, maleńka... ja też...

A potem ją pocałował.

Dwudziestego szóstego grudnia wyruszą na Karaiby.

Rozdział 23

Kłótnie między Sylvią a Grayem na temat jego spotkania z jej dziećmi trwały prawie do świąt. Teraz nocował w pracowni niemal codziennie, a ona nie nalegała, żeby został u niej. Była na niego zła. Rozumiała, że ma „problemy”, ale jej zdaniem posuwał się za daleko. Nawet nie próbował znaleźć rozwiązania. Gilbert przyjeżdżał za dwa dni. Emily dzień później. A Gray uparł się jak osioł. Nawet nie chciał ich zobaczyć.

– Jeśli to cię tak denerwuje, idź do terapeuty – krzyknęła Sylvia w trakcie ostatniej kłótni. Kłócili się prawie codziennie. Dla obojga był to gorący temat. – Po co czytasz te wszystkie książki o pomaganiu sobie, jeśli tak naprawdę nie chcesz sobie pomóc?

– Właśnie że pomagam – odparł ponuro. – Szanuję swoje granice i tego samego oczekuję od ciebie. Znam swoje ograniczenia. Rodziny mnie przerażają.

– Nawet nie znasz mojej.

– I nie chcę znać! – krzyknął i wybiegł, trzasnąwszy drzwiami.

Sylvia ciężko przeżywała tę sytuację. Przygnębiała ją postawa Graya. Kłótnie trwały prawie od miesiąca i odbiły się na ich związku. Radość, którą dotąd czerpali z odkrywania siebie nawzajem, prawie zniknęła. A kiedy Gilbert przyjechał dwa dni przed Gwiazdką, Sylvia nie widziała Graya od dwóch dni. Próbowała to wyjaśnić synowi, ale nawet dla niej to brzmiało wręcz wariacko. Jak wielokrotnie zwracała uwagę Grayowi, ludzie w ich wieku powinni wykazywać większą odporność psychiczną. Ale Gray nie podejmował absolutnie żadnych wysiłków, żeby uporać się ze swoimi neurozami. Tarzał się w nich. Jak świnia w błocie.

Jedyna dobra strona tego konfliktu polegała na tym, że złość popychała Graya do malowania. Pracował bez przerwy całymi tygodniami i od Święta Dziękczynienia skończył dwa obrazy, jak na niego bardzo szybko. Marszand był zachwycony. Nowe prace uznał za wspaniałe. Gray zawsze twierdził, że najlepiej maluje, kiedy jest nieszczęśliwy. Teraz to udowodnił. Bez niej czuł się podle, nie mógł spać i malował. Bez przerwy. Dzień i noc.

Pewnego wieczoru, po ostatniej kłótni, pracował ciężko, kiedy zabrzączał dzwonek u drzwi. Pomyślał, że to Sylvia przyszła jeszcze raz przedstawić mu swoje argumenty, i bez pytania nacisnął brzęczyk. Zostawił drzwi do pracowni otwarte i uzbroił się wewnątrz, gotów na kolejną rundę. Spoglądał na płótno, marszcząc brwi. Ostatnio to już przeszło w rutynę. Ona błagała, żeby poznał jej dzieci. On odmawiał. Wtedy ona wybuchała gniewem. I on też. Wpadli w błędne koło. Nie chciała ustąpić, a on nie chciał się poddać.

Usłyszał, że drzwi się otwierają, i podniósł wzrok, ale zamiast Sylvii zobaczył upiornie chudego młodego człowieka.

– Przepraszam... drzwi były otwarte... nie chciałem przeszkadzać. Pan jest Gray Hawk, tak?

– Tak, to ja – odparł zaskoczony Gray.

Nieznajomy wydawał się chory. Włosy miał krótkie i rzadkie, twarz wynędzniałą, oczy głęboko zapadnięte, skórę barwy betonu. Wyglądał tak, jakby miał raka albo coś równie

groźnego. Gray nie miał pojęcia, kto to jest i czego chce.

– Kim pan jest?

Chciał go zapytać, co robi w jego mieszkaniu, ale sam zostawił drzwi otwarte i to była jego wina, że obcy wszedł bez zaproszenia. Przybysz zawahał się przez chwilę, nie ruszając z miejsca.

– Jestem Boy – powiedział cicho, jakby nie miał siły na więcej.

– Boy? – powtórzył Gray. Dopiero po chwili dotarło do niego to imię i stanął nieruchomo, przykuty do miejsca, niemal równie błydy jak przybysz. – Boy? O Boże.

Myślał o nim, ale tak dawno go nie widział. To był chłopiec, którego jego przybrani rodzice adoptowali dwadzieścia pięć lat temu i nazwali Boy. Gray powoli podszedł i stanął przed nim. Łzy spływały mu po policzkach. Nigdy się nie zaprzyjaźnili, dzieliło ich dwadzieścia pięć lat różnicy wieku, ale oto powrócił duch z przeszłości, częśćka koszmaru, który nawiedzał Graya przez całe życie. Ten sam koszmar tkwił u źródeł jego kłótni z Sylwią. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie ma halucynacji. Boy wyglądał jak Duch Bożego Narodzenia z *Opowieści wigilijnej* Dickensa. Gray objął go, przycisnął do siebie i obaj się rozplakali. Oplakiwali wszystko, co było i co mogło być, szaleństwo, którego doświadczyli oddzielnie, ale w tym samym miejscu i z tych samych powodów.

– Co tu robisz? – wykrztusił wreszcie Gray. Nigdy nie próbował go znaleźć i pewnie by się nie spotkali, gdyby nie ta wizyta.

– Chciałem cię zobaczyć – odpowiedział Boy z prostotą. – Jestem chory. Gray od razu to zauważył. Twarz Boya była niemal przezroczysta, jakby rozmywała się w świetle.

– Na co? – zapytał ze smutkiem. Sam widok Boya budził złe wspomnienia.

– Mam AIDS. Umieram.

Gray nie pytał, w jaki sposób się zaraził. To nie była jego sprawa.

– Przykro mi – powiedział szczerze. Serce mu się wyrywało do tego nieszczęśnika. – Mieszkasz tutaj? W Nowym Jorku? Jak mnie znalazłeś?

– Poszukałem. Jesteś w książce telefonicznej. Mieszkam w L. A. – Nie tracił czasu, żeby opowiadać Grayowi o swoim życiu. – Chciałem tylko cię zobaczyć... chociaż raz... dlatego przyjechałem. Wracam jutro.

– W Boże Narodzenie? – To nie najlepsza pora na podróż.

– Jestem na terapii. Muszę wracać. Wiem, że to brzmi głupio, ale chciałem się tylko pożegnać.

Prawdziwa tragedia polegała na tym, że nigdy nawet się nie przywitali. Gray widział Boya po raz ostatni jako dziecko. Nie, jeszcze na pogrzebie rodziców. Nigdy więcej go nie odwiedził. Przez całe życie usiłował zamknąć za sobą drzwi do przeszłości, a teraz ten przybysz z zapadniętymi oczami wsadził nogę za próg i nie pozwalał ich domknąć, przeciwnie, otwierał je coraz szerzej.

– Dobrze się czujesz? Potrzebujesz czegoś?

Może potrzebował pieniędzy. Gray nie miał wiele. Ale młody człowiek pokręcił głową.

– Nie, nic nie chcę.

– Jesteś głodny?

Gray czuł, że powinien coś dla niego zrobić. Zaproponował, żeby wyszli coś zjeść.

– Bardzo chętnie. Mieszkam niedaleko w hotelu. Może wstąpimy na kanapkę albo coś takiego?

Gray poszedł po płaszcz i po kilku minutach wyszli do pobliskich delikatesów. Kupił mu kanapkę z pastrami i colę. Niczego więcej Boy nie chciał. Gray zamówił dla siebie kawę i bajgla. Stopniowo zaczęli wspominać przeszłość, jaką obaj zapamiętali. Chłopiec miał inne wspomnienia, rodzice byli już starsi, mniej podróżowali, lecz pozostali równie znikowani. Po ich śmierci wrócił do rezerwatu, potem zamieszkał w Albuquerque i wreszcie w Los Angeles. Wyznał, że w wieku szesnastu lat był prostytutką. Miał koszmarnie życie, a rodzice wcale mu nie pomogli. Gray wręcz dziwił się, że Boy jeszcze żyje. Patrząc na niego, nie mógł w tym odnaleźć żadnego sensu. Wspomnienia napływały falą. Prawie się nie znali, ale płakali nad sobą i podali sobie ręce. Boy pocałował koniuszki palców Graya i spojrzął mu w oczy.

– Nie wiem dlaczego, ale po prostu musiałem cię zobaczyć. Chyba chciałem, żeby chociaż jedna osoba na ziemi pamiętała mnie, kiedy odejdę.

– Nigdy o tobie nie zapominałem, chociaż ostatnio widziałem cię jako dziecko.

Boy był dotąd dla Graya tylko imieniem, a teraz stał się twarzą, duszą, sercem, jeszcze jedną osobą utraconą i opłakiwaną. Gray nie chciał tego, ale to spadło na niego jak dar. Ten człowiek przebył sześć tysięcy kilometrów, żeby się pożegnać.

– Zapamiętam cię – powiedział cicho.

Patrzył na niego i wrył go sobie w pamięci. Wiedział, że pewnego dnia go namaluje. Powiedział to bratu.

– Chciałbym, żebyś mnie namalował – przyznał Boy. – Wtedy ludzie zawsze by mnie widzieli. Nie boję się umrzeć – dodał. – Nie chcę, ale chyba tak będzie lepiej. Wierzysz w raj?

– Nie wiem, w co wierzę – odparł szczerze Gray. – Może w nic. Albo w Boga. Ale dla mnie Bóg jest jakby swobodną formą.

– Ja wierzę w raj, gdzie ludzie znowu się spotkają.

– Mam nadzieję, że nie – zaśmiał się Gray. – Znałem wielu ludzi, których nie chciałbym spotkać, na przykład naszych rodziców.

Jeśli zasługiwali na tę nazwę.

– Jesteś szczęśliwy? – zapytał Boy.

Wydawał się eteryczny i przezroczysty. Przebywając z nim, Gray czuł się jak w surrealistycznym śnie. Nie wiedział, jak odpowiedzieć na pytanie. Do niedawna był bardzo szczęśliwy, od miesiąca przeżywał ciężkie chwile z powodu idiotycznej kłótni z Sylwią. Opowiedział o tym Boyowi.

– Dlaczego się boisz z nimi spotkać?

– A jeśli mnie nie polubią? Jeśli ja ich nie polubię? Wtedy ona mnie znienawidzi. A jeśli się polubimy i przywiążę się do nich, a ona ze mną zerwie? Nigdy już ich nie zobaczę albo zobaczę, ale bez niej. A jeśli to para rozpieszczonych gówniarzy i narobią nam kłopotów? Po co mi te wszystkie komplikacje?

– A co masz bez komplikacji? Jak będziesz żył bez niej? Stracisz ją, jeśli nie poznasz jej dzieci. Ona je kocha i chyba kocha ciebie.

– Ja też ją kocham, ale nie kocham jej dzieci i nie chcę tego.

– A mnie kochasz? – zapytał wtedy Boy.

Gray przypomniał sobie nagle Małego Księcia z książki Saint-Exupery’ego. Sam nie wiedział, dlaczego udzielił takiej odpowiedzi. Mówił szczerze, jakby byli braćmi i przyjaciółmi od lat.

– Tak, kocham cię. Nie kochałem cię aż do dzisiaj, bo cię nie znałem. Nie chciałem cię znać – wyznał uczciwie. – Bałem się. Ale teraz cię kocham.

Nie chciał znać Boya przez te wszystkie lata, nie chciał go nawet zobaczyć. Bał się bólu związanego z rodziną. Bał się przywiązać do brata. Wiedział, że rodzina oznacza cierpienie i rozczarowania. Ale Boy go nie rozczarował, przyjechał go odwiedzić w gości czystej miłości. Takiego daru Gray nigdy nie dostał od nikogo ze swojej rodziny. Był to dar jednocześnie piękny i bolesny, jak piękna i bolesna bywa tylko miłość.

– Dlaczego mnie kochasz? Bo umieram? – Udręczone oczy Boya spoglądały przenikliwie.

– Nie, bo jesteś moją rodziną – odparł Gray zdławionym głosem. Łzy płynęły mu po policzkach i nie chciały wyschnąć. Tamy jego serca otworzyły się na oścież. – Tylko ty mi zostałeś.

Lepiej się poczuł, kiedy to powiedział. Podali sobie ręce nad stołem.

– Niedługo odejdę – powiedział rzeczowo Boy. – A wtedy tylko ona ci zostanie. I jej dzieci. Masz tylko ich i mnie.

Gray wiedział, że to niewiele. Nie miał się czym pochwalić po pięćdziesięciu latach życia. Chociaż stuknięci, jego rodzice mieli więcej. Trójkę dzieci, które adoptowali i zmarnowali, ale przynajmniej się starali w miarę swoich ograniczonych możliwości. Mieli siebie nawzajem. I wszystkich ludzi, z którymi się zetknęli podczas wędrówek po świecie. Nawet obrazy Graya, zainspirowane cierpieniem, w pewnym sensie powstały dzięki ludziom, którzy adoptowali jego i Boya. Dokonali więcej, niż Gray sądził czy chciał przyznać. Teraz to zrozumiał. Rodzice byli zbikowani i ograniczeni, ale przynajmniej próbowali, chociaż im nie wychodziło. Boy też próbował, przyjechał go zobaczyć. W porównaniu z nimi Gray zrobił znacznie mniej dla swojego emocjonalnego rozwoju, dopóki nie spotkał Sylvii, a teraz chciał ograniczyć również ich związek i ranił ją, ponieważ się bał. Umierał ze strachu.

– Kocham cię – szepnął Gray.

Siedzieli, trzymając się za ręce. Gray nie przejmował się, czy ktoś ich zobaczy ani co sobie pomyśli. Nagle przestał się bać wszystkiego, co go przerażało przez lata. Boy stanowił ostatni żywy symbol rodziny, przed którą Gray uciekał tak długo.

– Ja też cię kocham – odpowiedział Boy.

Wydawał się wyczerpany i zziębnięty, kiedy wreszcie wstali. Drżał, więc Gray dał mu swój płaszcz, najlepszy płaszcz. Złapał go, wychodząc z domu, lecz ten gest wydawał się stosowny dla umierającego brata, którego dotąd nie znał. Żałował, że wcześniej go nie odwiedził. Nigdy nie przyszło mu to do głowy, a właściwie przyszło, ale odepchnął tę myśl. Zrozumiał teraz, że odrzucił zbyt wiele, że uciekał przed życiem tylko po to, żeby znowu cierpieć. Rodzina stała się symbolem wszystkich jego lęków. Boy stopniowo uwalniał go od

strachu.

– Dlaczego nie przenocujesz u mnie? – zaproponował. – Prześpię się na kanapie.

– Mogę przenocować w hotelu – powiedział Boy, ale Gray nie chciał się na to zgodzić.

Poszli po jego rzeczy i wrócili do mieszkania Graya. Boy powiedział, że musi wyjść o dziewiątej rano, żeby złapać samolot.

– Obudzę cię – obiecał Gray.

Okrył go starannie kołdrą i pocałował w czoło. Czuł się prawie tak, jakby Boy był jego synem. Brat podziękował mu i zasnął, zanim jeszcze Gray zamknął za sobą drzwi.

Gray malował przez całą noc. Robił szkice portretu Boya, tuziny szkiców, żeby zapamiętać każdy szczegół jego twarzy, i położył podkład pod obraz. Zdawało mu się, że prowadzi wyścig ze śmiercią. Nie spał ani przez chwilę. O ósmej obudził Boya i zrobił mu jajecznicę. Boy zjadł mniej więcej połowę, wypił trochę soku i powiedział, że musi już iść. Gray zaproponował, że odwiezie go taksówką na lotnisko, i wyszli. Musieli tam dojechać na dziesiątą, żeby zdążyć na lot o jedenastej.

Stali blisko siebie, kiedy Boy zgłosił się do odprawy. Potem zapowiedziano jego lot. Boy na chwilę wpadł w panikę, a wtedy Gray objął go mocno, przycisnął do siebie i obaj zapłakali. Oplakiwali nie tylko chwilę obecną, ale utraconą przeszłość i wszystkie zaprzepaszczone możliwości, które próbowali nadrobić przez jedną noc.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział Gray, lecz obaj wiedzieli, że to nieprawda, chyba że wiara Boya w raj okaże się prawdziwa. – Kocham cię. Zadzwoń do mnie.

– Zadzwonię.

Ale Gray wiedział, że mogło mu się już nie udać. To mogła być ostatnia chwila, ostatnia szansa, ostatni dotyk. Teraz, odkąd Gray otworzył serce dla Boya, to wszystko tak bardzo bolało. Za bardzo, a tym razem ból był czysty, ostry jak cios utraty. Jak chirurgiczne odcięcie kończyny zamiast jej oderwania.

– Kocham cię! – zawołał za Boyem, który wsiadał już do samolotu. Powtarzał to raz po raz, żeby Boy usłyszał. Kiedy brat dotarł do drzwi samolotu, odwrócił się i uśmiechnął. Pomachał, a potem zniknął. Mały Książę odszedł. Gray patrzył na puste miejsce i płakał.

Długo wędrował po lotnisku. Musiał pomyśleć i odpocząć. Myślał o Boyu i o jego słowach. A gdyby Boy nie istniał, gdyby Gray nigdy więcej go nie zobaczył? Gdyby nie przyjechał z daleka, żeby go odwiedzić? Zjawił się niczym posłaniec od Boga.

Minęło południe, kiedy wreszcie zadzwonił do Sylvii z komórki. Nie rozmawiał z nią od dwóch dni. I nie spał przez całą noc.

– Jestem na lotnisku – oznajmił szorstko.

– Ja też – odparła ze zdumieniem. – Gdzie jesteś?

Powiedział jej, w którym terminalu, a ona wyjaśniła, że czeka na międzynarodowym terminalu na Emily. Była Wigilia Bożego Narodzenia.

– Coś się stało?

Tak. Stało się, ale wcześniej, teraz jest już w porządku. Nie, nigdy nic nie było w porządku, ale on doszedł już do siebie. Po raz pierwszy w życiu czuł się pogodzony ze sobą.

– Co robisz na lotnisku?

Nagle się przestraszyła, że wyjeżdża. Wszystko pomiędzy nimi się rozpadło.

– Odprowadzałem brata.

– Brata? Przecież nie masz brata.

A potem sobie przypomniała, chociaż to wyglądało na szaleństwo.

– Boya. Opowiem ci o tym. Gdzie jesteś? Wyjaśniła mu jeszcze raz, a on się rozłączył.

Zobaczyła, jak idzie do niej przez halę terminalu. Wyglądał okropnie. Miał na sobie stary sweter i džinsy, i marynarkę, którą powinien dawno wyrzucić. Boy wyjechał w jego najlepszym płaszczu i Gray wyglądał teraz jak wariat, jakby się nie cesał od tygodnia. A potem nagle trzymał ją w ramionach, oboje płakali i mówił, że ją kocha. Wciąż jeszcze ją obejmował, kiedy Emily wyszła z cła i uśmiechnęła się radośnie, widząc matkę.

Sylvia przedstawiła ich sobie. Gray wyraźnie się denerwował, ale podał rękę Emily z ostrożnym uśmiechem. Zapytał, jak minął lot, i wziął jej bagaż. Przeszli przez lotnisko we trójkę: Gray obejmował Sylvię ramieniem, a Emily trzymała matkę za rękę. Pojechali do domu, gdzie Gray poznał Gilberta, a Sylvia przygotowała dla wszystkich lunch. Wieczorem Gray pomógł jej ugotować obiad, a w łóżku nocą opowiedział jej o Boyu. Rozmawiali przez wiele godzin. Następnego ranka wręczyli sobie prezenty. Gray nie miał nic dla Sylvii, ale jej to nie przeszkadzało. Dzieci uznały go za miłego ekscentryka. I ku jego własnemu zdumieniu polubił je. Boy miał rację.

W wieczór wigilijny Gray odebrał telefon. Boy odszedł. Przyjaciel, który dzwonił, obiecał, że wyśle Grayowi jego dziennik i kilka osobistych drobiazgów. Następnego ranka Sylvia z dziećmi wyjeżdżała do Vermontu i Gray pojechał z nimi. Pewnego dnia o zmierzchu wyszedł na śnieg i stał, patrząc na góry. Czuł Boya przy sobie i słyszał jego głos. Cicho wrócił do domu, gdzie czekała Sylvia. Stała na ganku i patrzyła na niego z uśmiechem. Tej nocy, stojąc obok niej, spojrzął na niebo, zobaczył gwiazdy i pomyślał o Boyu i Małym Księciu.

– On jest gdzieś tam w górze – powiedział ze smutkiem. Sylvia przytaknęła. Objęli się i weszli razem do domu.

Rozdział 24

Maggie i Adam zabrali Carole do St. Barts samolotem Adama. Oboje po raz pierwszy ją widzieli i początkowo odczuwali pewne skrępowanie, ale zanim wylądowali w St. Barts, Carole i Maggie serdecznie się zaprzyjaźniły. Różniły się od siebie tak bardzo, jak mogą się różnić dwie kobiety. Kiedy Adam spał, Carole opowiadała o ośrodku i dzieciach, a Maggie o swoim dawnym życiu, dzieciństwie u przybranych rodziców, szkole przygotowawczej i pracy w barze, i jakie miała szczęście, że spotkała Adama. Carole po prostu ją pokochała. Maggie była szczerą i uczciwą, miłą i niewiarygodnie bystrą. Nie dało się jej nie lubić. To samo czuła wobec Carole. Nawet chichotały konspiracyjnie, opowiadając, jak się wściekały, że Charlie i Adam chcieli sami wyjechać na święta, i jakie były im wdzięczne, że tego nie zrobili.

– Byłam naprawdę wkurzona! – wyznała Maggie szeptem. Carole parsknęła śmiechem.

– Ja też... właściwie urażona. Charlie mówi, że nie obchodzi świąt. To takie smutne.

Potem rozmawiały o jego utraconej rodzinie i o bliskiej przyjaźni trzech mężczyzn. Maggie cieszyła się, że wreszcie się spotkały. Wiedziała, że Carole i Charlie zerwali na jakiś czas, ale nie wspominała o tym. Potem rozmawiały o Bożym Narodzeniu z dziećmi Adama. Było świetnie. W styczniu zabierali je na narty na długi weekend. Omówiły wszystkie istotne kwestie, zanim Adam się obudził, tuż przed lądowaniem.

– Co tam knujecie? – zapytał, ziewając.

– Nic – zapewniła Maggie z miną winowajczyni.

Miała nadzieję, że nie dostanie choroby morskiej. Nigdy przedtem nie pływała jachtem. Carole pływała często, chociaż głównie na żaglówkach. Maggie nie mogła się nadziwić temu, jak Carole twardo stąpa po ziemi mimo jej pochodzenia, o którym mówił jej Adam. On sam zachwyił się urodą Carole, jej dobrocią i łagodnością. A także normalnością. Tym razem Charlie dokonał właściwego wyboru. Adam miał tylko nadzieję, że przyjaciel nic nie zepsuje ani nie stchórzy. Zapowiadała się dobra zabawa, dla odmiany we czwórkę. W ich życiu nastąpiła wielka zmiana.

Gray zadzwonił do Adama tuż przed wyjazdem. Sam wyjeżdżał do Vermontu. Powiedział, że poznał dzieci Sylvii i że wszystko jest w porządku.

Adam nie miał pojęcia, jak to się stało, ale Gray obiecał, że opowie mu wszystko przy lunchu po powrocie.

. Charlie czekał na nich na lotnisku z kapitanem i dwoma marynarzami. Zdążył się już opalić. Wydawał się szczęśliwy i odprężony i bardzo się ucieszył na widok Carole. Kiedy dotarli na jacht, Maggie po prostu nie wierzyła własnym oczom. Przeszła z jednego końca łodzi na drugi, obejrzała wszystko, rozmawiała z załogą, zadawała pytania i mówiła, że znowu czuje się jak kopcuszek, zwłaszcza kiedy zobaczyła ich kabinę. Zawołała, że to będzie jak miesiąc miodowy. Adam rzucił jej mroczne spojrzenie.

– Spokojnie – drażniła się. – Nie chcę wyjść za mąż. Po prostu chcę na zawsze zostać na tym jachcie. Może powinnam wyjść za Charliego – zażartowała.

– Jest za stary – oświadczył Adam i wciągnął ją do łóżka.

Wrócili na pokład dopiero po kilku godzinach. Charlie i Carole odpoczywali. Carole szybko się zadomowiła. Wzięła doskonale dobraną garderobę: białe dzinsy i szorty, małe bawełniane spódniczki i bluzeczki, nawet pantofle pokładowe, które Maggie obejrzała z nabożeństwem. Ona z kolei przywozła mnóstwo szykownych ciuchów, włącznie z kostiumami bikini, lecz Carole zapewniła ją, że wygląda świetnie. Była taka młoda i śliczna, miała taką wspaniałą figurę, że mogła się ubrać nawet w worek. Pod względem stylu różniła się od Carole diametralnie, ale na swój sposób była seksowna i egzotyczna. Zresztą znacznie stonowała swój wygląd podczas miesięcy spędzonych z Adamem. Kupowała rzeczy tanie, ale płaciła za nie z własnej kieszeni.

Przed obiadem, po krótkim pływaniu, wszyscy poszli do kabin się przebrać. Wrócili na drinka na pokładzie rufowym, zgodnie ze zwyczajem. Adam pił tequilę, Charlie wybrał martini, dziewczęta wołały wino. Następnego dnia wypływali do St. Kitts, ale dopiero wtedy gdy panie zrobią zakupy w porcie, tak jak im to obiecał Charlie. Tego wieczoru poszli potańczyć. Wszyscy wrócili wyczerpani i szczęśliwi i nazajutrz spali do późna.

Zjedli razem śniadanie, potem Charlie i Adam uprawiali windsurfing, a Carole i Maggie poszły na zakupy. Maggie kupiła niewiele, Carole znalazła kilka pareos od Hermesa, do noszenia podczas rejsu. Zaproponowała, że pożyczycy kilka z nich przyjaciółce. Zanim późnym popołudniem wypłynęli z portu, wszyscy czworo mieli wrażenie, że podróżują razem od wieków. Na horyzoncie pojawiła się tylko jedna ciemna chmurka: Maggie dostała choroby morskiej w drodze do St. Kitts. Charlie kazał jej się położyć na pokładzie. Była jeszcze trochę bladezielona, kiedy rzucili kotwicę tuż za portem, ale przy obiedzie czuła się już całkiem dobrze. Razem obejrzelik zachód słońca. Dzień za dniem mijał w doskonałej harmonii i narzekano tylko na to, że podróż za szybko się kończy, jak zawsze. Zanim się spostrzegli, nadszedł ostatni dzień, ostatni wieczór, ostatnie pływanie, ostatni taniec. Spędzili wieczór na pokładzie i Charlie dokuczał Maggie z powodu choroby morskiej, choć przez ostatnie dwa dni czuła się dużo lepiej. Adam nawet uczył ją żeglować. Charlie nauczył Carole windsurfingu, była na to dostatecznie silna, w przeciwieństwie do Maggie. Żadne z nich nie chciało, żeby rejs się skończył.

Carole mogła zostać tylko przez tydzień, Adam i Maggie też musieli wracać. Klienci Adama narzekali, Maggie wracała do pracy. Wszyscy wyjeżdżali oprócz Charliego, który zostawał na jachcie. Od dwóch dni był dziwnie milczący. Carole zauważyła to, ale nic nie mówiła aż do ostatniego wieczoru, kiedy Adam i Maggie poszli już do łóżka.

– Dobrze się czujesz? – zapytała cicho.

Siedzieli na pokładzie w blasku księżycy i Charlie palił cygaro. Tej nocy stali na kotwicy, nie w porcie. Charlie zawsze wołał spokój na wodzie niż hałaśliwe nabrzeże, gdzie ludzie spacerowali przez całą noc, Carole też to wołała. Cudownie spędzała czas z nim i z innymi.

– Nic mi nie jest – odpowiedział, spoglądając na wodę niczym pan na włościach.

Rozumiała, dlaczego tak kochał swój jacht. Wszystko na „Blue Moon” było idealne, począwszy od kabin, skończywszy na jedzeniu i doskonale wyszkolonej załodze. Do takiego życia łatwo przywyknąć. Zdawało się odległe o lata świetlne od rzeczywistości pełnej problemów – było to życie polegające na nieustannym dogadzaniu sobie.

– Cudownie się bawiłam – powiedziała z leniwym uśmiechem.

Od lat nie spędziła równie przyjemnych wakacji. Wspaniale się czuła z Charliem, nawet lepiej niż się spodziewała. Okazał się idealnym towarzyszem, idealnym przyjacielem, idealnym kochankiem. Zerknął na nią poprzez dym cygara z dziwnym wyrazem twarzy i znowu się zaniepokoiła. Wyglądał tak, jak gdyby coś go nurtowało.

– Cieszę się, że spodobał ci się jacht – powiedział z zadumą.

– Komu by się nie spodobał?

– Biedna Maggie, dostaje tu choroby morskiej.

– W końcu przywykła – ujęła się za nową przyjaciółką Carole.

Bardzo chciała jeszcze się z nią spotkać. Maggie obiecała, że przyjdzie do ośrodka zobaczyć, co tam robią. Zamierzała zostać adwokatem dla nieletnich po ukończeniu szkoły prawa, za kilka lat.

– Dobrze żeglujesz – pochwalił ją Charlie. – I dobrze surfujesz.

Szybko się nauczyła. Kilka razy nurkowała z akwalungiem w towarzystwie Charliego i z maską w towarzystwie Adama. Wszyscy w pełni wykorzystali luksusy i przyjemności dostępne na jachcie.

– W dzieciństwie ubóstwiałam żeglować – powiedziała tęsknie. Strasznie nie chciała wyjeżdżać następnego dnia. Tak miło było dzielić kabinę z Charliem, budzić się obok niego co rano i przytulać do niego w nocy. Będzie jej tego brakowało po powrocie. Na tym polegała jedna z największych zalet stanu małżeńskiego. Carole nie znosiła spać sama i w dobrych czasach rozkoszowała się małżeńską bliskością. Charlie chyba też lubił z nią spać i nie przeszkadzał mu intruz w kabinie.

– Kiedy wracasz? – zapytała Carole z uśmiechem. Myślała, że Charlie zostaje na następny tydzień.

– Nie wiem – odparł wymijająco.

Wydawał się zdenerwowany. Ponownie zerknął na Carole. Myślał o niej przez cały tydzień. Stanowiła ideał pod wieloma względami: dobrze urodzona, z odpowiedniej rodziny, inteligentna, wesoła, troskliwa, pełna wdzięku, miła dla jego przyjaciół i obdarzona poczuciem humoru. Uwielbiał się z nią kochać, właściwie wszystko w niej mu się podobało i dlatego śmiertelnie się bał. Najbardziej go przerażało, że nie znalazł w niej właściwie żadnej skazy. Zawsze znajdował jakieś wyjście awaryjne. A tym razem nie. Martwił się, że w końcu zechce się ustatkować, a wtedy wszyscy będą cierpieć, jak zawsze. W końcu spotkał kobietę, której nie chciał zranić, i nie chciał, żeby ona go zraniła. Ale nie dało się tego uniknąć w bliskim związku. Nie wiedział, jak temu zaradzić.

– Coś cię dręczy – odezwała się łagodnie Carole.

Wahał się przez długą chwilę, a potem kiwnął głową. Zawsze był z nią szczery.

– Dużo o nas myślałem.

Dźwięk jego głosu przypominał dzwon pogrzebowy. Carole przeraziła się, kiedy spostrzegła udrękę malującą się na jego twarzy.

– O czym?

Ponownie uśmiechnął się przez dym cygara. Nie chciał jej niepotrzebnie ranić, ale się

martwił.

– Ciągłe się zastanawiam, co takie dwa przypadki fobii uczuciowej robią ze sobą. Komuś z nas stanie się krzywda.

– Nie, jeśli zachowamy ostrożność, żeby nie urazić cudzych ran i blizn. Ona bardzo się starała, znała już jego lęki i zahamowania. Czasami po prostu potrzebował swobody, przecież całe życie spędził sam. Niekiedy wyczuwała, że pragnie samotności, i wychodziła z kabiny albo zostawiała go samego na pokładzie. Starła się wyczuwać jego potrzeby.

– A jeśli nigdy nie zechcę się ożenić? – zapytał ją otwarcie.

Wcale nie był pewien, czy zechce. Może już było za późno. Miał prawie czterdzieści siedem lat, nie wiedział, czy potrafi się jeszcze przystosować. Przez całe życie szukał odpowiedniej kobiety i teraz, kiedy ją znalazł, zaczynał się zastanawiać, czy sam jest odpowiednim mężczyzną. Doszedł do wniosku, że chyba nie.

– Byłam już mężatką – powiedziała Carole spokojnie. – Niezbyt mi się podobało.

Uśmiechnęła się ze smutkiem. – Ale powinnaś kiedyś mieć dzieci.

– Może. A może nie. Mam dzieci w pracy, czasami myślę, że to wystarczy. Kiedy się rozwiodłam, przyrzekłam sobie, że nigdy nie wyjdę za mąż. Nie dążę do małżeństwa, Charlie. Odpowiada mi to, co jest.

– Nie powinno. Potrzebujesz więcej – zaproponował dręczony poczuciem winy. Nie wiedział, czy może jej to dać, a jeśli nie mógł, powinien jej pozwolić odejść. Dużo o tym myślał. Tak czy inaczej zawsze się kończyło wielką ucieczką.

– Czemu nie pozwolisz mi samej decydować o tym, czego potrzebuję? Jeśli czegoś mi zabraknie, powiem ci. Na razie niczego nie brakuje.

– A co potem? Złamiemy sobie serca? Niebezpiecznie jest dryfować z prądem.

– O czym ty mówisz, Charlie?

Słuchając go, coraz bardziej się bała. Przywiązała się do niego całym sercem, zwłaszcza po wspólnie spędzonym tygodniu. Łatwo mógł jej wejść w nałóg. A teraz jego słowa wprawiły ją w panikę. Mówił tak, jakby chciał zwinąć żagle.

– Nie wiem – mruknął, gasząc cygaro w popielniczce. – Nie wiem, o czym mówię. Chodźmy spać.

W łóżku kochał się z nią i żadne z nich nie wspominało więcej o tej sprawie.

Ranek nadszedł zbyt szybko. Musieli wstać o szóstej. Charlie spał, kiedy Carole wysliznęła się z łóżka. Wzięła prysznic i zdążyła się ubrać, zanim się obudził. Leżał w łóżku i patrzył na nią przez długi czas. Przez okropną chwilę miała wrażenie, że widzi go po raz ostatni. Nie zrobiła nic złego podczas rejsu, nie kleiła się do niego za bardzo ani go nie krępowała. Po prostu pozwoliła, żeby sprawy toczyły się swoją kolejną. Ale w jego oczach wyraźnie widziała strach, żal i poczucie winy. Złowróżbne znaki.

Charlie wstał, żeby ich odprowadzić. Włożył szorty i podkoszulek i stał na pokładzie, patrząc, jak marynarze spuszczaają motorówkę, żeby odwieźć gości do portu. Po ich wyjeździe zamierzał popłynąć na Anguillę. Pocałował Carole, zanim wsiadła do łodzi, i spojrzał jej w oczy. Miała wrażenie, że chciał jej powiedzieć coś więcej niż zwykłe „do widzenia”. Nie pytała już, kiedy wróci do domu. Uważała, że lepiej nie naciskać, i miała rację. Wyczuwała,

że Charlie balansuje na skraju straszliwej przepaści.

Poklepał Adama po ramieniu i uściskał go, a potem pocałował Maggie w oba policzki. Przeprosiła, że dostała choroby morskiej. Podziękowali mu i odpłynęli, a on machał im na pożegnanie.

Carole obejrzała się na niego z pokładu motorówki. Owładnęło ją straszne przeczucie, że więcej go nie zobaczy. Zanim wpłynęli do portu, włożyła ciemne okulary, żeby nikt nie widział jej łez.

Rozdział 25

Po powrocie Adam i Maggie wpadli w wir zajęć. Adam miał trzech nowych klientów, dzieci chciały go częściej widywać, zwłaszcza odkąd poznały Maggie, a ojciec dostał ataku serca. Życie. Po tygodniu wypisano go ze szpitala i matka wydzwaniała do Adama dziesięć razy dziennie. Dlaczego częściej ich nie odwiedza? Czy w ogóle go nie obchodzi własny ojciec? Co się z nim dzieje? Brat przychodził codziennie. Adam z irytacją zwrócił jej uwagę, że brat mieszka cztery przecznice od nich.

Maggie też miała urwanie głowy. Przygotowywała się do końcowych egzaminów, pisała dwa referaty na zajęcia i harowała w Pier 92. Adam powtarzał, że potrzebuje lepszej pracy, ale tu dostawała ogromne napiwki. I przez pierwsze dwa tygodnie po powrocie miała gripę.

Chociaż wciąż źle się czuła, wróciła do pracy. Nie mogła opuścić więcej dni, żeby jej nie wylali. Pewnego popołudnia była jeszcze w pracy, kiedy Adam wrócił z biura do domu i znalazł kartkę, że sprzątaczką odeszła. W mieszkaniu panował bałagan. Adam wiedział, że Maggie jest przemęczona, postanowił więc pozmywać i wynieść śmieci przed jej powrotem. Opróżnił pojemnik w jej łazience do wielkiego plastikowego worka i chciał już go zawiązać, kiedy coś przykuło jego wzrok. Jaskrawo niebieska pałeczka. Widywał je wcześniej, ale już od dawna nie. Ostrożnie wyłowił pałeczkę i patrzył na nią z niedowierzaniem. Usiadł na sedesie, potem wrzucił pałeczkę do worka i zawiązał supeł z ponurą miną. Wyglądał jak chmura gradowa, kiedy Maggie wróciła do domu. Poszła prosto do łóżka, twierdząc, że czuje się parszywie.

– Nie wątpię – burknął pod nosem.

Posprzątał już całe mieszkanie i właśnie odkurzał, kiedy przyszła.

– Co robisz? – zapytała, kiedy z rykiem przejechał przez pokój.

– Sprzątaczką odeszła.

– Daj spokój, ja posprzątam.

– Naprawdę? Kiedy? – warknął.

– Później. Dopiero co wróciłam z pracy. Zlituj się, Adamie, czemu latasz w kółko jak wściekły?

– Sprzątam – syknął przez zaciśnięte zęby.

– Dlaczego?

Nagle odwrócił się do niej z furją.

– Bo inaczej kogoś zabiję, a nie chcę twojej śmierci.

– Co cię tak wkurzyło? – Miała okropny dzień w pracy i czuła się chora.

– Ty mnie wkurzyłaś.

– Co znowu zrobiłam? Nie kazałam sprzątaczkę odejść.

– Kiedy zamierzałaś mi powiedzieć, że jesteś w ciąży? Dlaczego ukrywałaś tę radosną nowinę? Na litość, Maggie, znalazłem w śmieciach twój test ciążowy i był pozytywny, do cholery! – Szalał z wściekłości. – Kiedy to się stało?

– Chyba w Jom Kipur – powiedziała cicho.

Od tamtego czasu uważali. Tylko ten jeden raz nie zastosowali środków ostrożności. Jak się okazało, każde z nich było mądre po szkodzie.

– No, świetnie – krzyknął i cisnął odkurzacz na podłogę. – W Jom Kipur. Moja matka miała rację. Powinienem pójść do synagogi. Nie powinienem w ogóle do ciebie dzwonić.

Rzucił się na krzesło, a ona zaczęła płakać.

– To podłe.

– Podłe jest, że zaszłaś w ciążę i nie pisałaś ani słówka. Kiedy chciałaś mi powiedzieć?

– Dowiedziałam się dopiero dziś rano. Nie chciałam, żebyś się złościł. Miałam ci powiedzieć wieczorem.

A potem nagle dotarło do niego, co powiedziała.

– Jom Kipur? Żartujesz? Jom Kipur był we wrześniu. Teraz jest styczeń. Chyba chodzi ci o Chanukę?

Nie była Żydówką, widocznie święta jej się pomieszały.

– Nie, o Jom Kipur. To musiał być ten pierwszy raz, kiedy tu przyszedłam. Tylko wtedy nie uważaliśmy.

– Wspaniale. I przez trzy miesiące nie zauważyłaś, że nie masz okresu?

– Myślałam, że to z nerwów. Zawsze się spóźnia. Kiedyś nie miałam przez sześć miesięcy.

– Byłaś w ciąży?

– Nie. Dotąd nigdy nie byłam w ciąży – wyznała zdruzgotana.

– Pięknie. Pierwszy raz. Nie potrzebujemy tego kłopotu, Maggie, ale kiedy zrobisz skrobankę, będziesz rozbita i załamana przez następnych sześć miesięcy.

Przechodził przez to zbyt wiele razy i nie chciał więcej, z nią ani z żadną inną. Łypnął ponuro, z podejrzeniem wypisanym na twarzy.

– Próbujesz mnie zrobić w małżeństwo? To ci się nie uda. Maggie zeskoczyła z łóżka i stanęła przed nim.

– Nie wrabiam cię w małżeństwo! Nigdy nie prosiłam, żebyś się ze mną ożenił, i teraz też nie proszę. Zaszłam w ciążę. To także twoja wina, nie tylko moja.

– Jakim cudem nie wiedziałaś, że jesteś w ciąży od trzech miesięcy? – Nie mógł w to uwierzyć. – Teraz nawet nie możesz zrobić skrobanki. W każdym razie to spory kłopot po trzech miesiącach.

– Sama sobie poradzę. I nie wrabiam cię w małżeństwo!

– To dobrze! Bo się z tobą nie ożenię!

Maggie wpadła do łazienki i zatrzasnęła mu drzwi przed nosem.

Siedziała tam przez dwie godziny, a kiedy wyszła, Adam leżał w łóżku i oglądał telewizję. Nie odezwał się do niej ani słowem. Żadne nie jadło obiadu. Maggie zwymiotowała, kiedy samotnie płakała w łazience.

– Dlatego chorowałaś na jachcie? – zapytał Adam, nie patrząc na nią.

– Może. Coś podejrzewałam i kiedy zachorowałam po powrocie, pomyślałam, że to jest to. Dlatego zrobiłam test.

– Dobrze, że nie czekałaś następnych sześć miesięcy. Musisz pójść do lekarza –

powiedział i w końcu na nią spojrział. Wyglądała okropnie. Widział, że płakała, oczy miała zaczerwienione, twarz bladą. – Masz lekarza?

– Jedna dziewczyna w pracy dała mi namiar. – Maggie pociągnęła nosem.

– Nie chcę, żebyś chodziła do jakiegoś konowala. Jutro znajdę ci lekarza. – A potem? – zapytała ze strachem.

– Zobaczymy, co powie.

– A jeśli już za późno na skrobankę?

– Wtedy będziemy się martwić. Najwyżej cię zabiję. – Żartował, już trochę ochłonął, ale ona znowu wybuchnęła płaczem. – Przestań, Maggie... proszę... nie zabiję cię. Jestem tylko zdenerwowany.

– Ja też – chlipnęła Maggie. – To także moje dziecko. Adam jęknął i opadł na poduszki.

– Maggie, proszę. To nie jest dziecko. Na razie to tylko ciąża. Nie chciał nawet używać słowa „płód”, co dopiero „dziecko”.

– Jak myślisz, co będzie? – zapytała, wydmuchując nos w chusteczkę higieniczną.

– Wiem, co będzie. Dlatego się denerwuję. Chodźmy spać. Rano o tym porozmawiamy.

Wyłączył telewizor i zgasił światło po swojej stronie łóżka. Było wcześniej, ale on chciał spać, uciec w sen. Tego tylko mu brakowało. Takie rzeczy zdarzały się klientom, nie jemu.

– Adam? – szepnęła, kiedy zamknął oczy. – Co?

– Nienawidzisz mnie?

– Ależ skąd. Kocham cię. Po prostu jestem zdenerwowany. To nie był dobry pomysł.

– Co?

– Zająć w ciążę.

– Wiem. Przepraszam. Chcesz, żebym odeszła?

Spojrzał na nią i ogarnęła go litość. Dla niej też to będzie trudne, zwłaszcza że minęły już trzy miesiące. Niektórzy lekarze to robią, ale to znacznie większy problem niż w przypadku ciąży wykrytej w porę.

– Nie, nie chcę, żebyś odeszła. Chcę tylko to załatwić jak najszybciej. Maggie kiwnęła głową.

– Naprawdę myślisz, że będę rozbita przez sześć miesięcy? – zaniepokoiła się.

Ona też się bała, bardziej niż on. Nie chciał kłopotów, ale jakoś musiała sobie z tym poradzić. Czekają ją straszne przeżycia.

– Mam nadzieję, że nie – odparł na odczepnego. – Śpij.

Kręciła się i rzucała przez całą noc, a kiedy obudził się rano, wymiotowała w łazience. Stał pod drzwiami i krzywił się, słuchając obrzydliwych odgłosów.

– Do diabła – powiedział głośno.

Poszedł wziąć prysznic i się ogolić. Maggie wyszła po dziesięciu minutach. Zostawił drzwi swojej łazienki otwarte, żeby ją widzieć. Była zielona. – Nic ci nie jest?

– Nie. Czuję się świetnie.

Ubrał się, zrobił jej herbatę i grzanekę, pocałował przed wyjściem i obiecał, że zadzwoni z biura. A potem w drodze do pracy zaświtała mu okropna myśl. Maggie była katoliczką. A jeśli nie zgodzi się na aborcję? To dopiero będzie kłopot. Co powie dzieciom? I rodzicom?

Nie chciał nawet o tym myśleć. Wykonał niezbędne telefony, gdy tylko dotarł do biura. W południe zadzwonił do niej do pracy. Podał jej nazwiska dwóch lekarzy na wypadek, gdyby któryś nie zdążył jej przyjąć, i kazał jak najszybciej się do nich zgłosić. Maggie zadzwoniła do obu jeszcze tego samego dnia, podała nazwisko Adama zgodnie z jego poleceniem i umówiła się na wizytę następnego dnia po południu. Adam zaproponował, że z nią pójdzie, ale odparła, że poradzi sobie sama. Przynajmniej zachowała się przyzwoicie. Tego wieczoru prawie ze sobą nie rozmawiali. Oboje byli zbyt zdenerwowani.

Po wizycie u lekarza czekała na niego w domu. Miała wolny dzień i odrabiała pracę domową, kiedy wrócił.

– Jak poszło?

– Dobrze. – Nie podniosła na niego wzroku.

– Jak to dobrze? Co powiedział?

– Powiedział, że trochę późno, ale mogą stwierdzić, że chodzi o moje zdrowie psychiczne, jeśli zagrożę samobójstwem czy coś w tym stylu.

– Kiedy to zrobisz? – zapytał z ulgą.

Po długiej chwili podniosła na niego oczy, wielkie w bladej twarzy. Wyglądała na chorą.

– Nie zrobię.

Dopiero po chwili zrozumiał, co powiedziała.

– Powtórz to.

– Nie zrobię skrobanki odparła, starannie wymawiając wyrazy. Po jej minie poznał, że nie żartowała.

– To co z tym zrobisz? Oddasz do adopcji?

Było to znacznie bardziej skomplikowane i wymagało wyjaśnień, ale gotów był się zgodzić, jeśli tak chciała. W końcu jest katoliczką.

– Urodzę dziecko i zatrzymam je. Kocham cię. Kocham twoje dziecko. Widziałam je na sonogramie. Rusza się. Ssie kciuk. Jestem w ciąży trzy i pół miesiąca. Szesnaście tygodni, jak obliczyli. Nie oddam dziecka.

– O Boże – jęknął i opadł na najbliższe krzesło. – To szaleństwo. Zatrzymasz je? Nie ożenię się z tobą. Wiesz o tym, prawda? Jeśli na to liczysz, to zwariowałaś. Nigdy więcej się nie ożenię, z tobą ani z nikim, z dzieckiem czy bez dziecka.

– I tak bym za ciebie nie wyszła – odparła, sztywno wyprostowana na krześle. – Nie chcę, żebyś się ze mną żenił. Sama sobie poradzę.

Zawsze dotąd sobie radziła. Chociaż teraz umierała ze strachu, nie zamierzała mu się do tego przyznać. Przez całe popołudnie głowiła się, skąd wziąć pieniądze. Była zdecydowana nie brać nic od Adama. Musi to zrobić sama. Nawet gdyby miała odejść z pracy, rzucić szkołę i przejść na zasiłek. Nie chciała od niego nic.

– Co pomyślą moje dzieci? – zawołał z paniką. – Jak im to wyjaśnimy?

– Nie wiem. Trzeba było o tym myśleć w Jom Kipur.

– Na miłość boską, w Jom Kipur myślałem tylko o tym, jak bardzo nienawidzę matki. Nie myślałem o dziecku.

– Może tak miało być – powiedziała filozoficznie, ale Adam nie chciał jej słuchać.

– Tak wcale nie miało być. To tylko nasze niedbalstwo.

– Może. Ale kocham cię i nawet jeśli teraz mnie zostawisz, urodzę to dziecko.

Zaparła się jak osioł i nie chciała ustąpić ani na krok. Sonogram ją przekonał. Nie zamierzała zabić dziecka.

– Nie chcę dziecka, Maggie – próbował jej perswadować.

– Ja też nie wiem, czy chcę, ale mamy je. A raczej ja mam. Mówiła spokojnie i ze smutkiem. Oboje ciężko to znosili.

– W ten weekend lecę do Las Vegas – powiedział żałośnie Adam. – Porozmawiamy o tym, jak wrócę. Na razie dajmy sobie czas. Oboje się zastanowimy i może zmienisz zdanie.

– Nie zmienię. Wyglądała jak lwica broniąca młodych.

– Nie bądź taka uparta.

– Nie bądź taki podły.

– Nie jestem podły. Próbuję robić dobrą minę do złej gry, ale ty mi tego nie ułatwiasz. Podłość to mieć dziecko, którego nikt nie chce. Nie jestem przygotowany na dziecko, Maggie. Nie chcę się znowu żenić. Nie chcę dziecka. Jestem za stary.

– Po prostu jesteś podły. Wolisz je zabić – zawołała i znowu załapała się łzami. Adam sam mało się nie rozpłakał.

– Nie jestem podły! – krzyknął, kiedy znowu pobiegła do łazienki, żeby się przed nim ukryć i zwymiotować.

Reszta tygodnia upłynęła w niewiele lepszej atmosferze. Omijali temat, ale wisiał nad nimi niczym bomba atomowa gotowa do wybuchu. Adam z ulgą wyjechał w czwartek do Las Vegas. Musiał się wyrwać. Został na niedzielną noc. Czekał już na Maggie, kiedy w poniedziałek wróciła z pracy. Siedział na krześle ze zrezygnowaną miną.

– Jak minął weekend? – zapytała, ale nie podeszła, żeby go pocałować. Przez cały weekend zamartwiała się, że Adam ją zdradza, bo jest na nią zły.

Nie wychodziła z mieszkania i co noc płakała, myśląc, że jej nienawidzi, pewnie ją porzuci, a ona zostanie sama z dzieckiem i już nigdy go nie zobaczy.

– W porządku. Dużo myślałem.

Serce niemal stanęło jej w piersi. Czekwała, że każe się jej wyprowadzić. Teraz stała się dla niego ciężarem.

– Myślę, że powinniśmy się pobrać. Możesz polecieć ze mną do Vegas w przyszłym tygodniu. I tak muszę tam wrócić. Weźmiemy cichy ślub i tyle.

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

– Co to znaczy „i tyle”? Potem odejdę, ale dziecko będzie legalne? Wymyślała tysiące koszmarnych scenariuszy, lecz ani jednego dobrego.

On wymyślił lepszy.

– Nie, potem będziemy małżeństwem, będziemy mieli dziecko i spędzimy życie razem. Z dzieckiem. Dobrze? Teraz jesteś szczęśliwa? – On nie wyglądał na szczęśliwego, ale próbował postąpić jak należy. – Poza tym kocham cię.

– „Poza tym” ja też cię kocham, ale nie wyjdę za ciebie – oświadczyła spokojnie i z determinacją.

– Nie? Dlaczego? – zapytał zaskoczony. – Myślałem, że tego chcesz.

– Nigdy ci tego nie mówiłam. Mówiłam, że urodzę dziecko. Nie powiedziałam, że chcę wyjść za mąż – odparła rezolutnie.

– Nie chcesz wyjść za mąż?

– Nie, nie chcę.

– A co z dzieckiem? Czemu nie chcesz wyjść za mąż?

– Nie chcę cię zmuszać, żebyś się ze mną ożenił, Adamie. I nie chcę „cichego” ślubu. Kiedy będę wychodzić za mąż, chcę narobić dużo hałasu.

I poślubię kogoś, kto będzie chciał się ze mną ożenić, nie takiego, który musi to zrobić. Dziękuję bardzo, ale odpowiedź brzmi: nie.

– Proszę, powiedz mi, że żartujesz – jęknął Adam i zwiesił głowę.

– Nie żartuję. Nie proszę cię o pieniądze i nie wyjdę za ciebie. Sama sobie poradzę.

– Odchodzisz ode mnie? – zapytał naprawdę przerażony.

– Oczywiście, że nie. Kocham cię. Czemu miałabym odejść?

– Bo w zeszłym tygodniu powiedziałaś, że jestem podły.

– Jesteś podły, skoro chcesz zabić nasze dziecko. Ale właściwie nie jesteś, bo prosisz mnie o rękę. Dziękuję ci za to. Po prostu tego nie chcę i ty też nie.

– Właśnie że chcę! – krzyknął. – Kocham cię. Chcę się z tobą ożenić! Wyjdiesz za mnie czy nie?

Z każdą chwilą coraz bardziej się gorączkował, a ona coraz bardziej się uspokajała. Podjęła decyzję i on to widział.

– Jesteś najbardziej upartą kobietą, jaką znam. – Spojrzała na niego, a on parsknął śmiechem. – To nie był komplement. Na litość boską, Maggie. – Podszedł, objął ją i pocałował po raz pierwszy od tygodnia. – Kocham cię, proszę, wyjdź za mnie. Po prostu pobierzmy się, miejmy dziecko i zrobmy to jak należy.

– Gdybyśmy robili to jak należy, najpierw byśmy się pobrali, a potem mieli dziecko. Wtedy się ze mną nie ożeniłeś, to czemu teraz nalegasz?

– Bo masz dziecko! – prawie zawył.

– Jakoś to przeżyjesz. Nie wyjdę za mąż.

– Cholera – powiedział.

Podszedł do baru i nalał sobie kieliszek tequili, który przełknął jednym haustem.

– Nie możesz pić – skarciła go. – Jesteśmy w ciąży. Rzucił jej złe spojrzenie.

– Bardzo śmieszne. Wpadnę w alkoholizm, zanim to się skończy.

– Nie wpadaj – powiedziała łagodnie. – Będzie dobrze, Adamie. Jakoś sobie poradzimy. I nie musisz się ze mną żenić. Nigdy.

– A jeśli kiedyś zechcę się z tobą ożenić? – zaniepokoił się.

– Wtedy się pobierzemy. Ale teraz nie chcesz. Wiem o tym. Ty wiesz. A pewnego dnia dziecko się dowie.

– Nie powiem mu.

– Powiedzmy.

Ludzie czasami robili takie rzeczy. „Musiałem się ożenić z twoją matką... „ Nie chciała,

żeby jej dziecko usłyszało coś takiego. I nie chciała wykorzystywać swojej przewagi nad Adamem, nawet jeśli gotów był postąpić jak należy.

– Czemu jesteś taka cholernie honorowa? Wszystkie kobiety, które znałem, chciały, żebym płacił ich rachunki, ożenił się z nimi, znalazł im posady i zrobił dla nich milion innych rzeczy. Ty nie chcesz ode mnie nic.

– Właśnie. Tylko twojego dziecka. Naszego dziecka – poprawiła z dumą.

– Znają już płęć? – zapytał z nagłym zainteresowaniem.

Nie chciał tego dziecka, ale skoro już było, przyjemnie takie rzeczy wiedzieć.

– Za dwa tygodnie wracam na następny sonogram. Wtedy mi powiedzą.

– Mogę pójść z tobą?

– A chcesz?

– Może. Zobaczymy.

Przez cały weekend myślał, że się z nią ożeni, a teraz czuł niemal rozczarowanie, że do tego nie dojdzie. Całe ich życie stanęło na głowie.

– Co powiesz matce? – zapytała Maggie wieczorem przy obiedzie, a on tylko pokręcił głową.

– Bóg jeden wie. Teraz przynajmniej będzie miała prawdziwy powód do awantur. Chyba jej powiem, że zapłodniłem cię na pierwszej randce i że jesteś katoliczką, i nie będzie chciała, żebym się z tobą ożenił.

– Uroczo.

Przechylił się przez stół i pocałował ją, uśmiechając się.

– Maggie O'Malley, jesteś wariatką, że chcesz urodzić mi dziecko i nie chcesz wyjść za mnie. Ale cię kocham. Co tam, do licha! Zaczekaj, aż powiem Charliemu i Grayowi!

Maggie wybuchnęła śmiechem. Kończąc obiad, rozmawiali, jakie życie bywa czasami zwariowane. Przynajmniej ich. Oboje jednak wydawali się szczęśliwi, kiedy pozmywali naczynia i poszli do łóżka. Nie chcieli dziecka ani go nie planowali, postanowili jednak przyjąć je jak najlepiej, w miarę możliwości.

Rozdział 26

Charlie nie zadzwonił do Carole, odkąd zeszła z jachtu w St. Barts. Wysłała mu faks z podziękowaniem, ale niezręcznie jej było dzwonić po rozmowie, którą odbyli w ostatni wieczór przed jej wyjazdem. Nie miała pojęcia, do jakich wniosków doszedł Charlie, wiedziała tylko jedno z absolutną pewnością: że potrzebował swobody. Nie narzucała się, tylko tyle mogła zrobić. Z dnia na dzień ogarniał ją coraz większy strach. Minęły długie dwa tygodnie, zanim wreszcie zadzwonił. Siedziała w gabinecie, kiedy zabrzączał telefon. Charlie oznajmił, że wrócił, ale głos miał dziwny. Zapytał ją, czy mogą się spotkać na lunchu następnego dnia.

– Z wielką przyjemnością – odparła, siląc się na lekki ton, ale nie oszukała nawet siebie.

Charlie wydawał się straszliwie zdenerwowany. Mówił chłodnym, oficjalnym tonem. Carole zastanawiała się, czy nie odwołać umówionego spotkania. Wiedziała, na co się zanosi. Nie zaprosił jej na obiad ani nie wspomniał, że chciałby się spotkać dziś wieczorem. Wolał umówić się na lunch następnego dnia. Dystans. Chłód. To mogło oznaczać tylko jedno. Chciał się zachować uprzejmie, dlatego zaprosił ją na lunch, żeby jej powiedzieć, że wszystko skończone. Niewidzialna ręka napisała to na ścianie jak graffiti. Carole mogła tylko czekać.

Następnego ranka nawet nie chciało jej się umalować. Charlie i tak miał to w nosie. Gdyby ją kochał, gdyby jej pragnął, zadzwoniłby z jachtu albo spotkał się z nią poprzedniego wieczoru. Nie zadzwonił. Może ją kochał, ale jej nie chciał. Czekala ją jeszcze tortura wysłuchania, jak jej o tym powie. Zanim zjawił się w ośrodku, była już roztrzęsiona.

– Cześć – powiedział, stojąc niezręcznie w drzwiach gabinetu. – Jak się masz? Wyglądasz świetnie.

Ale to on wyglądał świetnie w szarym garniturze, z głęboką opalenizną. Ona po nieprzespanej nocy, udręczona i przerażona, prawdę mówiąc, wyglądała okropnie.

– Dokąd pójdziemy na lunch?

Chciała już to mieć za sobą. Żałowała teraz, że nie odwołała spotkania. Widocznie myślał, że powinien to załatwić w osobistej rozmowie. Nie musiał. Mógł z nią zerwać przez telefon.

– Naprawdę jesteś głodny? – zapytała niechętnie. – Nie wolisz porozmawiać tutaj?

Ale wiedziała równie dobrze jak on, że w gabinecie ciągle ktoś przeszkadzał. Wpadały dzieci, terapeuci, wolontariusze. Wszyscy znali drogę do jej gabinetu. Tutaj znajdowało się serce ośrodka.

– Lepiej wyjdźmy stąd.

Wydawał się spięty, zachowywał się męcząco uprzejmie. Carole chwyciła płaszcz i wyszła za nim z budynku.

– Mo czy Sally? – zapytał.

Było jej wszystko jedno, i tak nie mogła jeść.

– Co wolisz.

Wybrał Mo, bo było bliżej, i przeszli jedną przecnicę w milczeniu. Mo pomachał do

Carole, kiedy weszła, więc spróbowała się uśmiechnąć. Twarz miała jak z drewna, nogi ciążyły jak cement, w żołądku tkwił głaz. Marzyła tylko, żeby już było po wszystkim, żeby mogła wrócić do gabinetu i wypłakać się w spokoju.

Usiedli przy stoliku w rogu i oboje zamówili sałatkę. Charlie też nie wydawał się głodny.

– Jak tam reszta rejsu? – zapytała uprzejmie.

Przez następne pół godziny grzebali widelcami w swoich porcjach, ale niewiele zjedli. Carole miała wrażenie, że wstępuje na gilotynę.

– Przepraszam, że cię zdenerwowałem ostatniego wieczoru – powiedział wreszcie Charlie. – Dużo o nas myślałem po twoim wyjeździe.

Kiwnęła głową i czekała, aż się stanie. Chciała go poprosić, żeby się pospieszył, ale tylko siedziała, patrząc przed siebie pustym wzrokiem, i udawała, że słucha. Nie chciała usłyszeć tego, co miał do powiedzenia. Ale musiała tu siedzieć i znosić męczarnie.

– Wiele rzeczy przemawia za tym związkiem. I wiele przeciwko niemu. – Kiwnęła głową, chociaż miała ochotę wrzeszczeć. – Pochodzimy z tego samego środowiska. Mamy wspólne zainteresowania. Oboje lubimy filantropijne działania. Ty nienawidzisz mojego stylu życia, wolisz prostotę – uśmiechnął się – chociaż domu nie urządziłaś z prostotą. Chyba spodobał ci się mój jacht i dobry z ciebie żeglarz. Żadne z nas nie leci na pieniądze tego drugiego. Oboje kończyliśmy Princeton.

Mówił bez końca, a ona myślała, że umrze. W końcu postanowiła skrócić obojgu cierpienia. Dość się już namęczyli.

– Powiedz to, Charlie. Zniosę to. Jestem dużą dziewczynką i rozwódką. Po prostu skończ z tym, na litość.

Spojrzał na nią zdziwiony.

– Myślisz, że co chcę powiedzieć?

– Że to koniec. Rozumiem. Nie musisz tego owijać w piękne słówka i przewiązywać wstążeczką. Nie musiałeś nawet zabierać mnie na lunch. Właściwie żałuję, że mnie zaprosiłeś. Mogłeś do mnie zadzwonić albo wysłać emaila. „Spadaj” czy coś w tym rodzaju. Potrafię zrozumieć aluzję, jeśli dostanę wskazówkę. Dajesz mi wskazówki od trzech tygodni. Więc jeśli chcesz odejść, idź.

Poczuła ulgę, kiedy to z siebie wyrzuciła. Charlie patrzył na nią dziwnie, jakby nie wiedział, co powiedzieć. Ona powiedziała wszystko za niego.

– Dla ciebie to koniec? – zapytał z głęboko nieszczęśliwą miną. Zawahała się, ale postanowiła powiedzieć mu prawdę. Nie miała nic do stracenia.

– Nie, dla mnie to nie koniec – wyznała. – Kocham cię. Lubię cię. Przepadam za tobą. Uważam, że jesteś wspaniałą. Dobrze się z tobą bawię. Lubię z tobą rozmawiać. Uwielbiam z tobą współpracować. Lubiłam pływać na twoim jachcie. Lubię twoich przyjaciół, nawet zapach twoich cygar. Uwielbiam sypiać z tobą. Ale tylko ja to czuję. Widocznie ty nie odczuwasz tego samego. Skoro tak, trudno, nie zamierzam cię przekonywać do czegoś, czego nie chcesz.

Siedział i patrzył na nią w milczeniu. Potem się uśmiechnął.

– Tak myślałaś? Że przyszedłem powiedzieć ci, że to koniec?

– Tak. Co miałam myśleć? Zanim wyjechałam, powiedziałeś mi kupę bzdur, jak martwisz się o nas. Wróciłam do domu, a ty nie odzywałeś się przez dwa tygodnie. Wczoraj dzwoniś i grobowym głosem zapraszasz mnie na lunch, nie na obiad. Chyba wszystko jest jasne. Śmiało, Charlie. Jeśli chcesz to zrobić, zrób.

Nawet już się nie bała. Potrafiła sobie z tym poradzić, przeżyła gorsze rzeczy. Przypominała sobie o tym przez cały dzień.

– Do tego samego wniosku doszedłem na jachcie. Jeśli chcesz to zrobić, zrób. Przestań kręcić. Przestań czekać. Do diabła z niewybaczalną wadą, ryzykiem, strachem, że ukochana osoba umrze albo odejdzie, albo okaże się nic niewarta. Jeśli chcesz to zrobić, zrób. A jeśli nic nie wyjdzie, później będziemy się zastanawiać. Razem. Carole, czy wyjdiesz za mnie?

Zapatrzyła się na niego z szeroko otwartymi ustami.

– Co? – wyjąkała tylko.

– Wyjdiesz za mnie? – powtórzył z uśmiechem. Łzy napłynęły jej do oczu.

– Prosisz mnie o to u Mo? Teraz? Tutaj? Dlaczego?

– Bo cię kocham. Chyba w końcu tylko to się liczy. Reszta to dodatki.

– Ale dlaczego oświadczasz mi się u Mo? Czemu nie zabrałeś mnie na obiad, nie przyszedłeś do mnie wczoraj wieczorem? Jak możesz tutaj o to pytać? – śmiała się przez łzy.

Sięgnął przez stół i wziął jej rękę w swoje dłonie.

– Wczoraj wieczorem musiałem spotkać się z moimi prawnikami w sprawie fundacji i zamknąć rok podatkowy. Nie mogłem się z tobą spotkać. I nie chciałem czekać do dzisiejszego wieczoru. Nieważne. Zgadzasz się?

Długo patrzyła na niego z uśmiechem. Był trochę zbzikowany. Miły, ale zbzikowany. Wystraszył ją na śmierć, naprawdę uwierzyła, że to koniec. A on poprosił ją o rękę. Zupełne wariactwo. Przechyliła się przez stół i pocałowała go.

– Przez ciebie o mało nie dostałam zawału. Tak, wyjdę za ciebie. Z radością. Kiedy? – od razu przeszła do rzeczy.

– Co powiesz na czerwiec? Możemy spędzić miesiąc miodowy na jachcie. Albo kiedy indziej, jak wolisz. Tak się bałem, że odmówisz.

– Jeszcze czego. Czerwiec to świetny pomysł.

Uśmiechała się radośnie. Ciągle jeszcze nie mogła uwierzyć, że się oświadczył. Obojgu się zdawało, że to sen.

– Niewiele czasu ci zostało, żeby zaplanować ślub – powiedział przepraszająco.

Teraz jednak, kiedy podjął decyzję, nie chciał czekać długo. Był już najwyższy czas.

– Dam sobie radę – zapewniła, choć wcale się nie spodziewała, że tak się to wszystko ułoży.

Charlie zapłacił rachunek i nie spiesząc się, wrócili do ośrodka.

– Kocham cię – powiedział i pocałował ją tuż przed ośrodkiem. Ludzie przechodzili obok nich, uśmiechając się.

– Miło spędziliście czas? – zagadnął kpiąco Tygue, który też wracał z lunchu.

– Bardzo – przytaknęła Carole.

Potem jeszcze raz pocałowała przyszłego męża, zanim odjechał do śródmieścia. Misja

została wypełniona.

Rozdział 27

Pomiędzy Adamem a Maggie zapanował pozorny spokój. Postanowili nic nie mówić jego dzieciom, dopóki maleństwo nie przyjdzie na świat, czyli dopiero za kilka miesięcy. I nie zamierzali powiadamiać matki Adama, zanim dzieci się nie dowiedzą. Trudno im będzie to wyjaśnić. A i Rachel na pewno będzie miała dużo do powiedzenia.

Miał wiele pracy z klientami, ale wykroił trochę czasu, żeby pójść z Maggie na sonogram dwa tygodnie później. Dziecko było zdrowe, wyglądało dobrze i był to chłopiec. Adam i Maggie płakali, patrząc, jak się porusza. Maggie była w czwartym miesiącu.

W następnym tygodniu Adam musiał lecieć do Las Vegas i zapytał Maggie, czy chce mu towarzyszyć. Miała akurat dwa dni wolne w pracy. Mimo licznych stresów Adam był w zadziwiająco dobrym nastroju i pogodnie podchodził do kwestii ojcostwa. Maggie dużo spała i wymiotowała prawie codziennie, ale starała się nie narzekać. Cierpiała dla dobrej sprawy.

Wieczorem, kiedy lecieli do Las Vegas, czuła się trochę lepiej. Przez dwa dni wystawiano tam jeden z największych musicali, Adam jednak zapowiedział, że może zostać tylko na dwie noce, a Maggie i tak musiała wracać do pracy.

Polecieli do Las Vegas samolotem Adama i zatrzymali się w hotelu Bellagio, który Maggie uwielbiała. Ku jej radości Adam powiedział, że dostali apartament prezydencki, składający się z jadalni, sali konferencyjnej i sypialni z ogromnym łóżkiem. W salonie stał nawet fortepian. Przyjechali dość wcześnie i zdążyli jeszcze spędzić trochę czasu w łóżku przed kolacją. Przedstawienie, które mieli obejrzeć, nie rozpoczynało się przed północą. Zanim zeszli na obiad, Adam oświadczył, że musi jeszcze załatwić parę spraw. Powiedział, że skorzysta z sali konferencyjnej, i zamknął drzwi. Niebawem zjawili się dwaj mężczyźni w garniturach i Maggie, zgodnie z poleceniem Adama, skierowała ich do sali konferencyjnej. Kiedy otworzyła drzwi, żeby ich wpuścić, zobaczyła na stole ogromny bukiet czerwonych róż i butelkę szampana Cristal w kubelku. Adam uśmiechnął się do niej.

– Wejdz, Maggie.

Skinął na dwóch mężczyzn, którzy też się uśmiechali.

– Co ty tu robisz? – Działo się coś dziwnego i chyba tylko ona nie wiedziała, o co chodzi.

– Co to jest?

Rozejrzała się podejrzliwie. Przebrała się już do obiadu w różową sukienkę i szpilki. Adam prosił ją, żeby włożyła coś ładnego. Wszystkie ubrania robiły się ciasne, ale cięży jeszcze nie było widać. Figura pozostała równie dobra jak przedtem, tylko pełniejsza.

– Bierzemy ślub – odparł Adam. – Nie proszę cię o nic, po prostu zawiadamiam. A jeśli zaczniesz się stawiać, Mary Margaret O'Malley, nie wypuszczę cię z tego pokoju, dopóki się nie zgodzisz.

– Żartujesz?

– Nigdy w życiu nie byłem bardziej poważny. – Podeszedł do niej i stanął dumnie obok. – Nie urodzisz tego dziecka beze mnie. To jest sędzia Rosenstein i jego asystent, Walter. Przyszli odprawić ceremonię. Walter będzie naszym świadkiem. – Bierzemy ślub? –

Spojrzała na niego ze łzami w oczach.

– Tak, bierzemy ślub.

– Czy twoja matka wie?

– Dowie się jutro. Najpierw chcę powiedzieć dzieciom.

Pomyślał o wszystkim i uprzedził wszelkie jej sprzeciwy. Chciała, żeby się z nią ożenił, ale nie z poczucia obowiązku. Teraz wziął sprawy w swoje ręce i nie mogła już wątpić, że on też tego pragnie.

Maggie płakała podczas ceremonii. Adam wsunął jej na palec wąską złotą obrączkę, którą dzień wcześniej kupił u Tiffany'ego. Kupił też obrączkę dla siebie. Walter podpisał akt ślubu jako świadek. Przed ósmą wieczorem wszystko się zakończyło. Adam pocałował Maggie, kiedy tylko zostali sami w pokoju. Wypiła mały łyżeczek szampana, nie mogła przecież pić alkoholu.

– Kocham panią, pani Weiss – powiedział z uśmiechem. – I tak ożeniłbym się z tobą wcześniej czy później, nawet gdybyś nie była w ciąży. Dziecko tylko przyspieszyło sprawę.

– Naprawdę?

– Naprawdę – potwierdził stanowczo. Maggie wciąż jeszcze była oszołomiona.

Zjedli obiad w Picasso i poszli na przedstawienie o północy. Zamiast patrzeć na scenę, Maggie co najmniej milion razy spojrzała na swoją obrączkę. Podziwiała też obrączkę Adama.

Tej nocy Adam już zasypiał, kiedy Maggie szturchnęła go w ramię. Poruszył się, ale nie rozbudził w pełni.

– ... hę? ... kocham cię... – wymamrotał.

– Ja też cię kocham. Właśnie coś mi przyszło do głowy.

– ... nie teraz... zmęczony... jutro...

– Chyba powinnam się nawrócić. Chcę zostać żydówką.

Wcale nie czuła senna. Był półprzytomny, ale zdołał kiwnąć głową.

– ... pogadamy jutro... kocham cię... branoc...

A potem zasnął. Leżała obok niego, myśląc o wszystkim, co się wydarzyło. To była najcudowniejsza noc w jej życiu.

Rozdział 28

Następnego dnia, kiedy Adam zadzwonił do matki, słyhać ją było od cieśniny Long Island do mostu Brooklyńskiego.

– O'Malley?! Jest katoliczką?! Chcesz mnie zabić? Jesteś zbrodniarzem! Przez ciebie ojciec znowu dostanie ataku serca!

Winiła go o wszystko, co jej tylko przyszło do głowy.

– Ona zamierza się nawrócić.

Matka ledwie go słyszała, bo nie przestawała wrzeszczeć. Oświadczyła, że jego postępowanie to wstyd i hańba.

– To do niej poszedłeś, kiedy uciekłeś od nas w Święto Dziękczynienia?

– krzyknęła oskarżycielsko.

Tym razem wybuchnął śmiechem. Nie zamierzał więcej dostawać przez nią migreny. Miał Maggie, swoją kochankę, sprzymierzeńca i najlepszego przyjaciela.

– W gruncie rzeczy tak. To najlepsza decyzja w moim życiu.

– Zwariowałeś. Na świecie jest tyle miłych żydowskich kobiet, a ty się żenisz z katoliczką. Pewnie powinnam się cieszyć, że nie ożeniłeś się z którąś z tych twoich *schwarze* piosenkarek. Mogło być gorzej.

To i fakt, że okazała brak szacunku dla Maggie, sprawiło, iż postanowił niczego nie ukrywać. Zasłużyła sobie na to przez czterdzieści dwa lata.

– Aha, mam, zanim zapomnę. W czerwcu spodziewamy się dziecka.

– O mój Boże! – Tym razem wrzask dotarł aż do Nebraski.

– Pomyślałem, że się ucieszysz z dobrej nowiny. Zadzwonię niedługo.

– Nie mam nawet serca powiedzieć ojcu. Adamie, to go zabije.

– Wątpię – odparł Adam spokojnie. – Ale jeśli masz zamiar mu coś powiedzieć, najpierw go obudź. Niedługo się odezwę.

I po tych słowach odłożył słuchawkę.

– Co powiedziała? – zapytała Maggie ze zmartwioną miną.

Właśnie wrócili do Nowego Jorku. Adam zadzwonił najpierw do dzieci, które dobrze przyjęły nowinę. Powiedziały, że bardzo lubią Maggie i cieszą się ze względu na niego.

– Była zachwycona – odparł Adam z szerokim, zwycięskim uśmiechem.

– Powiedziałem jej, że chcesz się nawrócić.

– To dobrze.

Trzy pary spotkały się na obiedzie w Le Cirque tydzień później. Charlie zaprosił ich i napomknął, że ma ważne nowiny.

Wszyscy zjawili się na czas i zaprowadzono ich do jednego z najlepszych stolików. Panie wyglądały ślicznie, całe towarzystwo było w doskonałym nastroju. Zamówili drinki i gawędzili przez kilka minut. Charlie oznajmił, że zaręczyli się z Carole i biorą ślub w czerwcu. Wszyscy przyjęli to z entuzjazmem. A potem Adam spojrział na Maggie z konspiracyjnym uśmiechem.

– A co wy ukrywacie w zanadrzu? – Charlie zauważył tę wymianę spojrzeń.

– Pobraliśmy się w zeszłym tygodniu – oświadczył Adam, uśmiechając się promiennie do żony. – A w czerwcu spodziewamy się dziecka.

Rozległy się oklaski.

– Przebili nas! – zawołał Charlie ze śmiechem.

Carole i Maggie porozumiały się w sprawie terminu porodu. Ślub wyznaczono dwa tygodnie wcześniej i Maggie zapewniła, że będzie w formie. Gruba, ale w formie.

– A co z naszą wspólną sierpniową wyprawą na „Blue Moon”? – zapytał Gray ze zmartwioną miną.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

– Jest jak najbardziej aktualna – zapewnił Charlie.

– Czy będziemy mogli zabrać dziecko? – zapytała niepewnie Maggie.

– Zabierzcie i dziecko, i nianię – zgodził się Charlie. – Sylvio, mam nadzieję, że też pojedziesz.

Uważali, że przyjemnie będzie podróżować razem z paniami, inaczej niż przedtem, ale interesująco.

– Aha, przy okazji – odezwał się Gray – w zeszłym tygodniu wprowadziłem się do Sylvii, nie tylko nocuję u niej. Mam szafę, własny klucz, moje nazwisko jest na skrzynce na listy i odbieram telefony.

– Pamiętam te zasady – roześmiała się Maggie. – Spędzacie razem święta? Jeśli nie, to nie jest związek.

Zerknęła na Adama, który skrzywił się z zażenowaniem.

Gray opowiedział o wycieczce do Vermontu z Sylwią i jej dziećmi. Wspólnie obchodzili Boże Narodzenie. Trochę się denerwował, ale poradził sobie nieźle. Emily i Gilbert wrócili do Europy w zeszłym tygodniu. Gray obiecał, że pojedzie z nimi na tydzień do Włoch, zanim on i Sylvia zaokrętują się na „Blue Moon”. Zakładał, że Charlie ją zaprosi, skoro w Nowy Rok miał na pokładzie Maggie i Carole.

Pracował intensywnie nad portretem Boya, chciał go skończyć na wystawę w kwietniu. Przygotowania szły pełną parą. Portret Boya miał stanowić najważniejszy element wystawy, nieprzeznaczony na sprzedaż. Gray zamierzał powiesić go u Sylvii i traktować jak portret rodzinny. Po śmierci bardziej niż za życia Boy był jego bratem. Odnaleźli się nawzajem w ostatniej godzinie.

– A wy? – spytał żartem Adam. – Kiedy się pobieracie?

– Nigdy! – odpowiedzieli Gray i Sylvia jednocześnie i wszyscy znowu się roześmiali.

– Powinniście to zrobić latem w Portofino, tam gdzie się poznaliście – zaproponował Charlie.

– Jesteśmy za starzy na małżeństwo – odparła Sylvia z przekonaniem. Właśnie skończyła pięćdziesiąt lat, trzy dni przed pięćdziesiątymi pierwszymi urodzinami Graya. – I nie chcemy już dzieci.

– Ja też tak myślałem – bąknął Adam, spoglądając na Maggie rozkochanym wzrokiem.

Od kilku dni Maggie czuła się już lepiej.

– Nic dziwnego, że na jachcie dostałaś choroby morskiej – zauważył Charlie.

– Tak, chyba tak – przyznała Maggie z zażenowaniem. – Wtedy jeszcze nie wiedziałam.

W wesołej atmosferze przez cały wieczór wznosili liczne toasty. Jak zwykle mężczyźni wypili za dużo. A ze względu na wyjątkową okazję kobiety nie próbowały ich ograniczać. Wszyscy się dobrze bawili. Wypili imponujące ilości doskonałego francuskiego wina.

Zanim się rozstali pod koniec wieczoru, poczynili plany i ustalili daty. Zapisali sobie datę ślubu Charliego i Carole. Maggie podała termin rozwiązania i wszyscy wyznaczyli sobie spotkanie pierwszego sierpnia na pokładzie „Blue Moon”. Życie było słodkie. Przyszłość wyglądała wspaniale.

Rozdział 29

Po długich debatach, chociaż był to drugi ślub Carole, a pierwszy Charliego, zgodzili się na żądanie jej rodziców i pobrali w kościele St. James. Była to niewielka i elegancka uroczystość. Charlie wystąpił we fraku i białym krawacie. Carole poprosiła Sylwię na starościny wesela, a Maggie na drużnę. Nosiła prostą, lecz wytworną suknię w odcieniu najbledszego fiołkowego różu i kwiaty we włosach. W bukietcie miała róże i białe orchidee, a we włosach konwalie. Wyglądała po prostu jak królowa, kiedy kroczyła nawą wsparta na ramieniu ojca. Gray i Adam byli друзbami Charliego. Po ceremonii dwustu gości udało się na przyjęcie do nowojorskiego jachtklubu. Wesele miało bardzo tradycyjny charakter, z wyjątkiem udziału grupki dzieci z ośrodka, które przyszły pod opieką Tygue'a i kilku wolontariuszy. Gabby i Zorro też oczywiście byli wśród nich. Carole wynajęła zespół pieśniarzy gospel z Harlemu. Orkiestra taneczna grała do trzeciej nad ranem.

Carole osobiście kierowała rozsadzaniem gości i wyglądało nawet na to, że jej rodzice dobrze się bawili. Po pierwszym tańcu nowożeńców Charlie zatańczył z panią Van Horn, a Carole z ojcem. Na szczęście nie zwały się hordy niemiłych krewnych, zwykle obecne na weselach. Właściwie oprócz rodziców Carole państwo młodzi mieli wokół siebie tylko przyjaciół.

Sylvia wyglądała pięknie w liliowej sukni, którą razem z Carole wybrały u Barneya. Trzymała bukiet z bzu i maleńkich białych różyczek. Trudniej było znaleźć strój dla Maggie. W końcu zdecydowały się na suknię wieczorową w kolorze pośrednim między bladym różem Carole a fioletem Sylvii: Maggie miała suknię lawendową i bukiet lawendowych róż. Do dnia wesela suknia zrobiła się tak ciasna, że Maggie ledwie mogła oddychać, ale i tak wyglądała pięknie. Młodość i macierzyństwo dodawały jej blasku, chociaż z powodu ogromnego brzucha prawie nie mogła się ruszać.

Carole twierdziła, że bajecznie się bawiła na swoim weselu, i chyba nie udawała. Tańczyła z Charliem, Adamem, Grayem, Tygue'em, kilkoma dawnymi przyjaciółmi, głównie jednak z Charliem. Wszyscy przyznawali, że nigdy jeszcze nie widzieli równie szczęśliwej pary. Tańczono, ucztowano i bawiono się przez całą noc.

Orkiestra grała tak dobrze, że nawet Van Hornowie nie schodzili z parkietu. Sylvia i Gray po mistrzowsku wykonali tango. Maggie też nie mogła usiedzieć na miejscu. Za każdym razem, kiedy Adam na nią patrzył, tańczyła z kim innym, oczywiście na odległość ramienia. Żeby nie tracić jej z oczu, w końcu sam z nią zatańczył. Bawiła się świetnie i nie usiadła ani na chwilę. Pod koniec wieczoru, kiedy wróciła do stolika, wyznała Adamowi, że sama nie wie, co bardziej ją boli: plecy czy nogi.

– Prosiłem cię, żebyś nie przesadzała – skarcił ją. Nic mi nie jest – roześmiała się. – Dziecko urodzi się dopiero za dwa tygodnie.

– Nie licz na to, jeśli dalej będziesz tańczyć. Nie wiem, jakim cudem kobieta w ósmym miesiącu ciąży może wyglądać seksownie, ale ty wyglądasz.

Wyszli jako jedni z ostatnich.

Carole rzuciła bukiet prosto w Sylwię, która złapała go z jękiem. Państwo młodzi zamierzali przenocować w domu Carole i wyjechać rano, żeby wsiąść na jacht w Monte Carlo. Wybierali się do Wenecji na trzytygodniowy miesiąc miodowy. Carole martwiła się o ośrodek, ale Tygue zgodził się ją zastąpić.

Ostatni goście sypali płatki róż na młodą parę wsiadającą do samochodu. Adam pomógł Maggie wcisnąć się do wynajętej limuzyny. Nie mieściła się już w ferrari.

Ziewała, kiedy jechali windą na górę. Była kompletnie wyczerpana i przynajmniej raz zasnęła wcześniej od Adama. Leżąc, wyglądała jak nieduża góra. Pocałował ją w policzek i w brzuch, a potem zgasił światło. Ostatnio trudniej było się do niej przytulać. Zasnął od razu, wspominając wesele przyjaciela. Dwie godziny później, o piątej rano, Maggie potrząsnęła nim.

– ... mmm... co?

– Rodzę – szepnęła z lekką paniką.

Był za bardzo zmęczony, żeby się obudzić. Jak wszyscy na weselu, wlał w siebie ogromne ilości wspaniałego wina.

– Adam... kochanie... obudź się...

Próbowała usiąść w łóżku, ale miała zbyt silne skurcze. Znowu szarpnęła go jedną ręką. Drugą podtrzymywała olbrzymi brzuch.

– Ciii... śpij... daj mi spać... – mruknął i przekręcił się na drugi bok. Próbowała go posłuchać, ale ledwie mogła oddychać. Wszystko działo się zbyt szybko i budziło lęk.

Dochodziła szósta, kiedy Maggie potrząsnęła nim bardzo mocno. Teraz już dyszała z bólu. Działo się coś złego. Za bardzo bolało.

– Adam... musisz się obudzić...

Nie mogła wstać z łóżka. Próbowała go zepchnąć, on jednak tylko przesłał jej całusa i spał dalej.

O wpół do siódmej po prostu uderzyła go pięścią, wykrzykując jego imię. Tym razem ocknął się gwałtownie.

– Co? Co? – Poderwał się, ale natychmiast opadł z powrotem na poduszkę. – O cholera... moja głowa...

Potem spojrzał na nią. Jej twarz natychmiast ściągnął ból. Mimo kaca rozbudził się.

– Dobrze się czujesz?

– Nie... boli... – płakała i prawie nie mogła mówić. – Rodzę, Adamie, i boję się.

Zanim dokończyła zdanie, chwycił ją skurcz. Bóle nadchodziły jeden za drugim i nie ustawały ani na chwilę.

– Dobra. Daj mi chwilę. Wstaję. Nie bój się. Wszystko będzie dobrze. Wiedział, że musi wstać i włożyć spodnie, ale głowa mu ciążyła jak blok cementu. – Nie jest dobrze... rodzę... już!

– Już? – Usiadł jak dźgnięty ostrogą i spojrzał na nią. – Już! – jęknęła.

– Nie możesz teraz rodzić. Rozwiązanie będzie dopiero za dwa tygodnie... Maggie... mówiłem ci, żebyś tyle nie tańczyła...

Ale ona nie słuchała, tylko wpatrywała się w niego dzikim wzrokiem. Adam wyskoczył z

łóżka.

– Zadzwoń na pogotowie! – wydyszała pomiędzy skurczami.

– Dobrze...

Zadzwoił, nie spuszczać jej z oka. Zaczynała przeć. Dyspozytor powiedział, że zaraz wysła pielęgniarzy, i prosił, żeby otworzyć drzwi i czuwać nad nią. Ma nie przeć, tylko oddychać.

Wykonał polecenia i kazał Maggie oddychać. Wrzeszczała na cały głos. Skurcze następowały już bez przerw.

– Maggie... spokojnie, maleńka... proszę... oddychaj! Oddychaj! Nie przyj... !

– To dziecko prze, nie ja – odparła ze straszliwie wykrzywioną twarzą, a potem wydała wrzask mrozący krew w żyłach. – Adam! On wychodzi... !

Trzymał jej nogi i patrzył, jak jego syn przychodzi na świat. Dopiero wtedy zjawiała się karetka. Dziecko samo się urodziło. Maggie bez tchu opadła na poduszki, a Adam trzymał syna. Oboje płakali, patrząc na niego.

– Dobra robota! – pochwalił lekarz.

Wziął dziecko od Adama, a pielęgniarka umyła je i położyła obok Maggie. Adam patrzył na oboje z zachwytem i nie mógł powstrzymać łez. Maggie leżała spokojna i uśmiechnięta, jakby nic się nie stało. Potem przecięto pępowinę i niemowlę spojrzało na Adama, jakby już się znali.

– Czy młody człowiek ma imię? – zapytał pielęgniarz.

– Charles Gray Weiss – oznajmił Adam, spoglądając z uwielbieniem na żonę. – Byłaś fantastyczna! – szepnął do Maggie, klęcząc na podłodze u jej wezgłowia.

– Tak się bałam – wyznała cicho.

– A ja byłem taki pijany. Czemu mnie wcześniej nie obudziłaś?

– Próbowałam! Uśmiechała się i tuliła dziecko.

– Obiecuję, że następnym razem, kiedy będę zasypiał i coś mi powiesz, wysłucham cię.

Karetka czekała na dole, ale przed odjazdem zadzwonili do Carole i Charliego. Obudzili ich i zawiadomili, że dziecko się urodziło, czym wywołali wielką radość. Nowożeńcy musieli wcześniej wstać, żeby wyjechać do Monako.

Ze szpitala Adam zadzwonił do Jacoba i Amandy. Lekarz pozwolił Maggie i dziecku wrócić na noc do domu. Oboje byli zdrowi, a Maggie wołała być w domu z Adamem. Oświadczyła, że to najpiękniejszy dzień w jej życiu. Dziecko było wspaniałe.

Tej nocy, kiedy Adam zasypiał, a dziecko leżało obok nich w łóżeczku, Maggie znowu szturchnęła męża. Wzdrygnął się, usiadł i spojrzał na żonę.

– Co? Źle się czujesz?

Dotrzymał słowa. Od razu się obudził.

– Nie, dobrze. Chciałam ci tylko powiedzieć, że cię kocham.

– Ja też cię kocham – odparł, opadł na łóżko i przyciągnął ją do siebie. – Bardzo cię kocham, Maggie Weiss.

Zasnął z uśmiechem na ustach, tak jak ona.

Rozdział 30

Pierwszego sierpnia, zgodnie z planem, wszyscy weszli na pokład „Blue Moon”. Maggie i Adam zabrali ze sobą dziecko i nianię. Jak zwykle zaczęli od Monte Carlo, grali przez jeden wieczór, przenieśli się do St. Trapez, a kiedy mieli dość, popłynęli do Portofino. Panie robiły zakupy, mężczyźni pili, wszyscy pływali, spacerowali wieczorem po *piazza* i jedli włoskie lody. Tańczyli na dyskotekach, a pomiędzy posiłkami i wyprawami do miasta Maggie niańczyła syna. W dniu wyjazdu miał dwa miesiące, wielkie, jasne oczy i krzepkie ciało. Był blondynem jak matka.

Następnego ranka po przyjeździe do Portofino Sylvia i Gray wybrali się do kościoła San Giorgio. Wieczorem wszyscy zjedli obiad w tej samej restauracji, gdzie się poznali. Sylvia i Gray właśnie wrócili z wycieczki z jej dziećmi. Tym razem Gray mniej się denerwował. Rozmawiał z Emilią o technikach malarskich i bardzo się zaprzyjaźnił z Gilbertem. Sylvia miała rację, wyznał Charliemu, to wspaniałe dzieci.

– Miała rację w wielu sprawach – dodał.

Pozostali wzniesli za nich toast. Właśnie mijała rocznica dnia, kiedy się poznali.

– Dalej uważam, że powinniście się pobrać – powiedział Adam, kiedy otworzyli następną butelkę wina.

Mieszkali oficjalnie razem od siedmiu miesięcy, a znali się zaledwie od roku. Sylvia powiedziała, że to za krótko. Reszta wyśmiała ich hałaśliwie. Charlie i Carole spotykali się przez osiem miesięcy, zanim się pobrali, a Adam znał Maggie przez cztery miesiące. I wszystko dobrze się ułożyło. Lepiej niż dobrze. Cała czwórka była szczęśliwa jak nigdy w życiu.

– Nie musimy brać ślubu – upierała się Sylvia.

Gray śmiał się z niej i mówił, że zachowuje się tak jak on, kiedy bał się poznać jej dzieci.

– Nie chcę zepsuć czegoś dobrego – powiedziała cicho.

– Nie zepsujesz – zapewnił ją Charlie. – Gray to porządny facet.

– Nawet nie pomyślę o tym wcześniej niż za rok – rzuciła niefrasobliwie.

– Doskonale – powiedział Adam. – Wrócimy tutaj w przyszłym roku o tej samej porze.

Zobaczymy, co wtedy zrobisz.

I wszyscy znowu wzniesli toast.

Rozdział 31

Dzień był wyjątkowo upalny, niebo idealnie błękitne. Szmer rozmów zlewał się z brzęczeniem owadów i trelami ptaków. Grupka osób z trudem wspiwała się na wzgórze. Żar lał się z bezchmurnego nieba, choć dopiero dochodziła jedenasta.

Kobieta w białej ażurowej rustykalnej spódnicy, białej bluzce z szerokimi rękawami i czerwonych sandałach niosła bukiet czerwonych róż. Na głowie miała olbrzymi słomkowy kapelusz, na ręku bransoletki z turkusami. Obok niej szedł mężczyzna w białych spodniach i niebieskiej koszuli, z grzywą siwych włosów. Za nimi – dwie następne pary. Obie kobiety były w ciąży.

Cała szóstka zmierzała do kościoła San Giorgio w Portofino. Czekał tam na nich ksiądz. Sylvia wychodziła za mąż po raz drugi, ale za pierwszym razem nie brała kościelnego ślubu, a Gray nigdy się nie ożenił.

Oblubieniec i oblubienica stali przed ołtarzem z uroczystą powagą. Czwórka przyjaciół patrzyła i słuchała, jak ksiądz odbiera od nich przysięgę małżeńską. Kiedy ksiądz powiedział panu młodemu, że może pocałować pannę młodą, pan młody wzruszył się do łez.

Potem Sylvia i Gray przyjmowali gratulacje od przyjaciół. Maggie i Carole spodziewały się potomstwa. Charlie i Adam byli dumni nie tylko z kobiet, które poślubili, ale i z dwojga przyjaciół, którzy wreszcie zdecydowali się na ten krok. Długo stali i rozmawiali w kościele, zapalili kilka świeczek i wreszcie powoli zeszli ze wzgórza *na piazza*. Sylvia i Gray trzymali się za ręce.

Zjedli weselny lunch w tej samej restauracji, gdzie się poznali dwa lata wcześniej. Cała szóstka przebyła długą drogę od tamtego czasu. Wiele przeżyli, wiele osiągnęli i na szczęście odnaleźli się nawzajem.

– Za Sylvię, Graya i szczęśliwe życie! – wzniósł toast Charlie.

Potem spojrzął na żonę. Spodziewali się swojego pierwszego dziecka w grudniu. Drugie dziecko Maggie i Adama miało się urodzić w październiku, dwa lata od ich spotkania.

Ostatnie lata przyniosły im wiele szczęścia, liczne zmiany, wesela i narodziny. Dzieci dobrze się chowały. Maggie studiowała i nadal wybierała się na prawo. Ośrodek Carole się rozrastał. Każde z nich zrzuciło z serca wielki ciężar i odtąd żyło im się lepiej, łatwiej, ponieważ się kochali.

Po południu wrócili na jacht i pływali. A wieczorem zjedli obiad na pokładzie. Sylvia i Gray cieszyli się, że spędzą miesiąc miodowy z przyjaciółmi. Czuli, że powinni być razem. A kiedy wypłynęli z Portofino i skierowali się ku innym portom, na pokładzie jachtu nie było już ani jednego kawalera.